



Jadwiga Courths-Mahler



WYGNANA CÓRKA

Leonora Strasser klęczała przy łóżeczku dziecka i wilgotnymi od łez oczyma patrzyła na jego zaróżowioną twarzyczkę. Wzrok matki wyrażał trwogę i ból, które usiłowały stłumić wszelkie pragnienie szczęścia zbudzonej z letargu duszy. W sercu kobiety toczyła się bowiem ciężka walka, która tę czarującą młodą istotę przygniatała do ziemi. Leonora wiedziała, że to, co zamierza zrobić, co zgodnie ze swą naturą zrobić musi, wyrwie ją z tego wytwornego, przytulnego domu, oddali od córki, którą kocha całą siłą matczynego serca. I teraz wydało jej się nagle rzeczą nie do pojęcia, niemożliwą, by rozdzielić się z dzieckiem, a przecież tak musiało się stać. Nie wolno jej było zabierać Dagmary w niepewną przyszłość z miejsca, gdzie żyła spokojnie i bezpiecznie. I nie wolno było także pozbawić jej miłości ojca, który i tak z powodu ucieczki żony zostanie zraniony do głębi. O tym Leonora była przekonana i to również kładło się ciężarem na jej sercu. Mąż był zawsze dla niej tak dobry i czuły, że tym bardziej gnębiła ją świadomość, jak zakłamanie życie prowadzi u jego boku. Wzięła na siebie ogromną winę, zostając bez miłości żoną Rudolfa. Jeszcze większą winę brała na siebie teraz, gdy postanowiła porzucić go na zawsze...

A jednak nie mogła postąpić inaczej, nie potrafiła dłużej prowadzić podwójnego życia, gdyż pogłębiałaby jeszcze swą winę i pogrążała się coraz bardziej w poczuciu wstydu. I w żadnym wypadku nie chciała sprowadzać hańby na dom Strasserów; to była z pewnością winna mężowi. Skoro nie mogła mu dotrzymać wierności, uczciwie chciała od niego odejść.

Podczas gdy tak walczyła z sobą, cicho otwarły się drzwi i do dziecinnego pokoju wszedł Rudolf Strasser. Był dużo starszy od żony, co najmniej chyba dwukrotnie. Włosy na skroniach miał siwe, ale wciąż jeszcze był bardzo przystojnym mężczyzną. Jego oczy objęły matkę i dziecko pełnym szczęścia, promiennym spojrzeniem. Bez słowa stanął obok żony przy łóżeczku małej Dagmary. Leonora zmusiła się do przybrania spokojnego wyrazu twarzy, zdołała się nawet uśmiechnąć. Nauczyła się przecież przez te wszystkie lata, kiedy była żoną Rudolfa, skrywać przed nim swoje uczucia.

Ojciec pochylił się nad sześciolletnią córeczką. Delikatnie ucałował pulchną rączkę, spoczywającą na pokrytej błękitnym jedwabiem kołderce.

— Widzę, Leonoro, że znów napawasz się widokiem naszego kochanego maleństwa? Nie przeszkadzaj sobie, jadę zaraz do firmy. Do widzenia, kochanie!

Leonora wiedziała, że nie będzie już żadnego widzenia. Chwyciła dłoń męża i w poczuciu niemej wdzięczności i żalu przycisnęła do niej wargi. On schylił się, aby ją pocałować, i nie zwrócił uwagi na to, że usta żony uniknęły pocałunku. Wargi Rudolfa dotknęły tylko jej czoła.

— Żegnaj — wyszeptała tak cicho, że ledwie zrozumiał.

Nie podejrzewając, co to „żegnaj” miało znaczyć, skinął jej głową, spojrzał jeszcze raz z dumą i czułością na swoje dziecko i wyszedł na palcach.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Leonora zerwała się. Płacz wstrząsnął całym jej ciałem. Z pewnością nie było rzeczą łatwą porzucić tego dobrego mężczyznę, którego kochała jak ojca i który niegdyś, żeniąc się z nią, wybawił ją z gorzkiej nędzy i kłopotów.

Wreszcie opanowała się i otarła łzy. Znów pochyliła się nad Dagmarą. Jeszcze raz pocałowała łagodnie i lekko dziecięce czołko. Potem wybiegła z pokoju.

W sypialni narzuciła na siebie podróżną suknię. Pospiesznie zebrała trochę drobiazgów i włożyła do dużej torebki. Bagażu pozbyła się z domu już poprzedniego dnia wieczorem; pod jakimś pretekstem kazała zawieźć go na dworzec. Teraz szybko przypudrowała zapłakaną twarz, włożyła kapelusz i opuściła woalkę. Pozostawiała wszystko, co jej ofiarowała miłość Rudolfa. Nie zabierała ze sobą żadnego klejnotu, żadnej z kosztownych sukien; tak jak przed laty przybyła do tego domu, tak go też opuszczała, porzucając nadto najcenniejszy skarb: swoje dziecko. Ostrożnie wyszła na wyłożony dywanem korytarz. Przy pokoju dziecinnym zatrzymała się na moment i oparła policzek o drzwi; załkała spazmatycznie. I nagle usłyszała jakiś ruch na wyższym piętrze. To chyba któraś ze służących schodziła na dół. Leonora nie chciała, by ją zobaczono z zapłakaną twarzą, zbiegła więc po schodach i przez hol spiesznie wyszła na zewnątrz.

Przed domem czekało auto, które mąż odesłał z firmy, gdyż Leonora powiedziała, że chce zrobić zakupy. Szofer, który zawsze towarzyszył swej pani, stał już przy drzwiach samochodu i pomógł jej wsiąść. Spojrzenie młodej kobiety pobiegło jeszcze raz w górę, ku oknu, za którym spała jej córeczka. Auto ruszyło. Ze spazmatycznym szlochem Leonora wtuliła się w oparcie. Drżała na całym ciele i z wielkim trudem potrafiła zapanować nad sobą, gdy pojazd zatrzymał się przed wielkim magazynem mód, w którym rzekomo miała robić zakupy.

Wysiadła i wyjmując z torebki list, powiedziała tak spokojnie, jak tylko potrafiła:

— Niech pan wraca do domu, spotykam się tutaj z przyjaciółką, z którą spędzę popołudnie. Gdybym nie zdążyła wrócić, nim się zjawi mój mąż, proszę mu przekazać ten list.

Leonora nie po raz pierwszy odsyłała w ten sposób auto. Szofer otworzył jeszcze przed swoją panią drzwi sklepu, potem wsiadł do samochodu i odjechał.

Leonora weszła do magazynu tylko na chwilę; ekspedientce, która z zawodową gorliwością podbiegła i zapytała stałą, dobrą klientkę o jej życzenia, powiedziała, że się rozmyśliła: najpierw musi zrobić inne zakupy i wtedy tutaj wróci. Potem opuściła sklep innymi drzwiami i wyszła na ulicę. Zrobiła to nadzwyczaj ostrożnie i jakby niepewnie.

I właśnie w tym momencie natknęła się na młodego człowieka z teczką pełną książek. Był to Werner Falkner, uczeń ostatniej klasy gimnazjalnej, syn pierwszego prokurenta firmy Strasser & Syn. Na widok małżonki Strassera jego młodzieńcza, szczerą twarz okryła się jasnym rumieńcem. Pani Leonora była dla Wenera kwintesencją piękna i uprzejmości. Marzył o niej w swej młodzieńczej egzaltacji. Grzecznie zdjął czapkę.

Leonora najchętniej uniknęłaby tego spotkania, ale ponieważ było to niemożliwe, podała Falknerowi rękę i zapytała z bladym uśmiechem:

— Jak się pan miewa, panie Wenerze?

Zawsze lubiła go tak nazywać, bowiem tak również nazywała go jej córeczka.

— Dziękuję, łaskawa pani, wiedzie mi się dobrze.

— Dawno się już pan u nas nie pokazywał. Wie pan przecież, że Dagmara zawsze się cieszy, kiedy pana widzi, o nas już nie mówiąc.

Oczy mu się rozpromieniły.

— Nie chcę się zbyt naprzykrzać, łaskawa pani, a poza tym muszę teraz solidnie wkuwać, zmierzam przecież ku końcowi.

— Och, na pewno pan sobie poradzi. Jest pan zdolny i pilny. Czy odwiedzi pan wkrótce Dagmarę? Dziecku tak bardzo zależy na pańskich wizytach.

Werner Falkner skłonił się. Pani Leonora nie podejrzewała, co dla niego znaczyła jej przychylność i jak był z tego powodu szczęśliwy. Leonora czuła, że powinna tego młodego człowieka, niezależnie od wszystkiego, uczynić opiekunem swej córeczki.

— Ja także bardzo lubię małą Dagmarę. Jeśli państwu nie przeszkodzi, chętnie przyjdę w niedzielę.

— Oczywiście, że pan nie przeszkodzi! Niech pan bywa u nas jak najczęściej i będzie miły dla mojego dziecka. Już kiedyś panu powiedziałam, że powinien pan być młodym rycerzem Dagmary. Niech pan o tym nie zapomina, panie Wenerze!

Wszystko to zabrzmiało nadzwyczaj stanowczo. Dopiero dużo później, gdy Werner Falkner dowiedział się, że Leonora Strasser odeszła od męża na zawsze, słowa te nabrały dla niego szczególnego znaczenia. Nigdy nie miał zapomnieć tego spotkania.

Leonora pospieszyła dalej. Była już spóźniona i musiała to spóźnienie nadrobić. Szybko pokonała krótką drogą do dworca. Zaledwie znalazła się w hali dworcowej, gdy na jej spotkanie ruszył szczupły, wysoki mężczyzna.

— Nareszcie, Loro! — rzucił podniecony.

Zadrżała pod jego gorącym, czułym spojrzeniem.

— Nie mogłam przyjść wcześniej, Karolu.

Odetchnął.

— Ale jednak przyszłaś, jesteś ze mną, wreszcie jesteś ze mną! Tak bardzo się bałem, że nie przyjdiesz, nie zniósłbym tego, teraz już nie, odkąd mi pozwoliłaś mieć nadzieję. Chodźmy szybko, pociąg już czeka.

Poprowadził ją na peron i pomógł wsiąść do wagonu. Mieli przedział tylko dla siebie. Uszczęśliwiony Karol Magnus zamknął Leonorę w ramionach i całował ją tak, jak ktoś spragniony, pijący ze źródła, które przywraca mu życie. Spoczywała bezwolnie w jego objęciach. Ale gdy pociąg ruszył, wyrwała się Karolowi i rzuciła ku drzwiom.

— Moje dziecko, moja Dagmara! — zawołała prawie nieprzytomna z bólu.

Przytrzymał ją mocno, a później posadził obok siebie.

— Loro, twoja córka ma ojca! A ja mam tylko ciebie, tylko ciebie! Drżała na całym ciele.

— Moje dziecko, ach, że też musiałam porzucić moje dziecko — powiedziała cicho. — Nie przypuszczasz, Karolu, jaką dla ciebie poniosłam ofiarę.

Coś drgnęło w jego pięknej twarzy. Popatrzył na ukochaną na pół współczująco, na pół zazdrośnie.

— Loro, słodka Loro, chcę ci wynagrodzić wszystko, co z mego powodu straciłaś. Sama przecież rozumiałaś, że nie możesz dłużej prowadzić tak zakłamanego życia. To było ciebie niegodne.

Pod wpływem jego błagalnych oczu jej spojrzenie stało się ciepłe i pełne oddania. Przyciągnął ją do siebie i przycisnął wargi do jej ust. I Lora zapomniała w tej chwili o wszystkim, także o swoim dziecku.

Nie od dziś była przekonana, że powinna odejść z tym mężczyzną, jeśli nie chciała oszukiwać Rudolfa Strassera. Jej serce należało zawsze tylko do Karola Magnusa, z którym niegdyś rozstała się, bowiem zmusiła ją do tego nędza. Teraz jednak, dzięki wytrwałej i namiętnej miłości Karola, zdecydowała się na pełną niepokoju przyszłość, w której wreszcie miała znaleźć swoje kobiece szczęście. Ale w jej sercu wciąż odzywał się ból za dzieckiem. I była już pewna, nawet spoczywając w ramionach ukochanego, że naprawdę nigdy nie przezwycięży tęsknoty za córką.

A mimo to spaliła za sobą mosty. Wiedziała, że mogła mieć tylko jedno z dwojga: Karola lub Dagmarę. I Karol Magnus zwyciężył. Szeptał jej, jak gorąca jest jego miłość i jak jest wdzięczny, że nie kazała mu samemu wędrować w świat, który obiecuje mu teraz złoto i wawrzyny. I Leonora pozwoliła się otulić jego miłością. A w domu w swym łóżeczku spała mała dziewczynka, nie mając pojęcia, co jej dzisiaj zgotował los. I że na jej młode życie padł ponury cień.

2

— Ciociu Brygido, dlaczego tatuś jest teraz ciągle zły?

— Wydaje ci się, Dagmaro.

— Ależ, ciociu, czy nie zauważyłaś, jak ponuro i gniewnie popatrzył na mnie, gdy przed chwilą zajrzał do pokoju? I zaraz odszedł. Dawniej zawsze mnie przytulał i całował, i głaskał, i nazywał „swoją słodką córeczką”. Teraz już nie jest taki dobry, stale się gniewa.

— Tatuś wcale się na ciebie nie gniewa, jest tylko bardzo nieszczęśliwy. Przy tych słowach ciotka Brygida pogłaskała Dagmarę czule po jedwabistych, złotoblond włosach. Dziecko podniosło na nią wielkie oczy.

— Nieszczęśliwy?

Starsza pani westchnęła i pełna głębokiego współczucia przytuliła dziewczynkę do siebie. Ta mała istota nie wiedziała jeszcze, co znaczy nieszczęście, mimo że ono już dawno spadło na jej niewinną głowę. Prawdopodobnie jednak bardzo szybko pozna jego smak. Głęboki cień, przeczuwany jedynie instynktownie przez Dagmarę, położył się już wyraźnie na jej młodym życiu. I ten cień będzie gęstniał coraz bardziej, przybierając kształt wyczuwalnego także dla dziecka nieszczęścia.

— Być nieszczęśliwym to rzecz niezwykle smutna i niedobra, moje drogie dziecko. Twój tatuś nie jest zły, tylko bardzo nieszczęśliwy. Odeszło od niego całe słońce.

Uroczą twarzą dziecka pobladła, a oczy stały się jeszcze większe i zatrwożone.

— To dlatego tatuś jest taki zmartwiony. Ale dlaczego słońce od niego odeszło?

— Tego nie zrozumiesz, Dagmaro, na to jesteś jeszcze za mała.

— Czy nie można tatusiowi z powrotem sprowadzić słońeczka? Czy ja nie mogłabym tego zrobić? Powędrowałabym chętnie tak daleko, aż byłabym całkiem zmęczona, byle tylko przywrócić mu słońce.

W twarzy ciotki Brygidy drgnęło coś, jakby powstrzymany płacz.

— Biedne, kochane dziecko!

— Czyż ja jestem biedna? Myślę, że biedni ludzie nie mają nic do jedzenia i nie mają żadnych pieniędzy, żeby sobie kupić ubranie. A tego mi przecież nie brakuje.

— Nie, tego ci nie brakuje, lecz można być biednym także w inny sposób.

— Teraz już wiem. Nazywasz mnie biedną, ponieważ mi smutno, że mój tatuś, jak to powiedziałaś, jest nieszczęśliwy. Czy ja nie mogę mu pomóc? Albo ktoś inny, gdybym go o to poprosiła?

Brygida Hartmann potrząsnęła głową.

— Nie, tu nikt nie może pomóc. Tylko jeden Bóg.

— Och, to będę go o to prosiła codziennie, kiedy odmawiam wieczorną modlitwę.

Starsza pani popatrzyła na drzwi, za którymi przed chwilą zniknął jej kuzyn Rudolf Strasser, ojciec Dagmary. Bardzo dobrze zauważyła posępne, zamyślane spojrzenie, którym obrzucił córkę. Gdyby usłyszał, co dziecko powiedziało, czy by go to poruszyło, czy pogrzebałby wówczas swe ponure podejrzenia? Westchnęła.

Dagmara bawiła się teraz znowu swą lalką, którą odłożyła, kiedy ojciec otworzył drzwi. Pieszczotliwie głaskała dość już sfatygowaną lalkę, podczas gdy nowe, piękniejsze, siedziały grzecznie rządkiem na poduszkach. Czule przyciskała brzydულę do siebie.

— Ciociu Brygido, czy to nie dziwne, że moja Liza nie ma ojca, a ja nie mam matki. Tylko dlaczego moja mama odjechała od tatusia i ode mnie?

Pani Brygida spojrzała na dziecko przestraszona.

— Nie mów już o tym, Dagmaro, nie powinnaś przecież wspominać swojej matki. Wiesz, że jeśli tatuś usłyszy, będzie naprawdę zły.

Dziewczynka z trwogą spojrzała na drzwi. Stała na palcach, przytuliła się mocno do ciotki, trzymając kurczowo swą lalkę, i szepnęła:

— Tatusia tu nie ma, on tego nie usłyszy. A do ciebie wolno mi przecież mówić o mojej mamie, tobie to nie sprawia bólu, prawda? Ja zaś chciałabym cię o coś zapytać.

— O co, Dagmaro?

— Dlaczego mamusia wybrała się w tak daleką, daleką podróż, że już nigdy nie może z niej powrócić? Dawniej podróżowała zawsze z tatusiem i ze mną i wtedy tatko był bez przerwy wesoły. A odkąd mamusia udała się w tę strasznie daleką podróż całkiem sama, tatuś nigdy mnie już nie pocałował i nie pogłaskał. Dlaczego? Czy byłam może niegrzeczna?

Brygida Hartmann znowu przygarnęła Dagmarę do siebie.

— Nie, na pewno nie byłaś niegrzeczna, moje dziecko, tylko nie wolno ci nigdy mówić o mamusi, gdy tatko może to usłyszeć.

— To teraz powiedz mi jeszcze szybko, dlaczego mamusia wybrała się w tę podróż beze mnie?

— Dlatego, że nie można małych dziewczynek zabierać w tak daleką podróż.

— Och, byłam przecież z tatusiem i mamusią już trzy razy nad morzem i raz w bardzo wysokich górach, które w środku lata miały białe śniegowe czapy.

— Tak, ale twoja mama pojechała jeszcze dużo, dużo dalej, wiesz, za wielkie, szerokie morze, do odległego kraju.

Dagmara zmartwiona potrząsnęła głową.

— I mamusia wybrała się tam całkiem sama? Jakże będzie za mną tęsknić!

Starsza pani zagryzła wargi, żeby stłumić okrzyk.

— Nie trzeba tak wiele pytać, moje dziecko, jesteś jeszcze za mała, żebym mogła ci wszystko wyjaśnić. Pamiętaj tylko, żeby tatuś nie usłyszał, że mówisz o mamusi, bo stanie się jeszcze smutniejszy i bardziej nieszczęśliwy, niż jest.

Dziewczynka zbladła i zrobiła wielkie, przestraszone oczy. Czule przycisnęła urocą twarzyczkę do swej lalki.

— Nie, nie, nie chcę, by tatko stał się jeszcze smutniejszy. Chciałabym, żeby znowu był wesoły. Mówię bardzo cicho mamusi, tylko gdy go tu nie ma. Ale muszę ci przecież powiedzieć, jak bardzo pragnę, żeby mama wróciła. Wtedy tatuś byłby wesoły i ja także. Mama czasem też była zadowolona i tak pięknie bawiła się ze mną. Tylko ostatnio wiele płakała, a teraz będzie stale płakać i martwić się o mnie. Ale dlaczego od nas wyjechała? Czy musiała to zrobić?

Pani Brygida nerwowo potarła ręką czoło.

— Drogie dziecko, teraz już więcej nie pytaj. Chodź, pobawimy się z Lizą, możemy jej uszyć nową sukienkę.

Dagmara obronnym gestem zasłoniła swą lalkę.

— Nie, nie, Liza nie może nosić innej sukienki. Tę mamusia sama uszyła, gdy mi dała Lizę w prezencie. Możesz uszyć nowe sukienki dla innych lalek, one lubią się stroić i nigdy nie mają za dużo nowych rzeczy.

Liza jest moim słodkim, najmiłszym dzieckiem, tak jak ja byłam słodkim, najmiłszym dzieckiem mamusi.

Pani Brygida przyniosła szybko skrzynkę z gałgankami i kazała Dagmarze wybierać odpowiednie skrawki na sukienki dla lalek. Wkrótce Dagmarę całkowicie pochłonęło to zajęcie.

Bawiły się tak całą godzinę. Potem służący zameldował, że pan już wrócił i zaraz będzie podany obiad.

Starsza pani włożyła Dagmarze świeżą sukienkę, przyczesła jasne kędziorki i z troską upomniała:

— Teraz bądź naprawdę grzeczna, żeby tatuś nie musiał się gniewać.

Dziecko przygnębione skinęło głową, położyło jeszcze spać swoją Lizę i pozwoliło się ciotce wyprowadzić. Zeszły do pięknego holu, a stamtąd do dużej jadalni. Była ona, jak wszystkie pomieszczenia w willi Strasserów, wyposażona z solidną okazałością, nie sprawiającą jednak wrażenia przeładowania. Kiedy nie było gości, nakrywano mniejszy, okrągły stół w wykuszu. A teraz, odkąd zabrakło pani domu, dawno już nie przyjmowano nikogo. Obok wielkiego kredensu stał słu-

żący, gotów do podania zupy. Czekano jeszcze tylko na pana domu. Rudolf Strasser wszedł zaraz po pani Brygidzie i córce. Jego ciemne oczy spoglądały rzeczywiście, jak mówiła mała Dagmara, ponuro i gniewnie. Wokół ust widniał cierpki, gorzki rys bólu, ruchy były spieszne i nerwowe jak u człowieka, który czuje się osamotniony.

Skinieniem głowy pozdrowił kuzynkę, ale nie odezwał się ani słowem. Dziecka jakby w ogóle nie zauważył. W milczeniu jadł zupę z oczami utkwionymi w talerz. Później, ciągle milcząc, odkroił sobie plaster pieczeni, nabrał jarzyny i kartofli i znów opuścił oczy na talerz. W tym momencie przez okno na głowę gospodarza padł promień słońca. Dagmara zauważyła to. Zapomniała, że przy stole nie powinno się mówić, i zawołała radośnie ożywiona:

— Tatusiu, tatusiu, popatrz, słońce znów jest przy tobie, świeci prosto na twoją głowę! Jak to dobrze, teraz nie będziesz już nieszczęśliwy, teraz będziesz wesoły, prawda?

Ojciec zbladł. Rzucił nóż i widelec na stół, zerwał się tak gwałtownie, że przewrócił krzesło, i powiedział ochryple:

— Nie zniosę tego, Brygido, zabierz dziecko z pokoju, usuń je z moich oczu!

Starsza pani, przestraszona, podniosła się natychmiast i wyprowadziła Dagmarę. W holu przekazała ją służącej, a na pocieszenie pogłaskała po głowie. Dagmara nie wiedziała wcale, dlaczego została odesłana od stołu. Pani Brygida wydała polecenie, aby podano dziecku deser, a potem położono do łóżka na poobiednią drzemkę.

— Przyjdę potem jeszcze do ciebie, Dagmaro — powiedziała tak spokojnie, jak tylko potrafiła.

Dziewczynka na chwilę przytrzymała ciotkę, gdy ta chciała wrócić do jadalni.

— Ciociu Brygido, przecież nie powiedziałam nic o mamusi. Dlaczego tatuś się rozgniewał? — szepnęła zatrwożona.

— Tatuś jest chory, moje dziecko, nie myśl już o tym więcej. Śpij, kochane serduszko, na pewno do ciebie przyjdę.

Pocałowała dziecko serdecznie, jeszcze raz skinęła mu głową i wróciła do jadalni. Rudolf Strasser stał odwrócony do okna. Pani Brygida skinęła na służącego, żeby się oddalił, a potem poszła również do okna i stanęła obok kuzyna. Na zewnątrz rozpościerał się piękny ogród otaczający willę. Był w pełnym wiosennym rozkwicie, zalany słońcem, które, jak się zdawało, grzało już mocno jak w lecie. Ale nieszczęśliwy mężczyzna jakby tego wszystkiego nie widział. Pani Brygida położyła mu rękę na ramieniu.

— Rudolfie, tak dalej być nie może — powiedziała cicho.

Spiesznie odwrócił się ku niej.

— Tak, masz rację, Brygido, tak dalej być nie może, sam to czuję. Dziecko musi wyjechać, musi mi zejść z oczu. Nie zniosę dłużej jego widoku.

— Ależ, Rudolfie, nie bądź niesprawiedliwy. Niewinne jest twoje biedne dziecko, że ty stałeś się nieszczęśliwy?

Zaśmiał się ostro i przejmująco:

— Moje dziecko? Skąd mogę wiedzieć, że to jest moje dziecko?

— Rudolfie! Zrozpaczony przeciągnął ręką po czole.

— Jesteś oburzona, Brygido, ale ty właśnie nie jesteś w stanie mnie zrozumieć. Twoje życie płynęło zawsze spokojnym nurtem. Utraciłaś męża, to prawda, lecz utraciłaś go w sposób naturalny, po długim, harmonijnym pożyciu. To nie jakaś niesłychana zdrada unicestwiła twoje małżeństwo. A mnie żona, którą kochałem, odebrała wszystko! Nie przypuszczasz nawet, jak bardzo kochałem Leonorę. Do czterdziestego piątego roku życia nie ożeniłem się, bowiem żadna kobieta nie wydawała mi się dostatecznie warta tego, by jej ofiarować swoją wolność. I wtedy poznałem Leonorę. Była biedna, zdana na łaskę losu, a mimo to robiła wrażenie królowej. Wszystko, co posiadałem, złożyłem u jej stóp, siebie samego także. Kochałem ją, młodą, dwudziestoletnią, jak tylko dojrzały mężczyzna w moim wieku może kochać. Uwielbiałem ją. Ona zaś wzięła całe moje życie, wzięła w ręce jak zabawkę i połamała. Było to tym okropniejsze, że uczyniła to dopiero wtedy, kiedy ofiarowała mi już kilka lata niewypowiedzianego szczęścia. Nie, raczej oszukańczego szczęścia, ponieważ było ono kłamstwem, kłamstwem jak wszystko, co robiła i mówiła! Czy możesz sobie wyobrazić, co wycierpiałem, gdy tamtego pamiętnego dnia nie wróciła do domu, a szofer, który jej w wyprawie do miasta towarzyszył, wręczył mi ów fatalny list, odkrywający straszliwą prawdę? Leonora nigdy mnie nie kochała, została moją żoną tylko dlatego, że chciała uciec od codziennych kłopotów, choć raz poczuć, jak to jest, kiedy się nie ma żadnych pieniężnych problemów, i... ponieważ nie mogła zostać żoną tamtego, z którego obrazem w sercu mnie poślubiła. I teraz, gdy nagle pojawiła się możliwość połączenia z tamtym człowiekiem, nie miała wahań, nic nie mogło jej powstrzymać, musiała podążyć za tym, którego kochała każdą cząstką swej istoty. Pyta, czy zechcę jej wybaczyć. Jest dla niej bolesne, że musiała sprawić mi ból, ponieważ wie, że ją kocham. — Zaśmiał się ochryple i zaczął tłuc czoło pięściami.

Pani Brygida patrzyła na niego wstrząśnięta. Tak daleko jeszcze nigdy się nie posunął, tak głęboko nigdy jeszcze nie pozwolił zajrzeć do swego zranionego wnętrza. Nie umiała znaleźć żadnego słowa, by go pocieszyć. On zaś ciągnął dalej jakby musiał raz wreszcie wyrzucić wszystko ze swej duszy:

— Tak, tak Leonora wiedziała dobrze, jaki ból mi zada, a jednak to zrobiła! Cóż ja znacę dla niej? Nic! A dziecko? Tak, dziecko mi zostawiła, bowiem, wedle jej słów, nie chciała narażać

tej małej, delikatnej istoty na niespokojne życie, które ją samą czeka. Tak, dziecko mi zostawiła, na wieczną udrękę i wieczną wątpliwość, ponieważ nie mam pojęcia, jak dalece, mnie oszukiwała. Przecież nie wiem, czy będąc już moją żoną nie przyznała temu drugiemu takich samych praw do siebie jak mnie. Nie wiem, czy Dagmara jest moim dzieckiem. Wierz mi, Brygido, że to najcięższa męka dla mężczyzny, jeśli w jego domu rośnie dziecko, a on nie wie, czy ono jest jego.

Z jękiem rzucił się na krzesło i zakrył twarz rękami. Pani Brygida zbliżyła się do niego pełna litości.

— Rudolfie, gdyby to nie było twoje dziecko, lecz tamtego człowieka, sądzisz, że matka nie zabrałaby go, zamierzając poślubić jego prawdziwego ojca?

Z ponurą miną machnął desperacko ręką.

— Co miałyby począć z dzieckiem w takim tułaczym życiu, które teraz prowadzi z tym skrzypkiem-wirtuozem? Przenosi się z miejsca na miejsce, z kraju do kraju. Wierzy przecież teraz tylko w jego przyszłość, w jego sukces. Jak długo był biedny i nieznany i nie mógł nawet zarobić na chleb, tak długo pozostawała przy mnie. Kiedy zaczął zdobywać nazwisko, kiedy na słupach ogłoszeniowych zaczęło się czytać o koncertach, które daje Karol Magnus, wówczas wyobraziła sobie, że on teraz będzie zbierał złoto i wawrzyny, i wtedy porzuciła spokojne, pewne, mieszczańskie życie i pociągnęła z nim w świat! Możliwe, że Magnus jest wielkim artystą, możliwe, że zbiera wawrzyny, ale taki wędrujący artysta nie może włączyć ze sobą dziecka. Jego miłość do Leonory musi być bardzo silna, w przeciwnym razie nie zabierałby jej z sobą i nie ograniczał swej wolności. Kobieta, to jeszcze ujdzie, ale dziecko tylko by przeszkadzało, zostawił je więc pod opieką człowieka, któremu najpierw przyprawił rogi, a potem ukradł żonę i wraz z nią całe szczęście. Otacza mnie teraz chłód i pustka. Leonora odeszła z mojego życia, nie pozostawiając mi nic oprócz dziecka, które równie dobrze może być Magnusa, jak i moje.

Raczej nawet jego! I dlatego nie mogę znieść codziennego widoku Dagmary. Jeszcze oszaleję z powodu tych wątpliwości. Ona musi zejść mi z oczu...

Brygida Hartmann zacisnęła mocno dłonie.

— A jeśli mimo wszystko jest to twoje dziecko, Rudolfie, jeśli Leonora pozostawiła je tylko dlatego, że nie chciała cię zupełnie osamotnić? Kochasz przecież Dagmarę!

Znów zareagował żywym ruchem ręki.

— Może nie chciała Dagmary, która w świetle prawa jest moją córką, pozbawiać ogromnego spadku? Nie zamierzam zresztą odbierać Dagmarze żadnego z zagwarantowanych ustawami praw, nie powinna być pozbawiona żadnych finansowych i społecznych korzyści, tak jakby była moim dzieckiem. Tylko nie mogę już dłużej na nią patrzeć, jeśli mam pozostać przy zdrowych zmysłach. Niech mi Bóg zechce wybaczyć, ale pozbędę się jej z domu. Musimy znaleźć dla niej

takie schronienie, gdzie w dobrych rękach będzie mogła wzrastać wolna od trosk. Muszę się tylko zastanowić, z pewnością coś znajdę. Jestem przekonany, że jeśli ona wyjedzie, łatwiej odzyskam spokój.

Brygida Hartmann milczała. Stało się dla niej jasne, że nie potrafi obronić Dagmary przed losem wygnanej córki. Cierpiała z powodu Rudolfa i z powodu Dagmary. Kochała dziewczynkę z całego serca, gorącym uczuciem kobiety, która nigdy nie zaznała macierzyńskiego szczęścia. Szczęśliwe skądinąd małżeństwo Brygidy nie zostało pobłogosławione dzieckiem i kiedy po dwudziestu pięciu latach pożycia zmarł jej mąż, zastała całkiem sama. Mimo że mogłaby prowadzić życie bez trosk, posiadała bowiem majątek, od którego procenty bez trudu pokryłyby koszty jej utrzymania, przyjęła propozycję Rudolfa Strassera, aby mu zastąpić panią domu, gdy Leonora wywędrowała w świat.

Brygida już przedtem bywała często w domu Strasserów; podziwiała młodą żonę swego kuzyna za jej piękność i wdzięk oraz wiele niezwykle wartościowych cech charakteru. I ją również zabolalo, że ta godna miłości istota uciekła z bezpiecznego, bogatego domu, aby prowadzić niepewne życie przy boku artysty, który, być może, nie będzie jej strzegł tak czule i troskliwie, jak to czynił Rudolf. Ale ten drugi także musiał ją kochać, bo w przeciwnym wypadku nie zabrałby jej w drogę, na której chciał zyskać sławę i uznanie. Może boleśnie przeżył jej utratę, gdy poślubiła Rudolfa? Leonora była przecież jedną z tych kobiet, które są przedmiotem marzeń mężczyzny. I tamten, z ciężkim sercem, głodując i marznąc, stał chyba z boku przez wszystkie lata, gdy Leonora była małżonką Rudolfa. A teraz z biedaka należącego do artystycznej cyganerii stał się bogatym i sławnym artystą. Czy zostanie wierny Leonorze, gdy omami go blask sławy, gdy inne piękne kobiety będą mu schlebiać i wabić go? Brygida wiedziała, że sławni mężczyźni, zwłaszcza tak przyśtojni jak ten Karol Magnus, są ubóstwiani przez kobiety. Czy on nigdy nie zapomni, jaką ofiarę poniosła dla niego Leonora, gdy zrezygnowała ze spokojnej, pewnej egzystencji i porzuciła męża, który ją uwielbiał, oraz ukochane dziecko?

Takie pytania zadawała sobie Brygida Hartmann, nie należąca do tych „sprawiedliwych”, którzy w podobnych przypadkach mieli na podorędziu tylko „kamienowanie”. Mimo wszystko nie myślała źle o Leonorze i nie mogła uwierzyć, by mogła ona tak niesłychanie oszukiwać męża i przedstawiać Dagmarę jako jego dziecko, jeśli by je miała z kimś innym.

Uwalniając się od bolesnych myśli, powiedziała:

— Zrób tak, jak uważasz, Rudolfie. Ze swej strony powiedziałam wszystko, co mogłam, na obronę Dagmary. Tylko pamiętaj, żebyś sobie nie zadał dodatkowego bólu. Kochasz przecież to dziecko.

Rudolf wybuchnął:

— Wszystko jest zburzone, zniszczone! Kiedy dziecko patrzy na mnie swymi niewinnymi oczyma, wydaje mi się, jakbym widział w nich kłamstwo, bo ono ma oczy swej matki, które mnie okłamały. I wtedy czuję, jakby w mej duszy rodziła się do tego dziecka nienawiść. Rozumiesz to? A więc rozumiesz także, że Dagmara musi mi zniknąć z oczu. Na zawsze!

Brygida Hartmann wstrząśnięta pochyliła głowę.

— Tak, Rudolfie, rozumiem to.

Podniósł się i odetchnął z ulgą. Szybko ujął jej rękę.

— Dziękuję ci, Brygido, że próbujesz mnie zrozumieć i że mi wyświadczyłaś dobrodziejstwo, iż mogłem wreszcie wszystko z siebie wyrzucić. Zatrzymaj to dla siebie. Wiem, że mogę ci zaufać. A teraz już pójdę. Do końca tygodnia będę bardzo zajęty. Dobrze, że mam tak wiele roboty, tylko ona pozwala mi jeszcze jakoś znosić to życie. Rozejrzę się za odpowiednim miejscem dla Dagmary. Chcę ją wywieźć możliwie jak najdalej. Jest młoda, wkrótce o wszystkim zapomni i przyzwyczai się do nowego otoczenia. Do zobaczenia wieczorem, Brygido!

Szybko opuścił pokój, jakby się obawiał, że Brygida może jeszcze raz podjąć próbę, by zmienić jego postanowienie.

3

Pani Brygida udała się do pokoju Dagmary. Dziecko leżało w łóżeczku, nad którym rozpostierał się koronkowy baldachim, przytrzymywany przez jasnobłękitne szarfy. Dziewczynkę okrywała także błękitna, jedwabna puchowa kołderka. Starsza pani zatroskanymi oczyma przyglądała się śpiącej Dagmarze, całkowicie już odprężonej w głębokim śnie. Usiadła przy jej łóżeczku. Spod kołdry wysunęła się stopa dziecka. Pani Brygida wzięła ją delikatnie w rękę, jakby chciała rozgrzać. Stopa miała foremny kształt, ale na podbiciu, w miejscu gdzie mały palec spotykał się z następnym, występowało na delikatnej skórze, wyraźnie zaznaczone, osobliwe znamię. Było ciemnobrązowe i miało kształt wydłużonej gruszki z krótkim ogonkiem. Sprawiało bardzo dziwne wrażenie i pani Brygida przyjrzała mu się dokładnie. Niejeden raz rzuciło się jej już w oczy, ale jeszcze nigdy nie przyjrzała mu się tak wnikliwie jak dzisiaj.

Jaka szkoda — pomyślała — że Rudolf nie ma takiego samego znamienia w tym samym miejscu, dałby się wtedy może przekonać, że Dagmara jest jego dzieckiem. Takie znamiona niekiedy się dziedziczy...

Łagodnie wsunęła małą stópkę pod puchową kołderkę. Biedna, mała Dagmara, czy ktoś zechce w przyszłości czuwać nad jej snem? Być może, jeśli trafi do dobrych, miłych ludzi, którzy będą się nią troskliwie opiekować.

Długo i uważnie przyglądała się śpiącemu dziecku. Szukała w twarzy Dagmary podobieństwa do Rudolfa, ale nie mogła go znaleźć, teraz przynajmniej jeszcze nie. Może później się ujawni. Czasami właśnie w późniejszym wieku uwidaczniają się u dzieci wyraźne rysy jednego z rodziców, choć na początku nic tego nie zapowiadało.

Oczywiście do matki Dagmara była podobna. Miała jej blond włosy, tylko o kilka odcieni jaśniejsze, i wyjątkowy wdzięk w ruchach, a przede wszystkim, jak Rudolf słusznie zauważył, takie same oczy, wspaniałe, aksamitnobrązowe oczy, w których zarówno podczas śmiechu, jak i płaczu pojawiały się złote iskierki. Dzięki temu można było stwierdzić bez trudu, że Dagmara jest dzieckiem Leonory. Ale to i bez tego nie było podawane w wątpliwość, ważniejsze, dużo ważniejsze byłoby, gdyby Dagmara była podobna do ojca.

Ciotka Brygida nie chciała jednak tracić nadziei, że niebo będzie miało wzgląd na niewinne dziecko, że Opatrzność uwydatni na jej twarzyczce jakieś dominujące cechy ojca i pewnego dnia da się udowodnić, iż Dagmara jest córką Rudolfa. Ponieważ Brygida nie mogła uwierzyć w to, że Dagmara, tak jak życzy sobie teraz jej ojciec, nigdy już nie pojawi się przed jego obliczem. Może kiedyś rozpozna ją przecież jako swoje dziecko i przygarnie z powrotem do swojego domu i do swego serca. O to postanowiła się modlić.

Podniosła się cicho i opuściła pokój. Udała się do siebie, gdzie czekał na nią stos różnorażkowego szycia dla potrzeb domowego gospodarstwa.

Usiadła właśnie do swej roboty, gdy przyniesiono jej list, który przed chwilą doręczył listonosz. Starsza pani popatrzyła zdumiona. Nagle drgnęła: poznała charakter pisma na wąskiej, eleganckiej kopercie. Było to pismo Leonory. Brygida spojrzała na stempel pocztowy: Chicago. Tak, list przyszedł od Leonory, która udała się do Ameryki ze swym drugim mężem, gdzie ten odbywał wielkie *tournée*.

Drżącymi dłońmi rozwinęła list i zaczęła czytać:

Kochana, Szanowna Ciociu Brygido!

Pozwól mi jeszcze raz nazwać się tak, jak mi w swej dobroci zawsze na to pozwalałaś. Chcę Ci tylko wyznać, że mą jedyną pociechą jest to, że Ty znajdujesz się przy Rudolfie i moim dziecku. Gdybym wiedziała, że nie ma Cię przy Dagmarze, strach i niepokój o nią dręczyłyby mnie jeszcze bardziej niż teraz. Doszło do mnie, że zaraz po moim wyjeździe Rudolf poprosił Cię, żebyś przejęła nadzór nad jego gospodarstwem, a Ty nie namyślałaś się długo nad wzięciem pod swoją opiekę

jego domu i dziecka. Wiem, jak kochasz moją małą Dagmarę i że w swej dobroci zawsze będziesz się nią troskliwie opiekować i strzec jej, ponieważ straciła matkę.

Jesteś dojrzałą kobietą, ale nigdy chyba nie byłaś ogarnięta silną namiętnością. Dlatego nie zrozumiesz, że zostawiłam wszystko, co najcenniejsze, aby wieść cygańskie życie, które mnie, pełną niepokoju, będzie rzucać z kraju do kraju. Nie zamierzam próbować tłumaczyć Ci tego, że nie mogłam postąpić inaczej. Kocham, kocham każdą cząstką mej istoty. Byłam przekonana, że przeżyłam tę miłość, ale trwało to tylko tak długo, póki go znów nie zobaczyłam. Uczucie targnęło ponownie moim sercem. W głuchej udręce spędzałam odtąd dni, nie pozwalając nikomu podejrzewać, co się we mnie dzieje. Wyteżając wszystkie sity mogłam jeszcze grać komedię, udawać szczęśliwą żonę. Szukałam u mego dziecka ucieczki przed dręczącą mnie do głębi tęsknotą, próbowałam być tylko matką. Próbowałam długo, aż w końcu nie wytrzymałam. Moja gorąca krew nie pozwoliła się ostudzić.

Wówczas człowiek, którego kochałam, stanął przede mną i powiedział: „Teraz już mogę utrzymać żonę, miej więc odwagę zrzucić z siebie kłamstwo i odejść ze mną. Popatrz, to są moje kontrakty, zawarte na wiele lat naprzód teraz zarobię również dostatecznie dużo, aby odłożyć coś na przyszłość. Ból z powodu utraty ciebie sprawił, że moja sztuka sięgnęła wyżyn mistrzostwa, zwrócono na mnie uwagę, przepowiada mi się wielką karierę i ogromny sukces. Wróć do mnie, Loro, należymy przecież do siebie, wszystko inne jest kłamstwem”. I dlatego, ciociu Brygido, musiałam z nim odejść, musiałam porzucić mego małżonka, który mnie kochał i troszczył się o mnie, musiałam porzucić dziecko, które ja tak bardzo kocham. Nie mogłam wziąć Dagmary ze sobą, bo wtedy byłabym jeszcze gorszą matką. Przy Tobie moja córka jest pod dobrą opieką, wiem, że zawsze wyciągniesz do niej swe kochane, opiekuńcze ręce. A Rudolf bardzo kocha dziecko, więc będzie ono dla niego pociechą.

Nie mów mu, proszę, nic o tym liście, nikt nie musi o nim wiedzieć. Piszę tylko dlatego, że chcę Cię prosić, byś nie pozwoliła pokutować dziecku za winy matki. Weź je pod swoją pieczę i strzeż je, błagam Cię o to, i nie ucz go nienawidzić matki i nią pogardzać. Nie zamierzam już nigdy więcej wtrącać się do jej życia, to prawo utraciłam z własnej winy, ale chyba nie zasługuję na pogardę mego dziecka. Spokój Dagmary nie powinien być już nigdy przeze mnie zakłócony i to niech będzie moją pokutą. A jak długo wiem, że Ty przebywasz w domu Rudolfa, tak długo jestem pewna, że moje dziecko jest bezpieczne.

I jeśli któregoś dnia w przyszłości Dagmara opuści Cię i przejdzie pod opiekę jakiegoś mężczyzny, wówczas będę się modlić, żeby go kochała i była z nim związana każdą cząstką swej istoty, i żeby nigdy nie musiała stanąć przed taką decyzją jak ja. Może, ach, może będę mogła wtedy z da-

leka cieszyć się szczęściem swego dziecka. Moja mała, słodka Dagmara! To, że musiałam ją porzucić, kosztuje mnie wciąż wiele gorących łez.

Żegnaj, ciociu Brygido, zatrzymałam Cię już zbyt długo swoimi wynurzeniami, ale wydaje mi się, że kiedy skończę ten list, po raz drugi zerwę ostateczną więź z moim dzieckiem. Wybacz mi, jeśli możesz, i ucałuj Dagmarę. Nie będę Cię już nigdy niczym obciążać, a także nie będę prosić o żadne wiadomości. Zerwałam całkowicie ze wszystkim, co za mną pozostało. Proszę Cię tylko jeszcze raz: Bądź dobra dla mego dziecka i nie ucz go nienawiści do mnie. Raczej powiedz mu, że umarłam. Bóg Ci to wynagrodzi.

Twoja wiecznie Ci wdzięczna Leonora

Głęboko wzruszona, z wilgotnymi oczyma Brygida Hartmann opuściła list na kolana i długo spoglądała przed siebie. Nie, nie była w stanie zrozumieć Leonory, nie potrafiła pojąć takiej miłości jak ta, która tę kobietę porwała w wir cygańskiego życia, daleko od dziecka, od spokojnego, bezpiecznego, rodzinnego życia. Nie, tego zrozumieć nie mogła.

Ale mimo to nie zawołała: Ukrzyżuj ją! Nie chciała być sędzią. Mówiła sobie w dobroci swego serca, że muszą także istnieć natury, które bywają zmuszone postępować inaczej, niż ona postępowała. Ogarnęła ją głęboka litość dla tej młodej kobiety. Czy człowiek, dla którego tak wiele straciła, jest wart takiej ofiary? Czy Leonora rzeczywiście znajdzie przy jego boku szczęście, którego pragnie jej gorące serce?

A Dagmara?! Łzy napłynęły do oczu starszej pani.

— Biedna matka, biedne dziecko — powiedziała cicho do siebie.

Podniosła się i zamknęła list w szkatułce, w której przechowywała różnorakie drogie sercu pamiątki. Rudolfowi nie zamierzała mówić o tym liście, nie tylko dlatego, że prosiła ją o to Leonora, lecz także dlatego, iż obawiała się znowu jego irytacji. Udręka, którą przeżywał, wyraźnie zdradzała, że wciąż kocha Leonorę.

Głęboko zatopiona w myślach pani Brygida siedziała nad swą robotą i zadawała sobie pytanie, co Rudolf Strasser zadecyduje o dalszym losie swej córki.

Biedna, mała Dagmaro, dokąd cię wypędzą mroczne wątpliwości twego ojca?

Rudolf Strasser opuścił willę i pojechał autem do swego biura. Już ponad sto lat istniała firma Strasser & Syn, której dobre imię znane było na całym świecie. Obok dużego budynku, mieszczącego biura firmy, ciągnęły się wzdłuż nabrzeża portowego ogromne magazyny. Całość zabudowań robiła imponujące wrażenie. Tutaj zbiegały się wszystkie handlowe nici, które oplatały cały świat. Firma Strasser & Syn była jednym z największych przedsiębiorstw komisowych; kazała budować dla siebie różnorakie wielkie parowce transportowe, które nieustannie przywoziły i wyprawiły w świat towary. Firmę założył pradziad Rudolfa Strassera; potem przechodziła ona z ojca na syna.

Rudolf Strasser był pierwszym właścicielem firmy, który nie miał męskiego potomka. Gdy przed siedmioma laty zdecydował się wreszcie na małżeństwo, zbudziła się w nim naturalnie nadzieja, że także jemu może się urodzić syn. Ale gdy Leonora powiła córeczkę, był zbyt szczęśliwy, żeby zamartwiać się tym, iż los nie obdarzył go następcą. Dlaczego, w najgorszym przypadku, gdyby się już nie doczekał syna, firmy nie miałyby dziedziczyć córka? Dałoby się przecież wszystko tak urządzić, żeby firma była dobrze i pewnie kierowana, a jej nazwa tak czy tak by przetrwała.

Być może, po tym wszystkim, co się wydarzyło, Rudolf Strasser nie wypędziłby tak łatwo syna, jak zamierzał to uczynić ze swoją córką. Dręczyło go podobieństwo Dagmary do matki, przede wszystkim zaś to, że miała takie same oczy jak ona.

No cóż, posiadał jeszcze krewnego, który także nazywał się Strasser, ale był takim lekkoduchem, że nawet w przypadku kompletnej bezdzietności nie pomyślałby o tym, żeby go uczynić swym spadkobiercą i następcą. Poza tym nie miał innych krewnych, oprócz kuzynki Brygidy, ale ona była niewiele młodsza od niego.

Tak więc nic nie mogło zachwiać jego decyzją, żeby mimo wszystko uczynić Dagmarę swoją sukcesorką.

Chwilowo jednak odsuwał jeszcze od siebie myśli o tym, kto po nim przejmie majątek. Jeszcze przecież był tutaj! I całą swoją energię i uczucia zamierzał teraz skierować wyłącznie na firmę, na swoją pracę, w której szukał zapomnienia.

Gdy dotarł do budynku biurowego oraz przyległych do niego ogromnych magazynów i wysiadł z samochodu przed okazałym portalem, portier wyszedł szybko ze swej łoży i otworzył drzwi windy.

Rudolf Strasser znalazł się w swoim prywatnym biurze. Stanął przy oknie i pogrążony w myślach długo patrzył na rozciągający się w dole port. W końcu odwrócił się i zabrał do przeglą-

dania przygotowanej dla niego poczty. Poza korespondencją prywatną urzędnicy przedkładali mu tylko szczególnie ważne pisma, dotyczące spraw, co do których decyzję musiał podjąć on sam. Pozostałe załatwiali prokurenci. Jego prawą ręką we wszystkich interesach był pierwszy prokurent Herman Falkner.

Strasser przeglądał pocztę, robił na listach krótkie uwagi bądź notatki w przeznaczonym specjalnie do tego bloku. Potem wziął do ręki kopertę, na której widniały włoskie znaczki. Znał charakter pisma nadawcy, był to jego daleki kuzyn Egon Strasser, od lat mieszkający we Włoszech. Rudolfa niezbyt interesował ten list. Odłożył go więc na bok, by najpierw załatwić pocztę urzędową.

Gdy już się z tym uporał, zadzwonił na woźnego i polecił mu przejrzane przez siebie papiery zanieść do pierwszego prokurenta. Zajmował on bardzo odpowiedzialne stanowisko, cieszył się pełnym zaufaniem swego szefa i był w świecie handlowym wybitną osobistością.

Teraz dopiero Rudolf Strasser otworzył list od swego kuzyna. Nieczęsto słyszał o nim, a nie widział go już od wielu lat. Egon Strasser ożenił się przed laty z piękną włoską arystokratką; byli bogaci i prowadzili życie na wysokiej stopie. Egon, po wczesnej śmierci rodziców, jako bardzo młody człowiek odziedziczył paromilionowy spadek i zawsze uważał, że jego głównym powołaniem jest roztrwonić ten majątek. Nigdy nie miał najmniejszej ochoty poświęcić się jakiegokolwiek poważnej działalności, by dzięki temu, jeśli już nie powiększyć, to przynajmniej zachować majątek w nie zmienionym stanie. Bardzo dużo podróżował, nie odnosząc z tego wielkiego pożytku. W końcu przed mniej więcej dziesięciu laty poślubił w Rzymie, gdzie przebywał z upodobaniem, piękną, ale całkiem biedną markizę Caterinę Consistelli.

Rudolf Strasser został wówczas zaproszony na wesele i uczestniczył w nim. Wyprawiono je z wielkim przepychem. Wręczył młodej parze prawdziwie książęcy prezent ślubny, odpowiednio podziwiał piękną markizę, ale mimo to był bardzo zadowolony, że nie znajduje się na miejscu narzeczonego, nie tylko dlatego, że wtedy jeszcze kochał nade wszystko swoją wolność, lecz przede wszystkim dlatego, że piękna narzeczona, jak się wydawało, miała wyraźnie więcej temperamentu i rasy, niż mogło znieść jego powściągliwe niemieckie usposobienie. A gdyby była jego żoną, nie przypadłoby mu również do gustu to, że kazała się ciągle tytułować „markizą”, mimo iż nazywała się po prostu pani Strasser. Rudolf kierował się dobrze ugruntowaną niemiecką patrycjuszowską dumą i miał za złe swemu kuzynowi, że nie przywiązywał wagi do tych wartości.

Rudolf, którego wychowanie opierało się na solidnych zasadach i który czuł w sobie dziedziczony z ojca na syna zapal do działania, nie mógł zrozumieć dwu rzeczy: jak jego kuzyn może wytrzymać bez żadnego regularnego zajęcia i jak człowiek, którego majątek z powodu rozrzutnego trybu życia musiał już bardzo stopnieć, zamierza z procentów od tego, co zostało, prowadzić nadal

tak luksusowe i beztroskie życie. A takich zamiarów młoda para nie ukrywała. Egon zwierzył mu się, że narzeczona jest biedna. Opowiadał ze śmiechem, że jako posag wniosła mu tylko stary kasztel, rodowy zamek Consistellich, który był jednak w takim stanie, że nie można go było uważać za znaczący wkład w ich małżeństwo. Toteż nie przyszło im nigdy do głowy, żeby się w tym kasztelu osiedlić. Zamieszkali w starym rzymskim *palazzo*, który Egon „tanio” kupił i odnowił. Chyba raz tylko pojechał autem do kasztelu na kilka dni, żeby się tam rozejrzeć. Zamek leżał w Toskanii, oddalony o kilka godzin od Florencji, w każdym bądź razie zbyt samotny i położony na uboczu, żeby można było osiąść w nim na stałe.

Rudolf musiał wówczas zdobyć się na to, by nie pozostawić kuzyna bez poważnego ostrzeżenia co do grożącego mu niebezpieczeństwa. Nakłaniał go, aby kiedyś zbadał dokładnie swoje finanse, o których stanie nie miał wyraźnie najmniejszego pojęcia, i spróbował pogodzić wpływy i wydatki. Egon Strasser wyśmiał go, oświadczył, że nie jest żadnym kupcem i zrobi wszystko, by nie zepsuć sobie dobrego humoru zajmowaniem się interesami. Jak długo on i jego żona są młodzi, zamierzają używać życia. Na oszczędzanie i ograniczanie się przyjdzie czas później, kiedy już nie będą zdolni do korzystania z przyjemności.

Na takie *dictum* Rudolf wzruszył tylko ramionami i nic już więcej nie powiedział.

Jednakże wbrew oczekiwaniom pożycie małżeńskie jego kuzyna przebiegało, z pozoru sądząc, bardzo szczęśliwie. Rudolf otrzymywał niekiedy od Egona bardzo pogodne, szczegółowe relacje z podróży, różnorodnych uroczystości i innych wydarzeń. „Markiza” zawsze przekazywała przez męża serdeczne pozdrowienia, z okazji zaś ślubu Rudolf otrzymał list gratulacyjny z Egiptu, gdzie kuzynostwo przebywali właśnie dla przyjemności. Na rok przed przyjściem na świat Dagmary Egon Strasser doniósł kuzynowi o narodzinach córki, której na chrzcie nadano imię Elena; „markiza” napisała nawet własnoręcznie na wizytówce, że Elena jest słodkim aniołkiem. Wizytówka nosiła nadruk: *Signora Caterina Strasser de domo marchesa Consistelli*.

Potem Rudolf rzadko otrzymywał wiadomości od włoskiej pary. On również powiadomił kuzyna o urodzeniu się Dagmary. Później przesyłano sobie okazjonalne życzenia, ale regularnej i obszernej korespondencji już nie prowadzili. Rudolf po nieszczęściu, które dotknęło jego małżeństwo, napisał krótko do kuzyna o swym rozwodzie; zrobił to dla porządku i prosił, żeby więcej do tego nie wracać.

Egon odpowiedział kilkoma współczującymi słowami, nie przekazując żadnej wiadomości o sobie. A teraz, jak się wydawało, napisał znowu szczegółowy list, sądząc po jego objętości. Rudolf pomyślał jeszcze, że Egon musi mieć teraz chyba już jakieś czterdzieści pięć lat. Potem zaczął czytać:

Drogi Rudolfie!

Wreszcie zdobyłem się na to, aby Ci przesłać szczegółową relację ze wszystkiego, co się zdarzyło w ciągu ostatniego czasu. Tobie, naturalnie, trudno zrozumieć, jak ktoś taki jak ja, kto w przeciwieństwie do Ciebie nie para się żadnym absorbującym zawodem, może nie mieć czasu na pisanie listów. Ale tak faktycznie jest; byłem cały czas mocno pochłonięty różnymi sprawami, a ponadto w Rzymie nie da się w ogóle ani przez chwilę zebrać myśli. Ale teraz, wyobraź sobie, przenieśliśmy się do rodzowego zamku mojej małżonki. Ten kasztel przypomina raczej malownicze ruiny niż rodową siedzibę tej arystokratycznej rodziny, która, wedle twierdzenia mojej żony, jest podobno jedną z najstarszych we Włoszech. Może właśnie dlatego kasztel już się trochę rozsypuje. Opisuję to, drogi Rudolfie, z nieco wisielczym humorem, ponieważ, niestety, tę przeprowadzkę spowodowała gorzka konieczność. Nasze zasoby finansowe zmuszają nas pilnie do rygorystycznego oszczędzania! Naprawdę sam nie wiem, w jaki sposób mój wielki majątek przeciekł mi przez palce; nigdy nie wierzyłem, że kiedyś może się wyczerpać. Nie byłem nigdy zwolennikiem oszczędzania, a teraz muszę nim być. Moje dochody stały się tak skromne, że trzeba było wprowadzić duże ograniczenia. Dla mnie samego nie ma to wielkiego znaczenia. W końcu użyłem życia i nawet bardzo nie cierpię, że teraz mam prowadzić egzystencję pełną kontemplacyjnego spokoju. Ale Caterina okropnie lamentuje. Dla niej przebywanie w tej samotni jest jakby pogrzebaniem za życia. Ale także ona musi się z tym pogodzić. Niegdyś kpiłem sobie z tego niewielkiego spadku mojej żony, a teraz cieszę się, że go w ogóle mamy, chroni nas bowiem przed wegetowaniem w jakimś małym czynszowym mieszkaniu.

Posiadłość obejmuje trochę ziemi i niewielką winnicę, które są wydzierżawione. Dzięki temu mamy zawsze świeżą dostawę owoców, warzyw, młodego wina, które wcale nie jest złe, oraz mleka. Do zamku należy jeszcze otaczający go rozległy park, zamknięty ze wszystkich stron wysokim murem. Rosną tutaj cyprysy, pinie, oliwki oraz nieprzeliczona ilość drzew morwowych i kwitnących krzewów, ale wszystko bardzo zdziczało, co mi się nawet dość podoba.

Caterina jest jednak całkiem wytrącona z równowagi. Musi się tu obywać bez licznej służby, bo oprócz starej garderobianej, Marietty, która już służyła u matki mej żony i za żadne skarby świata nie chce od Cateriny odejść, mamy jeszcze tylko kucharkę i służącą z najbliższej wsi, która nawiasem mówiąc, leży prawie o dwie godziny drogi stąd, zaangażowałem szesnastoletniego chłopaka, który jest bardzo obrotny i w dobrze jeszcze zachowanej liberii wygląda nawet znośnie. Będzie służył jako srebrowy, a ponieważ nasze srebra bardzo już stopniały, będzie poza tym wykonywał także różnorodne prace, na przykład jako stajenny, ponieważ z tej katastrofy udało mi się uratować jednego konia wierzchowego. W czasie wolnym od tych zajęć może naszej małej Elenie wycinać jakieś zabawki i robić jeszcze inne pożyteczne rzeczy. Jak widzisz, odkrywam tutaj w sobie

cechy organizatora. Muszę niewielką ilością środków załatwić bardzo wiele rzeczy i naprawdę mam uczucie, jakbym nigdy w moim życiu nie był tak zadowolony i szczęśliwy jak teraz.

Przyczyna tego tkwi chyba jednak w tym, że ostatnie lata w Rzymie były po prostu straszne. Strata następowała po stracie, a kłopoty pieniężne ciągnęły się bez końca. Do tego dochodziła bezczelność wierzycieli i lamenty Cateriny, gdy musiałem wyprzedawać rzecz po rzeczy, aby znowu zatkać dziurę. Możesz mi wierzyć, że było to straszne i że po tych wszystkich zmaganiach nasz zamek wydał mi się oazą spokoju. Gdyby tylko Caterina była zadowolona, wcale bym się nie skarżył.

Nie zajmujemy, naturalnie, całego kasztelu, który ma nieskończenie wiele pomieszczeń, urządziliśmy najlepiej, jak się dało, jedynie prawe boczne skrzydło, które jako najnowsza część znajduje się w nie najgorszym stanie. Wiele mebli się tu zachowało, coś niecoś zabraliśmy ze sobą z Rzymu, oczywiście nie te najwartościowsze, które trzeba było sprzedać. Zamek Consistellich robi bardzo malownicze wrażenie: ma cztery graniaste baszty i mury obrośnięte różnymi pnączami. Roztacza się z niego wspaniały widok, leży bowiem w połowie zbocza sporej góry i kiedy powietrze jest klarowne, można przez dobrą lornetkę, ponad rozciągającą się w dole równiną, dostrzec wieże Florencji. Och Dio mio! Caterina przez cały dzień patrzy tęsknie przez lornetkę na tę Florencję, która przedtem była dla niej zbyt nudna, ponieważ za ciekawe uważała tylko życie w Rzymie, jeśli nie znajdowaliśmy się akurat w podróży. Bo w Rzymie jej uroda święciła największe tryumfy. Ale między nami mówiąc, drogi Rudolffie, jej piękność osiągnęła już apogeum. Włoszki starzeją się wcześniej i biedna Caterina także w Rzymie przeżyłaby wkrótce gorzkie rozczarowanie.

A w ogóle człowiek się starzeje, drogi Rudolffie, czuję to po rozmaitych oznakach. Ostatni ciężki okres i na mnie się odbił. Pałacu, który przed naszym ślubem kupiłem i kazałem urządzić, musiałem się pozbyć wraz ze wszystkim, co się w nim znajdowało, aby pokryć długi. Także biżuterię Cateriny trzeba było częściowo spieniężyć, ponieważ musieliśmy ulokować pieniądze w rencie, żeby mieć dożywotnio jakieś skromne dochody. Bogu dzięki w dobrych czasach obficie obdarowałem Caterinę klejnotami. Pozbycie się ich przyplaciła małym omdleniem, ale cóż było robić! Sam nie wiem, jak i kiedy popadłem w te wszystkie tarapaty, i myślę ze wstydem o Twoim życzliwym ostrzeżeniu w dniu mojego ślubu. Wtedy był jeszcze czas, żeby coś zmienić, teraz jest już za późno. Ale nie sarkam i, jak powiedziałem, godzę się, właściwie bez oporów, z tym nowym dla mnie stylem życia. Zastanawiałem się nawet poważnie, jak mógłbym zarabiać pieniądze, ale tej sztuki, której nigdy nie uprawiałem, nauczyć się w moim wieku trudno. Przyszedł mi wprawdzie do głowy pewien pomysł, który być może da się wprowadzić w życie: Moglibyśmy przyjąć u siebie pensjonariusza albo pensjonariuszkę. Miejsca mamy dosyć. Wolalbym pensjonariuszkę ze względu na Caterinę. Może słyszałeś o kimś takim? Wiem, że niemieckie podlotki z dobrych rodzin wysyła się często na pensję za granicę, i takie młode stworzenie odpowiadałoby nam najbardziej, ponieważ byłoby

mniej krępujące, w przeciwieństwie do starszej osoby, która zawsze jest bardziej kłopotliwa. Mała dziewczynka na przykład miałaby w naszej Elenie towarzyszkę i mogłaby się uczyć u mojej żony nie tylko dobrych manier, ale także francuskiego i włoskiego. Oba języki, poza oczywiście niemieckim, Caterina opanowała znakomicie w mowie i piśmie. Mogłaby też brać lekcje muzyki u Cateriny, która jest przecież wspaniałą pianistką, ja natomiast mógłbym się zająć geografią, historią i literaturą, ewentualnie uczyć jazdy konnej i czego by tam jeszcze trzeba. Musiałaby to być naturalnie córka z dobrego, wiarygodnego finansowo domu, tak żebyśmy otrzymywali przyzwoitą zapłatę. Z pewnością masz rozmaite kontakty, proszę Cię, rozejrzyj się wokół, może mógłbyś nam w tej sprawie pomóc. My ze swej strony gwarantujemy dobre mleko, jak najlepszą opiekę, wspaniałe powietrze, tu wysoko, na naszej górze, a również miłe przyjęcie.

Już sobie wyobrażam Twój ironiczny uśmiech, Rudolffie. Przepowiadałeś mi przecież, że do tego musi dojść, że każde źródło się wyczerpie, jeśli nie ma żadnego dopływu. Miałeś naturalnie rację, byłem lekkomyślnym głupcem. Dlatego nie wolno mi się teraz skarżyć.

To byłoby tyle o nas. Ciekaw jestem, jak Tobie się wiedzie. Twój rozwód był dla nas wielkim zaskoczeniem. Mam nadzieję, że teraz mogę już ten temat poruszyć. Mam też nadzieję, że wszystko, co najboleśniesz, masz już za sobą. Nie miałem okazji poznać Twojej żony i nie wiem, jak wielka jest Twoja strata. Ale, jak już wspomniałem, przebolełeś chyba to przykre rozczarowanie.

Spodziewam się, że otrzymam znów kiedyś od Ciebie szczegółową relację o Twym obecnym życiu. Bardzo bym się cieszył. Ale nie besztaj mnie, drogi kuzynie, to już przecież teraz nic nie pomoże.

Łączę wiele serdecznych pozdrowień, także od mojej żony.

Twój kuzyn Egon

Rudolf Strasser zamyślony długo spoglądał przed siebie. Istotnie, przewidział, że u kuzyna dojdzie do katastrofy. Ale nie rozmyślał o tym długo. O wiele bardziej zainteresowała go prośba kuzyna, żeby postarać mu się o pensjonariuszkę. Czy nie był to znak losu, właśnie teraz? Doznał olśnienia, gdy czytał o tym w liście, to było przecież wymarzone miejsce dla Dagmary! Gdy wyśle ją do Włoch, Dagmara zejdzie mu z oczu, on zaś będzie wiedział, że umieścił ją w dobrych rękach, ponieważ mimo swej lekkomyślności Egon był dobrym człowiekiem. I nawet jeśli jego małżonka posiadała zbyt wielki temperament, to cóż to mogło szkodzić Dagmarze? Elena byłaby dla niej towarzyszką zabaw, to także dobrze się składa. Mogłyby się razem wychowywać. On miałby natomiast pewność, że dziewczynka jest raz na zawsze dobrze urządzona, nie musiałby jej już, ku swej udręce, oglądać i mógłby możliwie szybko o niej zapomnieć. Należało tylko jak najrychlej przygotować wszystko do jej przeprowadzki.

Odetchnął, jakby mu wielki ciężar spadł z serca. Dagmara mogłaby spokojnie pozostać w domu jego kuzyna aż do swego zamążpójścia.

Zżywał się coraz bardziej z tą myślą i wkrótce podjął ostateczną decyzję. Z uczuciem ulgi złożył list. Potem skierował swoje myśli na sprawę, która od dawna leżała mu na sercu, właściwie od momentu, gdy uświadomił sobie, że już nie będzie miał syna. Aby teraz również od tego się uwolnić, postanowił bez zwłoki zająć się także rozwiązaniem tej kwestii.

Zebrał wszystkie siły i poprosił do siebie swego pierwszego prokurenta, Hermana Falknera.

5

Herman Falkner pracował już od dwudziestu ośmiu lat w firmie Strasser & Syn. Zaczynał tu jako uczeń i z każdym rokiem coraz bardziej wybijał się. Falkner był z tych handlowców, którzy oddają się swemu zawodowi całym sercem i osiągają w nim wiele. Chociaż nie był niezależny, jednakże z latami zdobył kierownicze stanowisko. Rudolf Strasser już od dawna nie podejmował żadnej decyzji w interesach, której wcześniej nie omówiłby z Hermanem Falknerem. Z czasem stali się przyjaciółmi w najlepszym tego słowa znaczeniu, bowiem Herman Falkner nigdy nie zapominał, że Rudolf Strasser jest jego szefem, Rudolf Strasser ignorował to o wiele bardziej niż jego podwładny. Przy swych zdolnościach i energii Falkner nigdy nie był zarozumiały i także wobec personelu firmy znajdował zawsze odpowiedni ton. Poza tym był mężczyzną o dobrej aparycji, który mógł godnie reprezentować firmę.

Pochodził z bardzo dobrej rodziny, ale wcześniej osierociał i nie miał majątku. Dlatego musiał swą drogę życiową zaczynać jako prosty uczeń w branży kupieckiej, ale wkrótce zaczął się pięć w górę, aż stanął na najwyższym stanowisku tuż obok szefa. Rozkwit i pomyślność firmy leżały mu tak samo na sercu jak jego pryncypałowi.

Gdy Herman Falkner wszedł do gabinetu, Rudolf Strasser podniósł się i podał mu rękę.

— Mój drogi, czy mógłby mi pan poświęcić jakąś godzinę?

— Oczywiście, jeśli mnie pan potrzebuje.

— Dobrze, wobec tego proszę, niech pan siada. Chciałbym z panem omówić coś, co już dawno leży mi na sercu. Jest to sprawa prywatna, a przecież w jakiś sposób związana z interesem firmy. Ale chwileczkę, najpierw zapalimy sobie.

Rudolf Strasser przyniósł skrzyneczkę wybornych hawańskich cygar oraz popielniczkę. Obaj panowie usiedli i zapalili.

Rudolf Strasser śledził najpierw przez chwilę obłoczek dymu. Potem zwrócił się do swego pierwszego prokurenta:

— Wie pan, mój drogi, co się stało z moim małżeństwem. Nie mogłem do dziś o tym mówić, nawet z panem, który przecież w ciągu tych wielu lat ścisłej współpracy stał się moim drogim i zaufanym przyjacielem. Nie mogę także jeszcze dziś mówić spokojnie o tym, co się stało, i proszę pana o nieprzekazywanie mi słów współczucia. One by tylko rozjątrzyły ranę, a i bez nich wiem, że pan mi współczuje. To, co dziś mam panu do powiedzenia, zmusza mnie również do mówienia o moich rodzinnych stosunkach. Że moja żona mnie porzuciła, z pewnością pan wie, wróble już o tym ćwierkają na dachu. I wie pan także, że mam... że mam córkę.

Milczał przez chwilę, ponieważ znów opadły go straszliwe wątpliwości, czy Dagmara rzeczywiście jest jego córką. Ale nie chciał tych wątpliwości, które dotąd zdradził tylko Brygidzie Hartmann, wynosić poza krąg rodzinny. Opanowawszy się z trudem, ciągnął dalej:

— Los odmówił mi syna i w moim wieku trzeba się ostatecznie pożegnać z nadzieją. Żyje wprawdzie kuzyn noszący to samo nazwisko, ale skoro mam córkę, on nie może wchodzić w rachubę jako mój spadkobierca, nie mówiąc już o tym, że nigdy nie oddałbym firmy w jego ręce. Jest absolutnie niezdolny do kierowania takim przedsiębiorstwem. Tak więc po mojej śmierci firma Strasser & Syn, jeśli nawet przetrwa, nie będzie miała nowego szefa o tym samym nazwisku. Może pan sobie wyobrazić, mój drogi, ile się już nad tym nagłowiłem.

Herman Falkner przytaknął pełen zrozumienia.

— Tak, mogę to sobie wyobrazić! Ja także czasami myślałem o tym, co się stanie z firmą, gdy kiedyś pana zabraknie. Na ogół mamy dobrych pracowników i przez jakiś czas wszystko powinno biec utartym torem, ale pewnego dnia...

Rudolf Strasser znów przez chwilę spoglądał przed siebie w zamyśleniu. Potem spytał nagle, patrząc wprost na Hermana Falknera:

— Ile lat ma właściwie pański syn? Prokurent spojrział na niego zdumiony.

— Mój syn? Skończy niebawem osiemnaście. Szef skinął głową.

— Osiemnaście. Tak sobie mniej więcej wyliczyłem. Pan był w tym samym wieku, kiedy rozpoczął pan pracę w naszej firmie, prawda?

— Zgadza się, proszę pana.

— Jaki zawód chce wybrać pański syn? Chodzi, jak pamiętam, do gimnazjum realnego?

— Tak, otrzymał promocję do najwyższej klasy i wkrótce powinien być po wszystkim. Właśnie w ostatnich tygodniach bardzo żywo debatowaliśmy nad wyborem jego zawodu. Chciałbym, żeby po ukończeniu gimnazjum realnego poszedł do wyższej szkoły politechnicznej i wykształcił się na inżyniera. Mój syn wolałby jednak uczęszczać do wyższej szkoły handlowej i zostać kup-

cem. Przy czym stoi mu przed oczyma, no cóż, powiedzmy to otwarcie, obraz kupca wielkiej miary, takiego jak pan. Chciałby przynajmniej dorównać swemu ojcu, ale w młodzieńczym zapale nie chce widzieć jasno, że jego przyszłość jako kupca może wyglądać zdecydowanie inaczej, o wiele skromniej. Dużego majątku, żeby mógł się uniezależnić, nie mogę mu zostawić, a tyle szczęścia, ile miał jego ojciec, nie miewa każdy kupiec. Syn widzi tylko jasne strony tego zawodu, ponieważ tylko takie poznał. Ja, dzięki pańskiej dobroci, osiągnąłem cel, pisany tylko niewielu kupcom, którzy sami nie są właścicielami żadnych firm.

— Mój drogi, zapomina pan, że to nie moja dobroć, lecz pańskie własne zdolności zaprowadziły pana tak daleko.

— Wiele równie zdolnych kupców musiało się przez całe życie zadowolić jakimś podrzędnym stanowiskiem, jeśli nie mieli tyle szczęścia co ja i nie znaleźli szefa tak pełnego zrozumienia, który chciałby ich popierać.

Rudolf Strasser śledził znów przez chwilę dym swego cygara, a później powiedział z całą rozważą:

— Pański syn, jak sędzę, ma żyłkę do działalności kupieckiej i może zajść równie wysoko jak jego ojciec.

— W to nie wątpię. Jeśli ze wszystkich sił pragnie się coś osiągnąć, to musi się to udać. .

— Często obserwowałem pańskiego Wenera i nieraz sobie życzyłem, żeby mieć takiego syna — powiedział Strasser wolno i jakby z nutą smutku.

Twarz Hermana Falknera rozpromieniła się.

— Jest całą moją dumą — powiedział wzruszony.

Strasser uśmiechnął się blado, ale w jego oczach dało się dostrzec wyraz skrywanego bólu.

— Jest do pana tak zewnętrznie podobny, że i cechy charakteru musi mieć takie same.

Falkner roześmiał się. .

— Moja żona często twierdzi, że Wener to wykapany ojciec. Nie sędzę, żeby to zawsze było dla syna pochlebne, ponieważ Wener jest takim samym uparciuchem jak ja, co mojej żonie niekiedy trochę utrudnia życie.

Szef przeciągnął ręką po czole.

— Z pańskiego uporu ja akurat byłem zawsze bardzo zadowolony.

Nie mógł przy tym nie pomyśleć, jakim szczęściem jest dla ojca, jeśli jego dziecko jest do niego tak podobne, jak to ma miejsce w przypadku Falknerów. Z uczuciem goryczy ciągnął dalej:

— A teraz, mój drogi, przechodzę do zasadniczego punktu naszej rozmowy. Tak się zastanawiam, co by pan na to powiedział, gdybym usiłował doradzić, żeby pan pozwolił swemu synowi zostać kupcem? Nie, proszę jeszcze nic nie mówić, chcę najpierw wyjaśnić, co mam na myśli. Gdy

kiedyś zamknę oczy, Dagmara zostanie moją sukcesorką i tym samym właścicielką firmy Strasser & Syn. Czy pan mnie przeżyje, nie wiem, w przeciwnym wypadku mógłbym być całkiem spokojny. A jeśli nie? Kogo mam wtedy postawić na czele firmy? Inni moi prokurenci są całkiem zdolnymi ludźmi, którzy wypełniają swoje obowiązki nadzwyczaj dobrze, ale żaden z nich nie może być kierownikiem takiego przedsiębiorstwa jak nasze. Do tego potrzebny jest zapał i energia, a także pewien talent do rządzenia i organizowania. Jeśli pan wszystko zostawi synowi w spadku, zostawi również swój talent. Krótko mówiąc, kiedy zadawałem sobie pytanie, kogo chciałbym widzieć naszym następcą, pomyślałem o Wernerze. Gdybyśmy go obaj, mój drogi, do tego celu przygotowali, czy nie sądzi pan, że pewnego dnia moglibyśmy spokojnie odejść? Pański syn jest z pańskiego gatunku, darzę go sympatią, ba, więcej, jestem do niego szczerze przywiązany. Jemu mógłbym zaufać. Kształciłby się na mój koszt w wyższej szkole handlowej. Gdyby ją skończył, wysłalibyśmy go najpierw na rok lub dwa za granicę. Powinien odwiedzić naszych zagranicznych klientów, rozejrzeć się u nich i przy tym czegoś nauczyć, co później wyszłoby mu na korzyść. Powinien zostać gruntownie przygotowany do odpowiedzialnego stanowiska, które kiedyś miałby objąć. I to byłoby dla mnie wielką radością, podobnie jak dla pana. Kiedy wróciłby z zagranicy, wzięlibyśmy go do firmy, prowadząc tak, żeby się wdrożył we wszystko. Co pan na to powie?

Herman Falkner przetarł ręką czoło, jakby mu się zrobiło za gorąco. Próbował opanować swoje podniecenie i odpowiedział tak spokojnie, jak tylko potrafił:

— Co mogę na to powiedzieć? Drogi, szanowny panie, nie mógłbym memu chłopcu życzyć nic lepszego. I wiem, że podskoczyłby z radości do sufitu, gdyby mu to wszystko przedstawił. Z pewnością nie miałbym, na Boga, nic przeciw temu, żeby pozwolić mu zostać kupcem, gdybym w przyszłości miał zapewnioną taką pozycję. Ale muszę panu jako ostrożny kupiec i sumienny ojciec poddać różne rzeczy pod rozwagę. Przypuśćmy, że wszystko pójdzie tak, jak pan to przedstawia, i pańska córka zostanie pewnego dnia właścicielką firmy. Pana już wtedy nie będzie, żeby mojemu synowi zarezerwować to stanowisko. Albo co się stanie, jeśli pańska córka postanowi pewnego dnia zwolnić mego syna z zajmowanego już stanowiska? Proszę wybaczyć moje skrupuły, ale w takim wypadku są one konieczne!

— To jest całkiem oczywiste, tu nie ma nic do wybaczenia. Ale mogę pana zapewnić, że rozważyłem wszystkie możliwości dla uzyskania w tym względzie gwarancji bezpieczeństwa. A więc, żeby pana uspokoić: W dniu, kiedy pan i pański syn wyrazicie zgodę na moją propozycję, zawrzemy wzajemnie zobowiązujące układy. A poza tym w moim testamencie, który chcę tak czy tak w najbliższych dniach sporządzić, wprowadzę służącą temu celowi klauzulę. Moja córka będzie zobowiązana pozostawić pańskiego syna na określonym przeze mnie stanowisku, ze wszystkimi związanymi z tym pełnomocnictwami. Do pańskiej śmierci naturalnie p a n pozostanie na

tym stanowisku, a pański syn, gdy tylko do tego dojrzeje, otrzyma również prokurę. Gdybyśmy zaś obaj pomarli, wtedy Werner przejmie pańskie stanowisko. Także na całe życie. Czy wystarczą panu takie gwarancje?

Herman Falkner przytaknął.

— To nie ulega wątpliwości. Ale, szanowny panie, kto panu da gwarancje, że mój syn zostanie dobrym i użytecznym kierownikiem pańskiej firmy? Muszę panu na to zwrócić uwagę, jeśli chcę być w zgodzie z sumieniem.

Rudolf Strasser podał mu rękę.

— To przecież od nas tylko będzie zależało, mój drogi, by chłopca tak wychować, żebyśmy mogli mieć z niego pociechę. Myślę, że skoro występuje u niego chęć i zamiłowanie do tej pracy i skoro jest człowiekiem, na którym można już dzisiaj polegać, to, na zdrowy rozum, nie ponoszę żadnego ryzyka. Czy teraz ma pan jeszcze jakieś skrupuły?

— Nie, proszę pana, jestem tylko przejęty i wzruszony. Nie wiem, jak powinienem panu dziękować. I mój syn podziękuje panu także z całego serca. I jeśli nie dołoży wszystkich sił, żeby służyć firmie Strasser & Syn tak, jak pan tego oczekuje, to nie jest moim synem.

— A więc, zgadza się pan?

— Czy mogłoby być inaczej? Było miło przykro, że musiałem wystąpić przeciwko pragnieniom mego syna, czyniłem to, ponieważ nie myślałem o tak szczęśliwym rozwiązaniu. Cieszy mnie bardzo, że mogę teraz być w zgodzie ze swym sercem. Pańska wspaniałomyślna oferta pozwala mi wyzbyć się moich skrupułów, Werner zaś powinien panu być wdzięczny, że będzie mógł wykonywać wymarzony zawód, i to na tak wysokim stanowisku. Niech Bóg sprawi, żeby pana nigdy nie zawiódł.

— W porządku! Tak więc nie pozostaje nam już nic więcej, jak uzyskać zgodę Wenera. Jak już panu powiedziałem: Werner zawsze robił na mnie sympatyczne wrażenie i miłą jest dla mnie myśl, żeby go kiedyś widzieć tutaj przy sterze. Jestem absolutnie przekonany, że nie zawiedzie naszych oczekiwań.

— Ja również jestem o tym przekonany, o ile znam swojego chłopaka.

— W takim razie, ponieważ jutro jest niedziela, niech go pan przyśle do mnie, do domu. Chcę mu sam złożyć tę propozycję i zobaczyć, jakie na nim zrobi wrażenie. Proszę jednak usilnie, żeby mu pan o tym nie powiedział ani słowa. Niech mi pan nie zazdrości, że to ja zobaczę przy tym jego uszczęśliwioną twarz, nie przeżyłem ostatnio zbyt wiele radosnych chwil.

— Daję panu moje słowo, że nie zrobię najmniejszej wzmianki, i także mojej żonie chwilo-wo nic nie powiem, żeby się przypadkiem nie zdradziła. Dowie się dopiero wtedy, kiedy Werner będzie u pana.

— Dobrze, a więc jutro przed południem, o jedenastej. A skoro to już załatwiliśmy, chcę panu jeszcze przekazać prywatną wiadomość. Moja córka opuści wkrótce rodzinny dom i wyjedzie prawdopodobnie do Włoch, do domu mego kuzyna. Boję się, że dziecko będzie tutaj wzrastało zbyt samotnie. Kuzyn ma córkę, prawie w tym samym wieku co Dagmara. Staną się dla siebie towarzyszkami zabaw i nauki i razem będą się wychowywać. To właśnie chciałem panu powiedzieć.

Prokurent skłonił się. Jego współczujące spojrzenie spoczęło przez moment na twarzy szefa. Żałował go, ale nie podejrzewał nawet, z jak strasznymi wątpliwościami tamten się boryka. Wiedział natomiast, że dom Strassera stanie się odtąd całkowicie pusty. Żona, którą ubóstwiał, odeszła od niego, a teraz on sam chce oddalić od siebie swoje dziecko. Że Rudolf Strasser zamierzał rozstać się ze swoją córką na zawsze, nie przyszłoby mu do głowy. Falkner był całym sercem przywiązany do swej rodziny, toteż czuł, że takie rozstanie musi być bardzo bolesne dla ojca. Ulegając swemu uczuciu spytał:

— Czy to naprawdę konieczne, żeby pan jedyne dziecko wysyłał tak daleko? Będzie pan z pewnością bardzo cierpiał z tego powodu.

Rudolf Strasser zacisnął zęby i odwrócił się. Nerwowo zaczął kartkować książkę, która leżała na biurku. Potem rzucił ochryple:

— Tak, to jest konieczne!

Nic więcej. Ale w tych słowach zawierała się cała tragedia.

Przez chwilę mężczyźni milczeli. Ale ta chwila ciszy wyrażała głęboką, pełną szacunku sympatię, jaką siebie darzyli. Potem Strasser podniósł się z głębokim westchnieniem i podał Falknerowi rękę.

— Mój drogi, wyświadczył mi pan dzisiaj wielką przyjacielską przysługę, zgadzając się na mój plan.

Herman Falkner z uśmiechem potrząsnął głową.

— Wydaje mi się raczej, że to pan wyświadczył mi wielką przysługę.

— Zgoda, wyświadczyliśmy ją sobie nawzajem. Nie była ona pierwsza i nie będzie ostatnia, ale w każdym razie była największa. Mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi aż do końca naszych dni.

— Mam również taką nadzieję, proszę pana.

Uścisnęli sobie mocno ręce i popatrzyli prosto w oczy. Potem Rudolf Strasser powiedział już lżejszym tonem:

— Czy jest jeszcze coś, co powinniśmy omówić?

— Nic ważnego.

— Wobec tego nie chcę pana dłużej zatrzymywać, wiem, że pański czas jest bardzo ściśle wymierzony. A więc jutro rano o jedenastej przysyła mi pan Wenera. Chciałbym z nim porozmawiać w całkowitym spokoju. Jeśli dojdziemy do porozumienia, odbędziemy w poniedziałek wspólną konferencję, na której sprecyzujemy nasze umowy. A więc do widzenia. I proszę pozdrowić małżonkę.

— Serdecznie dziękuję. Do widzenia panu.

Kiedy Rudolf Strasser został sam, rzucił się na krzesło, podparł głowę rękami i długo patrzył przed siebie.

Przed oczyma duszy wywołał obraz Wenera Falknera. Młody człowiek zawsze mu się podobał. Było w tym młodzieńcu coś stanowczego, zasługującego na zaufanie, i jakaś radość życia, a jednocześnie przecież powaga i rzetelność. Był to wysoki szczupły chłopak, u którego, dzięki pilnemu uprawianiu sportu, już teraz widać było pewną męską siłę. Ostre, zdecydowane rysy jego foremnej twarzy przypominały ojca. Szare, mądre oczy, także dziedzictwo po ojcu, były głęboko osadzone pod wysokim czołem i zdradzały energię i inteligencję. W każdym bądź razie Wener Falkner mimo młodego wieku miał ukształtowany charakter, a wychowanie, które otrzymał, było znakomite w całym tego słowa znaczeniu.

Coś jakby radość rozgrzało osamotnione serce Strassera. Od długiego czasu było to pierwsze uczucie, które nie wypływało z gorzkiego źródła.

Po chwili podniósł się i położył przed sobą arkusz papieru listowego. Wziął list kuzyna, przeczytał go jeszcze raz i podjąwszy szybką decyzję, zaczął pisać.

Mój drogi Egonie!

Otrzymałem dzisiaj twój list i muszę przyznać, że zrobiło mi się przykro, iż moje proroctwo się ziściło. Zamierzam zgodnie z Twoim życzeniem powstrzymać się od wszelkich uwag, co zresztą i tak uczyniłbym, bo jeśli czegoś nie da się już zmienić, jest rzeczą zbędną, żeby jeszcze o tym mówić. Dzisiaj chcę Cię tylko powiadomić, że Twoja prośba dotycząca pensjonariuszki, która by mogła zapłacić odpowiednią kwotę, natychmiast może zostać spełniona. Twój list i Twoja oferta przyniosły mi wielką ulgę. Chcę to wszystko jednak osobiście z Tobą omówić i proszę Cię, żebyś zaraz do mnie przyjechał. Koszty podróży biorę na siebie. Myślę bowiem, że mógłbyś ewentualnie zabrać ze sobą od razu rzeczoną pensjonariuszkę. Rozważcie jednak przedtem z Caterina, czy zechcecie przyjmując na pensję dziewczynkę, która jest mniej więcej w wieku Waszej córki. Jeśli tak, powiadom mnie o swoim przybyciu. Wszystko inne ustnie. Przekaż moje ukłony Twej milej małżonce. Łączę serdeczne pozdrowienia.

Twój kuzyn Rudolf

Nie przeczytawszy listu, włożył go od razu do koperty, zakleił i zaadresował. Potem polecił go natychmiast wysłać. Z uczuciem ulgi podjął obchód biura i magazynów. Potem małą łodzią motorową, która była stale do jego dyspozycji, popłynął do statku, który w najbliższych dniach miał wyjść w morze.

6

Brygida Hartmann wybrała się na spacer z małą Dagmarą. Gawędziła z nią żywo, nie pozwalając, by dziewczynka dostrzegła jej zmartwienie. Dziecko skakało zadowolone obok ciotki. Ponure zachowanie ojca zostało zapomniane. Dagmara miała nadzieję, że ojciec wkrótce znowu stanie się dla niej serdeczny i czuły jak dawniej. I wciąż zajmowała ją myśl, że ojcu brakuje słońca, i co trzeba zrobić, by mu to słońko z powrotem sprowadzić. O tym stale mówiła i ciotka Brygida jeszcze raz przekonała się, jak niezmiernie to małe serduszko jest przywiązane do ojca.

Także o matce zaczęła znów mówić, kiedy obok przeszła jakaś inna mała dziewczynka prowadzona za rękę przez matkę.

— Ciociu Brygido, widziałaś? Tamta dziewczynka ma także taką piękną, kochaną mamusię jak ja. Czy jej mamusia odjedzie od niej też tak daleko jak moja?

— Nie wiem tego, kochanie.

Jak ciotka Brygida z westchnieniem zauważyła, Dagmarze wiele pytań ciążyło na sercu.

— I dlaczego właśnie moja mamusia odjechała?

— Bóg tak postanowił.

— I on też postanowił, że moja mamusia nigdy, nigdy więcej nie wróci? — spytało dziecko ze smutkiem.

Dagmara początkowo, po zniknięciu matki, na jej wspomnienie wylewała wiele gorących łez i przedstawiała tęskne prośby. Ciotkę Brygidę kosztowało wiele trudu, by dziecko uspokoić. Teraz dziewczynka była już oswojona z myślą, że matka nie wróci, ale zawsze ją to jednak smuciło.

— Nie, Dagmaro, już ci przecież wiele razy mówiłam, że nie może wrócić.

— Ale dlaczego?

— Ponieważ droga jest zbyt daleka i ponieważ pan Bóg tego nie chce.

— A jeśli go bardzo poproszę?

— Nie, moje małe biedactwo, nawet wtedy nie.

Ciotka Brygida szukała na gwałt tematu, który mógłby zwrócić uwagę Dagmary w inną stronę, i przyszło jej na myśl, że byłoby dobrze gdyby powoli przygotowywała dziecko do tego, że musi opuścić rodzinny dom. Powiedziała więc:

— Jeśli naprawdę będziesz grzeczna, to pewnego dnia także pojedziesz w szeroki świat, bardzo daleko od domu, w którym teraz mieszkasz.

Dagmara spojrzała zdumiona.

— Czy tatuś także pojedzie ze mną i ty, ciociu Brygido?

— Nie, pojedziesz sama, ale na pewno do bardzo miłych, dobrych ludzi, u których wiele się nauczysz.

Dagmara westchnęła nieco przygnębiona.

— Wolałabym jednak pozostać z tatusiem i z tobą. Starszej pani łzy napłynęły do oczu.

— To niemożliwe, Dagmaro, wiesz przecież, bo już ci o tym mówiłam, że wkrótce pójdziesz do szkoły. Wszystkie dzieci muszą chodzić do szkoły.

Dagmara przytuliła się trwożliwie do ciotki.

— Ciociu Brygido, a czy przynajmniej ty nie możesz pojechać razem ze mną?

— Nie, moje dziecko, ja już dawno chodziłam do szkoły, wtedy gdy byłam taką małą dziewczynką jak ty. Teraz zaś muszę zostać z tatusiem, który mnie potrzebuje. A ty przypomnij sobie, chciałaś przecież udać się na koniec świata, żeby tatusiowi sprowadzić słońce. I jeśli będziesz naprawdę dzielna i pojedziesz tam, dokąd masz być wysłana, wtedy któregoś dnia z całą pewnością wrócisz do domu i przywieziesz tatusiowi słońce.

Dagmara wstrzymywała łzy.

— Czy muszę pojechać tak bardzo daleko?

— Tak. Pojedziesz prawdopodobnie koleją.

Coś drgnęło w uroczej twarzyczce dziecka i ciotka Brygida musiała odwrócić wzrok. I w tym momencie karciała swego kuzyna w duchu bardzo surowo. Nagle jednak Dagmara oznajmiła z niezwykłą dzielnością:

— Chcę zrobić coś dla tatusia i dla ciebie także, ciociu Brygido. I dlatego pójdę spokojnie do szkoły, nawet jeśli ona jest bardzo daleko. Czy długo muszę tam pozostać?

Oczy pani Brygidy zwilgotniały. Jakież bogactwo miłości, jakaż gotowość do ponoszenia ofiar tkwiły w tym dziecięcym serduszku, któremu chciano wyrządzić tak okrutną przykrość!

— Mam nadzieję, że nie będzie to wcale trwało tak długo. Ucz się tylko naprawdę pilnie, wtedy czas upływa szybko. A teraz popatrz: jakie urocze młode pieski!

Brygida Hartmann próbowała w ten sposób odwrócić uwagę dziecka od smutnych myśli, które jej samej wyciskały łzy z oczu. I Dagmara, zgodnie z przywilejem dzieciństwa, zapomniała

natychmiast o wszystkich duchowych troskach i wydała radosny okrzyk na widok dwu śmiesznych piesków, które bawiły się na promenadzie.

Godzinę później ciotka Brygida wróciła z dzieckiem do domu. Podczas gdy ona zajęła się szyciem, Dagmara u jej stóp bawiła się lalkami. Potem dziecko zjadło kolację: zupę, jajko i trochę kompotu, i zostało, jak każdego wieczoru, wykąpane i położone do łóżka.

Wtedy pani Brygida zeszła na dół do jadalni i sprawdziła, czy wszystko jest w porządku, ponieważ Rudolf powinien wkrótce wrócić do domu.

Rzeczywiście niebawem zjawił się w pokoju. Podano kolację. Rozmawiali o rzeczach obojętnych, ponieważ służba nieustannie wchodziła i wychodziła.

Po posiłku pan domu miał zwyczaj wycofywać się zaraz do swego gabinetu, aby przejrzeć dzienniki i jeszcze popracować. Dziś zatrzymał się przed kuzynką.

— Chciałbym jeszcze coś z tobą omówić, Brygido, przejdźmy, proszę, do gabinetu, tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Gdy już siedzieli naprzeciwko siebie, Rudolf, odetchnąwszy głęboko, powiedział:

— Wiem już, Brygido, gdzie mam umieścić Dagmarę, i mam nadzieję, że cię przekonam, iż oddaję ją w dobre ręce.

— Co zdecydowałeś? — spytała przygnębiona.

— Znasz Egona, naszego wspólnego kuzyna? Brygida popatrzyła zdumiona.

— Znałam jego rodziców, a jego samego widywałam niekiedy, gdy był jeszcze chłopcem. Gdy rodzice pomarli, wyjechał za granicę i nigdy go już nie spotkałam. Z trudnością go sobie przypominam. Wszystkiego, co o nim wiem, dowiedziałam się od ciebie. Opowiadałeś mi, że poślubił jakąś markizę i mieszka we wspaniałym pałacu w Rzymie.

— Zgadza się, ale teraz nie mieszka już w Rzymie, przeprowadził się do rodzowego zamku swej żony w Apeninach, robiąc z biedy cnotę.

Zrelacjonował jej w krótkich słowach, co mu Egon Strasser napisał w liście o swych zmianionych warunkach życiowych.

Pani Brygida wstrząśnięta złożyła ręce jak do modlitwy.

— Mój Boże, na co mu to przyszło! Taki wielki majątek został więc roztrwoniony? Gdyby jego rodzice potrafili to przewidzieć, z pewnością wzięliby go mocniej w karby. Był bardzo dobrym dzieckiem, ale niezwykle rozpieszczonym.

— Porządny człowiekiem jest także i dzisiaj. A w każdym razie ma szczęśliwą, godną pozazdrosczenia naturę. Także w tych nowych, skromnych warunkach wynajduje dla siebie to, co najlepsze, i wydaje się, że jego dobry humor nie został specjalnie zmacony tymi okolicznościami. Przepuszczalnie markiza będzie mocniej cierpiała w tej zmienionej sytuacji. Ale przejdźmy do jego

zapytania o pensjonariuszkę. Możesz sobie chyba wyobrazić, że ja przy tym fragmencie listu zaraz pomyślałem o Dagmarze i że ten list w ogóle wydał mi się znakiem losu?

Pani Brygida westchnęła.

— Tak, to właściwie mogę sobie wyobrazić.

— Powiedz sama, Brygido, czy może istnieć lepsze rozwiązanie? — spytał żywiej, niż to było w jego zwyczaju. — Dagmara będzie żyła bądź co bądź u krewnych i dostanie małą Elenę za towarzyszkę zabaw i nauki. Zaproponuję Egonowi przyzwoitą sumę, aby Dagmara miała dobrych nauczycieli do wszystkich przedmiotów, oczywiście tych, których Egon i jego żona nie potrafią uczyć. Markiza wpoiłaby Dagmarze to wszystko, co przyszej reprezentantce firmy Strasser & Syn będzie niezbędne. Dziecko nauczy się paru języków i będzie żyło w Toskanii w zdrowej i pięknej okolicy. Jak widzisz, nie możesz zrobić mi zarzutu, że nie mam na względzie dobra Dagmary.

— Nie, z pewnością nie, Rudolfie. Skoro nie chcesz zatrzymać dziecka w domu, będzie bez wątplenia najlepiej, jeśli znajdzie ono miejsce w rodzinie Egona. Że w tamtym domu jest mała dziewczynka, to bardzo pocieszające, Dagmara potrzebuje koniecznie towarzyszki zabaw, przy nas obojgu stanie się taką „starą maleńką”.

— Cieszę się, że w tym wszystkim widzisz jakąś korzyść dla Dagmary. Wierz mi, to, że ona stąd wyjedzie, jest dla niej równie dobre jak dla mnie. A u Egona może spokojnie długo pozostać.

— Myślisz o długim rozstaniu?

— Tak! Nie chcę już więcej widzieć Dagmary, taka jest moja ostateczna decyzja. I nie próbuj zachwiać moim postanowieniem. Chcę całkowicie zapomnieć o moim nieszczęśliwym małżeństwie, nie chcę, by cokolwiek mi o nim przypominało. I proszę cię, oswój się z tą myślą. Jeśli chcesz mi oddać wielką przysługę, zerwij także wszelkie kontakty z Dagmarą, to będzie również dla niej najlepsze. Powinna się tak zżyć z domem naszego kuzyna, żeby się stał jej domem rodzinnym. Poproszę Egona również o to, żeby mi nie przysyłał o niej żadnych wiadomości. Nie powinien jej także podsuwać myśli, żeby na przykład, kiedy nauczy się pisać, przysyłała mi listy. Ona też musi całkowicie zapomnieć, że... że miała ojca i matkę. Jeśli, nim umrę, znajdzie sobie męża, ureguluję z nim sprawę posagu, i wówczas może u boku małżonka znaleźć nowy dom. I dopiero po mojej śmierci będzie miała prawo wrócić i objąć spadek.

Pani Brygida stała się trupio blada, skierowała na niego wylękłe oczy i zapytała głucho:

— Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak jesteś okrutny?

Oparł głowę na rękach i przez chwilę patrzył gdzieś w dal bez jednego słowa. Potem wyprostował się i spojrzał na Brygidę tak, że zadrżała. Również on był blady jak ściana.

— Najbardziej okrutny jestem wobec siebie, Brygido, ponieważ wykreśliłam z mego życia wszystko, co mu niegdyś nadawało wartość. Ale zrozum mnie, decyduję się na to rozstanie, żeby

nie zatruć młodości tego dziecka tym, co we mnie wrze. Dagmara z dala ode mnie będzie wesoła i szczęśliwa, tutaj uschłaby od mojej goryczy.

Popatrzyła na niego pełna głębokiego współczucia.

— Tak, Rudolfie, dopiero teraz w pełni cię rozumiem i teraz ja także mówię: Dagmara musi wyjechać! I jeśli uważasz, że u Egon i jego żony znajdzie się w dobrych rękach, to niech wyjeżdża w imię Boże.

Przeciągnął ręką po włosach i odparł, już opanowany:

— Jak ci mówiłem, Egon, mimo całej swej lekkomyślności w sprawach finansowych, jest dobrym i zacnym człowiekiem. Jego małżonka jest wprawdzie trochę zarozumiała, ale też naprawdę miła. Ponadto jest bardzo wykształconą, wielką damą. Dagmara może się od niej wiele nauczyć. Napisałem już zresztą do Egon, że powinien przyjechać, żeby zabrać stąd pensjonariuszkę. Że to chodzi o moją... o Dagmarę, o tym go nie powiadomiłem, o tym powinien się dowiedzieć bezpośrednio ode mnie. Muszę mu także podać powody, dla których chcę dziecko odesłać z domu. Inaczej mógłby mnie źle zrozumieć. Ciebie chcę teraz prosić, żebyś przygotowała wszystko do wyjazdu Dagmary. Zatroszcz się o to, by była odpowiednio wyposażona w odzież i bieliznę, i każ wszystko zapakować w kufry. Nie zapomnij także o jej ulubionych zabawkach, sądzę... sądzę, że jest bardzo przywiązana do swoich lalek.

Przy tych słowach głos mu się załamał. Wstał i podszedł do okna. Odczuł nagle coś, jakby gwałtowny ból rozstania. Pomyślał o tym, jak często z zachwytem obserwował swoją córeczkę, gdy bawiła się lalkami, przemawiając do nich czule jak dobra mama. Może nie będzie zdolna pewnego dnia tak bezlitośnie rozstać się ze swym dzieckiem, jak to zrobiła jej matka. Znowu ogarnął go straszliwy ból, któremu musiał sprostać. Całą siłą woli zdusił go w sobie; wszystko stanie się, musi się stać łatwiejsze, jeśli wykreśli Dagmarę ze swego życia.

Brygida obserwowała go pełna współczucia. Po chwili odwrócił się znów do niej.

— A więc zarządz wszystko wedle swojego uznania, nie dopuść, żeby czegokolwiek brakowało, i miej wszystko przygotowane. Egon powinien niebawem zjawić się tutaj i odjechać z Dagmarą bez zwłoki. Czy sądzisz, że na czas podróży będzie musiał zabrać dla dziecka kogoś ze służby?

Potrząsnęła głową.

— Skoro ma córkę w wieku Dagmary, powinien sobie sam poradzić.

— To dobrze, cieszę się. A teraz jeszcze sprawa, Brygido, która, jak sądzę, powinna cię zainteresować. Jutro przed południem, o jedenastej, odwiedzi mnie Werner Falkner. Chciałbym ci powiedzieć, o czym postanowiłem z nim porozmawiać.

I zrelacjonował jej dokładnie, co zamierzał uczynić, jeśli chodzi o Wenera. Pani Brygida przysłuchiwała się uważnie i z zainteresowaniem, a gdy skończył, oznajmiła:

— Myślę, że nie mogłeś dokonać lepszego wyboru, Rudolfie. Wenera Falkner jest jednym z tych młodych ludzi, jakich się teraz rzadko spotyka. A jego rodzice byli zawsze dla niego świetlanym przykładem. Z pewnością nigdy nie będziesz żałował tego, że przygotowałeś go do pełnienia stanowiska, które zamierzasz mu powierzyć.

Popatrzył na nią ze zmęczonym uśmiechem.

— A więc przynajmniej w tym punkcie uzyskałem twoją aprobatę.

— Uzyskiwałeś ją zawsze we wszystkich punktach, Rudolfie. Jeśli uważałam, że w sprawie Dagmary powinnam ci się przeciwstawić, nie możesz się temu dziwić. Jestem... jestem bardzo przywiązana do tego dziecka i rozstanie z nim będzie dla mnie trudne. Ponadto obawiałam się, że pewnego dnia będziesz żałował, iż ją od siebie oddaliłeś.

Podniósł ręce w obronnym geście.

— Nie, nie, mogę ci tylko jeszcze raz powtórzyć, że będzie to dla mnie jedyne rozwiązanie, jeśli jej już więcej nie będę musiał widywać. Cuda się nie zdarzają, a tylko cud mógłby mi wyrwać z piersi dręczące mnie wątpliwości.

Szybkim krokiem opuścił gabinet. Zafrasowana Brygida patrzyła w ślad za nim. Jakież to biedny człowiek mimo swego bogactwa! Wiedziała jednak, że niepodobna mu pomóc.

Pogrążona w smutnych myślach, poszła do pokoju Dagmary, aby jeszcze raz rzucić okiem na dziecko, nim sama uda się na spoczynek. Wilgotnymi oczyma patrzyła na śpiącą dziewczynkę. Tak spokojnie leżała tutaj, nie przeczuwając, że wkrótce zostanie wygnana na zawsze z rodzinnego domu.

Cicho pochyliła się i ucałowała zaróżowione policzki. Gorąca modlitwa za to biedne dziecko popłynęła z jej serca do nieba.

Punktualnie o jedenastej Werner Falkner pociągnął za dzwonek przy bramie willi Strasserów. Chwilę już stał bez ruchu i obserwował bawiącą się w ogrodzie Dagmarę. Ona nie dostrzegła jeszcze gościa, gdyż kwitnące wzdłuż krat ogrodzenia krzewy zasłaniały go przed jej wzrokiem. Teraz jednak brama, jakby poruszona niewidzialnymi rękoma, otwarła się raptownie i gdy Werner wszedł do ogrodu, Dagmara w podskokach popędziła na jego spotkanie.

Podawała mu rękę, która w tej chwili nie była oczywiście całkiem czysta, ponieważ dziewczynka bawiła się w piasku.

— Dzień dobry, panie Wernerze! Czy chcesz się ze mną pobawić, czy idziesz odwiedzić mojego tatkę?

Werner Falkner bywał niekiedy w domu Strasserów, jeszcze przed odejściem Leonory. Po młodzińczemu adorował piękną panią Strasser i wielkim ciosem dla jego egzaltacji była wieść, że Leonora porzuciła męża i dziecko, aby z jakimś skrzypkim wyruszyć w świat. Tym większe było jego współczucie dla Dagmary. Sam wychowany w harmonijnym kręgu rodzinnym, w sercu swym na pierwszym miejscu stawiał matkę, która tronowała tam nawet wyżej niż ukochany ojciec. I wielką litość wzbudzał w nim fakt, że Dagmara nie ma już matki.

Toteż współczująco pochylił się nad dzieckiem.

— Niestety, Dagmaro, teraz nie mam czasu, żeby się z tobą pobawić, oczekuje mnie twój tatuś.

— Och, co tatuś chce od ciebie, panie Wernerze?

— Tego nie wiem — odparł młodzieniec zgodnie z prawdą, ponieważ ojciec nie uczynił na ten temat nawet najmniejszej aluzji.

— Czy potem, kiedy wyjdiesz od tatusia, trochę się ze mną pobawisz? — nie ustępowała Dagmara.

Roześmiał się.

— A w co będziemy się bawić? — spytał nieco ojcowskim tonem.

— Och, w co chcesz. Możemy budować coś z piasku albo bawić się moimi lalkami. Liza się ucieszy, gdy cię wreszcie znów zobaczy. Tak długo już cię tu nie było. Ciocia Brygida nie ma teraz dla mnie wcale czasu i przebywam całkiem sama w ogrodzie. To przyjdiesz się potem ze mną pobawić, dobrze?

Pogłaskał ją po kędzierzawej główce.

— No dobrze, jeśli jeszcze będziesz sama, kiedy wyjdę od twojego tatusia, dotrzymam ci przez jakiś czas towarzystwa.

Podskakując z radości, odprowadziła go aż do drzwi.

— Cieszę się bardzo, poczekam, aż będziesz wracał. I nagle, poważniejąc, stanęła na palcach i szepnęła:

— Tylko nic nie mów tatce o mojej słodkiej mamusi, bo sprawisz mu ból.

Przypomniawszy sobie, jak Leonora Strasser, gdy widział ją po raz ostatni, zachęcała go usilnie, żeby zechciał często zaglądać do Dagmary. Już wcześniej powiedziała mu, że powinien być rycerzem jej córeczki i zawsze nad nią czuwać. Prosiła, żeby nigdy o tym nie zapomniawszy. I Werner nie zamierzał też nigdy zapomnieć. W swej młodzieńczej egzaltacji czuł się po wszystkie czasy pasowany na rycerza Dagmary.

— Nie, nie, możesz być spokojna — odparł równie cicho.

I rozejrzał się uważnie dookoła, czy nikt nie słyszał, co powiedziała Dagmara. Ale byli sami. Teraz dopiero otworzyły się drzwi willi i służący zaprosił Wenera do środka. Miał polecenie, aby wprowadzić Falknera od razu do gabinetu pana domu.

Gdy Werner tam wszedł, zastał Rudolfa Strassera siedzącego przy biurku. Pan domu badawczymi oczyma spojrzawszy na swego gościa. Szczupły, silny młodzieniec, o szlachetnych rysach twarzy i szczerym spojrzeniu szarych oczu, sprawiał bardzo miłe wrażenie i każdemu musiał się podobać.

— Dzień dobry panu. Ojciec powiedział mi, że życzy pan sobie ze mną mówić. Czy wolno spytać, czym mogę panu służyć? — kłaniając się grzecznie, odezwał się Werner.

Rudolf Strasser podniósł się i podał mu rękę.

— Czy ojciec nie zdradził, co mam panu do powiedzenia?

— Nie, oświadczył, że pan sam pragnie mi to przekazać.

Rudolf Strasser przyglądał się młodemu człowiekowi z uczuciem serdecznego bólu. Mieć takiego syna! Razem mogliby pokonać niejedno. Teraz Strasser chciał sobie przynajmniej zapewnić prawo, by wspólnie z ojcem chłopaka pokierować jego wykształceniem i karierą. Już to byłoby dla Rudolfa dobrodziejstwem i odwróciło jego uwagę od zmartwień.

— Proszę, niech pan siada, drogi Wenerze. Chcę omówić z panem coś ważnego.

Usiedli naprzeciwko siebie i Rudolf Strasser ciągnął dalej:

— Chcę mówić z panem o pańskiej przyszłości, Wenerze. Kim chce pan zostać?

Krew uderzyła młodemu człowiekowi do głowy.

— Jest to kwestia, którą już często omawialiśmy z ojcem i w której, niestety, w przeciwieństwie do innych spraw nie jesteśmy zgodni. Chciałbym zostać kupcem, mam to we krwi. Już jako

mały pędrak wyobrażałem sobie, jak krążyć po wszystkich magazynach firmy Strasser lub wypływać w morze frachtowcem. Chciałem naturalnie zajść wysoko, stać się prawdziwym kupcem w idealnym tego słowa znaczeniu, podobnie jak jest nim mój ojciec czy pan. Ale muszę chyba skończyć z tymi marzeniami. Ojciec rozsądnie mi przetłumaczył, że nie każdy kupiec ma szczęście otrzymać takie stanowisko, nawet jeśli jest bardzo pilny i zdolny. Musiałem, niestety, zgodzić się z tym. I dlatego zostanę chyba, tak jak ojciec sobie tego życzy i co mnie również wydaje się najlepsze, inżynierem.

Rudolf przysłuchiwał się temu z uśmiechem. Serce mu rosło, gdy Werner mówił z takim zachwytem o upragnionym zawodzie.

— Rozmawiałem wczoraj z pańskim ojcem i przekonałem go, że pan jako inżynier z trudem będzie mógł osiągnąć dobrą pozycję, natomiast jest to możliwe, gdy zostanie pan kupcem.

Werner popatrzył na niego zaskoczony.

— Przepraszam pana bardzo, ale gdy ojciec wszystko mi wytłumaczył, musiałem mu przyznać rację, bez względu na to, jak było to dla mnie bolesne.

— Mimo to przekonałem pańskiego ojca. Niech mi pan powie, Wernerze, czy chciałby pan uczęszczać do wyższej szkoły handlowej?

Oczy młodego człowieka rozbłysły.

— Naturalnie! Ale jak już powiedziałem, ojciec uważa, że na tej drodze nie mam żadnych widoków.

— Ja natomiast wcale tak nie uważam. Czy chciałby pan po ukończeniu wyższej szkoły handlowej wyjechać na jakiś czas za granicę, a potem rozpocząć pracę w firmie Strasser & Syn?

Werner poczerwieniał na twarzy, sprawiał wrażenie, jakby nagle zrobiło mu się za gorąco. Przeciągnął ręką po ciemnych włosach i nim odpowiedział, zaczerpnął głęboko powietrza.

— Czy chciałbym? Mój Boże, to byłoby przecież spełnieniem moich marzeń, proszę pana. Wiem przecież, jak wspaniałe są interesy tej firmy. Kiedy ojciec czasami opowiada, słucham wtedy z zapartym tchem. Stąd przecież wywodzi się moja tęsknota. Cały świat otwiera się przede mną i wydaje mi się, że mógłbym pofrunąć. Ale, jak wspomniałem, już nie śnię tych młodzieńczych snów.

— Niesłusznie, Wernerze, one mogą się urzeczywistnić, jeśli pan tylko zechce!

— Jak mam to rozumieć? W jaki sposób mogłoby się to stać?

— O tym pan zaraz usłyszysz, a kiedy skończę swój wywód, powinien mi pan odpowiedzieć, czy zgadza się pan na moją propozycję.

I Rudolf Strasser zrelacjonował młodemu człowiekowi, o czym mówili z jego ojcem. Werner Falkner, wstrzymując dech, słuchał z szeroko otwartymi, błyszczącymi oczyma, a gdy Strasser skończył, aż podskoczył.

— Proszę mi wybaczyć, zrobiło mi się gorąco. Proszę, niech mi pan pozwoli minutę odsapnąć! Mój Boże, to wszystko przychodzi tak nieoczekiwanie jak dar niebios. Tak nieoczekiwane, ale tak gorąco wytęsknione i pożądane! Nie umiem nawet wyrazić, jak pańskie słowa na mnie działają. Mam uczęszczać do wyższej szkoły handlowej, mam wyjechać za granicę, a potem rozpocząć pracę w firmie Strasser & Syn! Odprawiać parowce, rozpinać nici interesów po całym świecie, wysyłać towary do jego najdalszych zakątków i sprowadzać wszystko, co inne kraje chcą przekazać na wymianę za nasze wytwory! Ach, to wszystko jest zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe! — wołał z płomiennym uniesieniem.

Twarz Rudolfa Strassera rozpromieniła się. Po raz pierwszy od długiego czasu odczuł wielką, niezmaconą radość. Wydawało mu się, jakby wraz z tym młodym człowiekiem znów stał się młody, jakby ponownie wkraczał mocno w życie. Ach, jak wspaniale być tak młodym i tak pełnym tęsknoty porywającej do wielkich celów. Miał teraz pewność, że jego udział w wychowaniu Wenera na swego następcę może mu wrócić ochotę do życia. Była to przecież zaledwie niewielka rekompensata za to wszystko, co stracił. Werner w ciągu tej godziny stał mu się jeszcze bliższy niż przedtem, widział już w nim nową siłę, która do starej firmy wprowadzi świeżą krew.

Poważnie i stanowczo rozmawiał z odurzonym wciąż młodym człowiekiem, wyjaśniał mu jego obowiązki. Mówił, czego jego ojciec i on sam od niego oczekują. Werner przysłuchiwał się z uwagą, gorliwie, niekiedy stawiał pytania, które trafiały w sedno i zdradzały jego żywe zainteresowanie.

Wreszcie wszystko zostało omówione i Rudolf Strasser podał Wernerowi rękę.

— A więc zgoda?

Wówczas Werner ścisnął jego rękę tak mocno, że na twarzy Strassera pojawił się lekki grymas. Ale natychmiast powrócił mu uśmiech. To przecież było świeże, pulsujące życie, młodzieńcza siła, przed którą świat stał otworem. A on powinien nadto zrobić wszystko, co w jego mocy, aby Wernerowi ten świat udostępnić.

Pożegnał młodzieńca, przekazując pozdrowienia dla rodziców i wiadomość dla ojca, że następnego dnia odbędą konferencję w celu sporządzenia odpowiednich umów.

Gdy potem spoglądał przez okno za odchodzącym Wernerem i zobaczył go rozmawiającego z Dagmarą, na nowo odżył w nim żal, że nie posiada syna, który faktycznie byłby jego synem i był podobny do tego młodzieńca, lecz ma tylko córkę, która wcale nie musi być jego dzieckiem. Opadł z powrotem na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

Werner Falkner, całkiem jeszcze oszołomiony nagłą zmianą swego losu, wyszedł do ogrodu. Zapomniał całkowicie o obietnicy, którą dał małej córeczce pana domu. Ale Dagmara stała już przy grządce róż i przesuwiała nosek od jednej róży do drugiej. Był to tak wdzięczny obrazek, że Werner zatrzymał się oczarowany.

— Czy chciałbyś dostać różę, panie Wernerze? — zwróciła się do niego i zerwała najpiękniejszy kwiat, żeby mu wręczyć.

Rozgorączkowany młody człowiek uznał to za symbol. Życie dawało mu dziś same piękne kwiaty. Wziął różę bardzo ostrożnie i włożył ją do swego portfela. Chciał ją zachować na pamiątkę tej chwili. Widział już w Dagmarze swoją przyszłą młodą pryncypalkę, której pełnomocnikiem stanie się kiedyś, gdy ich ojców nie będzie już przy sterze.

— Dziękuję ci, Dagmaro. Zachowam tę piękną różę na pamiątkę.

Śmiejąc się klasnęła w rękę.

— I dlatego ściskasz ją tak mocno w swym portfelu? Tam przecież nie będzie miała powietrza.

Teraz on się roześmiał.

— Dopiero w domu wstawię ją do wody, tutaj wkładam ją całkiem luźno, popatrz: o tak. Skinęła głową.

— No dobrze, tak jest lepiej. A teraz chodź, pobawimy się.

Chciał pędzić do domu, do rodziców, ale spojrzał w jej proszące oczy i przypomniał sobie swoją obietnicę.

— Ale tylko jakiś kwadransik, Dagmaro, potem muszę już iść do domu.

— Biegnijmy szybko do pawilonu. Tam siedzą moje lalki i czekają na ciebie. Powiedziałam im, że przyjdziesz, i obiecały, że będą grzeczne.

Chwyliła go za rękę i pociągnęła ze sobą. W pawilonie wszystkie lalki siedziały obok siebie na ławce z bambusowej plecionki. Obok na krześle stała kuchenka dla lalek.

— Chodź, panie Wernerze, ugotowałam już czekoladę. Ty także musisz wypić filiżankę.

Zrodziła się w nim lekka wątpliwość co do jej kulinarnych umiejętności.

— Dziękuję, nie chce mi się ani jeść, ani pić — powiedział śmiejąc się, zażenowany nieco rolą, w której tu występował.

— Małą filizankę możesz przecież wypić, czekolada jest pyszna. Ale wiesz, moja Liza popsuła sobie żołądek, je za dużo słodczy. I teraz mam z nią zmartwienie. Mógłbyś jej zbadać puls, czy nie ma przypadkiem gorączki?

Chciało mu się śmiać, że bawi się tutaj lalkami, akurat teraz, gdy czuje w sobie tyle siły, że mógłby świat poruszyć z posad. Ale było coś tak bardzo wzruszającego w macierzyńskiej trosce Dagmary o lalkę, że z całkowitą powagą wyciągnął zegarek i z równie poważną miną spytał:

— Która z nich jest tą Lizą?

— Ta! — odparła, krzątając się pilnie przy swej kuchence dla lalek i napelniając płynem dziwnej barwy dwie miniaturowe filizanki. — Tak, teraz zbadaj jej puls. Myślisz, że ma gorączkę?

Nadal z niezwykle poważną miną ujął rączkę lalki i spoglądając na zegarek, liczył niby uderzenia pulsu.

— Nie, nie ma gorączki, jest zupełnie zdrowa — powiedział chowając zegarek.

— Wobec tego chciałabym wiedzieć, od czego ma bóle. Liza nie chce, absolutnie nie chce wypić czekolady.

Werner nie mógł wziąć tego Lizie za złe, gdy popatrzył na stojący przed nim napój, który Dagmara serwowała jako czekoladę.

— Prawdopodobnie Liza jest przejeżdżona — zauważył rzeczowo.

— Tak myślisz? W takim razie ukołysz ją do snu. Tylko bądź cicho, Liza ma niezwykle lekki sen.

Wzruszającym macierzyńskim ruchem wzięła lalkę na ręce, usiadła na stołeczku naprzeciwko Wenera i nucąc kołysała ją w ramionach.

Werner Falkner siedział bardzo cicho i spoglądał na troskliwą mateczkę. Ogarnął go bez mała nabożny nastrój. Czuł, że w ruchach tego dziecka kryje się coś z misterium macierzyństwa. Ta mała dziewczynka będzie kiedyś bardzo obowiązkową, dobrą matką. A przecież została porzucona przez własną matkę. Biedna, mała Dagmara, jakże mu jej żal. I jak wzruszające jest to, że najbardziej kocha właśnie tę najbrzydszą z lalek, ponieważ dostała ją od matki! A więc małe serduszko nadal jest przywiązane do utraconej rodzicielki...

Werner miał znów przed oczyma Leonorę Strasser, tę przepiękną, czarującą kobietę o aksamitnie brązowych oczach i obfitych blond włosach, które mieniły się intensywnym, złotym blaskiem. Dagmara również miała takie oczy, a jej włosy chyba z czasem ściemnieją i uzyskają ten sam nasycony, ciepły odcień złota. Tak, pewnego dnia ona również stanie się tak piękną, czarującą kobietą jak jej matka, ale Dagmara nie ucieknie od swego dziecka, o tym świadczy jej troskliwa czułość wobec lalek. I gdy kiedyś stanie się taką piękną, młodą kobietą, wtedy będzie również jego

zwierzchniczką. Został dziś wyznaczony do tego, aby w przyszłości prowadzić interesy swojej młodej pani.

Kiedy tak marzył, obudziły się w nim wszystkie rycerskie instynkty. Postanowił być wiernym zarządcą, chciał ustrzec swą panią przed wszelką stratą i z radością być jej pierwszym sługą.

Dagmara podniosła się cicho i położyła uspioną lalkę do łóżeczka, troskliwie ją otulając kołderką.

— Śpi, wyjdźmy do ogrodu, żeby jej nie przeszkadzać — szepnęła. Drgnął zbudzony ze swych marzeń i podniósł się. Dagmara spostrzegła, że nie opróżnił jeszcze swej filiżanki.

— Och, musisz najpierw wypić czekoladę! Bez tego cię nie wypuszczę, panie Wernerze.

Nic nie pomogło, musiał przełknąć brunatno zabarwiony napój, który składał się z zimnej wody i tartej czekolady. Dziewczynka pilnowała gościa.

— Smakowała ci, prawda? — spytała.

Roześmiał się. Marzycielski nastrój ulotnił się, a młodzieńcza egzaltacja przepadła.

— Wspaniale, taką czekoladę chciałbym pić codziennie! Kiwnęła główką zadowolona.

— No to chodź, teraz pobawimy się w piasku.

I trzymając Wenera mocno za rękę, wyprowadziła go do ogrodu. Werner popatrzył na zegarek.

— Niestety, Dagmaro, nie mogę się już z tobą dłużej bawić. Muszę wracać do domu.

— Szkoda, chętnie bym się jeszcze z tobą pobawiła.

— Innym razem, Dagmaro.

Ze śmieszną powagą potrząsnęła głową.

— Ach, ty pewnie jeszcze nie wiesz, że ja wyjeżdżam, do szkoły, bardzo daleko. Muszę się tam dużo uczyć i chcę stamtąd od razu dla mego biednego tatusia sprowadzić słonko, ponieważ go koniecznie potrzebuje: zawsze jest posepny i nieszczęśliwy, ponieważ słonka już tutaj nie ma.

Przypomniało mu się, jak ojciec wczoraj wieczorem opowiadał matce, że Dagmara ma pojechać do Włoch, do kuzyna swego ojca, aby wychowywać się razem z córką tego krewnego.

— Wiem, Dagmaro, słyszałem już o tym.

Spojrzała na niego nieśmiałym, smętnym wzrokiem, którego długo nie mógł zapomnieć.

— Ciocia Brygida mówi, że powinnam to uczynić dla tatusia, i ja to chcę zrobić, ale jest mi bardzo przykro, że muszę wyjechać tak daleko. Niedługo jednak wrócę i wtedy także ciebie zobaczę, panie Wernerze, bardzo się na to cieszę. Będziemy się wtedy dalej bawić. Wszystko wtedy zobaczę, nie zobaczę tylko swojej mamusi, która jest w bardzo dalekim kraju i nie może już nigdy do mnie wrócić. Czy to nie jest smutne?

Z serdecznym współczuciem pogłaskał ją po głowie.

— Biedne dziecko!

— Ciozia Brygida też mnie zawsze tak nazywa. Ale ja wcale nie jestem biedna, tylko smutna.

Rozczuliła go do głębi.

— Będziesz znów wesola, Dagmaro. Kiedy się zobaczymy, wszystko już będzie jak należy. Żegnaj i niech ci się dobrze wiedzie.

— Proszę cię, powiedz do widzenia, panie Wernerze, wolę to niż żegnaj.

— Wobec tego do widzenia. Nigdy cię nie zapomnę, Dagmaro.

— Ja ciebie także, panie Wernerze, zawsze będę o tobie pamiętać. I pozdrowię Lizę od ciebie. Liza wyjeżdża ze mną, ciocia Brygida obiecała mi to, żebym nie była w szkole całkiem sama.

Wzruszony pogłaskał ją jeszcze raz po wijących się jasnych włosach. Potem gwałtownym krokiem pospieszył do domu, gdzie uściskał rodziców, obwieszczając im swoje szczęście i relacjonując wszystko, co omawiał z nim Rudolf Strasser.

Ale gdy emocje minęły i usiadł w swoim pokoju, żeby odrobić gimnazjalne pensum, wpadła mu w ręce róża, którą schował w portfelu. Wstawił ją troskliwie do wody i uśmiechnął się.

Następnego dnia wszystko zostało ustalone w umowach zawartych między Rudolfem Strasserem a Falknerem i jego synem. Rudolf Strasser sporządził również testament, który ustanawiał „jego córkę Dagmarę” uniwersalną sukcesorką, zobowiązywał ją jednak do zachowania układów zawartych z Falknerami.

9

Kasztel Consistellich jeszcze dziś był imponującą, malowniczą budowlą, ale tylko wówczas, gdy patrzyło się na niego z daleka. Zbudowany na zboczu wysokiej góry, hardo spoglądał w dół. Kiedy jednak podchodziło się bliżej, to imponujące wrażenie w sposób istotny słabło.

Szeroka, bita droga, jeszcze dziś dobrze zachowana, prowadziła z boczem w górę aż do wielkiej bramy wjazdowej w murze, który otaczał cały park. Potem wzdłuż muru prowadziła nadal w górę i dopiero ograniczał ją stok. Rosły na nim dość gęsto morwowe drzewa. Park zamkowy był tak wielki, że można było po nim spacerować godzinami, rozciągał się od kasztelu na całą północną stronę góry. Zbocze po południowej stronie obsadzono winną latoroślą i tę winnicę oddano w dzierżawę, podobnie jak i drugą oraz kilka łąk i pól, które pozostały jeszcze Consistellim, ale przynosiły niewiele dochodu. Kasztel był starym rycerskim zamkiem z ogromnymi czworobocznymi basztami, o zębatych blankach i płaskich tarasach. Wielka środkowa budowla z główną basztą,

chyba najstarsza część całego obronnego kompleksu, była najbardziej zniszczona ale dziko rozrastający się bluszcz i inne pnącza otulały ją ochronnym płaszczem, tak że ruina ta wciąż jeszcze sprawiała okazałe wrażenie, choć oczywiście nie nadawała się już do zamieszkania. Tylko krypta familijna Consistellich, która znajdowała się pod główną basztą, była dotąd nietknięta.

Lewe boczne skrzydło, jeszcze nie tak zniszczone, miało zakurzone szyby w oknach i było również malowniczo otulone przez zieleni rozmaitych pnączy, ale nie nadawałoby się do zamieszkania nawet wtedy, gdyby obecny właściciel miał pieniądze na to, żeby je wyposażyć. Całkowicie nietknięte i zdadne do zamieszkania było tylko prawe skrzydło, które z całą pewnością dobudowano dużo później. W oknach lśniły szyby, wydymały się od wiatru białe firanki. Kilka okien na pierwszym piętrze ozdabiała nawet delikatne, utrzymane w żółtym odcieniu koronkowe story. Tam mieściły się pokoje ostatniej potomkini rodu Consistellich, dzisiejszej signory Cateriny Strasser. Szare mury prawego skrzydła, nie pokryte pnączami, sprawiały wrażenie tak stabilne, jakby mogły przetrwać jeszcze stulecia.

Kamienny portal, w którym, podobnie jak w głównej, najstarszej części zamku, wykuty był herb Consistellich, otwierał wejście do prawego skrzydła, które teraz było zamieszkane przez Ego-na Strassera i jego rodzinę.

Consistelli, jak wiele innych włoskich szlacheckich rodów, byli w minionych wiekach sławni przez liczne bohaterskie czyny, a także osławieni przez despotyzm, który w tym kasztelu niejedną istotę pozbawił życia. W głównej części zamku rozpadające się mury odsłoniły przejmujące zgrozą lochy, w których leżały wybielone szkielety, pozostałość po ofiarach okrutnej samowoli.

Z okien zamieszkanego skrzydła roztaczał się cudowny, rozległy widok, daleko ponad równinę, i jeśli nawet przesadą było twierdzenie Ego-na Strassera, że w przejrzyste, piękne dni da się stąd dostrzec wieże Florencji, to przecież z tego wysuniętego cypla Apeninów można było podziwiać wspaniały krajobraz.

Na dole, u stóp południowego zbocza, obok winnicy, mieścił się niewielki dom dzierżawcy i jego rodziny oraz zabudowania gospodarcze. W oborach znajdowało się kilka sztuk bydła. Racjonalna gospodarka mogłaby przynieść większy dochód nawet z tych niewielkich resztek wspaniałej niegdyś posiadłości, ale najpierw trzeba by w to wszystko włożyć duże pieniądze, a tych już Egon Strasser nie posiadał. Tak więc musiał się zadowolić skromnym, ledwie wartym tej nazwy czynszem dzierżawnym i dostawą wszelkiego rodzaju artykułów żywnościowych, które w niewielkim wydzierżawionym majątku były akurat wytwarzane. Ponieważ otrzymywał jeszcze małą rentę, którą się zabezpieczył, spieniężając w ostatniej chwili wszystko, co jeszcze spieniężyć się dało, i która jemu i jego żonie miała być wypłacana aż do ich śmierci, mógł w każdym razie utrzymać przy życiu siebie i swoją rodzinę.

Gdy wspomnianą już szeroką, bitą drogą docierało się na płaskowzgórze, które rozciągało się na mniej więcej trzech czwartych wysokości góry, widziało się przed sobą jedynie potężną, wykonaną z dębowych belek bramę w parkowym murze, a w głębi ponad nią ostry wierzchołek, który sterczał poza kasztelem jak niemy kamienny strażnik. Trzeba się było trochę cofnąć, oczywiście tylko tak dalece, jak na to pozwalał teren, by można było dostrzec także czworokątne, blankowe baszty. Także kiedy już wkroczyło się przez otwartą bramę, nie dało się jeszcze zobaczyć budowli przez gęstwą parkowych drzew. Dopiero gdy dobrą chwilę szło się pod tymi drzewami szeroką drogą, docierało się do wielkiego trawiastego placu i wówczas otwierał się widok na kasztel. Wciąż jeszcze zadziwiał piękną architekturą i patrzący odczuwał przykrość, że ta dumna budowla skazana jest na zagładę.

Prawe zamieszkane skrzydło także wieńczyła czworokątna baszta z blankami, była jednak znacznie mniejsza niż baszta centralna. Wokół zamku rozciągał się otoczony kamiennym murem park. Grzbiet muru zabezpieczono osadzonymi w cemencie, ostrymi jak brzytwa odłamkami szkła.

Skrzydło mieszkalne zamku miało bądź co bądź szesnaście w pełni wyposażonych pokoi, niezależnie od pomieszczeń gospodarczych oraz izb dla służby, i dla zbiedniałej rodziny stanowiło całkiem okazałą siedzibę.

W jednym z otwartych okien pierwszego piętra stała wysoka, szczupła postać kobieca. Klawywnie piękna, lekko opalona twarz, której rysy wykazywały już jednak pewne oznaki wędnięcia, wychyliła się na zewnątrz.

— Marietta! Marietto! — zawołała głośno signora Caterina Strasser.

Stara kobieta uniosła głowę i spojrzała w górę lśnącymi czarnymi oczyma. Rozpromieniła się na widok swej pani, jakby wzeszło dla niej słońce.

— Och, *mia bella marchesa!* Co rozkaże moja pani? — spytała przymilnie, pełna niekłamanego podziwu.

— Kiedy wreszcie dostaniemy śniadanie, Marietto? Stella chyba zasnęła.

— O nie, *mia carissima marchesa*, wszystko jest w porządku, jeszcze tylko niosę kwiaty z parku. Stella nakrywa stół do śniadania i kwiatów na nim nie może zabraknąć. Moja słodka pani musi tylko zejść na dół, wszystko jest przygotowane. Signor też właśnie wrócił z porannej przejażdżki, a Elena, nasz słodki aniołek, wypila już mleko.

Caterina skinęła Mariettcie głową, a ta zachwycona przesłała jej ręką pocałunek.

Marietta była starą garderobianą signory. Służyła już u jej matki, a teraz z fanatycznym podziwem i oddaniem była przywiązana do młodej pani. Za nic w świecie nie nazwałby jej inaczej, jak tylko używając rodowego tytułu, dla niej Caterina pozostała na zawsze markizą. Niekiedy z powodu tego bez mała psiego oddania rościła sobie prawo do tyranizowania swej pani i pozwalała

sobie na rozmaite kaprysy. Nikt nie rozpaczał bardziej z powodu mezaliansu signory niż Marietta; nie mogła pogodzić się z myślą, że jej *dolce marchesa* zdecydowała się poślubić prostego niemieckiego mieszczanina. Egon Strasser tylko dlatego uzyskał w jej oczach pewne znaczenie, ponieważ był bardzo bogaty i spełniał wszystkie życzenia małżonki. Że byłoby lepiej, gdyby wszystkich kosztownych życzeń nie spełniał, o tym nie mówiła. Ale natychmiast stracił całe jej uznanie, kiedy jego bogactwo się skończyło. Nie mogła mu wybaczyć, że nie był już w stanie otaczać nadal jej „markizy” blaskiem i przepychem, i nazywała go niemieckim barbarzyńcą, ponieważ wtrącił *bella marchesa* do tej samotni. Marietta była wprawdzie bardzo dumna z kasztelu jako znaku minionej świetności, ale wydawało się jej, że wegetowanie tutaj, w samotności i niedostatku, jest po prostu uwięzieniem jej ubóstwianej pani, która przecież w Rzymie świeciła olśniewające sukcesy towarzyskie.

Że markiza zaczęła się już stawać przekwitającą pięknnością, uchodziło uwagi Marietty. Dla niej jej pani pozostanie na zawsze piękną, dumną, uwielbianą kobietą, nawet gdy dawno stanie się matroną.

Z taką samą miłością, graniczącą z uwielbieniem, Marietta była przywiązana do małej Eleny, która wcale nie była takim aniołkiem, jak utrzymywała Marietta. Elena była dzieckiem bez serca, wyniosłym i zarozumiałym, i niekiedy besztala porządnie także Mariettę, co ta cierpliwie znosiła. Ta siedmioletnia dziewczynka zachowywała się już jak dumna dama i bardzo się chełpiła tym, że jej matka jest markizą. Kiedy do służby mówiła o matce, nazywała ją, dokładnie tak samo jak Marietta, markizą.

Elena była też niesłychanie próżna i lubiła się stroić. Mimo młodego wieku stała się wychowaną małą damą, bardzo wybredną w odniesieniu do swego ubioru. I wiedziała całkiem dobrze, że jest bardzo ładna, chociaż nie odziedziczyła klasycznie pięknych rysów matki i ku swemu zmarwieniu wykazywała raczej podobieństwo do ojca. Tylko ciemnobrązowe oczy matki spoglądały z dziecięcej twarzy z tym samym wyniosłym i dumnym wyrazem.

Elena odziedziczyła po ojcu jasne włosy. U niego oczywiście z latami bardzo ściemniały, u Eleny zaś były troskliwie pielęgnowane, żeby zachować ich odcień. Włosy blond uchodziły we Włoszech za szczególnie piękne i matka Eleny bardzo uważała, żeby włosy dziewczynki nie straciły swego koloru.

Signora Caterina odwróciła się od okna i udała się do pokoju śniadaniowego, który podobnie jak salon, jadalnia, biblioteka i apartamenty pana domu leżał na parterze. Prawie jednocześnie drugimi drzwiami wszedł jej mąż, prowadząc za rękę córeczkę. Z galanterią podniósł rękę swej pięknej żony do ust.

— Dzień dobry, Caterino, czy dobrze spałaś?

Wzniosła oczy ku niebu.

— Och, *Dio mio!* Jak można dobrze spać w tym *castello*, gdzie człowiek jest tak samotny!

Roześmiał się. Jego szczęśliwa natura nie pozwalała mu nigdy tracić dobrego humoru, nawet wtedy gdy jego małżonka zaczynała wywodzić skargi i złorzeczenia nad swym „skazaniem na wygnanie”, jak określała przeprowadzkę do kasztelu.

— A ja uważam, że właśnie w tym wspaniałym zaciszu śpi się cudownie. Jeszcze nigdy w życiu nie spałem tak dobrze jak tutaj i obawiam się, że z tej przyjemności zacznę tyć — zażartował.

Załamala ręce, a potem jakby dla sprawdzenia przeciągnęła nimi po swej szczupłej figurze.

— Przyprawiasz mnie o dreszcz zgrozy, Egonie! Na miłość boską, tylko nie przytyć, to byłaby moja śmierć!

Uśmiechając się dobrodusznie wziął ją w ramiona.

— Mam nadzieję, że przeżyjesz to, Caterino, jeśli z czasem staniesz się tutaj nieco pulchniejsza. Pewnego dnia to nieszczęście dosięgnęłoby cię na pewno i w Rzymie, ponieważ jest to los większości kobiet: im są starsze, tym bardziej się zaokrągłają.

Przerażona zatkała rękoma uszy.

— Zlituj się! Jak możesz wysuwać tak straszliwe twierdzenia? I jakże jest nietaktownie z twojej strony mówić do mnie o starzeniu się.

Nie tracąc dobrego humoru, znów pocałował ją w rękę.

— Staniesz się jeszcze piękniejsza, jeśli troszeczkę przybierzesz na wadze, wierz mi — pocieszył ją.

— Och, wy Niemcy jesteście barbarzyńcami, nie macie żadnego gustu. Gdy kobieta zaczyna tyć, przestaje być piękna — powiedziała nieco łagodniej.

— No cóż, jeśli mój gust wydaje ci się barbarzyński, ponieważ uważam, że miła pulchność jest u kobiet rzeczą bardzo ładną, to możesz się tylko cieszyć, ponieważ nie musisz się zamartwiać, że przestaniesz mi się podobać, jeśli się trochę zaokrągłisz.

— Zamilcz, proszę! Och, *Dio mio*, chyba chcesz mnie zamordować tymi strasznymi słowami! I chcesz mi z pewnością dać do zrozumienia, że się starzeję. O jakaż ze mnie nieszczęśliwa istota! Na pewno na tym wygnaniu zestarzeję się przedwcześnie. Co za nieszczęście, co za nieszczęście! Umrę chyba niebawem, nie zniosę długo tej samotności. Wtedy będziesz mógł złożyć mnie na wieczny spoczynek w krypcie moich przodków. Ostatnia z rodu Consistellich zgaśnie jak gwiazda, która o wiele za wcześnie straciła światło.

I zaczęła namiętnie szlochać i lamentować.

Egon Strasser był już przyzwyczajony do takich ataków swej zbyt skłonnej do wybuchów żony. Nie brał ich tragicznie i to było jego szczęście, w przeciwnym wypadku miałby już na ziemi istny czyściec. Teraz od rana do wieczora wysłuchiwał takich skarg, którym nierzadko wtórowała Marietta. Pełen cierpliwej dobroci wziął żonę ponownie w ramiona.

— Uspokój się, Caterino, nie da się przecież tego zmienić, że musimy żyć w takim osamotnieniu. Jest to jednak tysiąc razy lepsze, niż gdybyśmy musieli egzystować w jakimś ciasnym, czynszowym mieszkaniu w Rzymie, gdzie wszystko wydawałoby ci się jeszcze cięższe. Pomyśl o tym, ile pięknych chwil mamy za sobą. Użyliśmy naszej młodości tak, jak niewielu ludziom było to dane, teraz pozwól nam znaleźć zadowolenie w tym, co nam pozostało. I wierz mi, że zachowaniu twojej piękności o wiele bardziej będzie sprzyjać tutejszy spokój i kojące duszę otoczenie niż towarzyski wir wielkiego świata. Tamtego życia było już za wiele! Przypomnij sobie, jak często byłaś śmiertelnie zmęczona, gdy padając z nóg szliśmy z jednego przyjęcia na drugie. Co mieliśmy właściwie dla siebie? Nic! Widziałem zawsze swoją żonę tylko wśród wielkiego kręgu wielbicieli, przez który z trudem mogłem się przepchnąć, i uważam, że to wszystko już dawno przestało być zabawne.

Zesztywniała nagle w jego ramionach.

— Czyżbyś zazdrościł mi podziwu, Egonie? Czy nie byłeś dumny ze swej pięknej żony? Czy nie czułeś się podwójnie szczęśliwy, kiedy będąc o mnie szalenie zazdrosny, mogłeś być przecież jednocześnie pewien, że należę wyłącznie do ciebie?

Pogłaskał jej kruczoczarne, lśniące włosy.

— Szczerze mówiąc, Caterino, teraz czuję się o wiele szczęśliwszy. Że jesteś piękna, sam widzę, nie muszą mnie dopiero inni swymi zachwytyami o tym przekonywać. Tak, tak, tak, czuję się tutaj szczęśliwszy niż kiedykolwiek w Rzymie.

— Och, ty egoisto bez serca! A że ja czuję się tutaj śmiertelnie nieszczęśliwa, to nie ma dla ciebie najmniejszego znaczenia? Że fizycznie i duchowo muszę się marnować w tej głuszy, to wcale ci nie przeszkadza być szczęśliwym?

Spowaźniał.

— Bądźże wreszcie rozsądna, Caterino! Daj mi możliwość przeniesienia cię znów do Rzymu, do dawnych warunków, to chętnie ją podejmę. Ale wiesz, że takiej możliwości nie ma. Tak, jakiś rok może byśmy jeszcze wytrzymali, ryzykując stracenie całej reszty. Ale wówczas stalibyśmy się żebrakami i musieli głodować. Więc bądź tak dobra i ciesz się, że dosłownie w ostatniej chwili udało mi się zapewnić nam jako tako znośne życie.

— Tak, za moje klejnoty! Prawie wszystkie musiałam poświęcić, żebyś cały dochód z ich sprzedaży mógł włożyć w tę mizerną rentę.

— Tego nie dało się uniknąć, Caterino, ponieważ nie pozostały nam żadne rezerwy, wszystko inne trzeba było sprzedać dla pokrycia naszych długów. A że musiałem na to przeznaczyć biżuterię, którą ci niegdyś tak chętnie ofiarowywałem, było dla mnie bardziej bolesne niż dla ciebie. Ale sprzedaż klejnotów zapewniła nam do końca naszych dni wprawdzie niewielkie, ale przecież stałe dochody. Także po mojej śmierci nie zaznasz biedy, i to mi daje poczucie spokoju.

— Och, ten twój spokój! Nie mogę go pojąć, nigdy nie zadowolili mnie takie życie. Zawsze będzie palić mnie tęsknota za moim ukochanym Rzymem, za splendorem, który mnie tam otaczał, za pogodnym, wytwornym towarzystwem. Jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa!

Westchnął. Stara piosenka, codziennie musiał jej wysłuchiwać.

— Przykro mi, Caterino, że nie możesz pogodzić się z koniecznością. Niestety, nie mogę ci zapewnić innego życia.

Zaniosła się łkaniem od nowa

— Z każdym dniem będzie gorzej. Teraz jestem jeszcze całkiem dobrze zaopatrzona w garderobę. A co wtedy, gdy rzeczy będą znoszone czy też staną się niemodne? Nie znajdziesz pieniędzy, żeby mi kupić nowe. I wówczas co? Nie potrafię sobie tego nawet wyobrazić.

— Ale tu, w tej samotni, nie będziesz potrzebowała zbyt wielu nowych toalet.

— Czy to ma być pocieszenie?

— Nie, nie! — zawołał zniechęcony.

— No więc?! Zebrał wszystkie siły.

— Poczekaj jeszcze trochę. Mam nadzieję, że dostaniemy pensjonariuszkę, myślę o tym przede wszystkim ze względu na ciebie. Jej utrzymanie tutaj nie będzie kosztowało ani jednego solda. Przecież dzierżawca daje nam dostatecznie dużo wszystkiego, co jest potrzebne do gospodarstwa. Pieniądze, które pensjonariuszka zapłaci za swój pobyt, otrzymasz na swoje kobiece wydatki.

Caterina szybko osuszyła łzy.

— Czy to aby pewne?

Egon miałby oczywiście inne przeznaczenie dla tych ewentualnych dochodów, ale chciał najpierw uspokoić małżonkę.

— Myślę, że tak, Caterino. Nasza skromna renta wystarcza z biedą na codzienne potrzeby, opłacenie służby i temu podobne. Toteż trzeba przyjąć, że te dodatkowe wpływy będą przeznaczone dla ciebie i Eleny na wydatki związane z waszą garderobą.

Objęła go i pocałowała.

— A więc przynajmniej o tym pomyślałeś, Egonie! To miłe z twojej strony. Muszę mieć przecież porządną odzież, nawet jeśli tylko ty mnie w niej widzisz.

Ucieszył się, że wreszcie się uspokoiła.

— A teraz, Caterino, siadajmy do śniadania. Po porannej przejażdżce jestem głodny jak wilk.

Poprowadził usłużnie małżonkę do starannie nakrytego stołu, na którym znajdowały się eleganckie srebrne sztuce i piękna porcelana, a w kryształowym wazonie stały kwiaty, których dzięki Marietcie nigdy nie zabrakło.

Podczas całej sceny między ojcem i matką mała Elena siedziała przy oknie i ciemnobrązowymi oczyma spoglądała na nich ciekawie. Teraz odezwała się przemądrzale:

— Musisz się, mamó, przypudrować; kiedy się płacze, człowiek staje się brzydki.

Caterina przestraszyła się, wyciągnęła szybko puderniczkę i przypudrowała sobie nieco twarz.

— Bez impertynencji, Eleno — zwrócił jej uwagę ojciec. Elena popatrzyła na niego zdumiona.

— Czy to są impertynencje, papo? Mama przecież zawsze mi mówi, że nie powinnam płakać, bo od płaczu się brzydnie. I ja o tym mamie przypomniałam.

Signora Caterina roześmiała się. Przyciągnęła córkę do siebie.

— Masz rację, mój aniołku, nie należy płakać, to niszczy urodę. Ja także nie będę już płakać, chociaż to bardzo smutne, że tak zbiednieliśmy.

Elena spoglądała na matkę ciemnymi oczyma niewzruszona i bardzo pewna siebie.

— Będziemy znowu bogaci, mamó; kiedy dorosnę, poślubię bogatego markiza i wtedy znowu przeprowadzimy się do naszego pięknego pałacu w Rzymie.

Egon Strasser patrzył na swoją córkę, potrząsając głową.

— Kto ci nakładł do głowy takich głupstw?

— Marietta mi to powiedziała i to nie są żadne głupstwa, to jest bardzo mądre. Tylko moje bogate małżeństwo może nas uratować, twierdzi Marietta, i dlatego pielęgnuje moje włosy, żeby zachowały swój piękny jasny kolor. Wtedy dostanę bogatego męża, ale musi to być dumny markiz, nie żaden mieszczanin, jakiego poślubiła mama. I wtedy wszystko będzie dobrze: pojedziemy znowu do Rzymu, zamieszkamy w pałacu, będziemy jeździli autem lub kareta w czwórkę koni i będziemy stale podróżować, i wszystko będzie znowu pięknie.

Mała Elena powiedziała to z miną dorosłej światowej damy. Ojcu ze złości uderzyła krew do głowy.

— Marietta jest głupią starą babą i już ja jej powiem, co o tym myślę. Ona nie może małemu, naiwnemu dziecku wmawiać takich bzdur — powiedział ostro.

— Och, zostaw Mariettę w spokoju, bo inaczej będzie znowu całymi dniami obrażona — wtrąciła się Caterina.

— Nie powinnaś przywiązywać do tego takiej wagi, wtedy by nie odgrywała obrażonej przy każdej uwadze, którą jej się zrobi. Jest rzeczą doprawdy niesłychaną, żeby opowiadać dziecku takie bzdury.

— Wybacz, ale to nie są bzdury! Marietta ma rację. Elena powinna pojąć dostatecznie wcześnie, że tylko bogata partia może ją uwolnić od wszelkiej nędzy.

— Proszę cię, Caterino, Elena jest jeszcze dzieckiem.

— Ale jest rozsądna ponad wiek.

— U nas by się powiedziało: przedwcześnie dojrzała.

— Ach, daj spokój z tymi nudnymi, sentymentalnymi niemieckimi określeniami, Egonie. Elena będzie zawsze żyła we Włoszech, a u nas dzieci wcześnie dojrzewają. Zresztą nie musisz się denerwować na zapas, bowiem pozostaje dla mnie w ogóle zagadką, jak moja biedna Elena znajdzie męża tutaj, na tym wygnaniu. Poza tym, niestety, nie jest do mnie wcale podobna wybitną pięknnością na pewno nie będzie i tylko jasny kolor jej włosów i staranne pielęgnowanie urody mogą podnieść jej wartość, i to naturalnie tylko wtedy, gdy wprowadzimy ją w wielki świat, skoro tylko dorośnie.

Ostatnie kwestie Caterina wypowiedziała po francusku, ponieważ Elena nie opanowała jeszcze dostatecznie tego języka. Markiza nie chciała już więcej złościć swego małżonka i zajęła się śniadaniem. Egon mógłby jeszcze bardzo dużo powiedzieć na ten temat, wiedział jednak, że oprócz nowej sceny nic tym nie osiągnie. Kiedy tylko chciał energiczniej wkroczyć do spraw wychowania córki, natychmiast między nim a jego żoną powstawała różnica zdań i Caterina wykpiwała jego sentymentalny niemiecki sposób myślenia. Więc dla świętego spokoju przyzwyczajał się stopniowo do milczenia, chociaż czasem robił sobie z tego powodu wyrzuty. Egon Strasser nie był człowiekiem o silnym charakterze i bardzo rzadko przeprowadzał swoją wolę.

W trakcie śniadania do pokoju wszedł ładny, silny chłopak, ubrany w liberię. Przyniósł na tacy pocztę i z nieco niezręcznym ukłonem wręczył ją swemu panu.

Egon Strasser odbierając pocztę powiedział:

— Opatrz zaraz mego konia, Giuseppe, i nie zapomnij dobrze go wytrzeć.

— Tak, signor, zaraz to zrobię, właśnie dopiero co wróciłem.

Chłopak musiał codziennie chodzić do oddalonego o dwie godziny drogi urzędu pocztowego; przy okazji załatwiał najczęściej jeszcze inne sprawunki.

Służący, ukłoniwszy się, zamierzał się oddalić, gdy Elena zawołała na niego pańskim tonem:

— Giuseppe!

Odwrócił się ku niej.

— Co rozkaże signorina Elena?

Elena wyniośle odrzuciła głowę do tyłu.

— Dlaczego nie ustawiłeś mi jeszcze ławki na placu zabaw w parku, jak ci to poleciłam?

— Nie miałem kiedy. Zrobię to dziś po południu.

— Dlaczego nie zaraz?

— Mam jeszcze coś innego do roboty.

— Ty głupku, jesteś po prostu leniwy i tylko siedzisz razem ze Stellą i kucharką. Słyszę dobrze, jak się śmiejecie i trajkoczek. Musisz mi zaraz ustawić ławkę, potrzebna mi do zabawy. Teraz możesz odejść.

Rozkazywała jak mała dama, wyniosłym, ostrym głosem. Jej matka nie znajdowała w tym nic naganego, ponieważ ona także od dziecka była przyzwyczajona do dyrygowania służbą. I teraz też zawsze przybierała wobec personelu wyniosły, dumny ton. Egon Strasser nie zwrócił jednak uwagi na zachowanie córki, ponieważ natychmiast dostrzegł w poczcie list od swego kuzyna Rudolfa. Egona naturalnie bardzo zainteresował ten list. Otworzył go i przeczytał.

Po chwili z zadowoloną miną podniósł oczy znad lektury.

— Caterino, jest już odpowiedź na mój list do Rudolfa. O cudzie! ma już dla nas *in petto* pensjonariuszkę! Wyobraź sobie, sześciolletnią dziewczynkę, co chyba wcale nie jest złe. Dziecko będzie dla nas mniej obciążające niż osoba dorosła.

Signora Caterina przysłuchiwała się z zaciekawieniem. Także Elena patrzyła z napięciem na ojca.

— Papo, czy mama dostanie pieniądze na kobiece wydatki również dla mnie? — spytała.

Ojciec nie odpowiedział. Bardzo kochał córkę, ale czasami jej przedwczesna dojrzałość, jej sposób zachowania, świadczący o zimnym, wyrachowanym sercu, wprawiała go w zły humor. To też patrzył tylko na swoją żonę.

— Czy otrzymamy za to jakąś znaczącą sumę? — zapytała także ona, podejmując przede wszystkim kwestię pieniędzy.

— Nie wiem jeszcze, jaką z tego odniesiemy korzyść, sądzę jednak, że mój kuzyn zatroszczy się o to, żebyśmy otrzymali odpowiednią zapłatę. Musi sobie przecież zdawać sprawę, że za nasz wielki trud należy dobrze zapłacić. Zresztą pisze mi, że powinienem sam przyjechać do Niemiec, aby zabrać dziecko.

— Och, taka daleka podróż jest bardzo droga.

— Rudolf pisze, że pokryje związane z nią koszty.

— To w porządku. I mówisz, że pensjonariuszka ma dopiero sześć lat?

— Tak pisze Rudolf, a ja mogę się tylko domyślać, że chodzi o jakąś majątną sierotę.

— Wobec tego powinna nam za wszystko wyjątkowo dobrze zapłacić!

— Zobaczę, co da się osiągnąć. W każdym razie będzie mogła wychowywać się razem z Eleną. Uważam to za korzystne, że Elena otrzyma towarzyszkę zabaw i nauki i nie będzie już przebywała tylko z dorosłymi. Czy cieszyłabyś się, Eleno, gdyby tu przybyła mała dziewczynka, z którą mogłabyś się bawić?

Elena zrobiła protekcyjną minę.

— Najpierw muszę się przekonać, czy mi się spodoba i czy ma ładne sukienki.

Ojciec wymierzył jedynaczce delikatny policzek.

— Jesteś głupim, niezdolnym dzieciakiem — powiedział, ale wkrótce złość mu przeszła, gdy pomyślał o perspektywie przyjazdu z całą pewnością majątnego gościa.

Był zadowolony, że żona nie zgłosiła żadnego sprzeciwu, ponadto cieszył się, że znów pojedzie do Niemiec i zobaczy się z kuzynem, którego zawsze bardzo cenił. Omówił z Caterina wszystkie szczegóły, a potem kazał osiodłać konia, aby osobiście nadać na poczcie telegraficzną odpowiedź Rudolfowi.

Sprawdziwszy najpierw dokładnie na stacji rozkład jazdy, zatelegrafował:

Przyjeżdżam w poniedziałek wieczorem.

Egon

10

Signora Caterina wróciła do swoich pokoi. Tren jej kosztownej porannej sukni ciągnął się za nią po kamiennych podłogach kasztelu, starannie wywoskowanych i błyszczących jak najpiękniejszy parkiet. Leżało na nich wiele dywanów, ale nie najlepszego gatunku. Tylko w jednym z pokoi Cateriny znajdował się jeszcze wielki pers, a w innych kilka dywaników rzadkiej piękności. Widać było, że w tym domu wszystko jest nastawione na to, żeby apartamenty pani domu urządzać szczególnie pięknie i przytulnie. I gdyby signora Caterina nie była tak bezmiernie rozpieszczona, czułaby się w tych pomieszczeniach naprawdę bardzo dobrze. Chociaż niektóre pokoje kasztelu wyposażone były biednie, jej nie brakowało niczego. Także pozostałe wyposażenie można było nazwać feudalnym, ponieważ wszędzie znajdowały się jeszcze meble i tkaniny ze starych dobrych czasów, nawet jeśli były już bardzo zniszczone. Dawna markiza Consistelli w swych eleganckich powłóczystych strojach pasowała naprawdę do tego otoczenia.

Przeszła teraz do gotowani i zadzwoniła na Mariettę. Gdy ta pojawiła się, poleciała jej:

— Ubierz mnie, Marietto.

— Co dziś chce nosić *mia bella marchesa*?

— Ach, to przecież bez znaczenia, nikt na mnie nie patrzy, Marietto! Jak myślisz, czy mam włożyć tę srebrnoszarą suknię z weluru, z koronkami, czy tamtą w kolorze malwy z guziczkami z perłowej masy? Doradź mi.

— Przyjdzie jeszcze dzień, *mia carissima marchesa*, kiedy moja pani pojedzie znowu kareta zaprzęzoną w cztery konie, a wszyscy ludzie w Rzymie będą stali i patrzyli, patrzyli i podziwiali. Modłę się codziennie do wszystkich świętych, żeby moja ubóstwiana pani znowu pojechała do Rzymu i miała swoje własne auto. Tutaj, o święci pańscy, tutaj stoi w stajni tylko stary powóz, do którego nie ma nawet koni. Trzeba najpierw przyprowadzić pociągowe konie dzierżawcy, jeśli *mia marchesa* pragnie czasem wyjechać. I srebrnoszare brokatowe obicia w karecie są już tak wyblakłe! *Mia bella marchesa* będzie znowu jeździła na spacer po Rzymie z całym splendorem, jeśli modlitwy starej Marietty coś pomogą...

Papłając tak bez przerwy, Marietta rozpuściła bujne ciemne włosy swej pani, które, gdy markiza siedziała, sięgały aż do podłogi. Marietta z czułą troskliwością czesała je i szczotkowała, potem splotła w kunsztowne warkocze i upięła na tyle głowy. W trakcie tego signora Caterina obserwowała się uważnie w lustrze, od czasu do czasu dotykała lekko twarzy puszką do pudru i znudzona ziewała. Kiedy fryzura była skończona, zajęły się manicurem i pedicurem, wreszcie markiza narzuciła srebrnoszarą suknię z weluru, a Marietta włożyła swej pani jedwabne pończochy i odpowiednie buty.

Signora już gotowa stanęła przed lustrem. Był wciąż jeszcze olśniewająco pięknym zjawiskiem i tylko bardzo krytyczne i ostre spojrzenie mogło zauważyć lekkie ślady przekwitania urody, które zaznaczały się na obliczu tej kobiety. Caterina miała trzydzieści sześć lat, ale w krajach Południa był to już niebezpieczny wiek dla kobiecej urody i gdyby nie troskliwe kosmetyczne zabiegi, których Marietta nie szczędziła swej pani i które często trwały całymi godzinami, ślady te byłyby o wiele bardziej widoczne.

Po skończonej toalecie signora Caterina wzięła srebrnoszary jedwabny szal z długimi frędzlami i udrapowała go na ramionach. Tylko Hiszpanki i Włoszki wiedzą, jak te szale właściwie nosić, aby uzyskać dekoracyjny efekt. Markiza była mistrzynią w tej sztuce.

Tak ubrana udała się na poranny spacer do parku. Towarzyszyła jej Elena równie wytwornie wystrojona. I widok tej siedmioletniej dziewczynki małpującej wielką damę byłby bardzo śmieszny, gdyby nie jej aroganckie i niedzieliące zachowanie.

Matka i córka gawędziły przy tym jak dwie przyjaciółki w tym samym wieku. Elena wysłuchiwała wciąż skarg matki uzalającej się, że została skazana na to pozbawione radości życia wygnanie i że wprost chorobliwie tęskni za swym ukochanym Rzymem i jego uciechami. I znajdowała zrozumienie u przedwcześnie dojrzałego dziecka, które także nie mogło zapomnieć towarzyskich radości stolicy i zakosztowanego tam luksusu. Wreszcie jednak zaczęły rozmawiać o oczekiwanej małej pensjonariuszce i Elena zapytała, drepcząc dystyngowanie obok matki i niosąc na ramieniu śliczną, małą parasolkę od słońca:

— Ta pensjonariuszka to Niemka, prawda, mamó?

— Tak, Eleno, tak przypuszczam.

— To nie ma się naprawdę na co cieszyć.

— Dlaczego?

— Przecież sama powiedziałaś, mamó, że wszyscy Niemcy są nudni.

— No... są wyjątki. Twój papa jest przecież także Niemcem.

— Tak, ale papa jest barbarzyńcą.

Matka, zamiast się oburzyć, roześmiała się rozbawiona.

— Kto ci powiedział, że papa jest barbarzyńcą?

— Marietta, ponieważ papa przywłókł cię tu do kasztelu. Matka westchnęła.

— Ach, Eleno, papa też bardzo chętnie pozostałby w Rzymie, stwarza tylko pozory, że mu się tutaj podoba. A w ogóle był tak wspaniałym kawalerem, że wszystkie przyjaciółki mi go zazdrościły. Z całą pewnością nie jest nudnym Niemcem, lecz chwalebny wyjątkiem. Tylko, niestety, stał się biednym człowiekiem, co jest o wiele gorsze, niż gdyby był barbarzyńcą.

— To bardzo brzydko ze strony papy, że stał się biednym człowiekiem. Matka roześmiała się znowu.

— Ach, ty mały głuptasku, jak sobie to wyobrażasz? Przecież papa nie został dobrowolnie biednym człowiekiem, naprawdę nie, chętnie pozostałby majątny, ale głupie pieniądze się skończyły. A byliśmy tacy szczęśliwi, jak długo był bogaty. Teraz wszystko minęło.

I Caterina rozpoczęła na nowo swe skargi, a Elena doszła przy tym do przekonania, że ona także prowadzi pożałowania godne życie. Takie mniemanie nie pozostawało bez negatywnego wpływu na rozwój duchowy dziecka.

Matka i córka dotarły na wzgórze, które wznosiło się niedaleko zamku. Ustawiono tam ławki dla wypoczynku. Było to jedyne miejsce w parku, skąd ponad murem roztaczał się szeroki widok, chociaż i stąd nie dostrzegało się bitej drogi, gdyż wzniesienie nie było na to dostatecznie wysokie. Matka i córka usiadły. Signora Caterina wzdychając spoglądała w tę stronę, gdzie, jak przypuszczała, znajdowała się Florencja.

— Tam, Eleno, daleko, daleko leży Florencja. Pamiętasz może ten wspaniały festyn, w którym brałyśmy udział ubiegłego roku w *palazzo* Ulfino?

— O tak, mamó, zaproszono prawie setkę dzieci z rodzicami. I wszystkie dziewczynki miały białe sukienki i kwiaty we włosach. Ja jednak byłam najładniejsza, bo miałam jasne włosy i zostałam królową piękności. A *conte* Ulfino powiedział: „W te blond włosy złapie się niejeden motyl”. Ty jednak uznałaś, że festyn był nudny.

Signora Caterina westchnęła znowu.

— Tak, tak, takie zabawy najlepiej udają się w Rzymie! Ale wiele dałabym dziś nawet za taką we Florencji, zawsze to lepsze niż w ogóle nic.

— Też bym sobie tego życzyła, mamó. Tutaj jest okropnie nudno.

— Teraz dla ciebie, Eleno, będzie tu nieco znośniej, gdy przyjedzie ta mała Niemka. A jeśli okaże się nudna, już my ją tego oduczmy. Bądź co bądź będziesz miała towarzystwo, a mnie to także trochę odciągnie od smutnych myśli. Poza tym nabierzesz wtedy większej ochoty do nauki.

— Ach, ta głupia nauka!

— Ona jest jednak niezbędna, mój aniołku. Jeśli później nie będziesz umiała miło i dowcipnie rozmawiać o wszystkich rzeczach, dla nikogo nie będziesz atrakcyjna, nawet wtedy, gdy będziesz piękna; ja największe sukcesy zawdzięczam mojej czarującej sztuce konwersacji. Głupie kobiety nie cieszą się powodzeniem. Musisz także na nowo podjąć lekcje gry na fortepianie, jeśli nie można inaczej, będę ci ich sama udzielać. Aby coś znaczyć w towarzystwie, trzeba być również muzykalnym. No i nie umiesz, niestety, jeszcze ani czytać, ani pisać, sama nie wiem, jak się to mogło stać, a przecież już najwyższy czas.

Markotna Elena kręciła nieustannie w kółko swą parasolką.

— Nauka jest tak straszliwie nudna! Umiem już mówić po włosku i po niemiecku.

— Ale jeszcze francuskiego musisz się koniecznie nauczyć. A przede wszystkim należy wszystkie te języki opanować w piśmie. Teraz stanie się to dla ciebie nieco zabawniejsze, gdy będziesz miała towarzyszkę do nauki. A w ogóle to bardzo dobrze, że ta mała pensjonariuszka przyjedzie.

— Z powodu pieniędzy na nasze kobiece wydatki, prawda, mamó?

— No cóż, także z powodu tych pieniędzy.

Spojrzenie signory Cateriny błędziło ponad ogromnym parkiem, w którym rozrastały się dziko niezliczone kwitnące krzewy, przemieszane z drzewami oliwnymi i morwowymi. Od czasu do czasu dostrzegło się kępę pomarańczowych i cytrynowych drzew oraz mizerne palmy. Ale w innej części parku stały prastare cyprysy i pinie. Majestatyczne cyprysy, które zawsze wywierają

uroczyste wrażenie, wystrzeliwały w górę jak nieme przypomnienie o przemijalności wszystkiego co ziemskie. Ostroymi konturami ciemnych gałęzi kontrastowały z intensywnie błękitnym niebem.

Ten widok szczerze zachwyciłby wiele oczu, ale signora Caterina i jej córka uznawały to wszystko za nudne.

Posiedziawszy chwilę na wzgórzu, ruszyły w drogę powrotną i dotarły do portalu właśnie w chwili, gdy Egon Strasser wrócił ze swej wyprawy na stację kolejową i pocztę. Zeskoczył z konia i przekazał go nadbiegającemu Giuseppe, który odprowadził rumaka do stajni. Egon rozpromienionymi oczyma spojrzął na żonę.

— Wyglądasz olśniewająco w tej subtelnej srebrzystej szarości, Caterino, podkreśla ona wszystkie twoje zalety. Jesteś cudowna! — i z galanterią przyciągnął jej delikatną, szczupłą dłoń do ust.

Spojrzała na niego z uśmiechem. Komplementy nastrajały ją zawsze pogodnie.

— Rozmawialiśmy właśnie o tym, że już najwyższy czas, żeby Elena podjęła regularną naukę. Tylko jak to zrobić? Boję się tego, że będę musiała sama ją uczyć.

Otoczył ją ramieniem.

— Poczekaj, aż wrócę z Niemiec. Nasza pensjonariuszka również musi podjąć naukę i może uda mi się załatwić rzecz tak, żeby zaangażować dla niej wychowawczynię. Elena mogłaby wtedy pobierać nauki bezpłatnie.

Ta myśl zachwycała signorę Caterinę prawie tak samo jak wcześniejsza o obiecanych jej pieniądzech na osobiste wydatki, co cały czas miała na uwadze.

— Oby ci się tylko udało, obyśmy tylko rzeczywiście otrzymali dużo pieniędzy. Ach, jakże przykro jest oszczędzać i skąpić na wszystko.

Egon obawiał się nowego wybuchu jej lamentów i szybko wycofał się, twierdząc, że musi napisać kilka listów.

Elena poszła się bawić, a Caterina udała się do swego salonu. Marietta przechodząc obok spytała, czy jej pani ma jakieś życzenia. Signora nie miała żadnych, chciała jednak porozmawiać z Mariettą. Opowiedziała jej o pensjonariuszce. Wtedy stara służąca zaczęła lamentować, że jej dumna pani została zmuszona do tego, by za opłatą przyjmować pensjonariuszkę. Setki gości bywały w kasztelu Consistellich goszczone po książęcemu, a teraz jej *dolcissima marchesa* musi się tak dalece poniżyć. Ale tym razem signora nie przyłączyła się do tych narzekań. Powiedziała nawet Marietce coś obraźliwego o głupim gadaniu, które do niczego nie prowadzi.

Stara, jak zawsze, kiedy jej pani nie zgadzała się z jej zdaniem, obraziła się i zamilkła. Poszłaby za swoją panią w ogień, być może popełniłaby nawet dla niej przestępstwo, aby ubóstwianej markizie pomóc odzyskać splendor i luksus, ale signora nie miała prawa jej karcnąć. I teraz obnosiła

obrażoną minę, dopóki Caterina śmiejąc się nie rzuciła się jej na szyję i nie nazwała swoją głupiutką, starą Mariettą. To pomagało natychmiast. Marietta rozplywała się jak masło, całowała swą panią po rękach i robiła wszystko, co tylko mogła odczytać jej z oczu. I teraz już pani i służąca omawiały zgodnie i z zapalem wszystkie za i przeciw związane z przyjęciem w domu małej pensjonariuszki.

11

Egon Strasser udał się starą kareta zaprzęzoną w konie dzierżawcy do najbliższej stacji kolejowej, która leżała obok sąsiedniej wsi Sorino. W Sorino poprosił naczelnika gminy, żeby wystawił mu paszport, i potem pojechał małą lokalną linią do Florencji, gdzie przesiadł się do bezpośredniego pociągu do Niemiec. Nie robiąc przerw w podróży dotarł do Hamburga. Tam na dworcu oczekiwał go Rudolf Strasser. Kuzyni przywitali się serdecznie. Po kilku minutach auto zatrzymało się przed portalem willi Strasserów.

Panowie wymienili po drodze kilka zdawkowych kwestii na temat podróży Egona i innych obojętnych rzeczy. Chwilowo nie poruszali sprawy, która leżała im na sercu.

W holu powitała ich Brygida Hartmann, a gdy Egon usłyszał, że jest jego kuzynką, powiedział uśmiechając się:

— Czy to bardzo źle będzie o mnie świadczyć, Brygido, jeśli wyznam, że całkiem zapomniałem o twojej egzystencji? Dopiero teraz zaczyna mi coś świtać, że miałem kuzynkę Brygidę, która już jako dorosła młoda dama odwiedzała czasami moich rodziców, wtedy gdy ja byłem jeszcze przykuty do szkolnej ławki.

— Wszystko się zgadza, tą kuzynką jestem właśnie ja. A tym, że o mnie zapomniałeś, nie musisz się zbyt przejmować, ja również bardzo rzadko myślałam o tobie.

— Ale skoro teraz los zetknął nas znowu, nie powinniśmy już o sobie zapomnieć, Brygido, ponieważ tylko nas troje zostało z szeroko niegdyś rozgałęzionej rodziny. A więc prowadzisz Rudolfowi gospodarstwo?

— Tak, gdy zmarł mój mąż, czułam się niepotrzebna na świecie i chętnie tutaj przyszedłam, gdy Rudolf mi to zaproponował.

— A gdzie się podziewa twoja córeczka, Rudolfie? — spytał Egon.

Coś drgnęło nerwowo w twarzy Rudolfa i Brygida pośpieszyła z odpowiedzią, że Dagmara poszła już spać.

— Słusznie, to przecież najwyższa pora dla dzieci, żeby iść do łóżka. No cóż, wobec tego nacieszę się nią dopiero jutro. Ponieważ sam jestem ojcem małej dziewczynki, interesuje mnie także twoja pociecha, Rudolfie.

Rudolf spiesznie przerwał rozmowę i polecił służącemu, żeby wskazał Egonowi drogę do jego pokoju. Gdy gość odświeżył się tam i przebrał, zaprowadzono go do jadalni, gdzie już czekali Rudolf i Brygida.

Przy stole rozmawiano głównie o tym, że Egon prawie całkiem odwykł od niemieckich zwyczajów i jak się urządził w kasztelu Consistellich. Gość opisywał swe nowe życie tak żywo i z humorem, że nawet Rudolf zmuszony był kilka razy się uśmiechnąć.

— Bogu dzięki, że nie bierzesz całej sprawy bardzo tragicznie, mimo że ci się wcale nie przelewa.

— Masz rację, tragizm mi nie odpowiada. Jak ci już pisałem, czuję się w mojej nowej sytuacji rzeczywiście szczęśliwszy niż przedtem. Być bogatym, wyrzucać pieniądze całymi garściami, tolerować setki pieczeniarzy i zatykać im żarłoczne gęby, do tego rzucać się z przyjęcia na przyjęcie i nigdy nie zaznać spokoju i zadowolenia, jest na stałe o wiele bardziej męczące, niż się sądzi. Po raz pierwszy w życiu poznaję miłe uczucie zadowolenia: nic mnie nie gna do przodu, nic za mną nie goni. Po raz pierwszy w życiu znajduję głęboki spokój w sobie i wokół siebie i zażywam go do woli. Nawet nie kończące się żale mojej biednej Cateriny, która nie umie się odnaleźć w nowej sytuacji, nie bardzo mi przeszkadzają. Ona także musi się przyzwycząić i wówczas odzyska dobre samopoczucie. Do tego trzeba przyznać, że stary zamek położony jest przepięknie, wręcz idyllicznie, i otoczony wspaniałym, romantycznie zdziczałym parkiem. Żyjąc tam można by się stać poetą, oczywiście gdyby się miało jakąś poetycką żyłkę. Kiedy robię poranną przejażdżkę na mym Almanzorze, który mnie niesie w górę i w dół przez gęste gaje oliwne albo wzdłuż winnic, gdzie dorodne grona dojrzewają w słońcu, wtedy nie zamieniłbym się z żadnym królem. A z całą pewnością nie zamieniłbym się z dawnym bogatym, a w rzeczywistości biednym Egonem, który musiał się borykać z tysiącami głupich spraw. Moim zdaniem nie jest wcale rzeczą tak straszną zbiednieć, jeśli dookoła ma się tyle piękna. Drzę jedynie na myśl, że mógłbym wraz z rodziną gnieździć się jakimś małym czynszowym mieszkaniu. Ale ten kasztel, niegdyś przeze mnie pogardzany, a teraz ukochany, odebrał mojej biedzie strach. I jeśli moja żona przewycięży swoje lamentey, wtedy nic już nie zabraknie mi do szczęścia.

— Cieszy mnie to, że jesteś szczęśliwy i nie masz żadnych pragnień.

— No cóż, mój drogi Rudolfie, mam jeszcze kilka małych marzeń i żywię nadzieję, że mi pomożesz w ich spełnieniu, to znaczy nie ty, ale pensjonariuszka, którą dla mnie wyszukałeś.

— O tym pomówimy później, Egonie.

— Jak sobie życzysz, kuzynie. Ja bardzo chętnie zajmę się jeszcze przez chwilę w spokoju tymi wyśmienitymi szparagami, ponieważ dawno już nie jadłem czegoś tak smacznego. Takich szparagów nie dostanie się w całych Włoszech; to, co się tam podaje jako szparagi, to długie, ciemne pędy, z których tylko główki są jadalne. Natomiast karczochy są dobre. Ale muszę ci powiedzieć komplement, Brygido, ta cielęcina smakuje wybornie, w ogóle kuchnia w waszym domu jest pierwszorzędna.

Brygida uśmiechając się podsuwała mu wciąż półmiski i zrobiło się jej nieco lżej na sercu, gdy pomyślała o tym, że Dagmara będzie żyła w domu takiego człowieka. Pogodny, dobroduszny sposób bycia Egon wydawał się jej gwarancją, że dziecko szybko się u niego zaaklimatyzuje. Dziś siedziano przy stole dłużej niż zwykle i dzisiejszy posiłek nie przebiegał, tak jak w ostatnich miesiącach, w ponurym milczeniu.

Kiedy podano kawę, panowie wycofali się do gabinetu Rudolfa, a Brygida pożegnała się, aby udać się na spoczynek.

— Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt zmęczony po podróży, Egonie. W przeciwnym razie możemy przesunąć omówienie wiadomej sprawy do jutra — powiedział pan domu.

Egon zaprzeczył z uśmiechem.

— Jechałem wagonem sypialnym, noc przespałem znakomicie i czuję się całkiem świeżo.

— To dobrze, przejdźmy więc od razu do rzeczy. Jesteś tutaj, żeby zabrać zapowiadaną pensjonariuszkę, inaczej byś nie przyjechał. Rozumiem więc, że zgadzacie się na moją propozycję?

— Oczywiście, Rudolfie. Przypuszczam, że chodzi o jakąś sierotę, ponieważ z takimi małymi dziećmi rodzice na ogół się nie rozstają.

Rudolf śledził przez chwilę dym papierosa, potem powiedział powoli i dobitnie:

— Nie, to nie jest sierota. To chodzi o moją... o Dagmarę. Egon spojrzał na niego zaskoczony.

— O twoją córkę?

Rudolf zrobił niecierpliwy ruch ręką.

— Tak, o Dagmarę.

— Chcesz się z nią rozstać?

— Muszę!

— Ale dlaczego?

Rudolf wrzucił niedopałek papierosa do popielniczki i bardzo blady spojrzał płonącymi oczyma na swego kuzyna.

— Właśnie to chcę ci teraz wyjawić, Egonie, ale pamiętaj: poza twoją żoną nikt o tym nie może się dowiedzieć, także Dagmara. To nie powinno wyjść poza naszą rodzinę.

— Daję ci słowo, Rudolfie, że poza moją żoną nikt się o tym nie dowie, to pozostanie między nami i Dagmara nigdy o tym nie usłyszy.

Rudolf skinął głową.

— Dziękuję ci. A teraz posłuchaj.

Zdenerwowany milczał jeszcze przez chwilę, potem opanował się i zaczął:

— To, co ci muszę wyznać, przechodzi mi z trudem przez usta, ale musisz się o tym dowiedzieć, po to, byś mógł mnie zrozumieć. Wiesz, że rozwiodłem się ze swoją żoną. Zrobiłem to, ponieważ mnie porzuciła i odeszła z innym. Kochała go już przedtem, zanim zostaliśmy małżeństwem, ale o tym dowiedziałem się naturalnie dopiero po fakcie. Mnie zaś poślubiła tylko dlatego, że byłem bogatym człowiekiem. Przez siedem lat zażywałem pozornego szczęścia, które było zbudowane na kłamstwie i zdradzie, a które przecież przyjmowałem jako prawdziwe. Te siedem lat... nigdy ich nie zapomnę, nigdy nie przeboleję, że szczęście, które było moim udziałem, okazało się szczęściem pozornym i że przeminęło. Krótko mówiąc, opuściła mnie, gdy jej ukochany, pewien muzyk, zaczął być sławny. Dziecko zostawiła. Daruj, że nie będę ci opisywał, co przy tym czułem. Przejdę od razu do sedna sprawy. Po odejściu żony zrodziły się we mnie wątpliwości, które mnie dręczą nieustannie. Kiedy widzę Dagmarę, zadaję sobie pytanie: Czy to jest dziecko moje, czy tamtego mężczyzny?

— Na miłość boską, Rudolfie! — zawołał Egon wzburzony. Rudolf zrobił niecierpliwy ruch ręką.

— Pozwól mi skończyć. Te wątpliwości rosły, wżerały się jak trucizna w moją duszę, stałem się od tego chorym człowiekiem i nie mogę się tych myśli pozbyć. Nie potrafię więcej patrzeć na dziecko, które kiedyś tak czule kochałem. Na próżno Brygida usiłowała mi wyperswadować te wątpliwości, wżerają się we mnie coraz mocniej.

Rudolf przerwał na chwilę, odetchnął głęboko i kontynuował:

— Krótko mówiąc, Egonie, czuję, że te wątpliwości przyprawiłyby mnie o szaleństwo, gdybym musiał codziennie widywać Dagmarę. Dziecko musi opuścić dom, musi zejść mi z oczu. I właśnie gdy ta decyzja we mnie dojrzała, gdy przekonałem także Brygidę, że jest to konieczne, otrzymałem twój list, w którym mnie prosiłeś, aby postarać się wam o jakąś pensjonariuszkę! I dlatego zaproponowałem, byś przyjechał, a teraz, kiedy wiesz już wszystko, zapytuję, czy chcesz przyjąć Dagmarę do swego domu, aby się wychowywała razem z twoją córką, i czy zechcesz ją u siebie zatrzymać, póki ja nie zamknę oczu lub póki ona pewnego dnia nie wyjdzie za mąż. Dagmara mimo wszystko zostanie moją sukcesorką, bowiem z punktu widzenia prawa jest moją córką. Nie chcę też, żeby jej czegoś brakowało, ponieważ ona temu wszystkiemu nie jest nic winna. Prosiłbym cię o zaangażowanie dla niej wychowawczyni, która mogłaby również uczyć i twoją Elenę,

póki kształcenie obydwu nie zostanie zakończone. Twojej żonie byłbym zobowiązany, gdyby wpoila dziecku wszystkie towarzyskie subtelności, ażeby Dagmara pewnego dnia stała się godną reprezentantką firmy Strasser & Syn. Przeznaczę odpowiednie pieniądze na wychowanie i utrzymanie, a także pewną sumę na odzież i inne potrzeby. Brygida zrobiła mi wstępny kosztorys, który jeszcze znacznie zaokrąglę w górę, żebyś nie wyszedł na tym źle. Jak powiedziałem, Dagmarze nie powinno niczego brakować jako mojej jedynej spadkobierczyni, tylko nie chcę jej już więcej widzieć. Będę próbował o niej zapomnieć. Kwotę na roczne wydatki będę deponował w jednym ze szwajcarskich banków, z którym stale współpracujemy. Jak długo będę żył, nie chcę mieć już z tym nic wspólnego. Gdyby jeszcze przed moją śmiercią Dagmara chciała wyjść za mąż, omówię sprawę ewentualnego posagu z jej przyszłym mężem, który powinien ją poznać tylko jako moją legalną córkę. Wiem, Egonie, że miałbyś jeszcze różnorakie sprzeciwy, ale proszę cię, zachowaj je dla siebie. To, co postanowiłem w sprawie Dagmary, jest dla mnie jedyną drogą, aby znowu odzyskać równowagę ducha. W każdym bądź razie bardzo się uspokoję, kiedy będę wiedział, że jest u was bezpieczna. Przyjmijcie ją więc niemal jak członka waszej rodziny. Czy uczynisz to, Egonie?

Egon spojrzał współczująco na kuzyna i chciał go nakłonić, żeby sobie wszystko jeszcze raz gruntownie przemyślał, mimo że wizja otrzymania niebagatelnej zapewne sumy była niezwykle kusząca. W końcu ujął rękę Rudolfa i powiedział:

— Zrobię to, Rudolfie, i prawdę mówiąc nie tylko dlatego, że dodatkowy dochód jest mi bardzo potrzebny, lecz dlatego, że rozumiem twoją udrękę. Dla mężczyzny jest to przekłete uczucie, jeśli w takich sprawach musi żywić wątpliwość. Że twoja córka, którą mimo twych uprzedzeń chcę tak nazywać i jako taką w moim sercu zachować, znajdzie u nas dobre przyjęcie, jest rzeczą oczywistą. Powinna wzrastać razem z naszą Eleną i znaleźć w niej towarzyszkę zabaw i nauki. A kiedy obie dorosną, staną się, mam nadzieję, dobrymi przyjaciółkami. A że moja żona wpoi Dagmarze wszystko, co dla obycia towarzyskiego jest konieczne, nie potrzebuję cię wcale zapewniać. Ale o jedno chciałbym cię jeszcze zapytać: Co mamy dziecku powiedzieć, jeśli będzie pytać o ojca i matkę?

Rudolf potarł ręką czoło.

— Brygida wszczepiła Dagmarze przekonanie, że jej matka pojechała do dalekiego kraju, z którego już nigdy nie wróci. A jeśli o mnie zapyta, zaspokoisz ją łatwo jakąś bajką. Gdy zaś dorosnie i spyta o ojca, powiedz, że jestem zgorzkniałym, posępnym człowiekiem, w którego domu taka młoda istota musiałaby zmarnieć, i dlatego oddałem ją do was na zawsze, żeby wzrastała w zdrowym otoczeniu. Najlepiej, jeśli utwierdzicie ją w przekonaniu, że należy do was, że wy jesteście jej rodziną. I proszę cię usilnie, nie pisz mi nigdy o niej ani słowa ponad to, co jest niezbędnie konieczne. Jeśli raz w roku otrzymam od ciebie rzeczowe sprawozdanie i usłyszę, że ona żyje i jest

zdrowa, to zupełnie wystarczy. Nic więcej. I nigdy nie zezwól jej, żeby sama do mnie pisała. Jeśli mnie już nie będzie, może wrócić, kiedy zechce. Moi prokurenci uregulują z nią wszystko, co dotyczy interesów. Mój pierwszy prokurent Falkner będzie także od momentu mojej śmierci prawnym opiekunem Dagmary. Nie ustanowiłem nim ciebie, ponieważ opiekun będzie potrzebny głównie w sprawach dotyczących interesów, o których ty nie masz pojęcia. Falkner wie, co zrobić, gdybym umarł. Jest moją prawą ręką i posiada moje całkowite zaufanie. Dagmara powinna możliwie najmniej ucierpieć z powodu tych wszystkich komplikacji. Tak więc, Egonie, teraz wiesz już wszystko i nie myśl o mnie, że jestem niegościnnie, jeśli cię poproszę, byś wrócił tak szybko, jak to możliwe, do Włoch. Oszczędzisz mi przez to nowych udręk. Skoro moja decyzja została powzięta, powinna szybko zostać przeprowadzona. Jak sądzisz, poradzisz sobie sam z dzieckiem w podróży, czy też musisz wziąć ze sobą służącą.

— Nie potrzebuję nikogo. Przecież mam córkę w tym samym wieku.

— Cieszę się. Nie chciałbym, żeby tutaj mówiono zbyt dużo o tej historii. Moje nazwisko i bez tego było już na wielu ustach z powodu sprawy rozwodowej. Brygida przygotowała wszystko jak najlepiej do waszego wyjazdu. Kufry Dagmary są spakowane, a jeśli chciałbyś się jeszcze czegoś dowiedzieć, zwróć się do Brygidy. Ja, ja nie chciałbym być przy odjeździe Dagmary. Nie chcę się z nią żegnać, ponieważ niegdyś widziałem w niej przecież moje dziecko... i kochałem ją... kochałem ją...

Przerwał i ukrył twarz w dłoniach, żeby skryć swoje wzburzenie. Egon patrzył na niego pełen współczucia.

— Rudolfie, nie wydaje ci się, że może z czasem pokonasz swoje wątpliwości? Właśnie miłość do dziecka powinna ci pomóc w tym, byś zmienił zdanie. Pomyśl, że zostaniesz całkiem sam!

Rudolf drgnął i zacisnął zęby. Dopiero po pewnej chwili powiedział ochryple:

— Nie, nie, raczej obawiam się, że wątpliwości ustąpią miejsca nienawiści. A... nie chcę nienawidzić kogoś, kogo kochałem. Wierz mi, nie może być inaczej. Będę ci wdzięczny, kiedy mi zabierzesz ją sprzed oczu, a jednocześnie będę miał pewność, że znajduje się w dobrych rękach.

Egon podszedł do niego i ujął jego dłoń.

— O to możesz być spokojny!

Egon Strasser nie przypuszczał jednak, że obiecuje coś, czego nie będzie mógł dotrzymać.

Rudolf skinął głową, a Egon ciągnął dalej:

— Jeśli sprawy mają się tak, uważam, że będzie najlepiej, jeżeli wyjedziemy już jutro. Mam nadzieję, że uda mi się szybko pozyskać zaufanie Dagmary i spokojnie ze mną odjedzie. Umiem przecież obchodzić się z małymi dziewczynkami.

— Pozwól Brygidzie jutro rano udzielić sobie kilku wskazówek. Ja zaraz po śniadaniu, które chciałbym zjeść jeszcze z tobą, opuszczę dom i nie wrócę wcześniej, aż Brygida mnie powiadomi, że odjechaliście. A teraz przejdźmy do spraw finansowych, które powinniśmy dokładnie ustalić.

Zrobili to i Egon nie mógł się skarżyć, że Rudolf poskąpił pieniędzy dla swej córki. To, co postanowił przeznaczyć na pobyt i wychowanie Dagmary, przeszło daleko oczekiwania Egona i zdradzało ogromną hojność Rudolfa

Była już późna noc, gdy obaj panowie się rozstali, by udać się na spoczynek. Następnego ranka Rudolf, jak to było umówione, zjadł śniadanie w towarzystwie swego kuzyna i Brygidy. Potem wstał, uściskał mocno rękę Egona i powiedział zdławionym głosem:

— Jeszcze raz serdecznie ci dziękuję, że mi ten ciężar zdejmujesz z serca.

— Nie musisz mi dziękować, Rudolfie, to ja jestem ci winien o wiele większą wdzięczność. Nie ukrywam wcale, że będzie dla mnie wielką finansową pomocą to, co otrzymam za przyjęcie Dagmary. Pieniądze na jej wychowanie odmierzyłeś tak hojnie, że także my będziemy mieć z tego niewątpliwą korzyść. Wszystkie artykuły żywnościowe otrzymujemy prawie gratis od naszego dzierżawcy, toteż w tym względzie nie poniesiemy z powodu Dagmary żadnych kosztów. A ponieważ opłacasz także wychowawczynię, która naszą Elenę też może uczyć, oszczędzimy również i na tym.

Mdły uśmiech pojawił się na ustach Rudolfa.

— Pocziwa z ciebie dusza, Egonie, i cieszy mnie to, że wasze starania nie pozostaną całkowicie bez zapłaty. Twojej małżonce przekaz ode mnie, proszę, szczególne pozdrowienia i podziękowanie. A teraz z Bogiem i szczęśliwej drogi.

— Gdybyś przypadkiem się rozmyślił, daj mi w porę znać.

Rudolf zaprzeczył ruchem ręki. Mówić już nie mógł. Opuścił dom z takim pośpiechem, jakby uciekał. Nikt nie wiedział, jak on mimo wszystko bał się rozstania z Dagmarą. Był bardziej surowy dla siebie niż dla niej, ale nie przyznałby się do tego nawet przed sobą. Z zamkniętymi oczyma i bladą twarzą spoczął na siedzeniu auta które go wiozło do firmy. Tylko z wielkim trudem opanował się, gdy tam przybył. W bramie spotkał młodego Falknera, który wykorzystywał każdą wolną chwilę, aby już teraz poznać swój przyszły krąg działania. Miał właśnie dwugodzinne okienko w zajęciach szkolnych.

— Może chciałby się pan pożegnać z Dagmarą, Wernerze? Wyjeżdża dziś ze swym wujem.

Werner zdumiony patrzył na pobladałą, ściągniętą twarz swego przyszłego szefa. Widział na niej ciężką walkę i tłumaczył ją sobie na swój sposób. Że dla ojca pożegnanie z dzieckiem było bardzo bolesne, wydało mu się rzeczą niewątpliwą.

— Oczywiście, zaraz do niej pójde, proszę pana. Strasser skinał głową w milczeniu.

Egon Strasser pozostał z panią Brygidą przy stole. Ze współczuciem obserwował niemalże ucieczkę kuzyna.

— Rudolf znajduje się chyba w straszliwym stanie — powiedział w zamyśleniu.

Brygida przytaknęła.

— Nikt tego nie wie lepiej niż ja. Rudolf jest jedną z tych nieszczęśliwych natur, które tak bezsensownie potrafią się same niszczyć. Wierz mi, on mimo wszystko kocha to dziecko i bardzo cierpi z powodu rozstania, choć nikomu się do tego nie przyzna.

— Odnoszę podobne wrażenie. Ale mogę również zrozumieć, że drażni go widok dziecka. Ty, Brygido, znałaś przecież żonę Rudolfa, czy uważasz za możliwe, żeby Dagmara nie była jego córką?

Brygida energicznie potrząsnęła głową.

— Nie, Egonie, to wykluczone. Leonora jest osobą pełną temperamentu, w jej żyłach płynie gorąca krew. Wielka namiętność mogła tę kobietę wygnać z bezpiecznego spokoju mężowskiego domu. Ale kochała swe dziecko ponad miarę i za żadne skarby nie zostawiłaby go Rudolfowi, gdyby nie był jego ojcem i gdyby nie chciała w ten sposób odpokutować za to, co mężowi wyrządziła. Musiała sobie przecież uświadomić, że traci dziecko na zawsze. I możesz mi wierzyć, że przyszło jej to bardzo ciężko. Napisała o tym do mnie długi list, a ponadto znam ją zbyt dobrze, by nie wiedzieć, że oczywiście mogła zbłądzić i pomylić się, ale nigdy nie była zdolna do podłego, niskiego działania. Z pewnością wyznałaby Rudolfowi, że Dagmara nie jest jego dzieckiem, gdyby tak rzeczywiście było. Że Rudolfa dręczą takie wątpliwości, Leonora nie ma naturalnie najmniejszego pojęcia. Rozstała się ze swą córką, aby ją zostawić pod dachem ojcowskiego domu i Rudolfa całkowicie nie osamotnić. Wiem, że nie było to dla niej łatwe.

— I ona jeździ teraz po świecie ze swym drugim małżonkiem?

— Tak, to wschodząca gwiazda. Czyta się wiele o jego sukcesach, być może stanie się jednym z wielkich w świecie sztuki. I mogę tylko życzyć Leonorze, żeby znalazła przy boku ukochanego swoje wymarzone szczęście.

— Osądzasz ją bardzo łagodnie, co raczej rzadko spotyka się u kobiet.

— Masz rację, niestety spotyka się to rzadko, Egonie; my kobiety zbyt chętnie łamiemy kije na naszych nieszczęśliwych siostrach. Ale poznałam już ten błąd naszej płci i próbuję się od niego uwolnić.

Podał jej rękę.

— Szkoda, że się tak mało znamy, Brygido. Nieczęsto spotyka się kobiety twojego pokroju.

Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. Podobał jej się, mimo że wiedziała, iż w kwestiach pieniężnych był okropnie lekkomyślny. Ale że ma dobre serce, przekonywała się coraz bardziej i to dawało jej pewne uspokojenie co do losów Dagmary.

— No, teraz pójdę na górę i zobaczę, co się dzieje z dziewczynką. Jak słyszałam, chcesz z nią odjechać już za dwie godziny. Wobec tego najwyższy czas, żebyś dziecko poznał. Zrobiłam wszystko, co w mej mocy, żeby ją przygotować do tego, że musi z tobą odjechać, a teraz chcę ją uspokoić przed drogą.

Dała jeszcze Egonowi różnorodne wskazówki, co powinien powiedzieć Dagmarze o ich podróży i jak może ją uspokoić, gdyby w pociągu zaczęła się znów bać.

— Powiedz jej tylko, że powinna swemu tatusiowi sprowadzić z powrotem słońce. Ona jest przywiązana całą dusząco ojca i do matki, z której zniknięciem pogodziła się z wielkim trudem. Utratę matki już trochę przeboleła, wygnanie z domu rodzicielskiego chcemy przed nią zataić. Jest bardzo wrażliwa i nie wiem, co mogłoby się stać, gdyby się dowiedziała, że ukochanego ojca także już nigdy nie zobaczy. Biedne dziecko straciłoby przecież zupełnie grunt pod nogami. Bądź dla niej dobry, Egonie, dobrocią wszystko u niej osiągniesz.

I opowiedziała Egonowi, niekiedy załamującym się z bólu i wzruszenia głosem, jak Dagmara wpadła na myśl, że musi swemu ojcu z powrotem sprowadzić słońce, i jak dlatego dzielnie się pogodziła z koniecznością, żeby pojechać daleko „do szkoły”.

Egon poczuł się przy tym trochę zażenowany. Ta mała Dagmara była wyraźnie dzieckiem o bardziej czułym sercu niż jego Elena. Gdyby z tamtą musiał odbyć taką długą podróż, byłoby mu dużo lżej, wiedziałby dokładnie, jak powinien odwrócić jej uwagę, by ją uspokoić. Ale to, co mu opowiedziała Brygida o Dagmarze, wyglądało przecież całkiem inaczej.

Z pewnym napięciem oczekiwał spotkania z dziewczynką.

Brygida poszła na górę do sypialni Dagmary i zastała dziecko już wykąpane i ubrane. Dagmara wybiegła ciotce naprzeciw.

— Ciociu Brygido, co powiesz na to, że ja tak wcześnie wstałam? A ty? Chyba zasnęłaś?

Brygida uściskała ją.

— Nie, moje serduszko, już dawno jestem na nogach i nawet zjadłam śniadanie z twoim tatusiem i wujkiem Egonem.

Dagmara spojrzała na nią zaniepokojona.

— Wujek Egon? Czy to ten wujek, który mnie zawiezie do szkoły, jak mi wczoraj opowiadałaś?

— Tak, to on, jest kuzynem twego taty, podobnie jak ja jestem jego kuzynką. Jest bardzo dobry i wesoły. Czekają już na ciebie, przyjechał, żeby cię zabrać.

Ciotce Brygidzie drżały przy tym ręce, którymi głaskała Dagmarę po główce. Ledwie zdołała się opanować, gdy zobaczyła, jak Dagmara zbladła.

— Czy chce mnie zabrać już dzisiaj? — spytała drżącym głosem.

— No tak, wiesz przecież, że pojedziesz do pięknego zamku na wysokiej górze, gdzie czeka już na ciebie mała kuzyneczka i dobra, piękna ciocia.

Dagmara przytuliła się mocno do ciotki Brygidy i pozostała tak przez chwilę w milczeniu. Ręce starszej pani głaskały wciąż złotoblond kędziory.

Po chwili dziecko wyprostowało się i popatrzyło na ciotkę pięknymi oczyma, w których pojawiły się złote isierki.

— Czy muszę już dziś wyjechać?

— Tak, kochanie, im wcześniej wyjedziesz, tym wcześniej będziesz mogła wrócić do domu. Wiedziałaś przecież, że wyjazd wkrótce nastąpi, i obiecałaś mi być bardzo dzielna.

Dagmara szybko otarła oczy i skinęła główką. A ponieważ mimo całej dzielności łzy spływały jej po policzkach, powiedziała:

— O głupie, głupie łzy, płyną i płyną, ja wcale nie chcę płakać, ciociu Brygido. I dla ciebie i dla tatusia bardzo chcę iść do szkoły u wesołego wujka Egona.

Ciotka przytuliła dziecko mocno do serca i całą siłą woli powstrzymywała łzy. Zmusiła się do żartobliwego tonu, aby Dagmarze przywrócić spokój ducha.

— No popatrz, jakie to okropne buty włożyła ci Anna! W nich nie możesz przecież wybrać się w tak daleką podróż. Musimy je szybko zmienić na mocne buciki z cholewkami, żebyś mogła należycie wystąpić.

Prędko ściągnęła dziecku buty i pończochy, opowiadając przy tym same wesołe rzeczy, choć było jej nad wyraz ciężko. Kiedy miała jej wciągnąć nową pończochę na prawą nogę, zobaczyła na podbiciu małe gruszkowate znamię, które zaznaczało się bardzo wyraźnie na białej skórze. Przycisnęła to miejsce na stopie do warg i bohatersko walczyła z ogarniającym ją znowu wzruszeniem.

— Widzisz, Dagmaro, ta głupia czarna plamka nie chce się i nie chce zmyć, nawet gdy bierzemy naprawdę dużo mydła.

Dagmara roześmiała się przez łzy.

— Cóż za brudas ze mnie! Mam na stopie czarną plamkę i nie umiem jej zmyć.

— Szybko, szybko, zakryjmy ją, żeby jej nikt nie widział! Tak, teraz już jej nie ma. No i jeszcze na to bucik.

Łzy zostały pokonane. Ciotka Brygida i Dagmara skończyły toaletę wśród śmiechów i żartów, a potem zeszły na dół. Gdy do salonu, gdzie czekał Egon, otwarły się drzwi i prowadzona przez ciotkę weszła mała urocza dziewczynka, natychmiast podbiła serce gościa. Uśmiechając się wyciągnął do niej rękę.

— O, jest moja mała uczennica! Dzień dobry, Dagmaro, no, podaj mi rączkę.

Dagmara podeszła bliżej, trochę nieśmiało, i popatrzyła na niego swymi pięknymi, wielkimi oczyma.

— Czy ty jesteś ten wesoły wujek Egon?

Boże mój, ależ ten dzieciak ma piękne oczy! Jeśli to dziedzictwo po matce, wówczas mogę zrozumieć, że Rudolf nie chce już w nie patrzeć, to musi mu ranić serce — pomyślał.

— Tak, Dagmaro, jestem wujek Egon. I wybierzemy się teraz razem w daleką, piękną podróż.

— Pojedziemy nad morze czy w góry, wujku Egonie?

— W góry, Dagmaro, zabiorę cię do mojego zamku, gdzie czeka na ciebie kochana, piękna ciocia i mała kuzyneczka.

— Jak się ta ciocia nazywa?

— Ciocia Caterina.

— Och, jak ładnie. A moja kuzyneczka?

— Elena.

— Czy ona jest taka duża jak ja?

— Tak, dokładnie taka sama, jak mi się wydaje.

— Czy w tej szkole jest nauczyciel?

— Będzie tylko nauczycielka.

— Czy jest miła?

Objął serdecznie Dagmarę, czym bardzo ucieszył ciotkę Brygidę.

— Na pewno będzie miła, jeśli ty będziesz grzeczna.

— Elena będzie się mogła bawić moimi lalkami, jeśli będzie dla nich miła.

Egon pomyślał o tym, że Elena wykazuje niewielkie zainteresowanie lalkami, chyba że noszą eleganckie, modne sukienki. Powiedział jednak:

— Elena będzie się cieszyła.

— Zabiorę wszystkie moje lalki, mogę, prawda? — spytała Dagmara już z pełnym zaufaniem, gdyż dobra, uśmiechnięta twarz wujka spodobała się jej choćby dlatego, że przypominała jej twarz ojca z czasów, gdy był jeszcze wesoły i szczęśliwy.

— Naturalnie, zabierzemy ze sobą lalki, one także powinny skorzystać z tej podróży — żartował Egon. — Są już przecież zapakowane?

Dagmara zdumiała się.

— Ależ nie, mylisz się, wujku! Liza przecież zawsze śpi ze mną w łóżku, bo inaczej się boi. Anna teraz pakuje lalki do walizki, w niej będą miały miękko i ciepło i tam będą spały, póki nie znajdą się w zamku. Dopiero się zdziwią, jak się obudzą!

— Teraz, moje dziecko, powinnaś zjeść śniadanie. Wkrótce musimy jechać na dworzec — przypomniała ciotka Brygida.

Podczas gdy Dagmara jadła, Egon cały czas z nią żartował, tak że dziecko było naprawdę zadowolone. Gdy skończyła śniadanie, nie namyślając się objęła nowego wujka za szyję i pocałowała.

— Jesteś kochanym, dobrym i bardzo wesołym wujkiem, lubię cię — powiedziała serdecznie.

Egonowi zrobiło się ciepło i miękko koło serca i dopiero teraz doszło naprawdę do jego świadomości, że jego mała córka nigdy nie była dla niego tak czuła, nie była czuła w ogóle dla nikogo, nawet dla swojej matki.

Ale zastanawiać się nad tym nie było teraz czasu... Zbliżyła się godzina wyjazdu. Dagmarze włożono płaszczyk, a na jasne kędziory wciśnięto miękki kapelusik. Ciotka Brygida ucałowała je jeszcze raz, nim zniknęły pod kapeluszem. Dagmara, odetchnąwszy, powiedziała:

— Teraz, ciociu Brygido, chcę się pożegnać z tatusiem. Czy jest w swoim gabinecie?

Ciotka Brygida przełknęła mężnie łzy.

— Tatuś jest przecież w firmie, Dagmaro, musiał tam pojechać bardzo wcześnie i prosił, żebym cię pożegnała i życzyła ci szczęśliwej podróży.

Trwożne, pytające spojrzenie dziecięcych oczu pobiegło w górę ku ciotce. Dagmara jak gdyby zaczynała pojmować tę niesłychaną rzecz, że ojciec pozwala jej odjechać bez pożegnania. Łzy napłynęły znów do wielkich oczu i małe usta drgnęły zdradziecko. Być może doszłoby teraz do groźnego wybuchu żalu, gdyby nie to, że akurat w tej chwili wszedł Werner Falkner. Po drodze kupił ze swego kieszonkowego mały bukietek kwiatów i niewielką bombonierkę i przyniósł to dziewczynce.

Dagmara podbiegła i objęła go, jakby Werner mógł być dla niej oparciem w jej niepojętym bólu.

— Och, panie Wernerze, kochany panie Wernerze, przychodzisz w samą porę, żeby mnie pożegnać — załkała.

Wręczył jej kwiaty i pralinki, a potem wziął ją na ręce.

— Wiem, że odjeżdżasz, Dagmaro, twój tatuś mi to powiedział.

Przycisnęła mokry policzek do jego twarzy.

— Tatuś cię przysłał? Więc nie zapomniał o mnie?

Werner, przejęty współczuciem, przycisnął ją mocno do siebie. Sądził, że Rudolf Strasser uniknął pożegnania z córką, ponieważ się go obawiał. I chcąc pocieszyć Dagmarę trochę rozminął się z prawdą, gdy powiedział:

— Twój tatuś miał tak straszliwie dużo pracy, że w ogóle nie mógł przyjść, by się z tobą pożegnać, i dlatego prosił mnie, żebym szybko poszedł do ciebie i przekazał jego pozdrowienia.

Pani Brygida skinęła głową z uznaniem i Werner zrozumiał, że postąpił dobrze. Dagmara patrzyła wielkimi, smutnymi oczyma i starała się być dzielna.

— Ja nie płaczę, panie Wernerze, tylko te głupie łzy płyną tak same z siebie. Ale się cieszę, że przyszedłeś jeszcze raz, ja przecież tak cię kocham, tak kocham, panie Wernerze. Czy ty też mnie kochasz? Wernerowi krew uderzyła do głowy. To było pierwsze miłosne wyznanie, jakie usłyszał, i zrobiło mu się cudownie ciepło i miękko koło serca.

— Tak, Dagmaro, ja także ciebie kocham. Nie zapomnij o mnie. Przytuliła się do niego.

— Nie, nie, nie zapomnę, ale ty także musisz zawsze o mnie myśleć. Ach, panie Wernerze, jak to ciężko, kiedy trzeba iść do szkoły. Troszeczkę się jednak boję, chociaż wujek Egon jest bardzo kochany i dobry.

— Ale bądź dzielna, Dagmaro, my wszyscy będziemy ci w myślach towarzyszyć.

Przeniósł ją w ramionach przez próg ojcowskiego domu, z którego została wygnana, a ona przytuliła się do niego, jakby szukając obrony.

Zaniósł dziewczynkę do samochodu, a gdy ją wypuścił z ramion, zapytała:

— A gdzie się podziały twoje kwiaty?

— Włożyłam je do walizki z lalkami, bombonierkę także — odpowiedziała ciotka Brygida.

Werner uśmiechnął się do dziewczynki.

— Do widzenia, Dagmaro, do prawdziwie wesołego i szybkiego zobaczenia!

Skinęła mu głowę.

— Chcę się prędko wszystkiego nauczyć i zaraz wracać. Do zobaczenia, kochany panie Wernerze!

I kiedy samochód ruszył, Dagmara jeszcze raz popatrzyła na Wenera i to dziwnie smutne, bezradne, dziecięce spojrzenie sprawiło, że ścisnęło mu się serce. Biedactwo, tak mu jej było żal, tak żal...

Stał dobrą chwilę i patrzył za oddalającym się samochodem. Potem przestraszony spojrzął na zegarek. Musiał się bardzo spieszyć, żeby zdążyć na następną lekcję.

Dagmara zaś jechała z wujkiem Egonem i ciotką Brygidą na dworzec. Wesoły wujek żartował z nią tak, że przestała płakać. Ale trwożliwy wyraz nie znikął jej z oczu. W zamęcie odjazdu nie dochodziło już oczywiście do jej świadomości uczucie bólu. Ciotka Brygida odprowadziła ją do przedziału pierwszej klasy, zarezerwowanego dla Dagmary i Eгона. Przycisnęła dziecko do serca, ucałowała jeszcze raz i całą siłą woli stłumiła ból rozstania.

— Niech Bóg ma cię w swej opiece, kochanie!

To były jej ostatnie słowa. Wybiegła na zewnątrz, gdyż wiedziała, że już dłużej nie potrafi zapanować nad sobą. Z Egonem pożegnała się wcześniej. I nie została na peronie, lecz pobiegła dalej, aby już poza dworcem, w samochodzie, dać upust swoim łzom.

Wróciwszy do domu, podeszła do telefonu i zadzwoniła do Rudolfa. Gdy się zgłosił, powiedziała zdławionym głosem:

— Twojej woli stało się zadość. Dagmara wyjechała.

Przez chwilę w telefonie trwała cisza, potem odezwał się męski, zachrypły głos:

— To dobrze, dziękuję ci!

Na tym rozmowa się skończyła.

Nikt nie widział, że Rudolf Strasser po otrzymaniu tej wiadomości zatoczył się jak pijany i ciężko, jak chory człowiek, opadł na krzesło; i że oparł ręce na biurku i ukrył twarz w dłoniach. I że na długo, bardzo długo zastygł w tej pozycji.

13

Egon Strasser siedział teraz sam naprzeciwko dziecka i z zakłopotaniem patrzył na wielkie łzy spływające po policzkach Dagmary. Był to niemy płacz, jaki u dzieci rzadko się spotyka, ale który tym bardziej jest wzruszający. Egon nie znajdował w tej chwili ani słowa pocieszenia, ani jakiegoś odwracającego uwagę żartu. Ale po chwili Dagmara odwróciła zalaną łzami twarz i powiedziała zdławionym głosem:

— Ja nie płaczę, wujku Egonie, ponieważ chcę zrobić wszystko dla tatusia, ale te głupie łzy wciąż płyną. Ale to nic nie szkodzi, prawda? Mogę przecież mojemu kochanemu tatusiowi sprowadzić słońce. Chcę być dzielna.

To uczucie okazane przez dziewczynkę bardzo wzruszyło Egona. Usiadł obok niej i przytulił jej główkę do siebie.

— Płacz sobie spokojnie przez chwilę, moje dziecko, tatuś przecież nie widzi i dlatego możesz mu sprowadzić słońce. Niebawem będziesz znowu bardzo dzielna.

Skinęła głową w milczeniu i poddała się dobroczynnemu działaniu niepohamowanego płaczu. Egon ciągle ocierał jej łzy i kiwał zachęcająco głową. Ta godzina miała ich po wszystkie czasy połączyć mocną więzią rodzinnej wspólnoty.

Po długim czasie Dagmara spytała:

— Czy mój tatuś jest bardzo smutny, że ja wyjechałam? Jeszcze smutniejszy niż wtedy, gdy wyjechała mamusia? Nie wiem, czy mogę rozmawiać z tobą o mamusi.

— Oczywiście, moje dziecko, ile tylko chcesz — odparł w nadziei, że ona, podobnie jak wszystkie dzieci łatwo zapominająca smutki, wkrótce już nie będzie wracać do tej kwestii.

— Czy będę teraz bliżej mojej kochanej, pięknej mamusi, czy też jeszcze dalej od niej?

Nie wiedział, jaka powinna być dyplomatyczna odpowiedź.

— Wydaje mi się, że odległość pozostanie taka sama — zdecydował w końcu. — Ale co myślisz o tym, żebyśmy zobaczyli, jakie pralinki przyniósł pan Werner?

Skinęła głową.

— Dobrze. Także jego kwiaty mógłbyś na chwilę wyjąć z walizki, żeby się nie udusiły. Ale proszę, cicho i ostrożnie, żebyś nie pobudził moich lalek.

I teraz znowu jak troskliwa mama bardzo pilnowała żeby wujek obchodził się ostrożnie z walizką, do której zostały zapakowane lalki. Czule, jakby chodziło o żyjące istoty, wzięła na ręce kwiaty od Wenera i patrzyła, jak wujek Egon otwiera pudełko z pralinkami. Potem uśmiechając się zaczęła je zajadać.

— Ty także musisz się poczęstować — nalegała usilnie, przyzwyczajona przede wszystkim do dzielenia się z innymi.

Wujek wetknął pralinkę do ust i śmiesznie przewrócił oczyma, żeby pokazać, jak znakomicie smakuje. Dagmara parsknęła śmiechem, a potem poprosiła wujka, żeby pralinki schował, ponieważ chce je zachować jako pamiątkę od pana Wenera.

Teraz Egon, żeby zabawić Dagmarę i odwrócić jej uwagę od smutnych myśli, zaczął opowiadać o kasztelu Consistellich, o Elenie, o ciotce Caterinie, o Marietcie, Stelli i Giuseppe, o swoim wierzchowcu Almanzorze i o drzewach, na których rosną pomarańcze. Dziewczynka słuchała z zaciekawieniem, a gdy mu już nic więcej nie przychodziło do głowy, ona ze swej strony opowiedziała na swój dziecięco-śmieszny, a jednocześnie przecież tak wzruszający sposób o swoich lalkach, o tatusiu i mamusi, o panu Wenerze i ciotce Brygidzie. Potem poczuła się zmęczona wszystkim i opowieściami i wszystkim nowym, co na nią spadło. Jeszcze przez chwilę wyglądała przez okno, potem jednak jej zmęczona główka zaczęła się kiwać. Egon troskliwie przygotował jej wygodne posłanie i położył ją spać. Zasnęła natychmiast. Odetchnął głęboko. To była dla niego całkiem nowa sytuacja, podróżowanie z tym dzieckiem, które tak bardzo różniło się od jego córki.

Żał mu było Rudolfa, że nie może bez zastrzeżeń uznać tego miłego, wrażliwego dziecka za własne. I mówił sobie, że jest przecież wielkim szczęściem być ojcem takiego uroczego stworzenia. Przez chwilę spoglądał ze współczuciem na śpiące dziecko, ale potem odchylił głowę na oparcie i przymknął oczy. Nie aby spać, chciał po prostu zastanowić się nad tym, jak dalece wkład pieniężny Rudolfa może poprawić jego własną sytuację. Wyliczył, że jego żona otrzyma na swe wydatki całkiem przyzwoitą sumę, doszedł do wniosku, że jeśli zaangażuje jedną wychowawczynię dla obu dziewczynek, to zostanie mu także trochę pieniędzy. Oczywiście nie zmieni to faktu, że tak czy tak będą musieli nadal mieszkać w kasztelu, ale to było nawet miłe. Prócz tego otrzymał od Rudolfa pięć tysięcy marek na koszty podróży oraz ewentualne sprawunki, które mogą się okazać konieczne, kiedy Dagmara wejdzie do nowej rodziny. Po namyśle postanowił nabyć parę koni cugowych do karety, aby jego żona mogła jeździć z dziećmi na spacer. A Giuseppe powinien dostać rower, bowiem robi codziennie tak daleką drogę do Sorino, aby odebrać pocztę. A z tego, co pozostanie, będzie jeszcze można kupić to i owo, niezbędne w gospodarstwie. Kwota przeznaczona na ubrania Dagmary była również na tyle wysoka, żeby jego żona i córka mogły z niej trochę skorzystać. A później, kiedy wychowawczyni nie będzie już potrzebna, kiedy dzieci dorosną, można by pieniądze zaoszczędzone na nauce wykorzystać inaczej, na przykład na jakąś małą podróż... Ale nie, o tym nie chciał teraz myśleć, będą pewnie inne potrzebniejsze wydatki, na przykład w obejściu dzierżawcy trzeba będzie z czasem coś wyremontować. To wszystko jednak już się jakoś załatwi. W każdym bądź razie wyszedł z najgorszej biedy i Caterina powinna się trochę uspokoić. Miał nadzieję, że mała Dagmara spodoba się żonie i córce. Wiedział, że Caterina potrafiła być bardzo nieprzyjemna wobec osób, które uznała za niesympatyczne. Ale wyobraził sobie, że gdy opowie jej historię cierpień małej Dagmary, powinna dziewczynkę przyjąć życzliwie. A Elena, cóż, może się dużo nauczyć od Dagmary, która, jak sądził, wywrze dobry wpływ na jego córkę.

Przemyślawszy wszystko, Egon był bardzo zadowolony z rezultatów swojej podróży. Uspokojony sięgnął po gazetę i zagłębił się w niej.

Dagmara nie sprawiała mu kłopotów. Gdy się wyspała, poszedł z nią do wagonu restauracyjnego. Zachowywała się tam jak dobrze wychowana panienska i opowiedziała mu, że z tatusiem i mamusią jadła już w wagonie restauracyjnym. Przez całe popołudnie wyglądała przez okno i chłonęła z ciekawością wszystko, co tylko było do zobaczenia. W nocy spała po dziecięcemu spokojnie i mocno i była bardzo zdziwiona, gdy rano zbudziła się nie w swoim łóżeczku.

Późnym popołudniem następnego dnia podróźni dotarli do Sorino. Dzierżawca przyjechał na stację kareta zaprzęzoną we własne konie, zjawił się także Giuseppe, by załadować kufry i służyć wszelką pomocą.

Egon Strasser wsadził Dagmarę do karety, a Giuseppe, załadowawszy bagaże, zajął miejsce obok dzierżawcy. Pojechali gościńcem aż do stóp góry, na której znajdował się kasztel. Przed obejściem dzierżawcy zatrzymali się. Żona dzierżawcy przyniosła dziecku kubek mleka, a dla signora szklankę wina. Przemawiała przy tym z ożywieniem do Dagmary i kiwając głową uśmiechała się do niej.

— Co ona mówi, wujku Egonie? — spytała Dagmara onieśmielona, gdyż nie rozumiała ani jednego słowa

— Ona mówi po włosku. Powiedziała, że jesteś śliczną małą panienką.

Dagmara z niepokojem przyglądała się obcemu otoczeniu. Może ogarnął ją strach przed tym krajem, może to było przecucie, że w tym obcym miejscu wiele wycierpi. Także Giuseppe i dzierżawca wypowiadali słowa, których nie rozumiała.

Nawet na dorosłych deprymująco działa to, gdy na obczyźnie zagadnie ich ktoś w języku, którego nie rozumieją. Więc jakże nie miałyby to działać przygnębiająco na samotne, wygnane dziecko!

Rączka Dagmary odnalazła dłoń wujka.

— Dlaczego nie mogę zrozumieć tych ludzi?

— Wkrótce się nauczysz mówić ich językiem. Niech cię o to głowa nie boli. A teraz rozejrzyj się trochę. Popatrz, tam na górze leży kasztel.

Rozsunął gałęzie drzew oliwnych i Dagmara zobaczyła dumną warownię.

— Czy to jest twój dom, wujku Egonie?

— Tak, moje dziecko.

— Och, jak to wysoko! Czy musimy się tam wspiąć?

— Pojedziemy na górę powozem. Gdybyś musiała tam wchodzić, bardzo byś się zmęczyła.

— Ale biedne konie też się bardzo zmęczą. Muszą przecież jeszcze ciągnąć powóz, w którym wiozą ciebie i mnie, i obu panów.

Egon znów był zmuszony uczynić porównanie. Jego córka nigdy by się nie zatroszczyła o to, czy koniom jest ciężko ciągnąć pojazd, w którym jedzie.

Dagmara ma miękkie serce, to jest prawdziwa, współczująca Niemka. Elena nie odziedziczyła ani śladu niemieckiej sentymentalności, uczuciowości, jest trzeźwa, nawet trochę nieczuła i czasem okrutna, typowa Włoszka, do tego krew Consistellich. Egon pograżył się w myślach.

W tym samym czasie gdy Dagmara jechała ze swym wujkiem Egonem do Włoch, w Nowym Jorku, na estradzie wielkiej sali koncertowej, grał Karol Magnus. Liczne audytorium z zachwytem przysłuchiwało się jego mistrzowskiej grze. W jednej z łóż siedziała przepiękna kobieta w niezwykle gustownej wieczorowej toalecie, w brokatowym płaszczu narzuconym na ramiona, z rękami pełnymi kwiatów. Wielbiciele i wielbicielki przesłali te kwiaty jej mężowi, a on, jeszcze przed rozpoczęciem koncertu, złożył je wszystkie w ręce swej pięknej żony.

— Dla ciebie, Leonoro, wszystko dla ciebie! — wyszeptał gorąco.

Oczy Leonory zatonęły w jego oczach. Podziękowała mu zniewalającym uśmiechem. I teraz w tej wspaniałej sali koncertowej odurzona słuchała cudownych melodii, które jej mąż wydobywał ze skrzypiec, gdy tymczasem jej dziecko, wygnane z ojcowskiego domu, jechało nocą do obcego kraju.

Jak zauroczona utkwiała wzrok w pięknym mężczyźnie, który stojąc na podium zmuszał swe skrzypce, by łkały bądź śpiewały radośnie, by się przymilały uszom, a przede wszystkim sercom słuchaczy. Genialność gry Karola Magnusa miała swe źródło w talencie, który dojrzywał w cierpieniu i trosce, w biedzie i kłopotach.

Gdy program koncertu został wyczerpany, sala zatrzęsa się od oklasków. Wiwatowano na cześć nowej gwiazdy, która weszła na niebie sztuki, klaskano, wstawano z miejsc, wchodzono na krzesła, by zobaczyć lepiej wirtuoza, próbowano nawet wspinać się na estradę.

Panie zrywały przypięte do sukien kwiaty, rzucały je ku niemu i usiłowały złowić spojrzenie pięknych oczu artysty, ponieważ oklaski dotyczyły nie tylko skrzypka, ale również pięknego mężczyzny.

On zaś spoglądał tylko ku tej jednej jedynej, do której należały jego uczucia i myśli. Jego wzrok kierował się ku łoży, gdzie siedziała piękna kobieta o złocistych włosach i cudownych oczach, w których pojawiały się złote iskierki.

Sala nie chciała się uspokoić i Karol Magnus musiał grać na bis utwór za utworem. I znów wodził smyczkiem po strunach...

Dla ciebie, tylko dla ciebie! — mówiło jego spojrzenie. Wreszcie zagrał jedną ze swych własnych kompozycji, które wszędzie przyjmowano z ogromnym aplauzem i które przynosiły mu wysokie gaże.

Kiedy pieśń przebrzmiała, wybuchła nowa burza oklasków, jeszcze mocniejsza i dłuższa niż poprzednio. Ręce wyciągały się w zachwycie ku skrzypkowi, a on kłaniał się w swoisty, wytworny sposób. Ale jego spojrzenie biegło wciąż ku jednej kobiecie...

Leonora wiedziała, że grał tylko dla niej, że myślał tylko o niej, że żadna z tych wszystkich kobiet, które tam na dole żebrały o jego łaskę, nie mogła jej zagrozić. Uśmiechała się pełna szczęścia, a jej rozpromienione oczy pozdrawiały mężczyznę, dla którego porzuciła dziecko, męża i przytulny, bezpieczny dom.

Biedna mała Dagmara! W tym momencie została zapomniana przez swą piękną, ukochaną mamę. Zawsze była zapominana, gdy Karol Magnus spoglądał w oczy swej żony. Leonora mogła wtedy myśleć wyłącznie o nim. Ale wiedziała, że wynagradzał to jej swą pełną oddania, namiętną miłością. Wszystkie jego uczucia i myśli należały tylko do niej. I dzięki temu ona także mogła żyć tylko dla niego. Tych dwoje ludzi było przywiązanych do siebie z taką żarliwością, że można było zrozumieć, a nawet wybaczyć im to, że z taką desperacją przezwyciężyli wszystkie przeszkody, aby móc do siebie należeć.

Koncert dobiegł końca. Karol Magnus schodził ze swą piękną żoną po schodach, otoczony rojem panów i pań, wyrażających nieustannie swój podziw dla bohatera wieczoru. Mężczyźni patrzyli na panią Leonorę z takim samym zachwytem, jak kobiety spoglądały na Karola Magnusa. Ale spojrzenia małżonków wciąż się odnajdywały.

W hotelu, gdzie zatrzymali się państwo Magnusowie, miało się odbyć uroczyste przyjęcie na cześć wirtuoza. Impresario Karola Magnusa i przedstawiciele najprzedniejszego towarzystwa oczekiwali na piękną parę w niewielkiej sali bankietowej, w której z całym luksusem nakryto stół na szesnaście osób. Kolację tę wydał pewien amerykański entuzjasta, oczarowany zarówno kompozycjami, jak i samą grą artysty.

Pojawiła się małżeńska para. Leonora weszła do sali pod ramię ze swym przystojnym małżonkiem. Miała na sobie suknię naszywaną strasowymi paciorkami imitującymi brylanty. Suknia ta jak miękki, błyszczący pancerz przylegała do gibkiej kibici, dołem zaś kończyła się szeroką falbaną z plisowanego szyfonu. Wspaniałe włosy pani Magnus zebrane były na karku w miękki węzeł. W smukłych ramionach wciąż jeszcze trzymała kwiaty.

Mieniący się brokatowy płaszcz spływał jej z ramion. Jakiś mężczyzna odebrał go od niej, z zachwytem w oczach przycisnął do siebie i przez moment wdychał subtelny zapach perfum Leonory. Piękna para była znów obiektem podziwu.

Przyjęcie trwało do późnych godzin nocnych. Gdy towarzystwo się rozeszło, fetowani małżonkowie mogli się wreszcie wycofać do swego apartamentu. Gdy drzwi zamknęły się za nimi,

Karol Magnus porwał swoją żonę w ramiona i całował jak człowiek niezwykle stęskniony. A potem spojrzał jej głęboko w oczy.

— Lora, moja Lora! Wreszcie znowu moja, tylko moja! Cóż to za udręka, że muszę się tobą dzielić z tak wieloma ludźmi.

Uśmiechnęła się promiennie.

— Z. nikim nie musisz mnie dzielić, Karolu, wiesz przecież, że wszystkie moje myśli zawsze są przy tobie, nawet kiedy jestem zmuszona rozmawiać z innymi.

— Tak jak moje są tylko przy tobie, słodka Loro! Wiesz, że tylko dla ciebie gram moje pieśni, tylko dla ciebie śpiewają moje skrzypce. Widzę tylko ciebie, myślę tylko o tobie. Ty! Moja Lora, moja Lora! Wreszcie znów całkiem moja!

Całowali się gorąco, namiętnie, wciąż i wciąż, spleceni w mocnym uścisku, jakby nie mogli się od siebie uwolnić.

Gdy Leonora godzinę później opuściła pokój małżonka i przeszła do swojej sypialni, długo jeszcze siedziała przed lustrem; rozpuściła swoje wspaniałe włosy, rozczesała je i zaplotła na noc. I teraz zgasł szczęśliwy blask jej oczu. Nasłuchiwała przez chwilę, czy Karol w swym pokoju już zasnął. Gdy żaden odgłos nie zakłócał ciszy, podniosła się ostrożnie i wyciągnęła ze swej walizki niewielką szkatułkę. Wyjęła portretową miniaturę i medalion, skrywający mały złoty pukiel włosów jej dziecka. I kiedy przycisnęła ten pukiel do ust, i kiedy płonącym wzrokiem patrzyła na portret swego dziecka, z oczu trysnęły jej łzy. Za bogate, rozkwitające szczęście kobiety pokutowała teraz najdotkliwszym macierzyńskim bólem, który szarpał jej duszę. Tęskne myśli Leonory popłynęły do Niemiec, do wytwornej willi Strasserów. Zobaczyła sypialnię Dagmary, podeszła do łóżeczka, opadła na kolana i całowała małe, zaróżowione policzki. I nie podejrzewała, że jej tęsknota idzie fałszywą drogą, nie podejrzewała, że łóżeczko jej dziecka jest puste, że ono teraz z prawie obcym mężczyzną jedzie daleko na południe, wygnane z ojcowskiego domu.

Gdyby Leonora wiedziała to wszystko, krzyknęłaby przerażona w wielkim strachu o swoje dziecko! I wyruszyłaby jeszcze tego wieczora, aby je zabrać i na zawsze zatrzymać przy sobie. Nie, za żadną cenę nie zostawiłaby swego dziecka na obczyźnie. Zabrałaby je z sobą w swą niepokojną życiową drogę. Była przekonana, że jej dziecko jest pod dobrą opieką w ojcowskim domu, i nie miała najmniejszego pojęcia o ponurych podejrzeniach, które zrodziły się w sercu Rudolfa Strassera i przesłoniły w nim wszystko inne. Tylko dlatego, by go całkowicie nie osamotnić, pozostawiła mu dziecko, jego dziecko, a także by temu dziecku zapewnić spokojne, rodzinne życie.

Nagle drgnęła. Za ścianą, w pokoju męża, coś się poruszyło. Szybko ukryła miniaturę i medalion w szkatułce i otarła łzy. Karol nie mógł zobaczyć, że płakała, nie mógł wiedzieć, że ją trawi tęsknota za dzieckiem, wtedy gdy jego oczy nie patrzą na nią i nie każą jej zapomnieć o wszystkim.

Szybko obmyła i przypudrowała twarz. A potem znów nasłuchiwała, wstrzymując oddech. Ale panowała zupełna cisza.

Wtedy rozebrała się i położyła, ale długo nie mogła zasnąć. Czyżby czuła, jak wzywa ją jej dziecko, pełne trwogi i niepokoju? Nie miała ani jednej nocy, w której by myślami nie spieszyła skrycie ku swej Dagmarze. W ciągu dnia musiała być wierna swemu małżonkowi każdą myślą, bowiem czuwał zazdrośnie nad tym, czy nie pogrąża się czasem w przeszłości. Nie mogła wówczas dać upustu swej matczynej tęsknocie. Karol był zazdrosny o dziecko innego mężczyzny i cierpiał, gdy tylko zauważył, że ona za tym dzieckiem tęskni. Dlatego skrywała swój macierzyński ból aż do nocy i dopiero wtedy przez kilka godzin należała do swej córeczki.

15

Egon Strasser jechał z Dagmarą wciąż pod górę, od obejścia dzierżawcy do kasztelu. Gdy powóz minął wielką, dębową bramę, którą otworzył Giuseppe, Dagmara, instynktownie szukając obrony, złapała wujka za rękę.

— O jaki wysoki mur! Czy to jest więzienie, wujku Egonie? — spytała cichym, pełnym obawy głosem.

Może było to przecucie nadchodzącego nieszczęścia, przecucie, które kazało jej zadrzeć na widok wysokiego muru i ciemnej bramy.

— Ależ nie, Dagmaro, to nie jest żadne więzienie. Mur otacza jedynie park wokół zamku.

— Och, czy tutaj są złodzieje, którzy chcieliby się dostać do parku? Śmiejąc się potrząsnął głową.

— Nie, nie, tutaj nie ma żadnych złodziei, nie musisz się niczego obawiać.

Pomyślał jednocześnie, że w kasztelu Consistellich z trudem dałoby się znaleźć coś, co mogłoby skusić złodziei do pokonania tak uciążliwej drogi.

Powóz jechał najpierw wśród gęstwy drzew oliwnych, a potem wytoczył się na łąkę, na której leżał kasztel, chroniony przez wznoszący się nad nim stromy wierzchołek góry. Dagmara wyprostowała się.

— Ale popatrz, wujku Egonie, ten dom nie ma żadnych okien. To nie jest chyba twój piękny zamek?

— Poczekaj trochę, Dagmaro, aż powóz dojedzie na miejsce. Ta część zamku jest niezamieszkała, ponieważ jest już bardzo stara. Ale teraz uważaj: widzisz, to wygląda już całkiem inaczej, prawda?

Powóz minął środkową budowlę i jechał teraz wzdłuż zamieszkanego bocznego skrzydła, zmierzając ku portalowi. Dagmara zobaczyła czyste szyby w oknach i firanki za nimi. W świetle słonecznym robiło to bardzo miłe wrażenie.

— Och, to tutaj mieszkasz! Tak, tu jest pięknie! I tutaj mam chodzić do szkoły?

— Tak, moje dziecko.

— I także mieszkać?

— Naturalnie.

— A gdzie jest teraz piękna ciocia Caterina i Elena, moja kuzyneczka?

— Zaraz je zobaczysz, musimy się tylko najpierw zatrzymać przed portalem.

Powóz podjechał i dzierżawca strzelił z bata. Wtedy z okna na pierwszym piętrze wychyliła się piękna, ciemna głowa kobiety.

— Egon! Nareszcie z powrotem! Umieram z nudów, kiedy cię nie ma. Bogu dzięki, że wróciłeś! — zawołała signora Caterina

Z okna obok wyjrzała Elena i wdzięcznie przesłała ojcu rączką pocałunek, lustrując przy tym bez skrępowania małą dziewczynkę u jego boku.

Egon przywitał małżonkę i córkę wesołym pozdrowieniem i wyniósł Dagmarę z powozu. Podnosząc ją w górę, zawołał ze śmiechem:

— Popatrzcie, co wam ładnego przywiozłem!

Dagmara podniosła niespokojne oczy ku pięknej pani i małej dziewczynce. Skinęły jej dłońmi na powitanie, Dagmara również odpowiedziała lekkim skinieniem ręki; nieco zalekniona oczekiwała na dalszy ciąg wydarzeń.

Wujek przeniósł ją przez próg i znaleźli się w olbrzymiej sieni, jakby w rodzaju westybulu. Powoli i ostrożnie postawił dziewczynkę na błyszczącej, kamiennej posadzce. I w tym momencie signora Caterina z dumnie uniesioną głową, trzymając za rękę swą córeczkę, zeszła po schodach. Egon pospieszył im na spotkanie i powitał serdecznie na swój dobroduszny sposób.

Przez chwilę na Dagmarę nikt nie zwracał uwagi, stała osamotniona i czuła, że musi jak najszybciej uciec z tego domu do swojego tatusia i cioci Brygidy, i do pana Wenera. A gdy potem zobaczyła, jak wujek Egon podnosi swoją Elenę i całuje czule, wtedy tak bardzo zatęskniła za ojcem, aż zabolą ją małe serduszko.

Dzielnie przełknęła napływające do oczu łzy i starała się obserwować spokojnie tę rodzinną scenę powitania. Wreszcie signora Caterina odłączyła się od swoich najbliższych i podeszła do Dagmary. Z bardzo łaskawym uśmiechem podała jej rękę.

— Witaj, mała niemiecka dziewczynko!

Dagmara spojrzała na nią wielkimi wystraszonymi oczyma i ujęła piękną białą dłoń kobiety.

— Dziękuję ci, piękna pani.

Signora Caterina uśmiechnęła się mile polechtana i własnoręcznie zdjęła Dagmarze z głowy nieco pomięty kapelusik. I gdy zobaczyła przepiękne złote włosy Dagmary, które naturalnymi puklami otaczały jej główkę, zwróciła się do swego męża:

— Och, cóż za urocze dziecko! I te piękne blond włosy! — zawołała zachwycona. Ale zaraz jej spojrzenie spoczęło na głowie córki, której jasne włosy nie mogły wytrzymać porównania z włosami małej cudzoziemki. Jednak Elena była ładniejsza. To spostrzeżenie, jak się zdaje, uspokoiło próżną matkę.

Elena zbliżyła się także i zmierzyła Dagmarę od stóp do głów krytycznym spojrzeniem. Skrzywiła się i powiedziała wyniośle:

— Och, jaka ona jest brudna!

Egon gniewnie zmarszczył czoło. Zachowanie Eleny podziało mu na nerwy bardziej niż kiedykolwiek.

— Nie masz tej dziewczynce nic innego do powiedzenia, Eleno? Możesz sobie przecież wyobrazić, że ona po tak dalekiej podróży nie może wyglądać równie czysto i świeżo jak ty. Przywitaj się z nią i podaj jej rękę, ponieważ jest naszym gościem i powinna znaleźć u nas swój dom rodzinny.

Elena podreptała wytwornie i kokieteryjnie w kierunku Dagmary i powiedziała nieco obrażona reprimendą ojca:

— Witaj, mała dziewczynko!

Elena i jej matka mówiły do Dagmary po niemiecku i to sprawiło, że wystraszona Dagmara poczuła się nieco swobodniej. Uśmiechając się odparła:

— Chcę się szybko umyć i włożyć inną sukienkę, żebyś już nie mówiła, że jestem brudna.

Egon zwrócił się do żony.

— Proszę cię, przypilnuj, żeby dziecko zostało wykąpane. Świeża bielizna jest w tym kufrze. Giuseppe, zanieś kufer na górę! Niech Marietta wykąpie dziecko, da mu jajko i szklankę mleka, a potem położy do łóżka. Mała jest śmiertelnie zmęczona.

Signora przywołała Mariettę, która zaciekawiona stała już na czatach, i powiedziała jej, co ma zrobić z Dagmarą. Egon zwrócił się teraz do córki.

— Idź również na górę, Eleno, i dotrzyмай towarzystwa naszemu gościowi, póki nie pójdzie spać.

— Czy przywiozłeś mi coś z podróży, papo? — zapytała Elena, niezbyt zachwycona otrzymanym poleceniem.

— Tego dowiesz się później. Teraz zrób, co ci kazałem.

Egon objął Dagmarę, pocałował serdecznie i powiedział uśmiechając się:

— Idź, moje dziecko, pocziwa Marietta położy cię do łóżka. Zajrzę jeszcze do ciebie później, nim zaśniesz. Jesteś zmęczona. Elena zostanie przy tobie, póki się nie położysz.

Dagmara impulsywnie objęła wujka za szyję. Miała instynktowne przeczucie, że jest on w tym domu jedyną osobą, która jej dobrze życzy.

— Ale przyjdiesz do mnie na pewno, dobry wujku Egonie? — spytała cicho.

— Przyjdę na pewno! A teraz bądź grzeczna i idź z Mariettą.

Marietta wzięła Dagmarę za rękę i wyszczerzyła zęby w przyjaznym uśmiechu, który był tak samo nieprawdziwy, jak łaskawość signory i wyuczona grzeczność Eleny. Elena ruszyła za nimi zdecydowanie niechętnie i z wykrzywioną buzią. Matka jednak skinęła energicznie ręką i to zmusiło ją do posłuszeństwa.

Na górze w pokoju Dagmary usiadła ostentacyjnie na krześle i przyglądała się krytycznie kąpieli i przebieraniu Dagmary. Znudzona dyndała nogami i robiła drwiące uwagi na temat małej cudzoziemki, która pod wpływem wzrastającego w niej niepokoju zachowywała się trochę niezgrabnie. Elena wypowiadała swe komentarze oczywiście po włosku, co także nie podtrzymywało Dagmary na duchu, zwłaszcza że Marietta też zwracała się do Eleny w tym niezrozumiałym języku. Gdy jasne kędziory Dagmary także w wodzie zachowały swe kształty, bowiem takie były z natury, próżna Elena rozzłościła się: jej włosy musiały być każdego dnia mozolnie układane przy użyciu korbówki.

Dagmara czuła się między tymi dwiema obcymi osobami tak samotna i opuszczona, że najchętniej głośno by się rozplakała. Ale postanowiła być dzielna i w milczeniu poddawała się wszystkim zabiegom.

Posłusznie też wypila szklankę mleka, zjadła jajko na miękko i kawałek chleba z masłem, tak jak to dotychczas robiła w domu.

Gdy skończyła ten skromny, ale zdrowy posiłek, Marietta położyła ją do łóżka Dagmara cieszyła się bardzo, że może wreszcie zamknąć oczy i że nie prześladowuje jej już zimny, krytyczny wzrok kuzynki.

Wstrzymując oddech słuchała, kiedy Marietta i Elena oddały się. I gdy drzwi się za nimi zamknęły, usiadła i dopiero teraz rozejrzała się uważnie po nowym pomieszczeniu. Było ono tak różne od jej dawnego, pięknego, jasnego pokoju, w którym znajdowały się same białe meble i koronkowy baldachim na łóżeczkiem. Tutaj zaś stały solidne, ciemne meble, które wyglądały straszliwie obco. A do tego ciemne zasłony zatrzymywały światło, tak że panował szary półmrok. Duży kolorowy dywan leżał na lśniącej, kamiennej posadzce, tuż pod łóżkiem, nad którym wisiał baldachim z ciężkiego, ciemnofioletowego materiału ze srebrnymi niegdyś frędzlami. Że ten materiał

był bardzo stary, nie przyszło Dagmarze do głowy, w każdym razie wydał jej się tak ponury i nieprzyjazny, że jej małe serduszko zaczęło tłuc się trwożliwie.

Wielkimi, struchlałymi oczyma rozglądała się wokół siebie. I jej ręce mimowolnie złożyły się do modlitwy. Tutaj nie przyjdzie chyba nikt, żeby się z nią pomodlić, tak jak w domu przychodziła najpierw jej mama, a potem ciocia Brygida. Tak więc postanowiła pomodlić się sama.

— Dobry Boże, spraw, żebym była pobożna i żebym poszła do nieba! I miej w opiece mego kochanego tatusia, niech znów stanie się wesoły i pogodny. I pozwól mi sprowadzić mu słońce. Miej też w opiece moją mamusię w dalekim obcym kraju. I miej w opiece ciocię Brygidę i powiedz jej, że jestem dzielna i chcę zrobić wszystko dla mojego tatusia. I miej w opiece także kochanego pana Wenera i spraw, żeby przynajmniej on był przy mnie. I obiecuję Ci, Panie Boże, być zawsze grzecznym, dobrym dzieckiem. Amen.

Zastanowiła się, czy wymieniła w swej modlitwie wszystkie osoby, które kochała, i przypomniało się jej, że pominęła wujka Egona. Szybko złożyła jeszcze raz ręce do modlitwy:

— I proszę Cię, Panie Boże, miej także w opiece dobrego wujka Egona!

Teraz jakby się trochę uspokoiła. Zawsze jej mówiono, że nic złego nie może się stać temu, kto się modli do Boga. Wierzyła w to głęboko. Położyła się znów i zamknęła oczy. Ale co chwila zerknęła trwożliwie dookoła i wciąż mocno biło jej serce. Z utęsknieniem oczekiwała wujka Egona, który obiecał, że jeszcze do niej zajrzy.

16

Egon pocałował żonę w rękę.

— Pozwól, Caterino, że się nieco odświeżę po podróży. Za chwilę przyjdę do ciebie i opowiem ci o wszystkim — obiecał.

Mniej więcej po kwadransie wszedł do salonu żony. Oczekiwała go pełna niecierpliwości. Przysiadł się do niej.

— Jesteś, Caterino, zapewne bardzo ciekawa mojej relacji, ale najpierw powiedz mi: Jak ci się podoba nasza nowa domowniczka?

Signora Caterina roześmiała się.

— No cóż, muszę, niestety, przyznać Elenie słuszność, dziewczynka była trochę brudna. Ale trudno się temu dziwić po tak dalekiej podróży. W każdym razie wydaje mi się ładnym i bardzo łagodnym dzieckiem.

— Taka jest w istocie, Caterino, i mam nadzieję, że znajdzie miejsce w twoim sercu, ponieważ jest biednym, pożałowania godnym stworzeniem, bardzo potrzebującym miłości. A poza tym jest to Dagmara, córka Rudolfa.

Piękna kobieta, zaskoczona, spojrzała na swego męża.

— Och, *Dio mio!* Dlaczego mówisz mi to dopiero teraz?

— Ponieważ chcę ci wszystko szczegółowo opowiedzieć. A więc posłuchaj.

Wcześniej rozważył w duchu, czym może naprawdę wzruszyć Caterinę i usposobić ją przychylnie do Dagmary, i dlatego opisał jej gorącymi słowami, jakie wątpliwości opanowały Rudolfa Strassera. Gdyby podejrzewał, co za konsekwencje to spowoduje, nie wspominałby o tym ani słowem.

Signora Caterina słuchała w skupieniu, najpierw tylko zaciekawiona, ale później, gdy jej mąż zaczął mówić o wątpliwościach Rudolfa, jej twarz przybrała zagadkowy wyraz. A kiedy skończył, powiedziała wolno, jakby w głębokim zamyśleniu:

— To jest bardzo, bardzo dziwna sprawa. A więc Dagmara jest córką twego kuzyna, który jednak ostatecznie nie wie, czy ona jest naprawdę jego córką. Powiedz, Egonie, gdyby twój kuzyn Rudolf nie miał dziecka, czy nie ty byłbyś wtedy jedynym spadkobiercą?

Zdumiał się, popatrzył zaskoczony w jej dziwnie błyszczące oczy i powiedział obruszony:

— Ależ, Caterino, przecież Dagmara jest prawnie uznaną córką Rudolfa.

— Czy nie można by zakwestionować jej praw do spadku? Zmarszczył czoło i gniewnie potrząsnął głową.

— Nie, z całą pewnością nie, ponieważ Dagmara jest wedle prawa córką Rudolfa, który w testamencie uczynił ją swą uniwersalną sukcesorką.

Iskry pożądania w oczach Cateriny jednak nie zgasły.

— Gdyby ona nią jednak nie była, wtedy ty stałbyś się spadkobiercą Rudolfa? Powiedziałeś mi przecież, że jesteś jego najbliższym krewnym...

— Jak się właśnie dowiedziałem, żyje jeszcze nasza kuzynka, która jest bardzo daleko spokrewniona z Rudolfem i ze mną. Rudolf zresztą poprosił ją teraz o prowadzenie swego domu. Jest starsza ode mnie.

— A więc, gdyby małżeństwo Rudolfa pozostało bezdzietne, tak czy owak ty wchodziłbyś w rachubę jako główny spadkobierca?

Dla Egona ta rozmowa stała się nieprzyjemna, ale odpowiadając na pytanie żony musiał przyznać:

— Temu nie da się zaprzeczyć. Oczywiście gdyby Rudolf nie zrobił w testamencie zapisu na rzecz kogoś innego.

Caterina wyprostowała się gwałtownie.

— A więc to obce dziecko stoi między tobą a wielkim spadkiem?

Przestraszył go błysk pożądania w jej oczach i teraz dopiero pojął, jaką głupotą z jego strony było to, że opowiedział Caterinie o wątpliwościach Rudolfa. Z pewnością byłoby mądrzej, gdyby zatrzymał to dla siebie, a Caterinie podał jakikolwiek inny powód, dla którego Rudolf wypędził na zawsze swoją córkę.

— Jakie obce dziecko? — spytał ostro i gniewnie.

Signora dumnie odrzuciła głowę do tyłu.

— No, ta Dagmara!

Zerwał się.

— Ależ, Caterino, o czym ty mówisz? Powiadam ci przecież, że Dagmara jest prawnie uznaną sukcesorką mego kuzyna.

— Na pewno jednak nie jest jego córką, lecz tamtego wędrownego grajka, z którym jej matka odeszła w świat — odparła równie ostro.

Złapał się za głowę.

— Tego się przecież nie da udowodnić! Opamiętaj się! Powtarzam ci jeszcze raz: Dagmara testamentem Rudolfa została wyznaczona jego sukcesorką. Nie zaprzataj więc sobie głowy głupimi myślami, bo to do niczego nie prowadzi. A ja nigdy nie zakwestionuję praw tego biednego dziecka, tego możesz być pewna. A teraz już o tym ani słowa, ciesz się raczej, że dzięki Dagmarze trochę więcej pieniędzy pojawi się w naszym domu. Rudolf wyznaczył bardzo przyzwoitą kwotę na jej wychowanie. Otrzymasz z tego połowę na wydatki swoje i Eleny. Za drugą połowę zaangażuję wychowawczynię, która jednocześnie będzie uczyć naszą Elenę. I jeszcze zostanie trochę na inne drobne przyjemności. Oprócz tego Rudolf wyznaczył pewną sumę na ewentualne dodatkowe potrzeby i za to nabędę parę cugowych koni, żebyś przynajmniej mogła wybrać się z dziećmi na spacer. Giuseppe zaś otrzyma rower, żeby nie chodził pieszo na pocztę. Pieniądze na ubranie Dagmary są tak hojnie odmierzone, że z trudem można by je wydać tylko na jej garderobę. Czy nie cieszysz się z tego, Caterino?

Przed oczyma Cateriny pojawiła się jednak fatamorgana, od której nie mogła już oderwać wzroku. Widziała ogromny spadek, który miał być dla nich stracony z powodu tego bękarta. Wreszcie jednak siłą oderwała się od tych rozważań, gdyż wiedziała, że jej mąż bardzo by się rozgniewał, gdyby jeszcze dłużej o tym mówiła. Tak więc powiedziała wzdychając:

— No cóż, trzeba się cieszyć, że nam coś skapnęło z bogactw Rudolfa. Bogu dzięki, będziemy mieli wreszcie konie cugowe; było bardzo uciążliwe prosić za każdym razem dzierżawcę o

pożyczenie jego wałachów. Bądź co bądź nie był to piękny widok przy naszej karecie, której, szczerze mówiąc, przydałyby się już nowe obicia.

— To ci mogę obiecać — powiedział szybko Egon, zadowolony, że żona odeszła od nieprzyjemnego dla niego tematu. Miał nadzieję, że już do niego nie wróci i nie będzie więcej o nim myśleć.

Jakże mało znał Caterinę!

— Chciałbym z tobą od razu omówić sprawę wychowawczyni. Rudolf życzy sobie, żebym zaangażował Niemkę, ponieważ Niemki są gruntowniej wykształcone. Więc pomyślałem zaraz o pannie Berend, nauczycielce w domu hrabiego Ulfino we Florencji. Hrabia mówił mi, gdy go ostatnio widziałem, że panna Berend poszukuje nowej posady, gdyż nauka jego córki dobiegła końca. Bardzo mi polecał tę wychowawczynię dla Eleny, ale wówczas nie mogłem nawet marzyć o zaangażowaniu takiej siły. *Conte* Ulfino zamierzał zatrzymać nauczycielkę w swym domu tak długo, póki nie znajdzie ona nowej posady. Zaraz do hrabiego napiszę i zapytam, czy panna Berend jest jeszcze wolna. Moim zdaniem jest ona odpowiednią kandydatką, włada doskonale niemieckim, włoskim i francuskim i zna również trochę, jak pamiętam, angielski. Przebywa już od wielu lat we Włoszech i, jak się zdaje, jest bardzo porządną osobą, w przeciwnym razie *conte* Ulfino tak gorąco by jej nie rekomendował. Co o tym myślisz, Caterino?

Markiza skinęła głową.

— Przypominam sobie, że ta panna Berend jest także bardzo muzykalna i uczyła córkę hrabiego gry na fortepianie. Akompaniowała mi kiedyś do śpiewu, robiła to bez zarzutu; jest przy tym bardzo cichą, skromną kobietą. Nie mam nic przeciwko temu, żeby uczyła Elenę.

Ujął jej rękę.

— Widzisz więc, Caterino, że wszystko dobrze się składa. Miej zatem trochę serca dla biednej Dagmary — poprosił serdecznie.

Zmusiła się do uśmiechu i nawet nie cofnęła ręki.

— To przecież oczywiste. Egonie — powiedziała.

Ale jej serce nie przyjęło tej prośby do wiadomości. Wciąż myślała o tym, że bogaty spadek Rudolfa Strassera przypadnie temu dziecku być może bezprawnie. I odtąd ta myśl już jej nie opuszczała, zagnieździła się w niej i wwiercała się coraz mocniej do jej mózgu; powtarzała sobie ciągle od nowa, że gdyby nie było Dagmary, bogaty spadek musiałby przypaść Egonowi. Rudolf Strasser był dużo starszy od niego, nadto mąż opowiadał jej, że Rudolf wygląda mizernie, jak człowiek cierpiący, i skarży się na bóle serca.

Życzenia Cateriny szły w jednym kierunku. Widziała się znowu bogatą, znowu błyszczała w towarzystwie. Tak, mogliby nawet na konto tego spadku już dziś otrzymać wysoki kredyt i zaraz

rozpocząć piękne, światowe życie. Krótko mówiąc, markiza była ogarnięta awanturczymi zamierzeniami i pochłonięta robieniem planów...

I im samotniej z upływem czasu czuła się w kasztelu Consistellich, tym bardziej wkradała się do jej duszy gryząca zazdrość. A kiedy patrzyła na Dagmarę, zazdrości towarzyszyła nienawiść do tego niewinnego dziecka, które, jak uważała, niesłusznie stanęło na drodze jej widoków na sukcesję.

Umiała jednak dobrze ukrywać te czarne myśli przed mężem, ponieważ widziała coraz wyraźniej, że w tej sprawie nigdy nie będzie miała w nim sprzymierzeńca. Ale ponieważ te zawistne rozważania trawiły jej duszę i potrzebowała kogoś, przed kim mogłaby dać im upust, zwierzała się stopniowo swej starej służącej, w której sercu wzbudziła przez to również ukrytą żądzę zdobycia tego krociowego spadku.

Po rozmowie z żoną Egon Strasser, tak jak obiecał, udał się do pokoju Dagmary, aby ją jeszcze raz zobaczyć. Był z siebie bardzo niezadowolony, że w dążeniu do tego, by skłonić uczucia Cateriny ku biednemu dziecku, zdradził jej wątpliwości swego kuzyna. Ale trudno, stało się. Mimo wszystko był daleki od tego, by podejrzewać, że Caterina tak poważnie zajmie się tą sprawą.

Dagmara jeszcze nie spała. Leżała w łóżku wciąż ogarnięta skrytą, nieokreśloną obawą. Być może czuła instynktownie, że w tym domu budzą się wrogie, groźne moce, które zamierzają stanąć jej na drodze. Ale serdeczne, kojące słowa wujka Egona uspokoiły jej serce. Pogłaskał ją po głowie i popatrzył wzruszony w zatrwożone oczy dziewczynki.

— Śpij, moje dziecko, śpij dobrze i spokojnie w swym nowym domu. Jutro wszystko będzie lepiej, na pewno się przyzwyczaisz i ciocia Caterina będzie dobra dla ciebie, i Elena także do ciebie przywyknie. Śpij, Dagmaro, jesteś zmęczona. Zostań z Bogiem.

Dziecko położyło policzek na dłoni wujka i natychmiast zasnęło. Musiał bardzo ostrożnie wysunąć rękę, aby małej nie zbudzić.

Cicho opuścił pokój i polecił Marietcie, by następnego dnia rankiem zaraz zajrzała do dziecka i była dla niego naprawdę miła.

Marietta przyrzekła to solennie. Nie wiedziała jeszcze nic o złych myślach swojej pani, jeszcze mała Niemka była dla niej jedynie zwykłą pensjonariuszką, którą jej dumna markiza musiała przyjąć dla pieniędzy.

Gdy nazajutrz Dagmara zbudziła się po nocy przespanej bez snów, Marietta była już w jej pokoju. Odsunęła zasłony z okien i jasne światło poranka wtargnęło do wnętrza. Jeszcze Marietta nie usłyszała od swej pani, że to dziecko stanęło pomiędzy nią a wielkim spadkiem...

Caterina opowiedziała jej na razie, że Dagmara jest córką kuzyna jej męża. I stara służąca była dla dziecka tak miła, jak tylko mogła być miła dla innych ludzi poza ukochaną markizą i jej córką. Mówiła z Dagmarą po niemiecku; niemiecki w jej wykonaniu brzmiał nieco egzotycznie, ale Dagmara wszystko rozumiała.

Dagmara upomniała się od razu o swoje lalki.

— Marietto, one muszą wyjść z walizki na powietrze. Proszę, rozpakuj ją. Lalki ciągle tam śpią, a Liza jest na pewno mocno wystraszona, że tej nocy nie spała ze mną w łóżku. W czasie podróży nie można było inaczej, ale teraz lalki muszą znów mieszkać normalnie, żeby mi się nie chorowały.

Marietta roześmiała się.

— Ja rozpakować wszystko! Po śniadaniu ty przyjdź znowu na górę i zobaczysz, gdzie ja umieścić twoje rzeczy, żeby ty znalazła. Tak długo mogą jeszcze lalki poczekać, mała signorina.

Dagmara wolałaby najpierw uroczyście powitać swoje lalki, ale pozwoliła się posłusznie sprowadzić do jadalni, gdzie, jak powiedziała Marietta, podano śniadanie.

Dagmara zastała już tam wujka Egona z całą rodziną. Wujek przywitał Dagmarę bardzo serdecznie, znów całkowicie ujęty jej urokiem, i zaprowadził na wyznaczone miejsce przy stole, poleciwszy jej najpierw dygnąć przed ciocią Cateriną i podać rękę Elenie.

Signora Caterina odniosła się do Dagmary z wymuszoną uprzejmością, podczas gdy Elena podała dziś kuzynce rękę nieco milej i mniej protekcyjnie, gdyż Dagmara wyglądała czysto i uroczo. Signora Caterina przeciągnęła ręką po przepysznych kędziorach Dagmary.

— *Dio mio*, one są prawdziwe i kręcą się, mimo że są jeszcze mokre — oznajmiła prawie dotknięta.

Jej małżonek roześmiał się bez trosko.

— Tak, tak, tutaj Marietta nie będzie musiała używać korbówki jak przy Elenie.

Nie przypuszczał nawet, jak tym stwierdzeniem obraził próżną matkę i równie próżną córkę.

Dagmara spojrzała wystraszonymi oczyma na piękną, wyniosłą ciotkę, a potem na ładną, ale nie bardzo przyjazną kuzynkę. Posłusznie wypięła czekoladę i zjadła kilka grzanek. Jej oczy spoglądały z wdzięcznością na wujka Egona, który rozmawiał i żartował bez przerwy z nią i Eleną. Żarty

wujka Dagmara przyjmowała głośnym śmiechem, natomiast Elena, zblazowana, kwitowała je konwencjonalnym uśmiechem.

Signora Caterina także skierowała do Dagmary kilka miłych słów, ale serce Dagmary nie mogło się skłonić ani do ciotki, ani do Eleny, chociaż dziewczynka nie podejrzewała, z jakim trudem przysła dumnej markizie ta uprzejmość.

Po śniadaniu Dagmara otrzymała pozwolenie, aby wraz z Mariettą rozpakować swoje kufry.

— Możesz towarzyszyć swej kuzynce, Eleno, i obejrzeć jej sukienki i zabawki, to cię zainteresuje — powiedziała matka.

Elena, trochę mniej niezadowolona niż poprzedniego wieczora, zdecydowała się pójść na górę. Była bardzo ciekawa, czy Dagmara ma piękniejsze sukienki niż ona. Zabawki mniej ją interesowały, była przedwcześnie zbyt dojrzała, aby jeszcze jak prawdziwe dziecko cieszyć się zabawą.

Trzymając się za ręce dziewczynki poszły na górę, a Elena zdecydowała się nawet prowadzić z Dagmarą konwersację w języku niemieckim. Dagmara była szczęśliwa, że kuzynka wzięła ją za rękę i że z nią rozmawia.

Pokój Dagmary był już uprzątnięty przez służącą Stellę. To nie należało do obowiązków Marietty. Na środku pokoju stały trzy duże kufry, do których ciotka Brygida kazała zapakować wszystko, co jej ulubienicy było miłe i potrzebne. Na górze leżała walizka z lalkami. Gdy zjawiała się Marietta, Dagmara poprosiła, żeby najpierw wypakować lalki.

Elena, jak mała dama, opadła na krzesło i machała obutymi wytwornie nogami. Można było po niej poznać, że była zdecydowana wykić wszystko, co zobaczy. Teraz, gdy lalki zostały wypakowane, wykazała pewne zainteresowanie dużą, najokazalszą lalką, ponieważ była ona ubrana modnie i elegancko. Dagmara jednak widziała tylko swoją Lizę, którą z rzewnym okrzykiem radości przycisnęła do serca, całowała i przemawiała do niej czule. Wtedy Elena roześmiała się głośno i zrobiła ruch pełen odrazy i obrzydzenia.

— Pfuj! Jak możesz dotykać tej szkaradnej, brudnej lalki! Wygląda jak tłumok brudnych gałganów! Włosy ma potargane, a z twarzy zeszła jej cała farba. Pfuj! Jak można pieścić coś tak obrzydliwego! — zawołała przenikliwym głosem.

Dagmara spojrzała na nią przerażona, przycisnęła Lizę do siebie i całkiem zbladła.

— To jest mój słodki, najdroższy skarb, nazywa się Liza i jest moją najulubieńszą i najpiękniejszą lalką. Dostałam ją od mojej kochanej mamusi. Nie wolno ci mówić o Lizie takich brzydkich słów, ona jest bardzo wrażliwa.

Elena znów roześmiała się na cały głos.

— Ładny sobie skarb wyszukałaś. Pfuj! Tak brzydkiej lalki nigdy jeszcze nie widziałam. Możesz ją od razu wrzucić do pieca i spalić.

Dagmara krzyknęła ze strachu, gdy Marietta, która także śmiała się głośno z sentymentalnej Niemki, sięgnęła po lalkę, twierdząc również, że jest ona brzydka i brudna i trzeba ją wrzucić do ognia. Dagmara kurczowo przycisnęła zagrożoną Lizę do serca, które tłukło się pełne trwogi.

— Nie, nie, mojego ukochanego dziecka nikt nie może skrzywdzić. Och, Eleno! Jak możesz być tak okrutna! Liza śmiertelnie się przeraziła.

Elena i Marietta znowu się roześmiały.

— Ależ ty jesteś jeszcze głupia! — zawołała Elena. — Lalka jest przecież tylko lalką, nic nie czuje i nie może się przestraszyć. A ta twoja Liza jest i zawsze będzie brzydactwem.

Dagmara nie umiała na to nic odpowiedzieć, głaskała tylko w milczeniu wzgardzoną lalkę i jeszcze bardziej ją kochała. Cicho pochlipując od czasu do czasu, położyła swoje pozostałe lalki na małym tapczanie, który znajdował się w pokoju. Najokazalsza lalka znowu przyciągnęła uwagę Eleny.

— Popatrz tylko, ta jest o wiele piękniejsza, ta mi się podoba! — powiedziała. Wzięła piękną lalkę w ramiona i podeszła do lustra, jakby chciała sprawdzić, czy z tą lalką jest jej do twarzy.

Dagmara potrząsnęła tylko w milczeniu głową. Elena spytała z ciekawością:

— Czy ta lalka ma jeszcze inne sukienki?

Dagmara przytaknęła i wyszukała w stosie kosztowne sukienki pięknej lalki.

— Chcę się nią pobawić, będę ją przebierała — oświadczyła Elena.

Dagmara szybko wybaczyła wszystko Elenie i powiedziała już spokojnie:

— Możesz się pobawić, jeśli tylko nie będziesz krzywdziła mojej Lizy. Pamiętaj, że Lizę podarowała mi moja mama i mamusia też sama uszyła jej tę sukienkę, dlatego Liza nie może nosić innej.

Elena obojętnie wzruszyła ramionami i zajęła się rozbieraniem i ubieraniem paradnej lalki. Dagmara pomagała jej przy tym i przez chwilę gawędziły przyjaźnie. Pozostałe zabawki Dagmary znalazły mało uznania u Eleny, była już zbyt zblazowana, aby w czymś takim znaleźć upodobanie. Tylko ping-pong jeszcze ją trochę zainteresował i oznajmiła, że będzie w niego czasem z kuzynką grała.

Ale również zainteresowanie Eleny dla pięknej lalki wkrótce się wyczerpało, gdy przymierzyła jej wszystkie sukienki. Marietta tymczasem rozpakowała kufer z sukienkami Dagmary i Elena niedbale porzuciła lalkę, i zaczęła się przyglądać garderobie Dagmary. Na samym wierzchu leżała wytwornie poskładana bielizna, która Elenie bardzo się podobała. Niektóre wyjmowane z kufrę rzeczy budziły u Dagmary tęsknotę za domem rodzinnym. Marietta i Elena miały jeszcze niejednokrotnie okazję, by sobie pokpić z sentymentalnej Niemki. Ciotka Brygida włożyła na przykład między bieliznę fotografię ojca Dagmary. Chętnie także zapakowałyby zdjęcie matki, aby by-

ło dla córki pocieszeniem na obczyźnie, ale gdy Leonora uciekła, Rudolf Strasser kazał zniszczyć wszystkie jej fotografie.

Gdy Dagmara zobaczyła podobiznę ojca, zbladła, przycisnęła ją do siebie i ucałowała. Potem postawiła zdjęcie na nocnym stoliku obok łóżka i przemawiała do niego szeptem, żeby Elena nie mogła nic usłyszeć, bowiem obawiała się, że znowu zostanie wykpiona. Elena i Marietta trąciły się łokciami i zachichotały.

— Któż to jest? — spytała Elena drwiąco. Usta Dagmary drgnęły.

— To jest mój ukochany tatuś, nie możesz się z niego wyśmiewać, bo zrobisz mi dużą przykrość.

Elena podeszła i z ciekawością przyjrzała się fotografii, a po chwili oznajmiła:

— Twój tatuś jest podobny do mojego papy.

Także Marietta zbliżyła się do stolika i popatrzyła na portret.

— *Si, si*, jest tak podobny do signora, jakby byli braćmi.

Marietta miała rację, istniało bardzo duże podobieństwo między obydwoma kuzynami, tylko rysy Rudolfa zdradzały większą energię i stanowczość.

— Dlatego ja tak kocham wujka Egona, bo czasem wygląda jak tatuś.

Marietta przez chwilę przenosiła wzrok od jednej dziewczynki do drugiej, porównując je, a potem stwierdziła:

— Ty, Eleno, także jesteś trochę podobna do Niemki.

I rzeczywiście ujawniło się pewne podobieństwo między obiema kuzynkami. Okrągła dawniej twarzyczka Dagmary stała się w ostatnich dniach na skutek wszystkich emocji i przeżyć nieco szczuplejsza i bledsza i dzięki temu jej rysy mocniej się uwydatniły. Istniało niewątpliwie pewne rodzinne podobieństwo między obydwójgiem dzieci i to nie uszło bystrym oczom Marietty. Gdyby Rudolf Strasser usłyszał ten sąd bezstronnej osoby, może pogrzebałby wtedy dręczące go wątpliwości...

Przyszła kolej na sukienki Dagmary. Elena była tak bardzo nimi zaciekawiona że podeszła tuż do samego kufra. Uznała, że prawie wszystkie sukienki Dagmary są bardzo ładne, i zdecydowanie oświadczyła, że kilka z nich chce przymierzyć. Dagmara chętnie na to zezwoliła, cieszyła się przecież, że wśród jej rzeczy jest coś, z czego kuzynka nie kpi. Elena, mimo że o dobry rok starsza nie był wyższa od Dagmary i dlatego wszystkie sukienki na nią pasowały.

Ciotka Brygida zatroszczyła się o całkiem nową wyprawę dla swej ulubienicy, zgodnie zresztą z życzeniem jej ojca. Toteż ukazywały się teraz, jedna po drugiej, urocze kreacje, w oczach Eleny zaś pojawiała się obrzydliwa zazdrość. W końcu tak się zirytowała, że zaczęła płakać. Dagmara miała dużo piękniejsze sukienki i dużo więcej niż ona. A głównie z jedną, delikatną sukienką

z koronki, z szeroką, jasnoniebieską, jedwabną szarfą, Elena nie mogła się rozstać. Stała w niej przed lustrem i oglądała się ze wszystkich stron.

Dagmara nie mogła pojąć, że kuzynka przywiązuje tak wielką wagę do stroju, i gdy zobaczyła, że Elena płacze, ponieważ sukienka nie należy do niej, powiedziała dobrodusznie:

— Weź ją sobie, Eleno, jeśli ci się tak podoba. Jeszcze w niej nie chodziłam, jest całkiem nowa, i jeśli ci to sprawi radość, możesz ją sobie zatrzymać.

Elena spojrzała zdumiona Łzy wyschły jej natychmiast. Nie mogła zrozumieć, że Dagmara tak bez ceregieli zrezygnowała ze swej bez wątpienia najpiękniejszej sukienki.

— Tak tylko mówisz, bo chcesz być ważna Nie przysłoby ci do głowy, żeby mi podarować sukienkę.

Dagmara skinęła gorliwie głową. Jej uroczą twarzyczkę rozjaśnił uśmiech, cieszyła się, że może Elenie sprawić radość.

— Ależ tak, mówię serio. Mam przecież dużo sukienek i tę chętnie ci podaruję.

Elena spojrzała pożądliwymi oczami ku Marietcie. Ta mrugnęła i kiwnęła głową. Najchętniej zarekwirowałaby dla swej kochanej Eleny wszystkie sukienki. Po co małej Niemce tyle tego wszystkiego, skoro jej Elena nie jest tak bogato wyposażona. Łzy Eleny wyschły bardzo szybko. Zobaczyła, że Dagmara traktuje rzecz poważnie, i teraz zbudziła się w niej żądza, by wykorzystać słabość Dagmary i dostać od niej więcej sukienek. Zachowywała się jednak protekcyjnie, jakby wyrządzała Dagmarze łaskę. Powiedziała więc:

— No dobrze, skoro mnie tak prosisz, wezmę tę sukienkę, jest mi w niej i tak bardziej do twarzy niż tobie. A ty mogłabyś mi od razu podarować jeszcze tę fularową sukienkę, czerwoną z białym wzorem, z całą pewnością nie wyglądasz w niej dobrze.

Dagmarze podobała się akurat ta sukienka, bynajmniej nie dlatego, żeby podobnie jak Elena przykładła wielką wagę do tego, czy w sukience jest jej do twarzy czy nie, lecz dlatego, że cieszyło ją zestawienie kolorów. Dagmara była jeszcze zbyt dziecinna, żeby uświadomić sobie, iż należy myśleć o wpływie ubioru na własny wygląd. Dla niej odpowiednia była każda sukienka, która jej się podobała. I ta właśnie taka była. Ale zastanawiała się tylko przez moment, potem bez żalu podniosła ze stosu czerwoną sukienkę i wręczyła ją Elenie z miłym uśmiechem.

— Proszę, weź także tę, ale nigdy więcej nie możesz brzydko mówić o mojej Lizie i wyśmiewać się z niej.

Elena złapała spieszenie sukienkę i uradowana zaczęła skakać po pokoju. Tego próżnego stworzenia nic nie mogło bardziej uszczęśliwić niż piękny strój. A stara Marietta cieszyła się wraz z nią.

W tym momencie do pokoju weszła signora Caterina. Dagmara od razu stała się niespokojna i ogarnął ją lęk. Spojrzenie zimnych, dumnych oczu pięknej ciotki, które na niej spoczęło, sprawiło, że zadrżała i bezradnie umilkła.

Elena zaś podbiegła ku matce i pochwaliła się, że Dagmara podarowała jej dwie piękne, nowe sukienki. Dumną twarz Cateriny wykrzywił dziwny grymas i markiza zrobiła taki ruch, jakby chciała wyrwać Elenie sukienki. Ale potem, jak się zdawało, zmieniła zdanie. Czyż Elena nie miała większego prawa nosić tych sukienek, za które zapłacił Rudolf Strasser, niż

Dagmara, ten bękart, który stanął między nimi a wielkim spadkiem? Odrzuciła głowę do tyłu i powiedziała wyniośle:

— Możesz spokojnie zatrzymać te sukienki, Eleno, ponieważ wujek Rudolf ustalił, że ty masz dostać połowę rzeczy, które zabierze ze sobą Dagmara. Więc nie ona ci je podarowała, lecz wujek.

Elena wydała okrzyk radości i rzuciła się na sukienki Dagmary. Caterina policzyła je. Było osiem nowych sukienek. Bez mrugnięcia okiem signora Caterina zadecydowała:

— Wyszukaj sobie, Eleno, jeszcze dwie sukienki. Dla Dagmary pozostaną wtedy również cztery, to jest absolutnie dosyć, ponieważ przywiozła ze sobą jeszcze kilka używanych.

I nie zwracając uwagi na Dagmarę, matka i córka, wspierane gorliwie przez Mariettę, dokonały wyboru. Oczywiście wybrały dla Eleny najładniejsze kreacje.

Co się przy tym działo w sercu Dagmary, nikt nie zgłębiał. Zignorowana stała z boku i tylko patrzyła. Z całego serca podarowałyby Elenie jeszcze którąś ze swych sukienek, a gdyby kuzynka ją o to poprosiła, oddałyby nawet połowę swej wyprawy. Ale że odbierano jej rzeczy, nie pytając o zgodę, wydało się jej niesprawiedliwe. Wiedziała przecież dobrze, że ciotka Brygida dla niej właśnie wybrała i zamówiła wszystkie te sukienki, i powiedziała, że tatuś podarował jej to wszystko, żeby się tym cieszyła. A teraz ciotka Caterina twierdzi, że ojciec połowę z tego przeznaczył dla Eleny.

Nie powiedziała jednak nic. Patrzyła tylko, jak jasnoniebieska, plisowana sukienka z jedwabnej krepy oraz druga, urocza, w szkocką kratę przechodzą w posiadanie Eleny. Dagmarze zostało tylko kilka prostych, praktycznych sukienek i jedna różowa z batystu i koronek, uznana za nietwarzową dla Eleny.

Także odpowiednie buty i pończochy, część bielizny i różne inne ładne drobiazgi, które ciotka Brygida z taką miłością wyszukała dla małej Dagmary, zostały w ten niezupełnie dystyngowany sposób zaanektowane przez dumną markizę, która bardzo chytrze wyliczyła sobie, że w najbliższym czasie pieniądze obiecane na różne kobiece wydatki będzie mogła przeznaczyć tylko dla

siebie, gdyż Elena została teraz całkiem przyzwoicie wyposażona. Caterina kazała Marietcie zanieść od razu wszystkie rzeczy do pokoju Eleny, który znajdował się obok.

Gdy Elena znowu odzyskała zainteresowanie dla innych spraw niż stroje i sukienki, powiedziała złośliwie, wskazując na łóżko Dagmary:

— Popatrz, mamó, na tę wstrętną, brudną lalkę, którą Dagmara położyła na swym czystym łóżku.

Signora Caterina podeszła do łóżka i cofnęła się z obrzydzeniem.

— Pfuj, jak możesz coś tak brudnego kłaść na czystym pościeliu? Zabierz to zaraz i wyrzuć do śmieci.

Elena z ważną miną dreptała wokół markizy. Pełna oburzenia opowiadała:

— Chciałam, mamó, tę szkaradną lalkę wrzucić do pieca, ale Dagmara zaczęła krzyczeć i nie pozwoliła nam jej zabrać.

Końcami palców signora Caterina podniosła lalkę i rzuciła w kierunku wchodzącej właśnie Marietty.

— Do pieca z tym straszylem! To jest przecież obrzydliwe.

Dagmara stała jak sparaliżowana i wciąż jeszcze nie mogła pojąć, dlaczego Elena, otrzymawszy wszystkie najpiękniejsze sukienki, znowu zachowuje się wrogo wobec Lizy. Jednak gdy zobaczyła, jak jej Liza leci w stronę drzwi, i usłyszała, że ma być wrzucona do pieca, wstąpiło w nią życie. Prawie nieprzytomna popędziła za Mariettą, która szybko wyszła z lalką, żeby ją spalić w kuchennym piecu. Dagmara krzyczała za nią bez przerwy na cały głos:

— Moja Liza, nie rób krzywdy mojej Lizie, nie możesz jej spalić!

Płacząc i zawodząc podążała za Mariettą. Jej głośny, przeraźliwy płacz wywabił Egona Strassera z pokoju. Zobaczył, jak Marietta, doganiana przez Dagmarę, zbiega po schodach, i zagroził służącej drogę, nim zdążyła się wyniknąć.

— Co tu się dzieje? — zapytał surowo.

— Och, wujku Egonie, Marietta chce moją Lizę wrzucić do pieca. To będzie moją lalkę bardzo bolało. Kiedyś sparzyłam się w palec i wiem, jak to boli. Proszę cię, nie pozwól, żeby moje ukochane dziecko tak cierpiało. Powiedz Marietcie, żeby tego nie robiła.

Drżąc na całym ciele Dagmara objęła wujka i spoglądała na niego błagalnie.

Egon Strasser słyszał od ciotki Brygidy, jak bardzo Dagmara jest przywiązana do tej starej brzydkiej lalki, bowiem otrzymała ją w prezencie od swojej matki. Ciotka Brygida chciała w ten sposób udowodnić Egonowi, że Dagmara jest dzieckiem o gorącym sercu. Przypomniał sobie o tym i odebrał Marietcie lalkę. Po oczach starej sługi widać było, że chętnie spaliłaby zabawkę.

— Dlaczego chciałaś to zrobić, Marietto?

— Och, *signore, mia bella marchesa* mi kazała. Ta lalka to brudny łach.

— Lalka nie zostanie spalona — oświadczył zdecydowanie.

Marietta spojrzała na niego gniewnie błyszczącymi oczyma.

— Wtedy *mia bella marchesa* mnie skrzyczy — wrzasnęła.

— Gdzie jest moja żona?

— W pokoju małej niemieckiej signoriny.

Egon otarł Dagmarze łzy, wziął ją za rękę i próbował uspokoić. Przytuliła Lizę mocno do siebie, wciąż jeszcze szlochając.

Egon, trzymając dziecko za rękę, podszedł do żony. Spojrzała oburzona na lalkę w ramionach Dagmary.

— Nie możesz wydawać takich poleceń, Caterino. Czy nie widzisz, że dziecko jest przerażone? Drży na całym ciele.

Caterina uniosła dumnie głowę.

— Ta lalka to brudny gałgan, nie ścierpię go w swoim domu — odparła szorstko.

— To jednak prawdopodobnie jedyna pamiątka, którą to biedne dziecko ma po matce. Jest do tej lalki przywiązane całym sercem. Jak mogłaś kazać ją spalić?!

— Nie bądź śmieszny, Egonie! Tyle krzyku o jeden gałgan! Takie niepotrzebne sentymenty musimy w Dagmarze jak najszybciej wyplenić.

— Takich sentymentów nie wyplenisz tak łatwo z niemieckiej duszy — powiedział z dziwnym uśmiechem.

— Jest jednak pożądaną, żeby możliwie jak najmniej wspominała swą matkę, która ją opuściła. Dlaczego więc to wspomnienie jeszcze w niej podsycać?!

Współczująco pogłaskał Dagmarę po głowie.

— Trudno wniknąć w duszę tego dziecka, Caterino. Zostaw Dagmarze lalkę przynajmniej na pewien czas. Dziewczynka musi się najpierw przyzwyczaić do nas. Pomyśl, co to dziecko w ostatnich dniach straciło, oszczędź je — poprosił, gdyż chciał uniknąć zadrażnień z żoną.

Teraz Dagmara nabrała odwagi.

— Wujku Egonie, podaruję Elenie wszystkie moje nowe sukienki, jeśli tylko będę mogła zatrzymać Lizę.

Schylił się ku niej.

— Jakie sukienki chcesz podarować Elenie?

— No, te wszystkie, których jeszcze nie zabrała.

Pytająco spojrzał na żonę. Zaczerwieniła się trochę i powiedziała szybko, po włosku, uprzedzając ewentualne dalsze słowa Dagmary:

— Dagmara poza używanymi sukienkami przywiozła jeszcze osiem nowych. Nie jest oczywiście w stanie ich znieść, nim z nich wyrosnie. I skoro kilka podarowała Elenie jeszcze przed moim tu przyjściem, nie miałam nic przeciw temu.

Jak widać, dumna markiza umiała czasem minąć się z prawdą, a przynajmniej ją przekreślić, Egon był jednakże przekonany, że Caterina powiedziała prawdę.

— No, skoro uważasz, że Dagmara tak czy tak nie potrafi znieść sukienek, to nie ma powodu sprzeciwiać się temu, żeby oddała Elenie coś ze swej garderoby — zgodził się, a potem ciągnął dalej, pochyliwszy się znów ku Dagmarze.

— Nie musisz już więcej nowych sukienek oddawać Elenie. To bardzo miło z twojej strony, że już niektóre jej podarowałaś. I nikt ci nie odbierze twojej lalki. Ciocia Caterina nie wiedziała, że tak bardzo Lizę kochasz.

Pocałował Dagmarę i pogłaskał, a ona z wdzięcznością przytuliła swój policzek do jego ręki. Caterina wzruszyła ramionami i spojrzała na męża drwiąco.

— Och, *Dio mio!* Tyle hałasu o jakiś łach! Jacyż wy, Niemcy, jesteście sentymentalni. Popatrzył na nią w zamyśleniu.

— Nie drwij z niemieckich uczuć, Caterino. Istnieje między nami umowa, że będziemy mieć wzgląd na nasze narodowe cechy. I nie chodzi teraz o jakiś brudny łach, lecz o czułe, zatrwożone małe serce, które broniąc lalki, broni tego wszystkiego najmilszego, co mu pozostało. Pomyśl przecież, ile to dziecko ma do przewyciężenia. Byłoby to już dostatecznie dużo nawet dla dorosłego stracić za jednym razem dom rodzicielski i ojczyznę. Utraty matki dziewczynka także chyba jeszcze nie przeboleła.

Caterina wciąż drwiąco patrzyła mu w twarz.

— Nie rób tyle wrzawy z powodu jednego bękarta! — powiedziała zjadliwie.

Czoło Egona nabiegło krwią i oczy spojrzały gniewnie.

— Caterino, nigdy więcej nie chcę słyszeć tego słowa! Dagmara jest i pozostanie dla mnie córką mego kuzyna, zapamiętaj to sobie!

— Ha! Zrób mi jeszcze scenę z powodu tego bachora! Niech stanie między nami jak kość niezgody, skoro już stoi między tobą a wielkim spadkiem!

Egon ze wzburzenia zrobił się purpurowy na twarzy i w duchu wymyślał sobie ponownie od głupców za to, że zdradził swej żonie wątpliwości Rudolfa. I tak gwałtownie, jak się jeszcze nigdy do niej nie zwracał, wyrzucił z siebie:

— Milcz! Ani słowa więcej o tym! Żałuję, że ci cokolwiek powiedziałem o chorobliwych urojeniach mego kuzyna. Uważałem cię za osobę wielkoduszną.

Spojrzała na niego roziskrzonymi oczyma.

— Nie zapominaj się, Egonie, tym tonem nie pozwolę ze sobą rozmawiać.

Chwycił jej rękę i przyciągnął do ust.

— Wybacz moją gwałtowność, Caterino. Ale w twojej głowie zaległa się nieroztropna myśl, którą muszę z niej wypędzić.

Ponieważ rozmowa między małżonkami odbywała się po włosku, Dagmara nie rozumiała ani słowa. Ale Elena nastawiała uszu, jak zawsze, kiedy rodzice się kłócili.

Egon Strasser wziął fotografię kuzyna i podsunął żonie przed oczy.

— Widzisz tu podobieństwo?

Caterina nie chciała stawiać sprawy na ostrzu noża i spojrzała na zdjęcie.

— Bezwzględnie, jesteście bardzo podobni, to już wcześniej zauważyłam.

— A Marietta powiedziała, że Dagmara i ja jesteśmy podobne — wtrąciła Elena tonem małej damy.

Ojciec i matka popatrzyli krytycznie na jedną i drugą dziewczynkę i faktycznie w tej chwili, gdy obie spoglądały ku nim w górę, podobieństwo zaznaczyło się dość wyraźnie. Egon wykorzystał natychmiast sytuację, by przekonać żonę, iż Dagmara jest naprawdę dzieckiem Rudolfa, ponieważ znał swą małżonkę wystarczająco dobrze, aby się nie obawiać, że myśl o wielkim spadku może jej mocno zawrócić w głowie.

— Tak, rzeczywiście, istnieje duże podobieństwo między Eleną i Dagmarą, a więc podobieństwo rodzinne Strasserów. Rozumiesz teraz, Caterino, że Dagmara jest istotnie córką Rudolfa?

W żadnym wypadku nie mogło ujść uwagi Cateriny, że pewne podobieństwo między dziewczynkami istnieje, chociaż nie było tak duże, jak sugerował jej mąż. Ale myśl, że Dagmara nieślusnie odziedziczy majątek Rudolfa Strassera, tak głęboko wdarła się do świadomości markizy, że uczyniła ją ślepą.

— Wykluczone! Nie istnieje najmniejsze podobieństwo. Dagmara ma całkiem inne oczy!

— Słusznie, oczu nie odziedziczyła po swoim ojcu, podobnie jak Elena. Tak jak Elena ma twoje oczy, Dagmara ma oczy swojej matki. Ale mimo to Elena jest przecież podobna do mnie, co sama wystarczająco często konstatowałaś. I tak samo Dagmara jest podobna do swego ojca, dostrzegłem to, niestety, dopiero teraz, inaczej byłbym zaraz zwrócił Rudolfowi na to uwagę.

To wszystko było jednak nie po myśli Cateriny. Jeśli nawet nie miała jeszcze jasności, w jaki sposób mogłaby ewentualnie zakwestionować prawa Dagmary do spadku, to niewątpliwie odczuwała gorące pragnienie, aby tego spróbować. Tak więc zareplikowała szybko:

— Radzę ci, nie mieszaj się do tej sprawy. Ja nie znajduję najmniejszego podobieństwa. I co nas wreszcie obchodzi, jak się odnosi Rudolf do tego dziecka?

Egon ucieszył się, że jego żona uznała, że ta sprawa w gruncie rzeczy ich nie dotyczy.

— Masz rację, Caterino, zapomnijmy więc o tym. I zostaw dziecku jego lalkę.

Signora Caterina zwróciła się do Marietty, która właśnie weszła.

— Zostaw dziecku lalkę, Mariette, pozbedziemy się jej pewnego dnia bez tak wielkiego krzyku — powiedziała po włosku.

I z tymi słowami opuściła pokój. Egon z uśmiechem pogłaskał Dagmarę po głowie i pośpieszył za żoną.

Dagmara usiadła w kącie i troskliwie kołysała do snu zelżoną lalkę. Była wzburzona aż do najgłębszego zakątka swego małego serduszka.

A jednocześnie wypełniała ją nieskończona wdzięczność dla wujka Egona, bo uratował jej Lizę od ogniowej śmierci. Marietta tymczasem rozmieszczała rzeczy Dagmary w szafach i szufladach, rozmawiając po włosku z Eleną o jej nowych sukienkach.

Gdy Dagmara uznała, że lalka już zasnęła, położyła ją znów do swego łóżka i starannie przykryła. Potem w milczeniu zabrała się do uporządkowania swych zabawek, jak jej poleciła Marietta. I kiedy przeglądała swe książki z obrazkami, wpadła jej w ręce płaska, skórzana teczka wielkości męskiego portfela, wsunięta w stos książek z obrazkami. Dagmara nigdy nie widziała tej teczki, otworzyła ją z zaciekawieniem, aby zobaczyć, co ciocia Brygida tam wetknęła. Omal nie krzyknęła głośno z radości. Rzuciwszy jednak trwożne spojrzenie na Elenę i Mariettę, zacisnęła usta, bojąc się, żeby jej nie odebrano tego, co właśnie odkryła. A to byłoby dla niej o wiele bardziej bolesne, niż gdyby jej zabrano wszystko inne, ponieważ w płaskiej skórzanej teczce znajdowała się fotografia. Było to bardzo ładne amatorskie zdjęcie, które zrobiła matka Dagmary tuż przed porzuceniem mężowskiego domu. Sfotografowała ciotkę Brygidę i trzymającego na ręku Dagmarę pana Wenera na tle pawilonu w ogrodzie Strasserów. Zarówno kochana twarz ciotki Brygidy, jak i pana Wenera wyszły znakomicie, bardzo ostro i wyraźnie. Leonora zrobiła to zdjęcie pewnego popołudnia, gdy ciotka Brygida i Werner Falkner byli u niej na herbacie. Nie miała wówczas na pewno najmniejszego pojęcia jaką pociechę i radość przygotowuje swej biednej, małej córeczce. Ręce Dagmary drżały ze strachu, żeby ta fotografia nie została jej odebrana. Ukradkiem upchnęła ją razem z książkami do szafki. Kiedy zostanie sama, nacieszy się do woli tym zdjęciem.

Wreszcie kufry zostały rozpakowane i Marietta sprzątnęła pokój. Znalazła przy tym opróżnioną do połowy bombonierkę, którą Werner przyniósł Dagmarze. Elena, ku wielkiemu żalowi Dagmary, zabrała się zaraz do pralinek. Także Marietta przyłączyła się do tego. Dagmarę bolało serce, gdy na to patrzyła, ale nie ośmieliła się sprzeciwić. Dopiero próżne pudełko, które Elena rzuciła niedbale na podłogę, żeby Marietta zmiotła je wraz z innymi śmieciami, Dagmara podniosła niepostrzeżenie i wetknęła do szafki z zabawkami. Chciała zachować pudełko jako pamiątkę po panu Wenerze.

Gdy Marietta i Elena wkrótce potem oddaliły się i Dagmara na chwilę została sama, ściągnęła Lizie szybko, lecz ostrożnie sukienkę, która rzeczywiście była trochę brudna, i z zapalem wyprała ją w miednicy. Potem wyżeła i rozprostowała jak należy i powiesiła na klamce u okna. Tak, teraz nikt nie będzie już mógł powiedzieć, że jej Liza jest brudna. A że sukienka przy tej procedurze nic nie zyskała, kolory zaś trochę pozachodziły na siebie, nie zmartwiło to Dagmary.

Odetchnąwszy, jak po ciężkiej pracy, wydobyła teraz ze skórzanej teczki fotografię i zatoneła w jej widoku. Wydało się jej, że nie jest już teraz tak całkiem sama i opuszczona. Kochana twarz ciotki Brygidy patrzyła na nią, jakby chciała powiedzieć: Bądź tylko dzielna, a wtedy sprowadzisz tatusiowi słońce. I Werner Falkner patrzył tak miło swymi szarymi oczyma i trzymał ją tak mocno i pewnie na ręce, jakby chciał ją obronić. Jak to dobrze, ach, jak to dobrze, że ma tę fotografię.

Przycisnęła ją do serca i poczuła się bogata, posiadając ten skarb.

18

Minęło kilka tygodni, odkąd Dagmara zamieszkała w kasztelu Consistellich. W ciągu tych tygodni zniosła jeszcze niejednen ból i zaznała niejednej goryczy. Elena, kiedy tylko mogła, dręczyła kuzynkę z wrodzonym sobie okrucieństwem, a dumna ciotka Caterina spoglądała na nią ciemnymi oczyma niejednokrotnie tak wrogo, że biedne małe serduszko Dagmary tłukło się ze strachu. W obecności wujka Egona ciotka była oczywiście zawsze bardzo uprzejma, ale Dagmara zauważyła, że ta uprzejmość jest fałszywa. Caterina tylko wystrzegą się, by w obecności męża nie stać się znów agresywną wobec Dagmary.

Także Marietta z dnia na dzień stawała się coraz bardziej nieprzyjazna. Sądziła, że jest winna swej uwielbianej pani to, żeby dać odczuć małej Niemce wszystkie złe humory markizy i obarczyć dziewczynkę odpowiedzialnością za tysiąc rzeczy, którym wcale nie była winna. Marietta już dawno wiedziała od Cateriny, że Dagmara jest bękartem i że jej ojciec ją wypędził, bo właściwie nie był jej ojcem, a jej matka odeszła z muzykantem, rzeczywistym ojcem Dagmary. W zaufaniu dowiedziała się także, że Dagmara niesłusznie ma odziedziczyć wielki spadek, który właściwie należy się signorowi.

— Gdyby jej nie było, Marietto — zwierzyła się kiedyś markiza — stalibyśmy się znów bogaci, moglibyśmy znowu mieszkać w Rzymie w jakimś *palazzo* i prowadzić wspaniałe życie jak przedtem. Tylko to dziecko stoi między nami a wielkim spadkiem. Z powodu tego dziecka ja muszę spędzić życie w żałobie, w samotności tego kasztelu, a moja słodka Elena musi nosić sukienki podarowane przez tego bękarta i również w samotności przekwitnąć jak jej biedna matka. Możesz

teraz chyba pojąć, Marietto, że ja tego dziecka nie mogę kochać, jak tego żąda mój mąż. Ja go nienawidzę, tak, nienawidzę go!

Tak powiedziała Caterina do Marietty i to wystarczyło, aby także Marietta stała się zaciekłym wrogiem Dagmary. Wyklócała się z signorem, wciąż roztaczającym opiekę nad dzieckiem, które jego żonie i córce odebrało widoki na światowe życie. Ale Caterina zaleciła też Mariettce jak największą ostrożność, żeby signor niczego nie zauważył, w przeciwnym razie bardzo by się rozgniewał. Tak więc musiała się Marietta ograniczyć do tego, żeby swej nienawiści dawać wyraz w okazjonalnych kułakach i szturchańcach. Sprawiało jej wprost przyjemność, żeby przy ubieraniu i rozbieraniu Dagmary jak najczęściej boleśnie ją szturchnąć, żeby przy czesaniu poszarpać trochę jej włosy i w ogóle wyrządzać biednemu dziecku różne drobne złośliwości.

Dagmara instynktownie czuła wokół siebie atmosferę wrogości. Stawała się coraz cichsza i ponad wiek dojrzała. Szukając pociechy w swej biedzie, uciekała się do fotografii ciotki Brygidy i Wenera Falknera, której często zwierzała szeptem historie swoich cierpień.

— Dobry, kochany pani Wernerze, czy nie możesz powiedzieć memu kochanemu tatusiowi, jak mi tutaj źle? Czy nie możesz go poprosić, żeby mnie zabrał do domu? A ty też nie, dobra ciociu Brygido?

Tak szeptała często do tej fotografii. Do zdjęcia ojca nie śmiała się zwrócić bezpośrednio; może się to wydać dziwne, ale im dłużej była od niego oddzielona, tym częściej widziała go jedynie z posępną, zagniewaną twarzą, jaką miewał ostatnio.

Także lalka Liza była powierniczką wszystkich jej trosk. Dziewczynka mówiła Lizie to wszystko, czego nikomu innemu zwierzyć nie mogła.

Nader delikatne uczucie powstrzymywało Dagmarę przed zwróceniem się ze swymi zmarzniętymi do wujka Egon, który zawsze był dla niej tak samo dobry i przyjazny. Na początku szła do niego niekiedy ze skargą, ale wkrótce zauważyła, jak wielki ból mu to sprawia i że potem kłóci się z ciotką Caterina. A ta patrzyła na nią później wzrokiem tak pełnym nienawiści, że w końcu Dagmara nie ośmielała się już mówić czegokolwiek wujkowi Egonowi. Ograniczała się coraz bardziej do tego, żeby swój ból powierzać lalce Lizie lub małej fotografii.

Później jednak głęboki ból miał jeszcze raz zranić jej dziecięce serduszko. Przed pójściem spać swą lalkę Lizę układała zawsze do snu w nogach łóżka i w tym kierunku biegło rankiem jej pierwsze spojrzenie. Pewnego razu obudziwszy się, jeszcze trochę zaspana, sięgnęła po Lizę. Ale jej ręce natrafiły na pustkę. Liza zniknęła!

Przerażona Dagmara wyskoczyła z łóżka i pobiegła w nocnej koszuli, boso, po zimnej kamiennej posadzce do pokoju Eleny.

— Eleno, Eleno, nie ma mojej Lizy! Czy ją może widziałas? — zapytała głosem zdławionym przez łzy, trzęsąc się ze strachu o ukochaną lalkę, która była dla niej więcej niż lalką, gdyż własną tęsknotą i bólem tchnęła ducha w to nieżywe stworzenie.

Elena podniosła się półprzytomna ze snu.

— Nie widziałam jej, w ogóle nie patrzę na tę okropną lalkę, wiesz o tym. Prawdopodobnie Marietta w końcu ją wrzuciła do pieca, co się już dawno powinno stać.

I w tym właśnie momencie weszła Marietta. Dagmara drżała na całym ciele. Stała jak sparaliżowana przed starą służącą.

— Moja lalka! Moja Liza! Gdzie ona jest? — wyrzuciła ochryple. Marietta roześmiała się prostacko.

— Już dawno smaży się w ogniu. Dziś rano zabrałam ją ukradkiem i spaliłam. Taki obrzydliwy łach, nie można go było dłużej ścierpieć w tym domu.

Dagmara stała jeszcze chwilę skamieniała z bólu. Potem na jej policzki wystąpił gwałtownie ciemny rumieniec, zeszczupiałe w ostatnich tygodniach ciało wyprężyło się i dziewczynka z dzikim okrzykiem rzuciła się na całkowicie zaskoczoną Mariettę i z całej siły zaczęła ją tłuc zaciśniętymi pięściami po złośliwie uśmiechniętej twarzy. To skądinąd grzeczne i łagodne dziecko, przepełnione w tej chwili do najmniejszej cząsteczki wielkim bólem, musiało się wyładować na krzywdzicielce swej Lizy. I dlatego tłukło ją nieprzytomne z żalu.

Marietta zaczęła się bronić przed dzieckiem i potrząsała nim gniewnie, ponieważ uderzenia dostatecznie ją bolały, mimo że pochodziły tylko od dziecięcych rąk.

— Ty mały diable! Podnosisz rękę na dorosłych? Czekaj, już ja ci pokażę!

I zamierzyła się, żeby Dagmarę uderzyć, ale w tej samej chwili dziewczynka osunęła się i upadła na kamienną posadzkę. Zbyt potworny dla jej serca ból i zbyt obce dla jej charakteru okrucieństwo spowodowały nerwowy szok i pozbawiły Dagmarę przytomności.

Teraz Marietta się przestraszyła, a Elena wyskoczyła z łóżka i głośno zaczęła wzywać matkę. Markiza zjawiała się w chwili, gdy Marietta nieprzytomną Dagmarę kładła na łóżko. Podnieconym, gwałtownym potokiem słów służąca odmalowała, co się stało, naturalnie w korzystnym dla siebie świetle. Lodowatymi oczyma patrzyła Caterina na blade dziecko, które leżało przed nią, nie dając wciąż oznak życia. Nim jednak zdążyła powiedzieć Mariettcie słowo pochwały bądź nagany, zjawił się Egon Strasser, zaalarmowany krzykiem Eleny.

— Co tu się znów dzieje? — spytał, podchodząc do łóżka Dagmary.

— Ta mała histeryczka straciła przytomność, bo Marietta zabrała jej wreszcie po kryjomu i spaliła tę monstrualną lalkę — oświadczyła jego żona z drwiną w głosie.

Zatroskany Egon pochylił się nad dzieckiem i zaczął robić wszystko, co się w takich wypadkach robić powinno. Na razie nie odezwał się ani jednym słowem, ale spojrzał na żonę z takim wyrzutem, jak jeszcze nigdy przedtem. Dopiero po chwili, kiedy zauważył, że Dagmara znów się poruszyła, spytał poważnie i surowo:

— Czy to było konieczne, Caterino?

Poczuła się obrażona.

— Jeszcze mi rób wyrzuty, że kazałam spalić ten tłumok z bakteriami. Uznałam to za konieczne, nie mówiąc już o tym, że brało obrzydzenie, kiedy się patrzyło, jak Dagmara przytula tę lalkę. Dlatego wydałam Marietcie polecenie, żeby wczesnym rankiem zabrała po kryjomu tę szkaradę i potem opowiedziała Dagmarze jakąś bajkę, żeby ją uspokoić. Skąd mogłam wiedzieć, że te w dobrej wierze podjęte środki ostrożności rozgniewają dziecko do tego stopnia, że straci przytomność, pobiwszy przedtem biedną Mariettę. Tak histerycznego stworzenia nie spotkałam jeszcze nigdy.

Egon zajmował się wciąż Dagmarą.

— Na twoje usprawiedliwienie mogę przyjąć tylko to, że działałaś istotnie w dobrej wierze i że tak wrażliwej duszy, jak ma to dziecko, w ogóle nie potrafisz zrozumieć. Możesz to nazwać niemiecką sentymentalnością, Caterino, ale ja uważam tę sentymentalność za wzruszającą i godną miłości.

— Och, *Dio mio*, wydaje mi się, że to dziecko jest ci droższe niż własne — rzuciła gniewnie.

— Tak, faktycznie stało mi się drogie. Popatrz na tę bladą twarzyczkę. Właśnie teraz, gdy Dagmara ma oczy zamknięte, tak bardzo jest podobna do mego kuzyna, że pozbywam się wszelkiej wątpliwości, jeśli jakąś kiedykolwiek żywiłem.

Ale Caterina nie chciała tego dostrzec. Nie odpowiedziała nic, Egon jednak wcale tego nie oczekiwał. Poprosił tylko cicho:

— Zostawcie mnie z nią samego. Przychodzi do siebie i przestraszy się, gdy was zobaczy.

Dumna markiza aż nazbyt chętnie opuściła pokój. Marietta i Elena pospieszyły za nią. Wszystkie trzy udały się do pokoju Eleny. Tam Caterina z ponurą twarzą podeszła do okna, gdy tymczasem Marietta ubierała Elenę.

Egon Strasser głaskał Dagmarę po rękach i wciąż nacierał jej czoło ożywczą esencją. Wreszcie Dagmara otworzyła oczy i Egon z niepokojem spostrzegł, że płonie w nich gorączka. Ręka Dagmary drgnęła w jego dłoni i dziewczynka zmieszana i zatrwożona rozejrzała się dookoła. Potem podniosła się i rzuciła bolesne spojrzenie na puste miejsce, gdzie zawsze spała Liza. Gdy nie zobaczyła lalki, drżąc opadła na poduszkę.

— Wujku Egonie, one spaliły moją biedną Lizę. Och, jakże ona musiała cierpieć! I dlatego nie mogłam inaczej, bo Marietta jeszcze się śmiała, gdy moje ukochane dziecko cierpiało, więc ją pobiłam.

— Uspokój się, kochanie, Liza umarła tej nocy, ty tego nie zauważyłaś, i dopiero wtedy Marietta ją spaliła. Liza z całą pewnością niczego nie czuła...

Dagmara potrząsnęła główką.

— Ale teraz nie mam już Lizy i straszliwie boli mnie serce. I gdyby mój kochany tatuś o tym wiedział, wtedy znowu by mnie przytulił i pocałował jak dawniej i nie byłby już wcale zły.

Egon Strasser, ten kiedyś tak lekkomyślny człowiek, zacisnął zęby, tak głęboko poruszył go ten cichy żal i to bezgraniczne opuszczenie biednego dziecka. Tkliwie ucałował ją w policzki i zauważył, że płoną one gorączką. Dagmara chyba zachorowała i to trochę wyjaśniało sprawę. Z pewnością nie upadłaby bez przytomności, gdyby była całkiem zdrowa. Podniósł się szybko i pospieszył do domowej apteczki po lekarstwo obniżające gorączkę. Trzymał tę apteczkę pod kluczem. Lekarz mieszkał w Sorino, w najbliższej wsi, i mijały godziny, nim się go sprowadziło. Dlatego Egon chciał coś sam zaradzić. Rozpuścił więc pastylkę przeciwgorączkową i podał Dagmarze. Potem troskliwie poprawił jej poduszkę i przeszedł do sąsiedniego pokoju.

— Dagmara jest chora, ma wysoką gorączkę. Wyślę natychmiast Stellę, żeby przy niej została. Marietta nie powinna teraz do niej wchodzić, a ty i Elena trzymajcie się z daleka, dopóki się nie dowiemy, co jest Dagmarze. Giuseppe pojedzie zaraz po lekarza.

Z tymi słowami opuścił pokój i zszedł na dół. Zawołał Stellę, łagodną służącą, polecił jej zostać przy chorej i kłaść jej na głowę chłodne kompresy.

Potem przywołał Giuseppe, kazał mu zaprząć konie do karety i pojechać natychmiast do Sorino po lekarza.

Egon nie tylko nabył konie cugowe, ale kazał także obić na nowo wnętrze karety; Giuseppe zaś otrzymał wspaniałą liberię. Caterina odbyła już przejażdżki z Eleną i Dagmarą. Złościło ją oczywiście, że Dagmara musi w nich uczestniczyć, ale jej mąż oświadczył, że konie na dobrą sprawę należą do Dagmary, czym dumną markizę jeszcze bardziej zirytował. Traktowała bowiem konie tak samo jak sukienki Dagmary, była przekonana, że ma do nich większe prawo niż „bękart”.

Egon wrócił do chorej, która z zamkniętymi oczyma i rozpaloną twarzą leżała w łóżku, rzucając niespokojnie głową. Stella przyłożyła jej nowy kompres i powiedziała uspokajająco do swego pana:

— To jest odra, *signore*, moja mała siostrzyczka także ją miała, ta choroba tak właśnie się zaczyna. O, jest już nawet czerwona wysypka. Na pewno od kilku dni dziecko nie czuło się dobrze, zauważyłam, że jadło niewiele i pokasływało.

Egon odetchnął z ulgą. Jeśli Dagmara miała rzeczywiście odrę, nie było niebezpieczeństwa. Elena przechodziła ją ubiegłego roku. I teraz takie same małe czerwone plamki miała Dagmara

Było jednak smutne, że nikt z otoczenia nie zwrócił uwagi na to, że dziecko nie czuje się dobrze. Biedactwo, nie czuwa nad tobą troskliwe oko matki — pomyślał współczująco.

Polecił Stelli, żeby czuwała przy Dagmarze, zmieniała jej kompresy i od czasu do czasu podawała małej pacjentce trochę lemoniady. Potem zawołał z okna do wyjeżdżającego właśnie Giuseppe, aby powiedział lekarzowi, że dziecko zachorowało na odrę. Wtedy lekarz będzie mógł przywieźć ze sobą potrzebne lekarstwa.

Następnie poszedł znów do żony i przekazał jej wiadomość, na co prawdopodobnie zachorowała Dagmara.

— To nic groźnego — stwierdziła Caterina. — Tę chorobę musi przejść każde dziecko. Na szczęście Elena miała już odrę i nie musimy się obawiać zarażenia. I teraz przynajmniej jest dla mnie jasne, dlaczego Dagmara straciła przytomność, gdy jak mała furia rzuciła się na Mariettę. Była już chora, a ja naprawdę uwierzyłam, że zdenerwowała się tak strasznie z powodu głupiej lalki.

— W każdym bądź razie, Caterino, wystarczająco się zdenerwowała.

— Ale sam przecież widzisz, że tę lalkę trzeba było koniecznie spalić. Z pewnością jeszcze więcej bakterii tkwiło w tym brudnym tłumoku i należy się cieszyć, że skończyło się tylko na odrze.

Egon nie mógł żonie całkowicie odmówić racji, czuł jednak, że w jego domu okazuje się małej Dagmarze za mało miłości i zrozumienia. Ani jego żona, ani Elena nie ułatwiły Dagmarze przystosowania się do nowych warunków, tak jak sobie tego życzył. Marietta zaś była po prostu starą czarownicą, która poza swą panią i jej córką nie kochała nikogo.

Egon cieszył się, że wkrótce przybędzie wychowawczyni. Doszedł do porozumienia z panną Berend, która miała za kilka tygodni objąć posadę. Egon postanowił, że od samego początku dobro Dagmary złoży w ręce panny Berend, tej mądrej, roztropnej osoby, a szczególnie mocno powierzy jej sercu ból i troski dziewczynki. Wychowawczyni musi przede wszystkim zająć się Dagmarą, nawet jeśli Elena ma także korzystać z nauki.

Ta myśli uspokoiła go nieco.

Lekarz rzeczywiście stwierdził odrę i Dagmara przez parę tygodni musiała pozostać w łóżku. Zniosła jednak szczęśliwie tę dziecięcą chorobę, nie ponosząc żadnego uszczerbku na zdrowiu. Ale zwracało uwagę to, jak była cicha i zamyślona w czasie choroby. Także kiedy wyzdrowiała, pozostała zamknięta w sobie i poważna. Wydawało się, że nagle stała się dojrzała o całe lata. Cicha i cierpliwa leżała w swoim łóżku. I tylko gdy Marietta lub Caterina zaglądały do niej, robiła się niespokojna i z trwogą spoglądała na nie, jakby czuła, że są do niej wrogo usposobione.

Niekiedy oczywiście Caterina zmuszała się do uśmiechu i kilku uprzejmych słów, zwłaszcza w obecności męża, niekiedy także twarz Marietty wykrzywił obłudny uśmiech, ale Dagmara czuła, jak fałszywe było to wszystko.

Jeszcze w czasie rekonwalescencji Dagmary przybyła do kasztelu panna Berend. Była to osoba w średnim wieku, która już od piętnastu lat wychowywała dzieci obcych ludzi, a od dziesięciu mieszkała we Włoszech. Marta Berend liczyła sobie prawie czterdzieści lat i była już nieco zmęczona swym wcale niełatwym zawodem. Ucieszyło ją więc, że w cichym i położonym na uboczu zamku znajdzie wypoczynek dla swych starganych nerwów, zwłaszcza że tu, w górach, powietrze było dużo lepsze niż we Florencji. Panna Berend miała niepokąźny wygląd i mądre oczy, skryte za binoklami.

Egon Strasser zapoznał ją z obowiązkami, które na nią czekały. Powiedział, że została zaangażowana głównie dla jego małej kuzynki, ale że jego córka też powinna w jakiś sposób uczestniczyć w nauce.

— Musi pani jednak rozpocząć naukę całkiem od podstaw, panno Berend, od elementarza, ponieważ pani nowe uczennice nie umieją jeszcze ani czytać, ani pisać.

To była dla wychowawczyni pomyślna wiadomość, gdyż nauczanie elementarne nie wymagało od niej zbyt wielkiego wysiłku.

— To mnie nie przeraża, proszę pana, przeciwnie, jestem nawet zadowolona. W ten sposób przecież kieruję swoimi wychowankami od samego początku. Moje metody nauczania były zawsze skuteczne, tak więc spodziewam się, że także moim nowym wychowanicom będę mogła wpoić wszystko, co jest warte poznania

— Jestem o tym przekonany. Znajdzie więc pani w kasztelu swój dom na całe lata, póki się nie skończy nauka obu dziewcząt. Moja córka mówi już płynnie po niemiecku i po włosku, kuzynka jednakże tylko po niemiecku. Obie powinny poza włoskim i niemieckim nauczyć się jeszcze

francuskiego. Że obu uczennicom będzie pani udzielać także lekcji fortepianu, uzgodniłem już z panią pisemnie.

— Oczywiście, signor, także w tej dziedzinie stosuję łatwą do zrozumienia metodę i zrobię z mej strony wszystko co możliwe, żeby pana i pańską małżonkę zadowolić. W jakim wieku są dziewczynki?

— Moja kuzynka ma sześć lat, a córka siedem; obie są mądre.

— No cóż, okres kształcenia musi w każdym bądź razie trwać mniej więcej dziewięć lat.

— Tak to sobie wyobrażałem. *Conte Ulfino* wyrażał się o pani zdolnościach z uznaniem. A spodziewam się, że uczennice nie przysporzą pani zbyt wielu kłopotów. Moja kuzynka jest cichym, łagodnym dzieckiem, prawdziwa mała Niemka, bardzo subtelna. Córka, przeciwnie, jest nieco samowolna i uparta, ma po matce, jak pani wie, arystokratyczną krew w żyłach i wykazuje, niestety, skłonność do pychy i próżności. Ale być może są to tylko dziecięce wady, które da się z czasem usunąć.

Lekki uśmiech przemknął po ustach panny Berend.

— Proszę pana, wychowywałam dotychczas tylko małych włoskich arystokratów i wszyscy mieli te cechy w mniejszym czy większym stopniu, i nie dało się ich wyeliminować. I dlatego nie mogę w tym względzie przyjąć odpowiedzialności. Cechy charakteru rzadko pozwalają się zniwelować. Mogę tylko z czystym sumieniem stwierdzić, że dzieci u mnie nauczą się wszystkiego, co jest im potrzebne. Naturalnie będę się starała oddziaływać również na charaktery, ale w tym wypadku muszę liczyć na pomoc rodziców, inaczej nie osiągnie się niczego.

Ta szczerść bardzo się Egonowi spodobała.

— Na moją pomoc w odniesieniu do córki może pani liczyć. U kuzynki nie widzę żadnych wad charakteru. Ma tylko zbyt miękkie serce i dlatego będzie musiała wiele cierpieć. Dlatego chciałbym panią prosić, żeby także poza godzinami nauki zajęła się nią pani w takim stopniu, jak to tylko będzie możliwe. Ona nie ma matki i dlatego wychowuje się w naszym domu. Ale moja żona ma niewiele talentu do zajmowania się dziećmi. Właściwie tu u nas tak naprawdę nikt nie ma czasu dla małej Dagmary, i dlatego proszę panią teraz, w cztery oczy, żeby się pani zajęła nią pod każdym względem. Odplaci pani swym przywiązaniem.

— Traktuję to jako mój obowiązek, signor, żeby się poświęcać moim wychowanicom w takim stopniu, jak to możliwe — odparła panna Berend poważnie i ze świadomością przyjętych obowiązków, chociaż trochę oschle i trzeźwo.

— A więc uzgodniliśmy wszystko, panno Berend. Nie chcę pani teraz dłużej zatrzymywać, proszę się spokojnie rozgościć w swoim pokoju. Przy stole przedstawię moją córkę, żonę zna pani już z Florencji. Moją kuzynkę będzie pani mogła zobaczyć dopiero za kilka dni; przechodziła od্রে

i nie jest jeszcze całkiem zdrowa. Dopiero kiedy zupełnie wróci do siebie, rozpocznie naukę. Ma pani więc jeszcze kilka dni bez żadnych obowiązków i może się pani aklimatyzować w kasztelu.

— Bardzo się cieszę, proszę pana, mam za sobą niezwykle męczące dni.

Panna Berend skłoniła się i opuściła pokój. Ta zmęczona długoletnią wyczerpującą pracą kobieta przyjęła jako dobrodziejstwo ofiarowanie jej kilku dni wyłącznie dla siebie. Była mądrą, doświadczoną osobą i gdy swego czasu w domu hrabiego Ulfino poznała dumną signorę Strasser, wiedziała od razu, z kim ma do czynienia. Egona Strassera także szybko przejrzała i doszła do wniosku, że przy całej swej niefrasobliwości jest przyzwoitym człowiekiem. Że przy markizie będzie musiała pokonać różnorakie trudności, w to nie wątpiła, ale miała w zwyczaju powstrzymywać się z reguły od wszelkiej krytyki swych chlebobawców. Wykonywała po prostu swoje obowiązki i nigdy nie angażowała się uczuciowo, gdyż życie nauczyło ją, że to przynosi tylko rozczarowania. Miała po prostu posadę i nie miała własnego zdania. Stąd łatwo było wywnioskować, że Dagmara znajdzie w panie Berend sumienną nauczycielkę, ale nie znajdzie prawdziwego oparcia w udrękach swego serca.

Ale właśnie to niezaangażowanie się i rzeczowość pozwalały panie Berend kierować się zawsze poczuciem sprawiedliwości. Ponieważ miała bardzo skromne wymagania, także signora Caterina okazywała jej przychylność, oczywiście tak dalece, jak było to możliwe wobec osoby podwładnej. Markiza w każdym bądź razie cieszyła się, że może cały ciężar odpowiedzialności przerzucić na barki wychowawczyni. Przy tym była wystarczająco rozsądna, by nie pozwalać panie Berend zaglądać sobie w karty. Nigdy nie dała poznać, że w jej sercu coraz mocniej żarzy się nienawiść do Dagmary, wiedziała bowiem, że panna Berend jest osobą na wskroś uczciwą i nie ulegającą wpływom.

Ale Marta Berend i bez tego bardzo szybko zauważyła, że Dagmara znaczy coś tylko dla swego wujka, lecz absolutnie nie dla signory Cateriny. Ona nawet dla własnej córki nie żywiła jakiejś szczególnej serdeczności; to, co czuła dla Eleny, było wielką matczyną próżnością, która wynikała z próżności własnej.

Po kilku dniach panna Berend odwiedziła wreszcie Dagmarę w jej pokoju. Przyszła w towarzystwie Egona Strassera.

— Dagmaro, to jest panna Berend, twoja nowa wychowawczyni i nauczycielka. Musisz jej być posłuszna pod każdym względem, żebyś się naprawdę dużo nauczyła.

Dagmara w czasie choroby wyraźnie wyrosła. Jeszcze trochę blada patrzyła na wychowawczynię wielkimi oczyma poważnie i badawczo, jakimś zupełnie niedziecięcym spojrzeniem. Zaszła w niej ogromna zmiana od owego dnia, kiedy spalono jej lalkę. Lecz jeśli nawet w zmęczonych oczach wychowawczyni nie znajdowała żadnego ciepła, to przecież czuła instynktownie, że może

się po niej spodziewać sprawiedliwości. I już samo to przyjęła jako dobrodziejstwo. Rzeczowe, uprzejme zainteresowanie panny Berend, która zachowywała przy tym konieczny jej zdaniem dystans, było dla Dagmary czymś więcej, niż mogła się spodziewać. Odetchnęła więc z ulgą i grzecznie, trochę jeszcze zmęczona, podała wychowawczyni zeszcupłą rączkę.

Panna Berend przeprowadziła zaraz niewielki rzeczowy egzamin i Dagmara odpowiadała spokojnie na pytania.

— Nauka zacznie się za kilka dni, Dagmaro, i mam nadzieję, że okażesz się naprawdę pilna — powiedziała panna Berend.

Elena przy takiej samej zapowiedzi wykrzywiła buzię, co panny Berend wcale nie zdziwiło. Ale bardzo zdziwiła ją teraz odpowiedź Dagmary, która z niezwykłą gotowością oświadczyła:

— Chcę się bardzo dużo nauczyć, nie mogę się już doczekać, kiedy zaczną się lekcje.

I nie brzmiało to wcale jak grzecznościowy zwrot, ze słów tych przebijała dziwna żarliwość i głęboka powaga.

Panna Berend spojrzała zaskoczona na Egona Strassera, a ten skinął głową z uśmiechem, jakby chciał powiedzieć: Tego pani chyba nie oczekiwała!

Panna Berend przeszła jednak nad tym do porządku i oznajmiła:

— Jeśli nam czasem pogoda pozwoli, będę prowadzić lekcje na dworze. Zawsze zwracam uwagę na to, żeby nie tylko kształcić umysł, ale dbać również o ciało moich wychowanków, i przeprowadzam dla odprężenia ćwiczenia gimnastyczne.

— To bardzo rozsądnie, panno Berend. Oddaję do pani dyspozycji mały, osłonięty przed słońcem pawilon do prowadzenia lekcji na świeżym powietrzu. Przy nie sprzyjającej pogodzie ma pani oczywiście pokój szkolny, urządony na dole obok biblioteki. Już go pani zresztą widziała.

— Tak. Uważam go za całkiem odpowiedni.

Panna Berend zamieniła jeszcze z Dagmarą kilka słów na swój sposób, bardzo rzeczowo, a Dagmara uznała to za całkiem sympatyczne.

Wkrótce zaczął się nowy rozdział w młodym życiu Dagmary. Zaczęła się szkoła życia we właściwym sensie tego słowa, chociaż Dagmara przeszła już prawdziwie ciężką szkołę. Wychowawczyni zauważyła bardzo szybko, że Dagmara jest czymś przygnębiona i wydaje się poważna oraz dojrzała ponad swój wiek. Ale także wobec niej nie wykraczała poza swoje obowiązki i nie udzielała się jej ani mniej, ani więcej niż Elenie. Była wierna swej zasadzie: wykonać jak najlepiej swoje zadanie i nie angażować się uczuciowo. Elastyczność, jeśli kiedykolwiek ją wykazywała, dawno już się skończyła. Tak więc Dagmara znalazła w niej sumienną nauczycielkę, która ją starannie wspierała w nauce, ale nie istotę, która by życzliwie wniknęła w jej skryty ból i wciąż w niej płonąca tęsknotę.

Oczywiście panna Berend zauważyła bardzo szybko, że Dagmara jest o wiele pilniejsza, sumienniejsza i ma lepszy charakter niż Elena. Widziała oczywiście często, że Elena próbuje Dagmarze sprawić przykrość i dręczyć ją swym postępowaniem bez serca. Starła się temu jakoś przeszkodzić. W każdym razie dzięki swej surowej sprawiedliwości pozyskała zaufanie Dagmary, ale nie zbliżyła się do niej wewnętrznie, do tego brakło tej starej panie siły ducha. Była zadowolona, kiedy wypełniała swe codzienne obowiązki, i nie chciała się wikłać w stronnicze uczucia, chociaż niekiedy budził się w niej gniew na tego małego potwora, jak skrycie nazywała Elenę.

Swymi bystrymi oczyma panna Berend wkrótce przejrzała stosunki panujące w kasztelu Consistellich. Ale wystrzegła się opowiedzenia po którejś ze stron. Stała poniekąd ponad stronniczwami i wystrzegła się zarówno współczucia dla borykającego się z różnorakimi kłopotami finansowymi pana domu, jak i pogardy dla wyniosłej, dumnej pani domu. To nie była jej sprawa. I również nie stawiała po stronie żadnego z dwu stronnictw dziecięcych, o ile nie musiała karcić naganego zachowania, co było konieczne prawie wyłącznie wobec Eleny.

I w ten sposób Dagmara pozostała także teraz samotna i uczyła się coraz lepiej skrywać w sobie swe uczucia i myśli. Była jedynie opanowana bezprzykładną gorliwością, żeby się uczyć, wciąż się uczyć, ponieważ miała nadzieję, że wreszcie pewnego dnia będzie mogła wrócić do rodzinnego domu.

I było to w pewnej mierze dobrodziejstwem dla Dagmary, że została tak całkowicie zaabsorbowana nauką. To skutecznie odciągało myśli od smutku gnębiącego jej duszę. Swej lalce Lizie nie mogła już, niestety, zwierzyć swoich cierpień i nie mogła jej obsypać bogactwem swej miłości. Wujkowi Egonowi nie chciała mówić wszystkiego, gdyż zauważyła, że męczył go fakt, iż ciotka Caterina i Elena były dla niej nieczułe. Tak więc trwożnie zamykała się w sobie i tylko wciąż brała do ręki małą fotografię z której przemawiały do niej pocieszająco oczy ciotki Brygidy, a ona Dagmara, tak bezpiecznie siedziała na ręku pana Wenera. I tak z czasem ciotka Brygida i Werner Falkner stawali się dla dziewczynki coraz większą pociechą, chociaż w rzeczywistości nic nie mogli dla niej uczynić.

Minęły lata. Przez Europę przetoczyła się wojna światowa, która pochłonęła wiele ofiar. Werner Falkner skończył wyższą szkołę handlową i jeszcze w ostatnim roku wojny poszedł na front. Jego ojciec i Rudolf Strasser, którego osamotnione serce przywiązywało się coraz bardziej do Wenera, bardzo się o niego martwili.

Ale Werner był jednym z tych żołnierzy, którym nawet pod najgęstszym gradem kul nic nie grozi. Wrócił cały do domu. Miał wówczas nieco powyżej dwudziestu czterech lat. Był wysokim, pełnym sił mężczyzną z sympatyczną, poważną twarzą o jasnych, myślących oczach. Po wojnie, nim się udał w dawno planowaną podróż za granicę, przepracował najpierw rok w firmie.

Także firma Strasser & Syn przeżyła w minionych latach niejedną burzę i musiała ponieść niejedną ofiarę, ale teraz szybko rozkwitła znowu.

Stosunki z zagranicą zostały na nowo nawiązane i wielkie magazyny, które w czasie wojny często były puste, zostały znowu wypełnione pod stropy towarami wszelkiego rodzaju. I właśnie powiązania z zagranicą, konieczność zdeponowania tam dużych kapitałów, uchroniły firmę przed stratami w okresie inflacji. Rok później, jak wspomniano, Werner Falkner wyjechał za granicę. Miał odwiedzić starych przyjaciół firmy, umocnić dawne stosunki i nawiązać nowe. Werner był już tak mocno zrośnięty z firmą, że został wtajemniczony we wszystko, co służyło dla jej dobra. I zarówno jego ojciec, jak i ojca przyjaciel Rudolf Strasser mogli z satysfakcją stwierdzić, że rozwijał zadowalającą działalność i pomógł nadać firmie nowy blask.

Dwa lata jeździł Werner po świecie. Zatrzymał się dłużej w Indiach holenderskich, odwiedził Jawę, Sumatrę i Borneo i wszędzie podpisał duże umowy. Jego imponujące, zdecydowane wystąpienia i uprzejmy sposób bycia jednały mu przychylność wszystkich ludzi, z którymi miał do czynienia. Z Borneo popłynął do Australii, aby także tam podjąć na nowo dawne kontakty, potem wybrał się do Japonii, a stamtąd do Kalifornii, gdzie podpisał ogromne umowy na dostawę konserw, a w zamian przyjął zamówienia na maszyny rolnicze wszelkiego rodzaju.

Następnie odwiedził Argentynę i Urugwaj, dokonał zakupów konserw mięsnych i tłuszczu, otrzymał także tam duże zamówienia na niemieckie wyroby i mógł wówczas, zadowolony z rezultatów swej pracy, wrócić do domu. Że w czasie tych podróży wiele się nauczył, było przy jego dużej inteligencji rzeczą oczywistą.

Rodzice i Rudolf Strasser przyjęli powrót Wenera z wielką radością. Skończył tymczasem prawie dwadzieścia osiem lat i dostał od razu kierownicze stanowisko w firmie. Prokurę miał otrzymać na swe trzydzieste urodziny. Werner tchnął nowego ducha w starą firmę i Rudolf Strasser

przekonywał się coraz bardziej, jak to dobrze się stało, że zdecydował się wychować go na swego następcę.

Między Wernerem i Rudolfem Strasserem wytworzyły się z latami bardzo harmonijne stosunki. Osamotnione serce Rudolfa Strassera przywiązało się do tego młodego człowieka prawie tak jak do własnego syna.

Każdego tygodnia spędzał Werner przynajmniej jeden wieczór w willi Strasserów. Siedział wówczas przy kolacji razem z panem domu i Brygidą Hartmann. Pani Brygida przez te lata całkiem posiwała i poruszała się z niejakim trudem, gdyż cierpiała na reumatyzm, ale pod względem umysłowym była jeszcze bardzo żywa i wciąż trzymała mocno w rękach cugle domowego gospodarstwa. Przy kolacji prowadzili zawsze ożywioną rozmowę, Werner opowiadał o niektórych przygodach w podróży i o swych doświadczeniach za granicą.

Ale nigdy w czasie tych wieczornych rozmów nie wymieniono imienia Dagmary. Werner Falkner wiedział od pani Brygidy, że Rudolf Strasser za żadne skarby nie chce wspominać swojej córki. Dlaczego tak jest, tego mu nie powiedziała, ale był wystarczająco wrażliwy, by zauważyć, że jakiś nieokreślony, ponury cień padł między ojca i córkę. Było mu przykro, że Dagmara wciąż nie może wrócić do rodzinnego domu.

Robiło mu się dziwnie miękko wokół serca, gdy myślał o Dagmarze. Widział przed sobą jasną kędzierzawą główkę i patrzył w piękne aksamitnobrązowe oczy, w których drżały złote iskiereki, w te oczy, które spoglądały tak trwożliwie i bezradnie w czasie pożegnania. I zawsze przy tym musiał pomyśleć o pięknej pani Leonorze, stanowiącej niegdyś przedmiot jego zachwyty. Pamiętał, że pasowała go na rycerza swej córeczki. Widział panią Leonorę przed sobą, tak jak ją zobaczył po raz ostami w tym dniu, kiedy uciekła od męża. W jej oczach także drżały takie same złote iskiereki.

Pewnego razu znalazł w starym portfelu zasuszoną różę i przypomniał sobie o owym dniu, kiedy Strasser przedstawił mu propozycję tak bardzo ważącą na jego losie. Po rozmowie z panem Strasserem wyszedł wówczas do ogrodu i tam Dagmara z miłym uśmiechem ofiarowała mu tę różę. I wtedy też musiał się z nią bawić jej lalkami i wypić tę okropną czekoladę. Całkiem dokładnie przypomniał sobie jeszcze niezwykle serdeczne uczucie, które go ogarnęło, gdy Dagmara tak miło i troskliwie obchodziła się ze swymi lalkami. Cóż za czułe serce miało to dziecko. Często zadawał sobie pytania, czy Dagmara, która wkrótce będzie już całkiem dorosła, wciąż jeszcze jest tak czuła, i jak też teraz może wyglądać jego przyszła pryncypałka.

Niekiedy mógł o tym bardzo długo rozmyślać, jako że w ogóle osoba Dagmary bardzo go zajmowała. Na wszystkie młode dziewczęta, które chętnie kokietowały interesującego młodego człowieka, spoglądał tak, jakby je porównywał z Dagmarą. I on, który skądinąd trzeźwo patrzył na życie, pozwalał sobie niekiedy pomarzyć. „Ja cię tak kocham, tak kocham, panie Wernerze”. Te

słowa Dagmary wciąż wracały w jego marzeniach, wciąż wracało to pierwsze wyznanie miłosne, które mu uczyniły kobiece usta.

Może czuł, że gdzieś daleko młode dziewczęce serce, gorące i pełne miłości, stale go wspomina jak drogiego przyjaciela, i że samo to wspomnienie już wystarczy, by przynieść pociechę w ciężkim cierpieniu.

Werner nieustannie zadawał sobie pytanie, dlaczego Dagmara nie wraca do domu. I pewnego dnia nie mógł się powstrzymać, żeby nie zapytać o to panią Brygidę, kiedy przez chwilę był z nią sam.

— Dlaczego pan Strasser nie pozwala swej córce wrócić wreszcie do domu? Ona przecież jest już dorosłą młodą damą i pan Strasser nie musiałby żyć tak samotnie.

Brygida Hartmann wahała się przez chwilę, naprawdę nie wiedząc, co powinna odpowiedzieć Wernerowi, którego bardzo ceniła. W żadnym wypadku nie chciała dopuścić, by wyszło na jaw, że Dagmara na zawsze została wygnana i dlaczego tak się stało. To pozostawało tajemnicą między nią a Rudolfem. I dlatego dopiero po chwili odpowiedziała z głębokim westchnieniem:

— Chcę pana przestrzec, panie Wernerze, żeby pan czasem nie próbował pytać o to mojego kuzyna. Dagmara nie może wrócić do domu; jej ojciec boi się tego spotkania, bo Dagmara ma oczy swojej matki i te oczy wzbudzają w nim wiele bolesnych wspomnień. Proszę, niech go pan nigdy o to nie pyta i niech pan poprosi swoich rodziców, żeby także tego nigdy nie czynili.

Werner westchnął głęboko.

— Jakie to straszliwe dla biednego dziecka, droga pani Brygido. Myślę, że i pani bardzo cierpi z powodu rozstania ze swą kuzynką?

Skinęła głową.

— Wiele dałabym za to, żeby znów była z nami.

— Czy wolno spytać, jak jej się wiedzie? — zainteresował się Werner pełen współczucia.

Brygida Hartmann nie mogła mu wyznać, że nie ma żadnego kontaktu z Dagmarą i że wie o niej tylko tyle, ile Egon Strasser od czasu do czasu przekaże ojcu Dagmary. Egon zaś stosował się do życzenia Rudolfa, żeby informował krótko i zwięźle, dlatego też przysyłał jedynie rzeczowe sprawozdania o stanie zdrowia Dagmary, o jej wynikach w nauce i o sprawach finansowych. Te skąpe sprawozdania Rudolf Strasser w milczeniu przedkładał zawsze Brygidzie, ale jakże mało mogła w gruncie rzeczy z nich wyczytać! O rozwoju duchowym Dagmary i o tym, co w głębi duszy przeżywa, nigdy nie było mowy.

W czasie wojny sprawozdania Egona przechodziły przez Szwajcarię; stamtąd były wysyłane do Niemiec przez ten sam bank, który stale, regularnie wypłacał Egonowi pieniądze na wychowanie Dagmary. Teraz relacje Egona już od dawna docierały bezpośrednio. Nikt nie podejrzewał, że

Rudolf Strasser przebiega je zawsze płonącymi oczyma i że po ich otrzymaniu całymi dniami jest bardzo przygnębiony. Bo chociaż nie chciał dopuszczać do świadomości istnienia swego dziecka, stawało mu ono czasem przed oczyma ze swym smutnym, pytającym spojrzeniem, które zdawało się go oskarżać.

Jak bardzo z tego powodu cierpiał, nie przyznałby się w swej okrutnej bezwzględności nawet przed samym sobą.

Pani Brygida odpowiedziała wreszcie na pytanie Wenera o pomyślność Dagmary:

— Wiedzie jej się nieźle, czuje się całkiem dobrze w kasztelu Consistellich. Była bardzo zdolną i pilną uczennicą, jej nauka właśnie dobiegła końca.

Werner musiał się tym zadowolić, choć chętnie dowiedziałby się o Dagmarze czegoś więcej i chętnie też zapytałby, czy go jeszcze pamięta. Ale to pytanie nie chciało mu przejść przez usta. Co mu przeszkadzało, żeby je zadać, nie miał pojęcia. Może czuł podświadomie, że nie powinien się przyznawać, ile myśli poświęca Dagmarze. Pani Brygida jednak chętnie opowiedziałaby Wenerowi o Dagmarze, gdyby sama o niej więcej wiedziała. Ale nie wolno jej było wyznać, że nie ma z nią żadnego bezpośredniego kontaktu. Dała kiedyś słowo Rudolfowi i chciała go dotrzymać, niezależnie od tego, jak było jej ciężko zadowolić się skąpymi sprawozdaniami Egon.

Ale nie minął ani jeden dzień, w którym by ciotka Brygida nie myślała o Dagmarze. I wciąż miała nadzieję, że stanie się cud, który przekona Rudolfa, że Dagmara jest jego córką.

O Leonorze Magnus, matce Dagmary, nigdy nie miała bezpośrednich wiadomości. Ale dużo czytała w gazetach o Karolu Magnusie. Jego gwiazda świeciła jasno na niebie sztuki i pisma przynosiły długie na całe szpalty relacje z jego sukcesów jako wirtuoza gry na skrzypcach i kompozytora pieśni. Niekiedy w ilustrowanych czasopismach znajdowała Brygida fotografie artysty. A niedawno znalazła nawet zdjęcie, które ukazywało skrzypka stojącego przed portalem wielkiej sali koncertowej na Florydzie, wśród grona wielbicieli i u boku „pięknej i czarującej małżonki, która mu towarzyszy we wszystkich jego artystycznych *tournée*”. Brygida z zainteresowaniem spoglądała na zdjęcie Leonory. Widziała wciąż jeszcze smukłą, elegancką postać kobietą w wielkim kapeluszu, który ocieniał jej twarz. Schowała tę gazetę przed Rudolfem.

Pani Brygida zawsze cieszyła się szczerze wizytami Wenera, ponieważ Rudolf trochę się wtedy odprężył i stawał się bardziej ożywiony niż zazwyczaj. Wiedziała, że Werner stał mu się tak drogi jak syn. Nie zazdrościła tego młodemu Falknerowi, ponieważ jej stare serce również darzyło go ciepłym uczuciem. Ale bolało ją, że Rudolf całe ojcowskie zainteresowanie skoncentrował na tym młodym człowieku i że, jak się wydaje, nie zrodzi się w nim już nigdy nawet cień uczucia dla jego biednej, wypędzonej córki. Nie mogła, oczywiście, zajrzeć Rudolfowi do serca...

Szeroką parkową drogą szła szybko i sprężysto smukła dziewczyna. Miała białą, skromną sukienkę bez ozdób, spływającą w dół miękkimi fałdami. Na ręku zawiesiła kapelusz o szerokim rondzie. Lekki wiatr mógł bez przeszkód igrać z połyskującymi złociście puklami nad białym dziewczęcym czołem.

Była to szesnastoletnia już Dagmara Strasser. Kierowała się do małego pawilonu, w którym przez całe lata razem z Eleną pobierała nauki u panny Berend, o ile oczywiście pozwalała na to pogoda i nie trzeba było uciekać do pokoju szkolnego. Teraz także Dagmara wiedziała, że w pawilonie oczekuje ją panna Berend, ale tym razem nie szła już tam w charakterze uczennicy. Nauczycielka przed kilkoma tygodniami zrezygnowała z posady, ponieważ naukę swych wychowanek uznała za zakończoną. Wpoiła im wszystko, co im wpoić mogła, i za kilka dni zamierzała odjechać. Panna Berend czuła się dobrze w kasztelu Consistellich i pożegnanie nie było dla niej łatwe. Egon Strasser zaproponował jej, żeby pozostała w zamku, póki nie podejmie nowej posady, ponieważ bardzo cenił tę sumienną i obowiązkową osobę.

Panna Berend przez wszystkie te lata nieustannie wypełniała swe obowiązki i tylko raz wyjechała na kilka dni do Florencji, aby wziąć udział w uroczystościach weselnych swej dawnej uczennicy, córki hrabiego Ulfino. Poza tym, podobnie jak pozostali mieszkańcy, czasem tylko opuszczała kasztel, gdy udawała się na przejażdżkę ze swymi wychowanekami. Właściciele kasztelu żyli wciąż w wielkim osamotnieniu i nie spotykali się z nikim, ku wielkiemu ubolewaniu signory Cateriny i jej córki, które wciąż z tęsknotą wspominały dni, pełne blasku i życia towarzyskiego.

Panna Berend, znów dzięki pośrednictwu hrabiego Ulfino, znalazła nową posadę. Z pewną włoską rodziną, skoligaconą przez związki małżeńskie z Niemcami, zamierzała udać się do Kalifornii, aby uczyć dzieci tej rodziny na wielkiej hacjendzie. W ten sposób panna Berend miała znowu kształcić młodą generację i ponownie zmienić swe miejsce zamieszkania. Ale wiedziała, że nie może być inaczej, i była zadowolona, że znów ma pracę. Dziesięć lat spędzonych w kasztelu Consistellich okazało się korzystne dla panny Berend; czuła się zdrowsza i pełniejsza energii niż kiedykolwiek. Dagmara nie przysporzyła jej nigdy najmniejszego zmartwienia i nie sprawiła wiele trudu. Była bardzo pilna i posłuszna i bardzo szanowała swą nauczycielkę. Z Eleną pannie Berend nie wiodło się. oczywiście, tak dobrze. Córka Cateriny była wprawdzie także mądra i zdolna, ale bardzo leniwa i niestaranna. A ponadto nigdy nie znajdowała właściwego tonu wobec swej wychowawczynie, do której zwracała się tak samo wyniośle jak do innych ludzi.

Panna Berend była jednak przyzwyczajona do tego, że ma zawsze jakieś kłopoty ze swymi wychowankami, i nie brała tego tragicznie. Doprowadziła swój stosunek do uczniów do mistrzostwa i nie pozwalała się wyprowadzić z równowagi nietaktownym zachowaniem. W każdym bądź razie udało się jej także kształcenie Eleny doprowadzić do pomyślnego końca. Tak więc mogła opuścić kasztel z poczuciem dobrze wypełnionego obowiązku.

Dzisiejszego popołudnia panna Berend wycofała się do małego pawilonu na poobiednią drzemkę. Dagmara obiecała jej, że potem zabierze ją na długi spacer po parku.

Dagmara wyrosła na zachwycającą dziewczynę. Miała smukłą, młodzieńczą sylwetkę o przepięknych kształtach i odziedziczoną po matce niezwykłą grację ruchów. Miała też jej wspaniałe włosy, które z latami uzyskały ten sam nasycony odcień złota. I także w jej oczach, przy najłżejszym podnieceniu, pojawiały się złote iskierki, które czyniły oczy pani Leonory tak czarującymi. Ale w oczach Dagmary złote iskierki często gasły z powodu cichego smutku, który bardzo rzadko ustępował miejsca wesołemu błyskowi.

Podobieństwo do ojca nie zostało z upływem lat zatarte, mimo że Dagmara była prawie wiernym odbiciem swej pięknej matki. Elena i Dagmara stały się zewnętrznie bardzo do siebie podobne, mimo że charakterami różniły się szalenie.

W każdym bądź razie fizycznie i umysłowo Dagmara rozwinęła się wspaniale, ale jej życie duchowe było wciąż życiem człowieka, który musi pozostawać w cieniu i który stale jest opanowany dręczącą tęsknotą. Nie pozostawał, naturalnie, bez wpływu na Dagmarę fakt, że musiała wzrastać w atmosferze wrogości i nienawiści. Antypatia signory Cateriny Wobec Dagmary stawała się z latami coraz mocniejsza, właśnie dlatego, że musiała tę niechęć ukrywać. Marietta także w tym względzie była jej wierną służką i przepełnionymi nienawiścią oczyma patrzyła na młodą Niemkę, która ukochanej pani i jej córce zagroziła drogę do bogactwa i świetności.

Elena zaś traktowała Dagmarę jak swego rodzaju chłopca do bicia. Gdy uczyniła coś złego lub głupiego, miała zwyczaj zrzucać winę na kuzynkę. Wiedziała bardzo dobrze, że Dagmara popatrzy tylko w milczeniu swymi wielkimi oczyma na kłamczuchę, której łgarstwa tak samo łatwo płyną z ust jak jej matce, a może nawet łatwiej. Dagmara rzadko się broniła.

Elena nigdy nie miała dla kuzynki naprawdę dobrego, przyjaznego słowa. Z rozmów matki z Mariettą dawno wywnioskowała, że Dagmara nie jest córką wujka Rudolfa lecz bękartem, i że stoi między nią a wielkim spadkiem. To zupełnie wystarczyło, żeby także w Elenie wzbudzić wrogość do Dagmary. Że Dagmara całej tej kampanii przeciwstawiała tylko cichą rezygnację, trudno się było przy jej charakterze dziwić. Zadawała sobie tylko niekiedy pytanie, dlaczego jest tak bardzo nienawiedzona, i nigdy nie znajdowała odpowiedzi. Od owego pamiętnego dnia, kiedy spalono jej

ukochaną lalkę, jeszcze wiele razy była obrażona i dręczona, ale nic już jej tak głęboko nie dotknęło jak tamto wydarzenie.

Podejrzewała również, że wiodłoby się jej jeszcze gorzej, gdyby wujek Egon nie czuwał nad nią jak opiekuńczy duch. Widziała, że z roku na rok stawała mu się coraz miłsza. Im bardziej czuł się lekceważony przez swoją żonę i córkę, co coraz częściej się zdarzało, tym serdeczniej przywiązywał się do Dagmary, a ona odwzajemniała mu się wielkim oddaniem. Także w pannie Berend znalazła mimo wszystko pewne oparcie. To był przecież człowiek, który jej umyślnie nie obrażał i nie dręczył, który wprawdzie nic dla niej nie robił, ale również nie sprawiał jej przykrości, i od którego mogła się dużo nauczyć. A dużo się nauczyć, było zawsze celem, który stał jej przed oczyma. A nad tym wszystkim unosiła się wyidealizowana postać matki. Dagmara im była starsza, tym częściej zadawała sobie pytanie, dlaczego matka odeszła od niej i od ojca. Przestała już także wierzyć w bajkę, że matka nigdy nie może wrócić, gdyż przebywa w bardzo dalekim kraju. Ale nie znajdowała wyjaśnienia dla swych wątpliwości. I z czasem również zaprzestała o to pytać, ponieważ z właściwą sobie subtelnością zauważyła, że wujek Egon daje jej tylko wymijające odpowiedzi.

Teraz, gdy wiedziała, że panna Berend przyjęła inną posadę, a więc że jej nauka dobiegła końca, czekała każdego dnia na zbawczą wiadomość, iż może wrócić do domu. Drżała na samą tę myśl i bała się, że nie będzie mogła znieść szczęścia, którego przez to dozna. Wyobrażała sobie powrót do domu w jak najjaśniejszych barwach. Ale potem przenikał ją nagle nieokreślony, przynębiający strach i opadały ją różnorakie myśli. Dlaczego ojciec wysłał ją na tak długo? Dlaczego matka odeszła od niej i od ojca na zawsze? Dlaczego ojciec nie napisał do niej ani jednego listu? Dlaczego jej nie wolno pisać do niego i do ciotki Brygidy? Ojciec musi przecież wiedzieć, że ona już dawno umie pisać i czytać. Dlaczego nie otrzymała od niego żadnej wiadomości? Ani od ciotki Brygidy, która przecież tak bardzo ją kochała?

Gdy wujek swego czasu oznajmił, że panna Berend przyjęła inną posadę, zapytała:

— To kiedy pojedę do domu, wujku Egonie?

Egon Strasser miał wyraźnie speszoną minę.

— Jak to rozumiesz, Dagmaro?

— Przecież moja edukacja dobiegła końca i szkoły już nie ma. Przyjechałam tutaj tylko dlatego, żeby się uczyć, więc teraz mogę już chyba jechać do domu.

Wujek nagle bardzo spoważniał.

— Nie podoba ci się w kasztelu, że tak tęsknisz za wyjazdem? — spytał.

Nie mogła mu powiedzieć, że życie tutaj wydaje się jej więzieniem, które znosi tylko w nadziei, że pewnego dnia zostanie wybawiona i uwolniona. Tak więc położyła rękę na ramieniu wujka i unikając bezpośredniej odpowiedzi, odparła:

— Nie tęsknię do tego, żeby odjechać od ciebie, wujku Egonie, jesteś dla mnie zawsze dobry i miły, ale musisz mnie zrozumieć, że tęsknię za ojcem, którego tyle lat nie widziałam. Wyobraź sobie, że Elena musiałaby wyjechać na tak długo, czy nie tęskniłaby wtedy także za tobą?

Twarz Egona Strassera pokrył cień. Od dawna już wiedział, że jego córka Elena kocha wyłącznie siebie i że z pewnością nie tęskniłaby za nim, gdyby jej się spodobało przebywać od niego z daleka. I teraz on nie odpowiedział wprost.

— Rozumiem cię, Dagmaro, ale nie umiem ci powiedzieć, kiedy pojedziesz do domu. W każdym bądź razie musisz czekać, aż ojciec cię zawezwie.

Chwyciła jego rękę i spoglądając na niego zatrwożonymi oczyma spytała całkiem cicho i nieśmiało:

— Wujku Egonie, czy mój ojciec jest wciąż tak ponury i zagniewany? Czy on mnie już nie kocha?

I taki strach pojawił się przy tym w jej oczach, że Egon Strasser otoczył ją współczująco ramieniem. Głaszcząc ją po głowie, odpowiedział:

— Ależ, głuptasku, cóż ty sobie wyobrażasz? Ojciec na pewno cię kocha. Wiesz jednak, że kieruje wielkim handlowym przedsiębiorstwem i ma okropnie dużo roboty, tak dużo, że w ogóle nie możesz sobie tego wyobrazić. Ojciec nie ma ani chwili dla takiego młodego stworzenia jak ty. Jemu nie wiedzie się tak dobrze jak mnie, on nie ma nawet jednej wolnej godziny. Co miałby począć z taką młodą damą?

Dagmara z pobladłą twarzą uwolniła się z jego objęć i przeciągnęła ręką po czole.

— Jakże to smutne, że ojciec nie znajduje dla mnie czasu. Przez wszystkie te lata nie znalazł nawet chwili, żeby napisać choć jedno słowo.

— Dziecko, on pracuje przecież tylko dla ciebie, gromadzi bogactwa, które ty kiedyś będziesz posiadać.

Bolesny uśmiech przemknął jej przez usta.

— Na co mi te bogactwa? Och, drogi wujku, nie chcę ich, ponieważ płacę za nie miłością ojca i ponieważ to one trzymają mnie z dala od niego.

— Drogie dziecko, jesteś o wiele za poważna na swoje lata. Cieszyłbym się, gdybyś traktowała życie trochę lżej. Powinnaś brać przykład ze mnie. Popatrz, jestem już doprawdy starym człowiekiem i moje zdrowie nie jest, niestety, najlepsze. Kłopotów mam też więcej niż włosów na głowie, a przecież biorę życie lekko, tak jak je zawsze brałem. Mówię ci, to jest o wiele mądrzej, niż zamartwiać się rzeczami, których nie można zmienić.

I zaczął z nią żartować i gwałtownie zmieniać temat. Dagmara musiała więc na tym poprzestać. Bo i z kim jeszcze mogłaby na ten temat rozmawiać? Z ciotką Cateriną mówiła tylko o obo-

jętnych rzeczach. Elena nie wykazywała w ogóle najmniejszego zainteresowania poważnymi pytaniami. Zresztą na pewno odpowiedziałaby jej drwiną, jak to często czyniła, i nazwałaby ją sentymentalną Niemką. Od czasu wojny pojawiła się jeszcze u ciotki Cateriny, Eleny i Marietty dodatkowa wrogość wobec Dagmary, wrogość o podłożu narodowościowym. Dagmarę obrażano, gdzie i jak tylko się dało. Tak więc nie otrzymała nigdy jasnej odpowiedzi na żadne z pytań, które ją dręczyły i sprawiały ból. Mimo to nie traciła nadziei i wciąż czekała, że jej ojciec pewnego dnia znajdzie czas, przypomni sobie o niej i zawezwie ją do domu. Ach, jakże chciałyby wtedy uczynić wszystko, żeby na nowo pozyskać jego miłość! Nie zapomniała, że chciała mu sprowadzić słońce, ale teraz była już zbyt dorosła, aby nie wiedzieć, że rozumiano to tylko symbolicznie. Ale czuła w sobie dość sił, żeby opromienić samotne życie ojca, gdyby się tylko znów przy nim znalazła.

I miała też nadzieję, że dobra ciotka Brygida zatroszczy się o to, by ojciec przypomniał sobie o córce i wezwał ją do domu.

Dagmara dotarła wreszcie do pawilonu, gdzie panna Berend spoczywała na leżaku w głębokim śnie. Weszła cicho i cicho usiadła przy stole, gdzie leżały ilustrowane czasopisma, które widocznie czytała panna Berend przed zaśnięciem. Dagmara zaczęła przeglądać pisma, aby jakoś zabić czas. Cicho odwracała kartkę po kartce, uważnie oglądając ilustracje i czasem czytając jakiś artykuł.

W pewnym momencie dostrzegła fotografię mężczyzny, pod którą widniał podpis: Karol Magnus. Była to piękna, interesująca głowa artysty o uduchowionych rysach. Przeczytała, że ten Magnus jest sławnym skrzypkiem i kompozytorem pieśni, i że znów odbywa *tournée* po Stanach Zjednoczonych, i że tak samo jak we wszystkich jego podróżach towarzyszy mu czarująca małżonka, z którą żyje w bezprzykładnie szczęśliwym małżeństwie. Dagmara zaciekawiona przyglądała się zdjęciu i nie zrodziło się w jej głowie nawet najlżejsze podejrzenie, iż właśnie ten człowiek ponosi winę za to, że ona nie ma już matki, że ojciec nie może jej kochać i że ona dlatego żyje na wygnaniu. Nigdy przedtem nie słyszała o Karolu Magnusie. Przeglądała czasopismo dalej i na innej stronie znalazła fotografię cudownej willi, stojącej w ogrodzie pełnym kwiatów. Na tarasie willi jakiś pan i pani siedzieli przy śniadaniu. Pani była ubrana w białą suknię i, jak się zdawało, miała bardzo jasne włosy. Rysy jej były niewyraźne, nie dało się ich rozpoznać, natomiast głowa mężczyzny wyszła bardzo jasno i ostro. Była to ta sama wspaniała głowa artysty, co na poprzedniej stronie. Pod ilustracją widniał napis:

Karol Magnus z małżonką na tarasie swej wspaniałej willi w Lugano. Tutaj każdego roku artysta spędza kilka wiosennych tygodni, aby wypocząć po wyczerpujących podróżach.

Dagmara długo przyglądała się zdjęciu. Intrygowało ją, ale nie wiedziała dlaczego. Może tylko dlatego, że była to fotografia szczęśliwych ludzi. Mimo że nie miała najmniejszego pojęcia,

w czyją twarz wpatruje się tak długo, z trudem mogła się od tego zdjęcia oderwać. Tkwił w nim swego rodzaju czar, który ją do niego przykuwał. W końcu zaczęła znów kartkować czasopismo i znalazła jeszcze inne fotografie artysty. Była wciąż pogrążona w kontemplacji tych zdjęć, gdy panna Berend obudziła się i powiedziała z uśmiechem:

— Jesteś już, Dagmaro?

— Przyszłam przed chwilą, panno Berend, ale spała pani tak mocno, że nie chciałam przeszkadzać.

— Tak, spałam jak suseł. Można sobie przecież na to pozwolić, jeśli się ma ferie. A ty jak zawsze jesteś delikatna. Elena na pewno nie pozwoliłaby mi spać, lecz z radością by mnie obudziła. Mogłaby pod tym względem, jak i pod wieloma innymi bardzo dużo się od ciebie nauczyć. Co robiłaś, kiedy spałam?

— Przeglądałam jedno z czasopism. Zamieszcza ono zdjęcia sławnego artysty i to mnie bardzo zainteresowało, bo jeszcze nigdy w życiu nie widziałam prawdziwego artysty, ani bardzo sławnego, ani też mniej znanego.

— Niestety, tutaj w kasztelu nie było takiej okazji. Szkoda, że ty i Elena nigdy nie byliście w wielkim mieście, gdzie można rozkoszować się sztuką. A wy poznałyście ją tylko ze słyszenia. Ale jesteście jeszcze młode i będziecie miały w życiu niejedną sposobność, żeby zetknąć się ze sztuką. Musicie najpierw w pełni do tego dorosnąć. Moje ostatnie przeżycie w tym względzie to był koncert skrzypcowy, którego mogłam wysłuchać przed kilku laty we Florencji, gdy byłam tam na ślubie mej byłej wychowawicy. Dostałam bilet od hrabiego Ulfino. Tego artystę, którego wówczas słuchałam, znajdziesz także w tym piśmie. Nazywa się Karol Magnus.

Dagmara spojrzała z zaciekawiona.

— Właśnie jego zdjęcia oglądałam. Jest przy nim także jego żona, ale, niestety, wyszła na zdjęciu bardzo niewyraźnie. Czy on jest rzeczywiście tak utalentowanym artystą, jak piszą w gazecie?

— Och tak, gra cudownie! Kiedy się go słucha, łzy napływają do oczu, zwłaszcza gdy wykonuje własne kompozycje, które są nadzwyczaj głębokie i liryczne. Jeśli ja, stara i nieskora do wzruszeń osoba, tak się nim zachwycam, to możesz sobie wyobrazić, jak pozostała publiczność szalała z zachwytu. I pomyśl sobie, że on przy tym patrzył tylko na swoją żonę, która siedziała w łoży, otoczona przez włoskich arystokratów. I ona także patrzyła tylko na niego. Wciąż na nią zerkalam, była czarująco piękna i miała tak słodki uśmiech, że nie da się go nigdy zapomnieć. Wiesz, Dagmaro, ty uśmiechasz się podobnie. Kiedy ją zobaczyłam, natychmiast pomyślałam o tobie, coś w jej twarzy przypomniało mi ciebie. Słyszałam, że Karol Magnus koncertował przedtem w Rzymie, jak zawsze z wielkim powodzeniem. Po zakończeniu koncertu czekałam, aż oboje wyjdą i

wsiadą do auta; było rzeczą wzruszającą patrzeć, jak troskliwie pomagał Magnus swej pięknej żonie przy wsiadaniu i jak tych dwoje ludzi spoglądało na siebie, choć, jak zdażyłam zauważyć, oboje nie byli już tacy młodzi. Sądzę, że małżonka artysty dobiega czterdziestki, ale o tym w ogóle się nie myśli widząc tak wielką piękność. Nigdy nie zapomnę tych dwojga.

Dagmara przysłuchiwała się z uwagą. Rzadko się zdarzało, żeby panna Berend tak otwarcie zdradzała swe uczucia

— Jakże to musi być piękne widzieć tak szczęśliwych ludzi i móc słuchać tak sławnego artysty.

Panna Berend podniosła się.

— No, nie patrz tak tęsknie, Dagmaro. Zobaczysz, jeszcze i ty będziesz słuchać wielu artystów, ale dopiero jak wejdiesz w świat.

Dagmara spojrzała na nią pytająco.

— Ja? Mam wejść w świat? Kiedy to ma się stać?

— Myślę, że już niedługo. Przynajmniej Elena mi opowiadała, że w najbliższych latach ma pojechać do Rzymu, żeby zostać wprowadzoną do towarzystwa, a ty z pewnością udasz się tam razem z nią.

— Nie tęsknię za Rzymem, chciałabym raczej pojechać do Hamburga, do mojego ojca.

— Skoro twój ojciec tam mieszka i Hamburg jest twoim miastem rodzinnym, mogę to zrozumieć, ale tak w ogóle to Hamburg jest nudny. Rzym to całkiem co innego, także Florencja. Prawdziwe życie jest tylko we Włoszech.

— I to mówi pani, Niemka?

— Wiem, że cię to dziwi, ale muszę ci wyznać szczerze, że przed wielu laty pożegnanie z ojczyzną nie było dla mnie tak trudne, jak teraz z Włochami. Nie myśl, że wyzbyłam się patriotyzmu, że nie jestem dobrą Niemką, ale miałam nędzne, smutne dzieciństwo, pełne kłopotów i zmarwień, a we Włoszech powodziło mi się zawsze stosunkowo nieźle. Żyłam w dobrych domach i miałam zawsze wszystko, czego potrzebowałam. A poza tym, tu, we Włoszech, można upajać się pięknem, tutaj nawet łachmany i bieda są malownicze. Odnoszę wrażenie, że tutaj nawet ubóstwo nie jest tak przykre jak w naszych trzeźwych Niemczech. Czy możesz sobie, na przykład, wyobrazić coś wspanialszego niż ten park, mimo że taki zdiczały i nie pielęgnowany? Popatrz, jak te pnie i cyprysy kontrastują z błękitnym niebem, jakież to cudowne.

Zwykle tak rzeczowa panna Berend była w tej chwili pełna uniesienia. Chyba dopiero teraz dotarło naprawdę do jej świadomości całe otaczające ją piękno, z którym musiała się rozstać.

Dagmara westchnąwszy rozejrzała się wokół i odezwała się cicho:

— Tak, to wszystko jest piękne, ale... także smutne.

— Bowiem ty, Dagmaro, patrzysz na to smutnymi oczyma. Wielokrotnie ci mówiłam, że jesteś zbyt smutna jak na tak młode stworzenie. Wiele dałabym za to, żeby móc być tak młoda jak ty, żeby móc tu pozostać i żyć bez troski o kawałek chleba, bez trosk w ogóle. Ty przecież nie masz żadnych zmartwień, Dagmaro, i tyle piękna jest wokół ciebie, dlaczego więc jesteś smutna?

Dagmara wstała i podeszła do balustrady pawilonu. Gdyby panna Berend wiedziała, ile ona ma powodów do smutku! Ale była przyzwyczajona ukrywać we własnym sercu wszystko, co ją boli. Opanowana jak zawsze odwróciła się do panny Berend i powiedziała z bladym uśmiechem:

— Zdaje się, że uważa mnie pani za osobę godną zazdrości, ponieważ pani musi się ciągle męczyć z cudzymi dziećmi. Kiedy pomyślę, ile ja sama przysporzyłam pani kłopotów, mogę panią zrozumieć.

— Och, ty mi przysporzyłaś najmniej trudu. Muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie miałam tak dobrej uczennicy. Teraz, kiedy pochwała nie może ci już zaszkodzić, bardzo chętnie to mówię. Moja praca z tobą była prawdziwą przyjemnością. Jednak teraz nie chcę już więcej o tym mówić, dla ludzi mego gatunku nie jest rzeczą pożądaną zajmować się uczuciami. Lepiej chodźmy już, umówiliśmy się przecież na spacer. Chciałabym jeszcze raz przejść przez cały park aż do podnóża góry. Może już po raz ostatni popatrzę na gaj oliwny!

Ruszyły powoli w głąb parku, rozmawiając z ożywieniem i wdychając balsamiczne powietrze.

22

Wędrowały już dobrą chwilę, gdy dostrzegły idącą im naprzeciw signorę Caterinę z Eleną. W ciągu tych dziesięciu lat markiza w widoczny sposób przekwitła. Zdecydowanie się zaokrągliła, natomiast jej niegdyś piękne, klasyczne rysy zaostrzyły się i stwardniały. Widać było po niej, że przez wszystkie te lata zżerały ją nie zaspokojone ambicje.

Teraz była jeszcze bardziej niezadowolona ze swego losu niż przed dziesięciu laty i wszystkie starania Marietty, żeby zachować jej piękność, rozbijały się przede wszystkim o to niezadowolenie. Ponieważ w niczym nie mogła znaleźć satysfakcji, ponieważ wciąż jeszcze paliła ją tęsknota za hałaśliwą radością wielkiego świata, starzała się szybciej, niż było to konieczne.

Marietta w swym służalczym, psim oddaniu nieustannie przekonywała Caterinę, że ona wciąż jeszcze jest *bella marchesa*, a Caterina nadal starannie pielęgnowała swą urodę i wydawała coraz więcej pieniędzy na sprawianie sobie nowych toalet.

Z oczu Cateriny wybiegło kłujące, wrogie spojrzenie w kierunku Dagmary.

— Co tutaj robisz, Dagmaro? — spytała szorstko.

— Jestem na spacerze z panną Berend, ciociu Caterino.

— Miałaś przecież naprawiać koronkową chusteczkę, którą ci przyniosłam. Kosztowna koronka, jak wiesz, lekko się rozerwała, a ponieważ ty takie robótki bardzo dobrze wykonujesz, zleciłam ci tę pracę. Mogłaś chyba najpierw to załatwić, nim wybrałaś się na spacer.

— Chusteczka jest już gotowa, ciociu Caterino, zacerowałam ją w czasie sjeisty, ponieważ na popołudnie umówiłam się z panną Berend.

Signora Caterina była bardzo zawiedziona; zirytowało ją to, że znikł powód do udzielenia Dagmarze nagany.

— Wobec tego trzeba mi było oddać chusteczkę, jest na to zbyt kosztowna, żeby się gdzieś poniewierać.

Chusteczka nie była wcale tak kosztowna, jak to markiza przedstawiała.

Elena jednak znalazła szybko inny pretekst, żeby coś wytknąć Dagmarze.

Córka markizy wyrosła także na ładną młodą damę, ale w jej oczach nie odbijała się dusza. Spoglądały zimno i krytycznie, podczas gdy w oczach Dagmary, mimo całego smutku, widać było bogate życie wewnętrzne.

Elena była ubrana niezwykle strojnie w przeciwieństwie do Dagmary, noszącej stale bardzo skromne sukienki, w których zresztą, ku ustawicznej irytacji Eleny, wyglądała o wiele wytworniej niż tamta.

— Dlaczego niesiesz kapelusz w ręce zamiast mieć go na głowie? — spytała Elena kuzynkę ostro i zjadliwie.

Ona sama nie ruszała się nigdy z domu ani na krok bez kapelusza i parasolki przeciwsłonecznej. Bardzo troszczyła się o swoją cerę. Dagmara wzruszyła lekko ramionami.

— Moja cera nie jest tak wrażliwa jak twoja, Eleno. Słońce nie ma na mnie zbyt wielkiego wpływu.

Elena wiedziała o tym bardzo dobrze i już to było wystarczającym powodem do gniewu. Każda przewaga, którą miała nad nią Dagmara i której nie można było zakwestionować, złościła ją niesłychanie. Podobnie jak cery, zazdrościła Dagmarze włosów, które mimo prostej, niewymuszonej fryzury, i bez specjalnej pielęgnacji, opadały lekko i wciąż jeszcze falowały się, chociaż nie były już tak kędzierzawe jak w dzieciństwie.

— Widzę, że jesteś okropnie zarożumiała z powodu swojej cery — oświadczyła Elena całkiem już rozdrażniona.

Dagmara nie bardzo wiedziała, co oznacza to uczucie. Odpowiedziała więc spokojnie:

— Mylisz się, Eleno, nie jestem zarozumiała ani z powodu mojej cery, ani z jakiegokolwiek innego powodu. Jakżebym mogła!

Tymi słowami, tak niewinnymi, Dagmara, nie podejrzewając tego, ugodziła znów ciotkę Caterinę w czułe miejsce, ponieważ markiza już od długiego czasu używała różnorodnych sztucznych środków do podtrzymania urody. Spojrzała na Dagmarę roziskrzonymi nienawiścią, ciemnymi oczyma i oznajmiła z wyrazem pogardy na twarzy:

— Ty rzeczywiście nie masz żadnego powodu, żeby być zarozumiała. Chodź, Eleno, idziemy dalej.

Pozdrowiwszy pannę Berend ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy, pociągnęła swoją córkę tak porywczo za sobą, że zepchnęła z drogi Dagmarę i pannę Berend i wtrąciła obie w rosnące po obu stronach ścieżki cierniste krzewy. Dagmara i panna Berend poraniły sobie twarze i ręce. Dagmara spokojnie wytarła krople krwi z policzków i przedramienia i wtedy dostrzegła też, że panna Berend ma na twarzy niewielką, krwawą ryse.

— Cierń zranił pani skórę — powiedziała — czy mogę pani pomóc? Wytrę pani krew. I troskliwie osuszyła zadrapanie.

Panna Berend popatrzyła dziwnym wzrokiem za matką i córką i idąc przez chwilę w milczeniu obok Dagmary, zastanawiała się nad tym, dlaczego signora Caterina zachowuje się zawsze tak wrogo wobec swej kuzynki. Niekiedy, jak właśnie przed chwilą, doświadczona życiowo panna Berend widziała w oczach markizy płonąca nienawiść. Ale nigdy nie komentowała tego, nawet i teraz.

Gdy po spacerze, mniej więcej godzinę później, znowu dotarły do kasztelu, Giuseppe, który wyrósł na postawnego młodego mężczyznę, przyprowadził właśnie wierzchowca dla pana domu. Almanzor przez te lata zestarzał się i mniej sprężyście się poruszał, ale z jego jeźdźcem działało się niewiele lepiej.

Egon Strasser ukazał się pod portalem i uśmiechając się, skinął głową Dagmarze.

— Po spacerze?

— Tak, wujku Egonie.

— Spotkałaś ciotkę Caterinę i Elenę? Zamierzały także przejść się po parku.

— Tak, spotkałyśmy je. Chcesz wyjechać konno, wujku Egonie?

— Muszę, Dagmaro.

Popatrzyła na niego zatroskana.

— Przecież dzisiaj naprawdę nie czułeś się dobrze.

Pogładził ją po policzku.

— Jadę tylko do obejścia dzierżawcy. Żąda, żeby mu pokryć na nowo dach domu. To będzie mnie kosztować masę pieniędzy. Chcę więc zobaczyć, czy to rzeczywiście jest konieczne. Tak, moje dziecko, tobie to dobrze, nie masz żadnych kłopotów pieniężnych.

Nie zabrzmiało to już wcale tak lekko jak niegdyś. Egona Strassera dręczyły kłopoty finansowe. Nigdy chyba z tego powodu nie był tak bardzo przygnębiony jak teraz. Signorze Caterinie musiał przeznaczać coraz większe sumy na osobiste wydatki, mimo że przecież w leżącym na ubo-
czu zamku naprawdę nie musiała nosić najmodniejszych sukien. Elena również miała wysokie wymagania. Tak więc Egon musiał wciąż liczyć i liczyć, jeśli chciał zaspokoić żądania obu dam. Że w gruncie rzeczy tylko Dagmara pokrywała te wydatki, o tym myślał jedynie on sam. Wiedział bardzo dobrze, że Dagmara z tego, co dla niej jest przeznaczone, otrzymuje najmniej; ale ona, gdy zauważyła, że wujek Egon znów się martwi, skąd wziąć pieniądze na zaspokojenie nie kończących się żądań żony i córki, przychodziła do niego po kryjomu i mówiła z miłym uśmiechem:

— Ja niczego nie potrzebuję, wujku Egonie, moje suknie spokojnie wytrzymają jeszcze jeden sezon. Daj cioci Caterinie i Elenie to, co możesz na mnie zaoszczędzić.

I Egon był na tyle słaby, że zawsze to akceptował, aby tylko mieć w domu spokój. Dagmara zaś bardzo się cieszyła, że może odjąć wujkowi Egonowi trochę zmartwień. I także w tej chwili, upewniwszy się, że panna Berend weszła już do domu, odezwała się pocieszająco:

— Wujku Egonie, przecież teraz zaoszczędzisz całą pensję panny Berend, więc będziesz mógł zapłacić za naprawę dachu.

Zaśmiał się gorzko.

— Te pieniądze ciotka Caterina już zarekwirowała. Twierdzi, że na potrzeby jej i Eleny nie wystarczają dotychczasowe kwoty. To jest, moje dziecko, istne szaleństwo, ile te ich stroje kosztują. Dla mnie jest tylko zagadką, jak ty to robisz, że swoje suknie nosisz trzy razy dłużej, a przecież zawsze wyglądasz w nich ładnie.

Dagmara spojrzała współczująco na wujka.

— Masz poważne kłopoty finansowe? Uśmiechając się przycisnął palcem koniuszek jej nosa.

— Mam je zawsze, Dagmaro. Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jak ważną rzeczą są pieniądze.

Potrząsnęła głową.

— Nie, wujku Egonie, tego rzeczywiście nie umiem sobie wyobrazić. Pieniądze wydają mi się tak nieważne.

— Oby tak zawsze było, Dagmaro. Jestem zresztą przekonany, że nigdy nie zaznasz tego typu kłopotów. O to troszczy się już twój ojciec. Ale teraz nie zatrzymuj mnie dłużej, nie chciałbym wrócić zbyt późno.

— Gdybym tylko mogła ci pomóc — powiedziała, spoglądając na niego serdecznie.

Wzruszony pogłaskał ją po głowie.

— Jeśli nie będzie innego wyjścia, muszę sprzedać Almanzora. Przestraszyła się.

— Ależ, wujku, to jest przecież twoja jedyna radość.

Coś drgnęło w twarzy Egona. To dziecko stało się dla niego prawdziwą pociechą serca. Wiedział, że w tym domu poza Dagmarą nikt go nie kocha. Zacisnął zęby, ale zaraz spróbował uśmiechnąć się beztrąsko.

— Popatrz, teraz ci jest znowu żal, a dopiero przed kilkoma dniami powiedziałś mi, że ze strachem myślisz o moich przejażdżkach na Almanzorze.

Spojrzała na niego z powagą.

— To prawda, martwię się o ciebie, bo dostajesz teraz tak łatwo zawrotów głowy. Ale rozstanie się z Almanzorem sprawiłoby ci ból.

Nie umiał na to odpowiedzieć, wsiadł na konia, co mu już nie poszło tak sprawnie jak dawniej, i odjechał szybko, pomachawszy jej jeszcze ręką.

Dagmara popatrzyła za nim współczująco. Wiedziała bardzo dobrze, jaki jest stan wujka Egona. Powoli weszła do westybulu, gdzie zmęczona panna Berend usiadła w fotelu. Dagmara pozostała z nią, póki nie wróciła ciotka Caterina z Eleną.

Wtedy wycofała się szybko, bowiem wiedziała z doświadczenia, że matka i córka lubią ją dręczyć ze szczególną bezwzględnością, kiedy wujka Egona nie ma w domu. Zawsze bała się zostawać z nimi sama. Wiedziała także, że panna Berend nie może jej udzielić żadnej skutecznej pomocy. Dlatego była zadowolona, że może się wycofać i pójść do swego pokoju. Zamknęła za sobą drzwi i upewniła się też, czy drzwi do pokoju Eleny są zamknięte. Dobrze, że Elena miała zwyczaj robić to sama.

Odetchnąwszy, jakby uniknęła niebezpieczeństwa, opadła na krzesło przed małym biurkiem, które swego czasu wstawiono jej do pokoju, aby mogła przy nim odrabiać pisemne prace.

W tym biurku, które zawsze trzymała zamknięte i od którego klucz nosiła przy sobie, przechowywała wszystko, co było drogie jej sercu. Także fotografię ojca, wkrótce po tym jak spalono jej lalkę, zabrała z nocnego stolika i zamknęła. Bała się, że to zdjęcie może również zostać spalone. Wrodzona wrażliwość nie pozwalała jej uwierzyć, że lalkę spalono tylko dlatego, że była brzydka i brudna. Wiedziała, że uczyniono tak, aby jej sprawić przykrość.

Pograżona w marzeniach siedziała przed biurkiem i oglądała swoje fotografie, gdy nagle zapukano głośno do drzwi. Wzdrygnęła się przerażona, schowała szybko swe pamiątki do biurka i zamknęła je. Dopiero wtedy otworzyła drzwi. Stała za nimi ciotka Caterina z gniewną miną.

— Cóż to za zwyczaj zamykać się w swoim pokoju? Jakimi to zakazanymi sekretami się zajmujesz? — spytała surowo.

Dagmarze serce podeszło do gardła. Przypuszczała, że ciotka, jak to często robiła, przyszła tylko po to, żeby jej dokuczyć. Ale zebrała całą swą odwagę i odpowiedziała tak spokojnie, jak tylko potrafiła:

— Nie, ciociu Caterino, nie mam żadnych zakazanych sekretów.

— Co więc robiłaś za zamkniętymi drzwiami?

— Oglądałam fotografię mego ojca. Signora roześmiała się ostro.

— I po to musiałaś się zamykać?

Dagmara spojrzała na nią dużymi, poważnymi oczyma

— Tak, chciałam być z moim ojcem sama.

— Z twoim ojcem!

Słowom tym towarzyszył szyderczy śmiech. Signora chętnie by wykrzyczała w swej nienawiści: To wcale nie jest twój ojciec, jesteś bękartem! Ale bała się męża, który nigdy by jej tego nie wybaczył, ponieważ liczył się bardzo z tą dziewczyną. Jakże często miała ochotę ostatecznie upokorzyć Dagmarę, która mimo swego skromnego charakteru wydawała się jej wciąż jeszcze zbyt dumna. Ale ciągle się powstrzymywała, ponieważ Egon pewnego dnia oświadczył jej, że jeśli wyrządzi Dagmarze taką przykrość, wtedy on odeśle dziewczynę natychmiast do ojca, rezygnując z dodatkowych wpływów. A markiza nie chciała stracić pieniędzy na swe osobiste wydatki i na drobne przyjemności, które miała dzięki tym nadprogramowym dochodom. A niczego nie bała się bardziej niż dalszych ograniczeń. Tylko ta groźba powstrzymywała Caterinę przed jeszcze większym obrażaniem i poniżaniem Dagmary. Ale ponieważ signora nie mogła dać upustu całej swej złości, prawie się nią dławiła. I w jej dumnym, złaknionym rozrywek sercu z roku na rok płonęło coraz większe pożądanie tego wspaniałego życia, które prowadziła dawniej. Snuła więc nieustannie plany, co należałoby zrobić, żeby Dagmarze wyrwać jej dziedzictwo. Wszystkie okazywały się jednak niewykonalne. Z trudem się opanowując, spojrzała teraz na Dagmarę i zapytała szorstko:

— Gdzie jest ta koronkowa chusteczka, którą miałaś naprawić?

Dagmara odwróciła się, wzięła starannie złożoną chusteczkę i wręczyła ciotce. Caterina wykorzystywała kuzynkę często do różnorodnych prac, które do niej nie należały, ale Dagmara nigdy się nie sprzeciwiała. Chętnie podjęłaby się każdej pracy, gdyby nie żądano tego od niej w tak nieprzyjemny sposób. Mimo to czyniła wszystko, czego ciotka i Elena od niej zażądały.

Oстрым szarpnięciem ciotka wyrwała jej chustkę z ręki. Przy tym cieniuteńka koronka zaczęła się o paznokiec Dagmary i rozerwała się znowu. Signora Caterina pospiesznie rozwinęła chusteczkę i obejrzała ją. I kiedy odkryła świeżo rozerwane miejsce, mimo iż wiedziała, że stało się to w tym momencie, powiedziała gniewnie:

— Okłamałaś mnie, wcale jeszcze nie naprawiłaś chustki! Dagmarze krew nabiegła do twarzy.

— Nie skłamałam, zacerowałam koronkę tak delikatnie, że nic nie było widać. To miejsce teraz się właśnie rozerwało. Koronka zahaczyła o mój paznokiec — powiedziała przytłumionym głosem.

I nagle uświadomiła sobie, że ciotka zarzucając jej kłamstwo obraziła nie tylko ją, lecz także jej ojca, którego również, choć nie bezpośrednio, dotyczył zarzut, że jego córka kłamie.

— Milcz! Kłamiesz! Pozostaniesz teraz w swoim pokoju i zacerujesz pęknięcie. A ja powiem wujkowi Egonowi, że mnie okłamałaś.

Jak wówczas, gdy Dagmara straciwszy panowanie nad sobą uderzyła Mariettę w twarz, ponieważ służąca się śmiała, że spaliła jej lalkę, tak i teraz krew uderzyła Dagmarze do głowy. Wszystko w niej zbuntowało się nagle i ona, która zawsze bez skargi znosiła wszelkie przykrości, wyprostowała się gwałtownie, podeszła do ciotki bez strachu i powiedziała gniewnie:

— Ja nigdy nie kłamię, ale ty, ciociu Caterino, często już kłamałaś w mojej obecności. I z całą pewnością nie zaceruję koronki, jeśli będziesz tego ode mnie żądać w taki sposób. Dotąd wykonywałem dla ciebie takie prace, robiąc to z własnej woli. Ale wiem, że nie jestem zobowiązana do wykonywania jakichkolwiek prac, ponieważ mój ojciec zapłacił dobrze za moje utrzymanie. I z pewnością nie jest po myśli mego ojca, żebym się pozwałała przez ciebie obrażać, nie broniąc się przeciwko temu. W każdym bądź razie sama poinformuję wujka Egona o tym, co tutaj zaszło, i zapytam go, czy muszę dla ciebie wykonywać takie prace, jeśli mnie o to grzecznie nie poprosisz, i czy mam też znosić to, żebyś mi zarzucała kłamstwo, mimo że wiesz równie dobrze jak ja, że koronka rozerwała się na nowo, gdy gwałtownie wyrwałaś mi chustkę z ręki.

Dagmara sama nie wiedział, skąd jej nagle przyszła odwaga, aby bronić się w ten sposób. Ale oburzenie na to, że zarzucono jej kłamstwo, nie pozwoliło jej milczeć.

Z płonącymi oczyma stała naprzeciw signory Cateriny. Markiza zbladła, gdy Dagmara powiedziała jej, że często była świadkiem jej kłamstw. I z zeszpeconą od wściekłości twarzą podniosła rękę i wymierzyła Dagmarze policzek.

— Jak śmiesz, ty bezwstydna dziewczyno! Ośmielasz się obwiniać mnie o kłamstwo?

Dagmara cofnęła się pod wpływem uderzenia.

— Ty pierwsza powiedziałaś, że kłamię — odezwała się jeszcze, ale szalona odwaga buntu przeciwko niesprawiedliwemu traktowaniu ustąpiła już miejsca strachowi przed tą kobietą, która stała przed nią jak furia.

Przeraźliwe krzyki matki ściągnęły Elenę. Wyrosła nagle obok markizy.

— Co się stało, mamó?

— Popatrz na tę bezwstydną dziewczynę! Mówi, że ja kłamię, ponieważ sama skłamała. Tutaj jest koronkowa chusteczka, którą miała naprawić. Nie zrobiła tego, widzisz przecież dziurę w koronce. Ale ona twierdzi, że ją zacerowała, a gdy ją nazwałam kłamczuchą, stała się bezwstydną i odważyła się powiedzieć, że to ja kłamię.

Elena bardzo umiejętnie odegrała oburzenie, chociaż dobrze wiedziała, że matka lubi mijać się z prawdą. Teraz matka i córka obrzuciły Dagmarę stekiem obelg. Otrzymany policzek przywiódł dziewczynę do opamiętania i była znów bezradna wobec wściekłego potoku wyzwisk, który spadł na nią z południowym temperamentem. Ale duma, którą chciano podeptać, pomogła jej przecież zachować godność. Dagmara stała wyprostowana przed matką i córką i spoglądała na nie dużymi, poważnymi oczyma. Nie odpowiedziała ani słowem na wszystkie obelgi, spadające na nią jak uderzenia, i miała tylko jedno pragnienie, żeby wreszcie ucichł ten mało wytworny jazgot.

Przywołana hałasem pojawiła się nagle panna Berend. Nie wiedziała, co zaszło, i patrzyła pytająco na tę nieprzyjemną scenę. Caterina i Elena przedstawiły jej z oburzeniem, naturalnie w odpowiednim świetle, postępowanie Dagmary. Panna Berend jeszcze niedawno wycofałaby się z pewnością, nie stając po niczyjej stronie, ale teraz wiedziała, że za kilka dni opuszcza ten dom, i nie musiała się już obawiać, że zostanie zwolniona, jeśli wypowie otwarcie swoje zdanie. Sama była niejednokrotnie świadkiem, jak signora Caterina bądź Elena nie troszczyły się zbyt o prawdę, natomiast z ust Dagmary nigdy nie usłyszała kłamstwa. Więc powiedziała, biorąc ją w obronę:

— Proszę wybaczyć, signora, ale jeszcze nigdy nie przyłapałam Dagmary na kłamstwie. Na pewno jest prawdą, że chusteczkę naprawiła i że w jakiś sposób powstało nowe pęknięcie.

— Nie, wcale nie, ona skłamała! — skrzeknęła signora.

Dagmara patrzyła na pannę Berend w milczeniu. Nie miała siły, by zapewniać powtórnie, że mówiła prawdę. Pomyślała jednak o wujku Egonie, jak bardzo by go zabolalo, gdyby wróciwszy do domu usłyszał, co się wydarzyło. Wiedziała bardzo dobrze, że wujek nie uwierzy, iż splamiła się kłamstwem, ale wtedy musiałby się dowiedzieć, że skłamała ciotka Caterina i znowu postępowała wobec swej kuzynki wrogo. Wujek Egon miał wówczas zawsze tak bezradną i zmartwioną minę, że bardzo chciała zaoszczędzić mu przykrości. Dlatego, jak to się często zdarzało, i tym ra-

zem wzięła winę na siebie. Podniosła chusteczkę, którą ciotka cisnęła na podłogę, i powiedziała cicho:

— Proszę, żebyś mi wybaczyła, ciociu Caterino, że cię posądziłam o kłamstwo. Uderzyłaś mnie i przyjmuję to uderzenie jako pokutę za to, że nie umiałam się opanować. Zaraz zreperuję tę chusteczkę. Ale proszę cię, nie mów wujkowi Egonowi nic o tym, co tu zaszło, bardzo by się zmarzył.

Także Caterina opanowała się i zrozumiała, że posunęła się za daleko i że ją samą mogłyby spotkać wyrzuty ze strony męża, gdyby usłyszał o tym zajściu. Tak więc odpowiedziała z przymusem:

— Skoro prosisz o wybaczenie, mogę zapomnieć o tym, co się stało. I nie powiem nic wujkowi Egonowi, żebyś nie została ukarana.

Dagmara potrząsnęła głową.

— Nie o to przecież chodzi. Wujek Egon często się teraz źle czuje i nie powinien się irytować.

Dagmara sięgnęła do koszyczka z przyborami i zaczęła cerować delikatną rysę w koronce. Matka i córka zniknęły, a panna Berend podeszła do Dagmary.

— Prawda, Dagmaro, że nie skłamałaś?

Dagmara prosto i szczerze spojrzała na swą wychowawczynię.

— Nie, panno Berend, nie skłamałam. I dziękuję pani, że wystąpiła pani w mojej obronie. Doszłam jednak do wniosku, że to prowadzi donikąd i mogłoby jeszcze przysporzyć pani jakichś nieprzyjemności. A nie chciałabym tego właśnie teraz, kiedy pani za kilka dni opuszcza kasztel.

Panna Berend lekko i łagodnie pogłaskała Dagmarę po głowie.

— Biedne dziecko — powiedziała cicho.

Po raz pierwszy zdarzyło się, że wychowawczynie okazała Dagmarze nieśmiałą pieśczoć i że tak otwarcie wyraziła swoje współczucie. To wzruszyło tak mocno samotne, młode serce, że dziewczynie łzy napłynęły do oczu. Ujęła rękę panny Berend i przycisnęła ją do ust.

— Dziękuję, że jest pani dla mnie tak dobra. Wychowawczynie westchnęła.

— Ach, drogie dziecko, wydaje mi się, że naprawdę nie byłam dla ciebie zbyt dobra. Może powinnam mieć dla ciebie więcej współczucia, ale jestem już stara, ustępliwa i boję się konfliktów. Dlatego ukrywam się za spokojną zasłoną obojętności. Jestem tchórzliwym, starym człowiekiem...

I pogłaskawszy jeszcze raz Dagmarę po głowie, stara panna wybiegła szybko z pokoju, jakby się obawiała, że zdradziła już zbyt wiele ze swych uczuć.

Dagmara popatrzyła za nią zmęczonymi oczyma. Błady uśmiech przebiegł po jej twarzy. Biedna, dobra panna Berend, jakże się bała okazać nieco miłości i dobroci. A przecież ten jej dzi-

siejszy gest przyniósł Dagmarze wielką ulgę po okropnej scenie z ciotką i Eleną. Wzburzenie z powodu tego, co się stało, jeszcze nie opuściło Dagmary. Włoszki aż nazbyt wyraźnie okazywały jej po raz kolejny swą nienawiść. Dlaczego tak bardzo jej nienawidziły? Co im zrobiła? Oczywiście, dziś uniosła się i za obrazę odplaciła ciotce Caterinie tą samą monetą. Dumna markiza nigdy jej nie wybaczy, że usłyszała słowa prawdy o swych kłamstwach. Będzie zapewne stwarzać pozory, że jej wybaczyła, ale tylko z obawy przed wujkiem Egonem. Gdyby się dowiedział, że ją uderzyła, jakże byłby zagniewany i zasmucony. Ani przez moment nie uwierzyłby w to, że Dagmara minęła się z prawdą.

I tak rozmyślając gorliwie cerowała cieniutkimi jak włos nitkami maleńkie pęknięcie koronki, aby zadowolić ciotkę Caterinę. Ale było jej ciężko na sercu. Dlaczego ciotka Caterina nienawidziła jej tak bardzo? Co ona takiego zrobiła, że wciąż jest ponizana i obrażana? Nie mogła tego pojąć.

23

Po odjeździe panny Berend Dagmara poczuła się jeszcze bardziej samotna. Dopiero teraz spostrzegła, że jednak w starej wychowawczyni miała jakieś oparcie. W jej obecności ciotka Caterina tak się na Dagmarze nie wyżywała, także Elena i Marietta trochę się hamowały. Teraz jednak, skoro panna Berend nie mogła już pomiędzy nie wkroczyć, ich wrogość znalazła sobie jeszcze większy upust i Dagmara musiała wiele wycierpieć. Jak się zdawało, robiły wszystko, żeby ją podrażnić, ale Dagmara dała sobie słowo, że się już nigdy nie uniesie. Niech robią i mówią, co chcą, ona będzie to znosić z dumnym spokojem. Można sobie jednak wyobrazić, jak bardzo przy tym rosło jej pragnienie, żeby się pożegnać z kasztelem.

Ale mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, a od ojca. nie nadchodziła żadna wiadomość. Nie odważyła się już nigdy więcej zapytać wujka, dlaczego ojciec ciągle jej nie wzywa, ponieważ wujek patrzył wtedy z zażenowaniem i współczuciem i szybko próbował zmienić temat. Z czasem zrodziła się w niej straszliwa obawa, że być może nigdy już nie będzie mogła wrócić do domu.

W ten sposób minęły jeszcze trzy lata. Dagmara była teraz dorosłą młodą damą. Elena również. Podobieństwo między kuzynkami wciąż jeszcze wprawdzie istniało, ale jakże różnie rozwinęły się te dziewczęta. Podczas gdy na twarzy Eleny złe cechy charakteru rysowały coraz twardsze linie, Dagmara z roku na rok stawała się piękniejsza i miłsza. Miękka gracja jej ruchów, subtelna, szlachetna twarz i młodzieńcza proporcjonalna sylwetka sprawiały czarujące wrażenie. Tylko że

kwitła całkiem w ukryciu, widywało ją bardzo niewielu ludzi, i to tylko z daleka, gdy z ciotką i Eleną udawała się karetą na przejażdżkę, co zresztą zdarzało się bardzo rzadko, bowiem Dagmara bała się tych wyjazdów, a obie damy o wiele chętniej wyjeżdżały bez niej.

Elena próbowała poprawić swój wygląd przez bardzo eleganckie i kosztowne stroje, ale Dagmara w swych prostych sukienkach wyglądała o wiele wytworniej niż tamta. Elena i jej matka lamentowały coraz bardziej wobec małżonka i ojca, że już najwyższy czas, by Elenę wprowadzić do towarzystwa. Musi się bezwzględnie znaleźć odpowiednia suma, żeby każdego roku mogły przynajmniej na kilka zimowych tygodni wyjechać do Rzymu.

Egon Strasser oświadczył jednak kategorycznie, że nie ma na to pieniędzy. Wtedy Caterina podpowiedziała mu pewnego dnia, że mógłby przecież poprosić swego kuzyna o większą pożyczkę na wyjazd Eleny. Ale Egon rozdrażniony odrzucił to żądanie. Wiedział dobrze, że Rudolf uważa go za lekkomyślnego człowieka, który nie potrafił utrzymać nawet swojego majątku, i dlatego przyjął jako rzecz oczywistą, że Rudolf mu nic nie pożyczy. I wiedział także, że jego małżonka i córka, raz wybrawszy się do Rzymu, wydadzą tam bajeczne sumy. Musiał teraz jako zapobiegliwy pan domu utrzymać to, co im pozostało, ażeby już całkiem nie zbiednieli.

Egon w ostatnich latach bywał często cierpiący. Wyglądał mizernie, chorowicie i podupadał coraz bardziej na zdrowiu. Nasilające się gwałtownie żądania jego żony i córki, które nazywały go wyrodnym ojcem, wspierane często przez kłótliwą Mariettę, nękały go niezmiernie. Z obawą spoglądał w przyszłość. Jego jedynym pocieszeniem i jedynym wytchnieniem były te chwile, gdy mógł bez przeszkód pogawędzić z Dagmarą. Otaczała go troskliwą opieką, jakiej nie mogłaby mu zapewnić nawet najczulsza córka. I Egon ciągle myślał o tym, jak głupio postąpił Rudolf, że rozstał się z Dagmarą. Nie mógł sobie zupełnie wyobrazić, jak by wyglądało jego życie, gdyby jej przy nim nie było. Żona i córka troszczyły się o niego tylko wtedy, kiedy potrzebowały pieniędzy.

Gdy go pewnego razu obie znów ostro zaatakowały, żeby zechciał im umożliwić pobyt w Rzymie, gdyż inaczej Elena nie zdobędzie męża, powiedział wzdychając:

— Dobrze, spróbuję zrobić wszystko, co możliwe, by Elena mogła przynajmniej na jakiś czas pojechać do Rzymu. Któraś z twoich byłych przyjaciółek, Caterino, mogłaby się nią zaopiekować.

Elena wydała okrzyk radości, natomiast signorze Caterinie wydłużyła się twarz. Bowiem ona także życzyła sobie pobytu w Rzymie co najmniej równie gorąco jak jej córka. Zirytowała się, że Elena zachłysnęła się z radości, wcale o matce nie pomyślawszy. I zaczęła się głośno zastanawiać:

— Nie wiem, kogo mogłabym obarczyć tym, żeby przyjął Elenę. Poza tym nikt nie może jej tak dobrze wprowadzić na scenę jak ja.

Nie przyszło jej na myśl, że w Rzymie dawno już o niej zapomniano i że trudem mogłaby tam odegrać jakąś rolę. Jej próżność nie dopuszczała takich wątpliwości.

Jednakże Egon odpowiedział nerwowo:

— Ale mówię ci przecież, Caterino, że nie mam możliwości, aby pokryć koszty pobytu was obu. W wypadku Eleny jest konieczne, żeby weszła między ludzi, ponieważ nadszedł już czas, żeby zdobyła męża. I pobyt w Rzymie jej samej nie będzie tak drogi, zwłaszcza jeśli zaprosi ją jedna z twoich przyjaciółek. Jest wśród nich wiele, które dawniej gościliśmy u siebie przez wiele tygodni i darzyliśmy względami. Któraś z nich mogłaby się chyba teraz odwdziczyć i wprowadzić naszą córkę w świat. To jest w każdym bądź razie jedyne możliwe rozwiązanie, i to zresztą pod warunkiem wielkich wyrzeczeń. Jeśli ty wraz z nią pojedziesz do Rzymu, będzie to kosztowało dziesięć razy więcej, na tyle cię znam, i to jest nie do przyjęcia. Napisz więc do którejś z twoich przyjaciółek i zapytaj, czy zechciałaby przyjąć Elenę.

Signora Caterina rzuciła przy tych słowach nienawistne spojrzenie w kierunku Dagmary. Jeśli by jej nie było, można by żyć w radości i przepychu.

Gdy po tej scenie matka i córka znów były same, Caterina wcale nie patrzyła czule na rozpromienioną twarz Eleny.

— Nie ciesz się tak bardzo. Beze mnie twój debiut w Rzymie będzie żałosny, możesz mi wierzyć. Ja mogłabym cię całkiem inaczej wprowadzić na salony. A wszystkie moje dawne przyjaciółki, które pozwalały sobie tak często u nas bywać, są niezamożne i niewiele znaczą w towarzystwie. I nie jest jeszcze bynajmniej pewne, że któraś z nich cię przyjmie.

I okazało się, że w tym punkcie signora Caterina miała naprawdę rację. Na wszystkie zapytania, które kolejno wędrowały z kasztelu do Rzymu, przychodziły odmowne odpowiedzi. Towarzyszyły im zdawkowe usprawiedliwienia. Jedna z przyjaciółek zamierzała właśnie wyjechać na dłuższy czas, inna miała już gości i nie mogła przyjąć nikogo więcej, trzecia była zbyt cierpiąca, aby się podjąć tak trudnego zadania, i tak dalej. Krótko mówiąc, nic nie wyszło z podróży do Rzymu.

Że także dla Dagmary była już pora, aby została wprowadzona w świat, o tym, jak się zdaje, nie myślał nikt. A ona sama najmniej. W jej sercu żyła tylko tęsknota, która z roku na rok stawała się mocniejsza, tęsknota za domem, za ojcem i kilkoma kochanymi osobami, które wciąż wspominała.

Signora Caterina nie była w gruncie rzeczy tak bardzo rozczarowana tym, że Elena nie pojechała do Rzymu. Ponieważ ona sama nie mogła się tam wybrać, projekt stracił dla niej cały urok. A pewnego dnia powiedziała nawet do Eleny:

— Chociażbyś pojechała do Rzymu, nie jestem wcale przekonana, że zdobyłabyś męża.

Elena spojrzała na nią obrażona.

— Czy nie jestem dość piękna, żeby się spodobać?

— Jesteś za biedna, moja droga Eleno. W tych ciężkich czasach żadnemu mężczyźnie nie przyjdzie do głowy, by wybrać sobie biedną żonę, musiałby być krezusem.

— Tak, gdybym była bogata, wówczas mogłabym mieć tylu mężczyzn, ilu bym chciała. Wtedy nie musiałabym jechać do Rzymu, wtedy by znaleziono mnie i tutaj, ponieważ wówczas moglibyśmy zapraszać tylu gości, ilu byśmy pragnęli. Ale ja jestem biedna i nie noszę nawet znakomitego nazwiska jak niegdyś ty. Wydaje mi się, że mamy zasmucająco mało widoków, żeby kiedykolwiek wydostać się z tego kasztelu.

Caterina zagryzła wargi. Matczyna próżność, która u markizy zajmowała miejsce matczynej miłości, znów gwałtownie dała znać o sobie.

— Jesteś piękna i do tego jesteś blondynką, gdybyś tylko była bogata, wszyscy by się o ciebie bili. Taka Dagmara nie będzie miała najmniejszych trudności ze zdobyciem męża. Skoro tylko pokaże się w towarzystwie, wszyscy mężczyźni będą jej pożądać!

Oczy Eleny zaiskrzyły się nienawiścią.

— Och, *Dio mio*, ona to ma dobrze. Jestem tylko ciekawa, kiedy wujek Rudolf zadecyduje, żeby ją pokazać w salonach. Podobno, jak mówi papa, nie życzy sobie tego przed jej pełnoletnością.

— Gdyby nie czekał do jej pełnoletności, mogłybyśmy wyjechać razem z nią, ponieważ bez damy do towarzystwa Dagmara nie może się pokazać publicznie. Ale to chyba daleka przyszłość.

— A ponadto kto wie, czy ona nie wybrałaby wtedy jakiejś innej damy do towarzystwa, a wcale nie ciebie, mamó. Nie bardzo cię przecież lubi.

Signora Caterina zerwała się jak podrażnione zwierzę.

— I pomyśleć, że ona nie ma najmniejszego prawa do spadku, którym wciąż się chełpi. Można umrzeć ze złości — wyrzuciła gwałtownie.

Twarz Eleny zespeciała nienawistną zazdrością.

— Czy naprawdę nie można nic zrobić, żeby jej wyrwać ten spadek — spytała ochryple.

Matka zaprzeczyła.

— Ileż ja już planów uknułam i odrzuciłam. Jeden jedyny byłby wykonalny, gdyby się miało odwagę i gdyby nie było papy.

— Cóż to za plan? — spytała Elena zaintrygowana.

Matka rozejrzała się ostrożnie dookoła, podeszła do drzwi, nasłuchiwała chwilę i wróciła do Eleny.

— Musiałybyście zamienić się rolami — szepnęła. Elena spojrzała na matkę, nic nie rozumiejąc.

— Co masz na myśli?

— Nie pojmujesz? Musiałabyś wejść do towarzystwa jako Dagmara Strasser, sukcesorka Rudolfa Strassera.

W oczach Eleny błysnęło zrozumienie, ale potem potrząsnęła głową.

— Co by mi to pomogło? Prawda wyszłaby przecież na jaw. Oczy signory Cateriny ciskały błyskawice.

— Prawda nie może wyjść na jaw. Nigdy!

— Ależ, mam, to przecież niemożliwe!

Signora Caterina odetchnęła głęboko.

— Niestety, niestety, to istotnie nie będzie możliwe, bowiem papa nigdy się na taką rzecz nie zgodzi. Przepada za tą dziewczyną. Inaczej wszystko byłoby łatwe do zrobienia, gdybyś tylko ty miała odwagę.

Na twarzy Eleny pojawił się gorączkowy rumieniec.

— Powiedz tylko, w jaki sposób dałoby się to zrobić? Caterina znowu nasłuchiwała przez chwilę, a potem szepnęła:

— Bardzo prosto, rozważyłam to na wszystkie strony z Mariettą, bo to właściwie jest jej pomysł. Wszystko byłoby proste. Dagmara nigdy by nie mogła opuścić kasztelu. Najpierw należałoby pod jakimś pretekstem zwolnić służbę: Giuseppe, Stellę i kucharkę. To są jedyne osoby, które dobrze znają Dagmarę. Ten, kto na zewnątrz widział nas na przejażdżkach, nie wie, która z was jest moją córką, a która kuzynką. Nie wiedzą tego także dzierżawca i jego żona. Jeśli widzieli nas kiedyś przejeżdżające lub jeśli dzierżawca bywał niekiedy tutaj w zamku, nigdy nie miał z wami bezpośrednio do czynienia. Lekarz, który czasami przyjeżdżał do papy, nie ma pojęcia, czy ty jesteś Elena, czy Dagmara, o to zresztą troszczyłam się świadomie od lat, od lat bowiem rozważałyśmy z Mariettą ten plan. Panna Berend jest w Kalifornii i ma tam posadę do końca życia; napisała do papy, że wątpi, by jeszcze kiedykolwiek mogła tutaj wrócić. Wszystko więc składa się korzystnie, wszystko dałoby się urządzić. Dla służby, żeby nam zeszła z drogi, wystarałabym się o miejsca we Florencji. Dagmara pozostałaby w kasztelu całkiem sama z Mariettą jako Elena. Ta Elena byłaby chora, opanowana chorobliwą ideą, i należałoby jej dobrze strzec. Marietta byłaby strażniczką i pielęgniarką. Dagmara już by się z nikim więcej nie spotkała. A ty pozostałabyś po wszystkie czasy Dagmarą Strasser, bogatą sukcesorką. Nikt nie zauważyłby tej zamiany, jesteście obie blondynkami, obie macie brązowe oczy i cechuje was wyraźne rodzinne podobieństwo. I prawie nie różnicie się wiekiem, ty stałabyś się tylko o jeden rok młodsza, co nie jest żadną stratą.

Elena słuchała tego wstrzymując oddech, jej oczy błyszczały pożądliwie.

— No a Dagmara? — spytała ochrypla z podniecenia.

Brutalny wyraz twarzy signory Cateriny zdradził, że była potomkinią osławionych okrucieństw Consistellich, którzy zawsze w sposób bezwzględny rozprawiali się ze swoimi wrogami, jeśli ci wchodzili im w drogę.

— Dagmara będzie się musiała przyzwyczaić do myśli, że jest Elena, jeśli nie chce się znaleźć w szpitalu wariatów. Musi sama uwierzyć w to, że jest Elena.

— Nie uwierzy w to nigdy! Signora Caterina wzruszyła ramionami.

— To już nie będzie miało żadnego znaczenia. Nie wyjdzie przecież nigdy poza mury parku, o to się zatroszczy. Może tutaj żyć całkiem wygodnie, jeśli będzie posłuszna. Potraktuje się ją jako chorą. Rzecz w tym, żeby cały świat był przekonany, że ty jesteś Dagmarą. Prawie czternaście lat Dagmara przebywa tutaj, ani jej ojciec, ani nikt z dawnego otoczenia nie widział jej od chwili wyjazdu. Od tego czasu bardzo się zmieniła. Nikt już nie jest w stanie jej rozpoznać. Tym bardziej że ty jesteś do niej podobna. Dlaczego więc dziecko Dagmara nie miałoby się zmienić tak, że wygląda dziś dokładnie jak ty? Przemyślałam wszystko starannie razem z Mariettą, która zapaliła się do tego planu, a jest nam tak oddana, że gotowa by dla nas popełnić morderstwo.

Matka i córka patrzyły na siebie płonącymi oczyma.

— A jeśli wujek Rudolf dojdzie pewnego dnia do wniosku, że chce znów zobaczyć swoją córkę? — spytała Elena.

— Mówię ci przecież, że Dagmara bardzo się zmieniła. Zresztą nie zawezwie jej do siebie, inaczej dawno by już to zrobił. Dopiero po jego śmierci ma wrócić do domu, aby objąć spadek, a wtedy on jej już nie zobaczy. Jak już powiedziałam, wszystko dałoby się bardzo łatwo zrobić, gdyby papa nie stał nam na przeszkodzie.

Elena długo spoglądała przed siebie i błyski jej oczu zdradzały, że była godną córką swej matki. Po chwili odezwała się:

— Masz rację, papa nigdy się na to nie zgodzi. Matka spojrzała na nią w napięciu.

— A ty?

Ciało Eleny wyprężyło się jak u żadnego zdobyczy drapieżnego zwierzęcia.

— Och, gra jest warta świeczki i my przecież wzięłybyśmy tylko to, co nam się należy. Zagrałabym tę rolę na pewno dobrze, mamó, i za jednym zamachem byłybyśmy znowu bogate. Potem naturalnie nastawałabym na to, żebyś mi wszędzie towarzyszyła, nie rozstawałabym się nigdy „z moją kochaną ciocią Caterina”, prowadziłybyśmy wspaniałe życie. Jaka szkoda, że papa nie nadaje się do takich rzeczy.

Obie damy pograżyły się teraz we wszystkich szczegółach tego planu, który, niestety, był niewykonalny, ponieważ Egon Strasser rozpostarł swoje opiekuńcze ręce nad Dagmarą. Rozpatrywały wszystkie możliwości. Był w tym jakiś swoisty urok, by wyobrażać sobie wszystko, co musiałoby się wydarzyć, gdyby się chciało ten plan przeprowadzić. W każdym bądź razie jeszcze się nim bawiły, ledwie przy tym zauważając, jak coraz mocniej zagnieźdżał się w ich myślach.

I chociaż się wciąż zapewniały, że plan nie może się powieść, ponieważ ojciec nie przyłączy się do jego realizacji, pograżały się w nim coraz bardziej. Nie widziały w tym w ogóle przestępstwa, lecz próbowały się wzajemnie coraz mocniej przekonać, że jest ich słusznym prawem odebrać bękartowi bezprawne dziedzictwo. I zignorowały całkowicie fakt, że podobieństwo rodzinne między Dagmarą a Eleną odgrywało wielką rolę w ich zamiarach. To podobieństwo dokumentowało przecież, że Dagmara nie była żadnym bękartem, lecz córką Rudolfa Strassera. Ale takimi drobnostkami nie zajmowały się. I z głębokim westchnieniem, uświadamiając sobie, że ten piękny plan jest niewykonalny, jak długo ojciec stoi na przeszkodzie, zakończyły tego dnia pasjonującą rozmowę.

Ale od tej chwili wszystko, co działo się w kasztelu Consistellich, oceniały z punktu widzenia swego planu: Czy to planowi służy, czy też mu przeszkadza? I troszczyły się zawsze, żeby wydarzało się tylko to, co było zgodne z ich zamiarami. Egon Strasser nie miał najmniejszego pojęcia o tym, co się wylęgło w głowach jego żony i córki. Czuł się coraz gorzej i nawet lekarz nie mógł mu pomóc. Niekiedy rodziły się w nim myśli o śmierci i wtedy martwił się nie tylko o żonę i dziecko, lecz zadawał sobie także pytanie, co będzie wtedy z Dagmarą. Co się z nią stanie, jeśli zabraknie jego ochronnej ręki. Wiedział, że żona i córka były nastawione wrogo wobec Dagmary. W gruncie rzeczy bardziej martwił go los Dagmary niż los Cateriny i Eleny. Jeśli nawet tak jak przedtem będą musiały żyć oszczędnie, to miały przecież zapewniony byt dzięki rencie i dochodowi z dzierżawy. I jeśli dotąd nie przemógł się, aby poprosić Rudolfa o wsparcie, to teraz, przeczuwając bliską śmierć, postanowił, że zostawi kuzynowi list, w którym go poprosi o dalszą opiekę nad żoną i córką.

Ale wciąż pełen troski zadawał sobie pytanie: Co będzie z Dagmarą, jeśli on umrze?

Nieraz zamierzał stawić czoło surowej woli Rudolfa i napisać mu o Dagmarze więcej, niż wymagało czysto rzeczowe sprawozdanie. Przede wszystkim uważał teraz za swój obowiązek donieść Rudolfowi, że jego córka z dnia na dzień staje się do niego podobniejsza. Właściwie powinien to już dawno uczynić, ale wciąż odsuwał od siebie tę decyzję, być może także w obawie, że Rudolf zawezwie wtedy córkę do domu. Ten strach dotyczył nie tylko okoliczności, że wyschnie źródło dodatkowego dochodu; Egon bał się panicznie rozstania z Dagmarą. Im bardziej bowiem

oddalał się wewnętrznie od żony i córki, tym serdeczniej przywiązywał się do swej wychowawcy, jedynej osoby, która okazała mu miłość. O tym wiedział od dawna.

24

Pewnego dnia Egon Strasser odpoczywał w parku na leżaku. Dagmara siedziała obok niego i czytała mu na głos. Stał się ostatnio tak słaby, że nie potrafił już utrzymać książki i jedynie z wielkim trudem mógł jeszcze przechadzać się po parku. Ukochanego Almanzora dawno już sprzedał. Dochód ze sprzedaży wystarczył na kilka nowych sukien dla Cateriny i Eleny i na absolutnie niezbędne naprawy w domu dzierżawcy.

Lekarz z Sorino, który odwiedzał chorego i był przyjmowany tylko przez niego i jego żonę, powiedział mu, jaka choroba go trawi i że nie istnieje przeciwko niej żaden skuteczny środek. Tak więc Egon Strasser zrezygnował z dalszych lekarskich wizyt, gdyż były dla niego za drogie. Lekarz pomóc mu przecież nie mógł, a to, co mu przepisał dla złagodzenia cierpień, Egon stosował.

Egon był w każdym bądź razie przygotowany na swój szybki koniec. Tylko o los Dagmary chciał być jeszcze spokojny, chciał mieć pewność, co się z nią stanie po jego śmierci. Jak bliska była już ta śmierć, oczywiście nie podejrzewał. Podczas gdy Dagmara siedziała obok niego, słuchał jej łagodnego, niskiego głosu i obserwował ją posępnym spojrzeniem. Stała się czarującą, piękną istotą. Był chyba bez sumienia, że już dawno nie spróbował nakłonić jej ojca aby pozwolił dziewczynie wrócić do domu. Gdy Egon umrze, Dagmara musi opuścić kasztel. Jeśli ojciec nie chce jej widzieć u siebie, musi znaleźć dla niej inne schronienie, gdzieś w świecie, daleko od Cateriny i Eleny. To stało się dla niego absolutnie jasne. I postanowił jeszcze dziś napisać do Rudolfa Strassera, bo czuł, że to najwyższy czas. Z całą pisarską sztuką, na jaką było go stać, chciał podjąć próbę przekonania Rudolfa, że Dagmara jest jego córką.

Dagmara nie wiedziała oczywiście o decyzji wujka. Jej nadzieja, że będzie mogła wrócić do domu, stawała się z dnia na dzień coraz słabsza. Wujek zawsze wykręcał się od odpowiedzi, gdy kierowała rozmowę na ten temat. Ogarnęło ją przygnębiające zwątpienie, kiedy zauważyła, jak słaby był już wujek Egon. Co się z nią stanie, gdy on pewnego dnia umrze? Rosła w niej niesamowita trwoga na myśl o tym, że wtedy zostanie sama z ciotką Caterina i Eleną. I ta trwoga popchnęła ją do pewnej decyzji.

Cóż ona takiego zawiniła, że ojciec latami trzyma ją z dala od siebie? Im stawała się starsza i rozumniejsza, tym bardziej niepojęte wydawało się jej to, że ojciec przez ten cały czas nie napisał do niej ani jednego słowa i że jej samej nie wolno było do niego pisać.

Nie była już teraz tak młoda i niedoświadczona, żeby wierzyć w bajkę, że matka nie może wrócić, bo przebywa w bardzo dalekim kraju. Powiedziała sobie, że odejście matki musiało mieć jakiś szczególny powód, podobnie jak jej, Dagmary, wygnanie z ojcowskiego domu. Że było to wygnanie, stopniowo stawało się dla niej rzeczą jasną.

Już nieraz miała ochotę sama napisać do ojca i spytać go o wszystko. Ale jak miała wysłać swój list z kasztelu, nie zwracając na to niczyjej uwagi? Opuszczała zamek bardzo rzadko i zawsze tylko jadąc kareta w towarzystwie ciotki Cateriny i Eleny.

Nie odważyła się jeszcze dotąd poprosić wujka, żeby jej pozwolił napisać do ojca. Ale może to było jakieś wzajemne przenikanie myśli, że akurat dziś zastanawiała się tak intensywnie nad tym, czy nie przedstawić swej prośby wujkowi. Podczas gdy mu czytała, wciąż nie dawało jej to spokoju. Gdy wujek poprosił ją wreszcie, żeby przestała czytać, odłożyła książkę. Podniosła się, żeby poprawić choremu poduszki i wykonać kilka drobnych usług. I wtedy spytała nagle, zdobywając się na odwagę:

— Czy mogę ci, wujku, przedstawić bardzo wielką prośbę, która mi już od dawna leży na sercu?

Popatrzył na nią z bladym uśmiechem.

— To niesłychane, moje dziecko, że ty masz jakieś życzenie. Mam nadzieję, że będę mógł je spełnić.

— Chciałam cię prosić, wujku Egonie, żebyś pozwolił mi napisać list do ojca.

Na czoło Egona wystąpił rumieniec.

— Skąd ci to przyszło do głowy, Dagmaro? Przecież wiesz, że twój ojciec nie życzy sobie korespondencji z tobą, ponieważ... ponieważ nie ma na to w ogóle czasu.

Dagmara odezwała się zdecydowanie.

— Chyba znajdzie tyle czasu, żeby przeczytać jeden jedyny list od swojej córki. Zawsze mnie pocieszałeś, kiedy cię pytałam, dlaczego ojciec nie wzywa mnie do domu. Nie chcę już więcej mówić o tym, jak wielka jest moja tęsknota za ojcem, za domem rodzinnym, tęsknota, która jak choroba coraz bardziej wżera mi się w serce. Nie jestem już tak młoda i niedoświadczona, aby nie rozumieć, że w tym coś tkwi, że coś chce się przede mną zataić. Muszę wreszcie wszystko jasno zobaczyć, muszę wiedzieć, dlaczego ojciec wypędził mnie z domu i poza tym, że płaci na moje utrzymanie, wydaje się całkowicie ignorować moje istnienie. Nie jestem już naiwnym dzieckiem, żeby pozwolić się nadal karmić litościwymi bajkami. Jeśli nie chcesz bądź nie możesz powiedzieć

mi prawdy, to pragnę sama o nią spytać swego ojca! Nic na to nie poradzę, wujku Egonie, ale czasem mam uczucie, że między mną a moim ojcem istnieje jakaś tajemnica. Wspomnienia ostatnich miesięcy spędzonych w rodzinnym domu, których strzegłam wiernie jak drogiego skarbu, którego nie wolno mi utracić, każą mi teraz często zastanawiać się nad tym, dlaczego ojciec tak zmienił się w stosunku do mnie, kiedy moja matka opuściła dom. Jestem przekonana, wujku Egonie, że ty tę tajemnicę znasz i że nie wolno ci jej przede mną odsłonić. Dlatego proszę cię, pozwól mi napisać do ojca, chcę i muszę go zapytać, co mnie od niego dzieli.

Wbrew swemu zwyczajowi była bardzo podniecona i mówiła namiętnie, a w jej oczach, tych cudownych aksamitnobrazowych oczach, pojawiły się charakterystyczne złote iskierki. Egon Strasser stwierdził nie po raz pierwszy, że Dagmara jest czarującą dziewczyną. I powiedział sobie, że to naprawdę dziwny zbieg okoliczności, iż właśnie teraz skierowała do niego tę prośbę, kiedy on sam podjął decyzję, że napisze do Rudolfa

Uniósł się lekko na leżaku i ujął jej rękę.

— Bardzo dobrze cię rozumiem, moje kochane dziecko, ale jestem związany słowem, które dałem twemu ojcu. Przed chwilą nad tym myślałem, co zrobić, żeby nakłonić twego ojca, by cię zawezwał do domu.

Na jej ustach pojawił się gorzki, bolesny uśmiech.

— Jakie to smutne, że mego ojca trzeba najpierw nakłonić, aby to uczynił.

— Przyznaję, że jest to smutne, ale niestety tylko tyle mogę ci dziś powiedzieć, że faktycznie w tej sprawie tkwi pewna tajemnica, której nie wolno mi wyjawiać. To, co mi właśnie powiedziałas, dowodzi, że nie można jej dłużej przed tobą ukrywać, że zaistniały nadto szczególne warunki. Ale proszę cię, Dagmaro, poczekaj jeszcze trochę, dam ci słowo, że napiszę do twego ojca i że on pozwoli mi wyjaśnić całą sytuację, jeśli nie zechce wezwać cię do domu. Zgadzam się, że powinnaś mieć jasność w całej sprawie tak szybko, jak to tylko możliwe. Poczekaj jednak, aż otrzymam odpowiedź na mój list. Jeśli nie wypadnie tak, jak sobie tego życzę, będziesz mogła do ojca napisać sama.

Dagmara westchnęła głęboko i popatrzyła na niego swymi wielkimi oczyma. Potem powiedziała przytłumionym głosem:

— Poczekam, wujku Egonie. Czy wiesz jednak, jakie czasem odnoszę wrażenie?

— Mianowicie?

— Że jestem więźniem w tym kasztelu.

— Ależ, dziecko, cóż za niedorzeczne myśli przychodzą ci do głowy?

— Czy rzeczywiście tak niedorzeczne? Poza tym, że niekiedy wyjeżdżam z ciotką Caterina i Eleną na spacer, nie wychodzę nigdy za ten mur. Nigdy nie zagląda tutaj nikt, z kim mogłabym

porozmawiać. Kiedy przychodzi do ciebie dzierżawca, ciotka Caterina odsyła mnie do mego pokoju. Jeśli pojawia się lekarz, co zdarza się dosyć rzadko, także zostaje odprawiona przez ciotkę Caterinę, jakby nie chciała, żebym z nim zamieniła choć jedno słowo. Poza wami i służbą przez te wszystkie lata rozmawiałam tylko z panną Berend. Nie wolno mi do nikogo wysłać listu. Powiedz sam, wujku, czy to nie jest jak więzienie?

Egon Strasser roześmiał się niefrasobliwie i dobrodusznie.

— To są naprawdę niedorzeczne myśli, Dagmaro! Jeśli ty jesteś więźniem, to jest nim także Elena, ciotka Caterina i ja. Przyznaję, tutaj jest rzeczywiście samotnia, słyszę to codziennie od mojej żony i córki, ale z tego powodu one jednak nigdy nie uważały się za więźniów. Jesteś doprawdy przewrażliwiona na tym punkcie, moje dziecko. Nie mogę, niestety, naszej sytuacji zmienić, musimy się jeszcze cieszyć i być wdzięczni losowi, że mamy tutaj ten azyl i że nie jesteśmy skazani na wegetowanie w jakimś ciasnym, czynszowym mieszkaniu. Ale dla ciebie wybije wkrótce godzina wyzwolenia. Wyjdiesz stąd wcześniej niż Elena, możesz mi wierzyć.

— Mam całkiem inne odczucie, wujku Egonie. Ale chciałabym tylko otrzymać w końcu od swego ojca jakieś słowo wyjaśnienia.

— No dobrze, zrobię wszystko, żebyś miała jasną sytuację tak szybko, jak to możliwe, na to daję ci moje słowo. Jeszcze dziś wyślę list do twego ojca i jeśli nie otrzymam zadowolającej odpowiedzi, wtedy sama się do i niego zwrócisz. Czy jesteś zadowolona?

Dagmara odetchnęła głęboko.

— Tak, wujku Egonie, będę cierpliwie czekać. Egon Strasser wstał.

— Zaprowadź mnie do pokoju, drogie dziecko, zaraz napiszę ten list.

Oparty na ramieniu Dagmary, ruszył powoli do zamku. Nim jeszcze tam dotarli, wróciła z przejażdżki ciotka Caterina z Eleną. Wydawało się, że spacer nie sprawił im szczególnej przyjemności, gdyż były wyraźnie w złym humorze. Przywitały się z Egonem, nie kryjąc wcale nieustannych już do niego pretensji. Tylko dla formy zapytały go o zdrowie. Niewiele troszczyły się o chorego i stały naprzeciw niego z obojętnymi, zimnymi twarzami.

Dagmara zaprowadziła Egona do jego pokoju i pomogła mu usiąść wygodnie w fotelu przy biurku. Potem przygotowała wszystkie przybory do pisania. Gdy chciała już wyjść, zatrzymał ją.

— Jeszcze chwilę, Dagmaro.

Wyjął z kieszeni marynarki złotą papierośnicę, wysadzoną drogimi kamieniami, i wcisnął jej do ręki.

— Proszę, ukryj ją w mojej szafce na cygara za pustymi pudełkami. Odkąd nie wolno mi palić, nie korzystam już z tej szafki i ciotka Caterina nie interesuje się nią. Wiem, że również ta ładna i nie tak znów wartościowa rzecz wkrótce poszłaby tą samą drogą, co wszystko inne, i bardzo

szybko zamieniła się, na jakąś elegancką suknię. Ale widzisz, moja kochana, do tej złotej papierośnicy jestem bardzo przywiązany. Otrzymałem ją niegdyś jako nagrodę na wyścigach konnych i... i muszę, niestety, wyznać z całym wstydem, że jest to jedyna rzecz, którą w moim życiu uzyskałem sam, dzięki własnemu wysiłkowi. Chciałbym ją zachować, jak długo się da. Jeśli się będę musiał pewnego dnia z nią rozstać, to tylko po to, aby ją poświęcić na coś pożytecznego. Ciotka Caterina w każdym bądź razie nie powinna jej widzieć. Dzięki Bogu zapomniała o istnieniu tej papierośnicy.

25

W ostatnich latach także ojciec Dagmary odczuwał różnorakie dolegliwości. Choroba serca, na którą początkowo nie zwracał uwagi, coraz wyraźniej dawała znać o sobie i lekarz zalecał mu usilnie, by stanowczo unikał wszelkich emocji. Dlatego też stopniowo próbował się odciążyć od wielu spraw firmy, a ponieważ Werner Falkner otrzymał już prokurę, a jego ojciec był jeszcze zupełnie rześki, Rudolf mógł sobie spokojnie na to pozwolić. Werner Falkner miał teraz trzydzieści dwa lata i był pełną siłą, znaczącą postacią w świecie handlowym. Dzięki uprawianym sportom ciało miał zahartowane, a ruchy sprężyste i sprawne. Był lubiany we wszystkich kręgach. Jego szczery, bezpośredni sposób bycia robił sympatyczne wrażenie na wszystkich ludziach, z którymi się spotykał. Wydawał się zresztą wyjątkowo dojrzały jak na swój wiek. A w firmie Strasser & Syn cieszył się dużym uznaniem, ponieważ wszyscy doceniali jego sprawność i pilność w pracy.

Brygida Hartmann miała coraz większe trudności z poruszaniem się, ale wciąż zarządzała gospodarstwem domowym swego kuzyna, chociaż sama nie mogła już pracować tak żwawo jak dawniej. Usztywnione przez reumatyzm kolano bardzo jej przeszkadzało, musiała zawsze chodzić o lasce. Mimo to wszystko w domu biegło gładko.

Pewnego dnia pani Brygida usiadła w swym pokoju i pozwoliła sobie na chwilę odpoczynku przy dobrej lekturze. Rudolf pojechał właśnie do firmy. I wtedy wszedł służący i zameldował pani Brygidzie, że jakaś dama pragnie z nią mówić.

Pani Brygida spojrzała zdziwiona. Podobnie jak jej kuzyn utrzymywała niewiele kontaktów towarzyskich.

— Dama? Aha, to chyba jedna z tych pań, które obchodzą domy, aby zbierać datki na dobroczynne cele — powiedziała niezbyt zadowolona, że przerwano jej godzinę lektury.

— Nie, łaskawa pani, to nie jest żadna z tych pań, to bardzo elegancka i wytworna dama. Nosi żałobę i jest mocno zawoalowana. I pozwala sobie usilnie prosić o krótką rozmowę w bardzo ważnej sprawie.

Pani Brygida, zrezygnowana, odłożyła książkę.

— Więc proszę wprowadzić tę panią, ale od razu tutaj, do tego pokoju, nie chciałabym wstawać, to jest dla mnie bardzo uciążliwe.

Służący zniknął i wkrótce potem weszła smukła kobieta w żałobnej sukni. Gęsta woalka wciąż jeszcze zasłaniała jej twarz.

— Proszę mi wybaczyć, że się nie podnoszę na powitanie, ale sprawia mi to trudność. Bez łaski chodzę bardzo źle. Czym mogę pani służyć? — spytała Brygida Hartmann i zdziwiła się nieco, że nieznajoma nie odrzuciła woalki.

Kobieta, onieśmielona, stała nadal przy drzwiach.

— Z kim mam przyjemność? — spytała Brygida Hartmann z rezerwą. Wtedy dama szybkim ruchem odrzuciła wreszcie woalkę.

— Leonora! — zawołała ciotka Brygida przestraszona. — Ty, w tym domu?

— Tak, ciociu Brygido, to ja, Leonora. Ja, która niegdyś porzuciłam ten dom, stoję znów przed tobą! Przybywam, żeby zobaczyć swoje dziecko. Gdzie mogę znaleźć Dagmarę?

— Usiądź! — poprosiła starsza pani swego gościa — Chcąc nie chcąc muszę ci chyba powiedzieć prawdę. Kiedy porzuciłaś Rudolfa, w jego duszy zrodziły się straszliwe wątpliwości, czy Dagmara jest jego dzieckiem, czy też dzieckiem twego drugiego małżonka!

Leonora zerwała się. Ciemny rumieniec oblał jej bladą twarz.

— Na litość boską! Jak mógł coś podobnego wymyślić?!

Brygida Hartmann opowiedziała teraz wszystko, co się wówczas zdarzyło: Jak Rudolf dręczył się wątpliwościami i bał się, że znienawidzi to dziecko, które przedtem tak gorąco kochał, i jak je potem przekazał kuzynowi, żeby się wychowywało w jego rodzinie.

— Rudolf, Leonoro, nie chce już nigdy widzieć Dagmary, choć w testamencie uczynił ją swoją sukcesorką, bowiem wedle prawa jest jego dzieckiem. Jak powiedziałam, widzieć jej już nie chce, dopiero po śmierci ojca ma wrócić do ojczyzny i do swego domu.

Leonora jakby zapadła się w sobie i ukryła twarz w dłoniach. Chociaż nie podejrzewała, jak ciężkie życie miało jej dziecko w kasztelu Consistellich, nie mogła się przecież pogodzić z tym, że musiało się wychowywać u obcych ludzi.

— Moje biedne dziecko, moje biedne dziecko! Matka je porzuciła, a ojciec wypędził! Jakże okrutni, och, jakże okrutni są twoi rodzice, moje biedne dziecko! — wyrzuciła z siebie zrozpaczo-

na

Brygida patrzyła na nią pełna współczucia.

— Musisz także wniknąć w stan duszy Rudolfa, Leonoro. Bardzo cię kochał i wszystko się w nim załamało, kiedy od niego odeszłaś. Bolesne wątpliwości trawiły jego duszę jak trucizna. Robiłam wszystko, aby zatrzymać Dagmarę w rodzinnym domu. I możesz mi wierzyć, że kosztowało mnie bardzo dużo, iż musiałam oddać to dziecko. Pocieszała mnie jedynie myśl, że udaje się ono do krewnych. Egon sam ma córkę w wieku Dagmary. Wzrastały więc i wychowywały się razem. I sędzę, że była tam w lepszych rękach niż w domu ojca, którego opanowały ponure wątpliwości. Rudolf w końcu nie znosił już widoku dziecka, być może dlatego, że patrzyło na niego dwiema oczyma.

Leonora wyprostowała się powoli i podniosła na starszą panią zgasłe oczy.

— Dlaczego więc nie oddał mi córki, jeśli sam nie chciał jej zatrzymać? Dlaczego ja pełna bólu musiałam tęsknić za dzieckiem, jeśli on nie chciał go widzieć, bo miał takie wątpliwości? Bądź co bądź ci krewni byli dla Dagmary obcymi ludźmi. A ona była zawsze tak wrażliwa i czuła. Wiem, że Egon Strasser poślubił włoską markizę, która jest dumna i zimna jak lód. Sam Rudolf mi to powiedział. Dlaczego więc nie oddał dziecka mnie, jeśli zamierzał wypędzić je z domu? Czy musiałam tak ciężko pokutować, być trawiona okrutną tęsknotą jedynie po to, żeby się teraz dowiedzieć, że Dagmara wychowywała się u obcych ludzi?

Gorzki ból przebijał się z tych pytań.

Pani Brygida patrzyła pełna współczucia na nieszczęśliwą matkę.

— Jeździłaś z kraju do kraju, Leonoro, i Rudolf sądził, że dziecko będzie dla ciebie ciężarem.

Leonora roześmiała się gorzko.

— Ciężarem? Moje dziecko dla mnie ciężarem? Tęskniłam za nim bez mała chorobliwie. I nie wolno mi było dać tego poznać po sobie, bowiem Karol był zazdrosny o każdą moją myśl, którą kierowałam w przeszłość. Mimo wszystkich wędrówek z miejsca na miejsce obecność mego dziecka byłaby dla mnie radością i szczęściem. Kupiliśmy willę w Lugano, już przed laty, spędzaliśmy w niej każdego roku wiele miesięcy. Tam Dagmara mogła rosnąć w świetle południowego słońca. Zawsze pocieszała mnie tylko myśl, że w rodzinnym domu, otoczona miłością ojca, znajduje się w najlepszych rękach. Zostawiłam ją Rudolfowi jako zadośćuczynienie za to, co mu robiłam, nie chciałam, żeby został całkiem sam. A teraz okazuje się, że ta ofiara była całkiem daremna. Rozstał się ze swym dzieckiem, dobrowolnie odsunął je od siebie. Nie mogę tego po prostu pojąć.

— Zapominasz, że on właśnie nie wierzył, iż Dagmara jest jego dzieckiem.

Leonora zerwała się znowu.

— Powinien był mnie zapytać!

— I... co byś mu odpowiedziała? — spytała cicho pani Brygida.

— Prawdę! Że Dagmara jest bez wątpienia jego dzieckiem.

— Może jednak nie uwierzyłby ci, Leonoro. Nie chcę cię urazić, ale muszę ci przypomnieć, że go przecież okłamałaś, zostając jego żoną, mimo że kochałaś innego człowieka.

Leonora opadła na krzesło.

— Tak, mój Boże, jestem winna tego kłamstwa i odpokutowałam za nie wystarczająco ciężko. Ale jak Rudolf mógł przypuścić, że mogłabym mu przypisać obce dziecko? Czy ja i Karol zostawilibyśmy mu Dagmarę, gdyby nie była jego córką?

Brygida Hartmann odetchnęła z ulgą.

— Wszystko, o czym mówisz, poddałam mu również pod rozwagę, ale to nie pozbawiło go wątpliwości. Trzeba by mu było przedstawić dowody.

Leonora zdumiała się.

— Dowody? Jakich miałabym dostarczyć dowodów? I nagle podniosła się gwałtownie.

— Ależ tak, tak, tak! Bogu dzięki, mogę to udowodnić! Poczekaj tylko chwilę, pozwól mi pomyśleć!

Ścisnęła rękoma rozbolałą nagle głowę i zastanawiała się długo. Brygida patrzyła na nią w pełnym napięcia oczekiwaniu.

— O mój Boże! Gdybyś miała dowody, Leonoro! Byłoby to nieocenione dobrodziejstwo dla Rudolfa i dla Dagmary.

Leonora stała jeszcze przez chwilę pogrążona w myślach. Potem spojrzała na Brygidę oczyma, w których błyszczały łzy.

— Tak, Bogu dzięki, mogę to naprawdę udowodnić. I zrobię to. Muszę się rozmówić z Rudolfem.

Ciotka Brygida przestraszyła się.

— Mój Boże, jak on to zniesie? Oczy Leonory błysnęły gniewnie.

— Musi to znieść! Moje dziecko nie może być traktowane przez własnego ojca jak bękart. Dlatego nie mogę ani jemu, ani sobie oszczędzić tego spotkania. Chodzi o Dagmarę. Proszę cię, Brygido, nie próbuj mnie od tego odwieść. Muszę się rozmówić z Rudolfem, muszę.

Brygida złożyła ręce jak do modlitwy.

— Jeśli udowodnisz mu, że Dagmara jest jego dzieckiem, wtedy chyba pogodzi się z tym spotkaniem. Wierz mi, że żaden człowiek nie może mu wyświadczyć większego dobrodziejstwa; wiem, że cierpi z powodu rozstania z Dagmarą równie mocno jak z powodu swych wątpliwości.

Drżącymi rękoma przycisnęła Leonora chusteczkę do ust i trwała tak przez chwilę. Spojrzała nagle na Brygidę z dziwnym wyrazem oczu.

— A może zrobię lepiej, jeśli mu teraz nie dostarczę dowodu? Jeśli jeszcze umocnię w nim wątpliwości? Wtedy będę mogła zażądać od niego oddania dziecka, wtedy Dagmara będzie moja, tylko moja! — powiedziała ochryple i gorące pragnienie, by tę myśl urzeczywistnić, pojawiło się w jej oczach.

Brygida przestraszyła się nie na żarty.

— Nie zrobisz tego, Leonoro! Nie zapominaj, że wówczas pozbawiłabyś Dagmarę spadku po ojcu!

Leonora roześmiała się ochryple i z gorzką ironią i patrzyła na ciotkę Brygidę nieruchomym wzrokiem.

— Och, te przekłete pieniądze, które i mnie kiedyś skusiły, i moje serce uczyniły niewiernym! Jakże mało znaczą dziś dla mnie, gdyż posiadam je w nadmiarze. Mogłabym Dagmarze zrekompensować utratę spadku po ojcu. Nie przypuszczasz nawet, ciociu Brygido, jakie olbrzymie sumy otrzymywał mój mąż za swoje koncerty, a jeszcze większe za kompozycje, które przynosiły mu tantiemy. Jestem jego jedyną sukcesorką, i to tak bogatą, że nawet dokładnie nie wiem, ile posiadam. Mam także piękną willę w Lugano z cudownym parkiem. To wszystko należy do mojego dziecka. Ale nie, nie chcę być egoistyczna, a ponadto boję się czystych, niewinnych oczu mego dziecka. Niech więc Dagmara pozostanie przy swoim ojcu, chcę dokończyć mą pokutę, chcę mu po raz drugi podarować Dagmarę. Może będzie wtedy wspaniałomyślny i pozwoli mi od czasu do czasu zobaczyć moją córkę. I może też wybaczy mi wtedy to, co mu uczyniłam.

Pani Brygida wyciągnęła rękę do Leonory.

— Wiedziałaś, że nie drzemią w tobie żadne złe instynkty! Podaj mi rękę. To, co ci kazało odejść z tego domu, było chyba za mocne, żebyś mu się mogła przeciwstawić. Ale nigdy nie byłam twoim sędzią i nauczyłam twoje dziecko modlić się za ciebie. I to mnie dziś cieszy.

Leonora chwyciła rękę swej dobrej ciotki i osunęła się obok niej na kolana.

— Moje dziecko modliło się za mnie? Och, kochana ciociu Brygido, dziękuję ci z całego serca! Powiedz mi jeszcze, jak się wiedzie Dagmarze? I co myśli o swojej matce?

Brygida pogłaskała jej rękę.

— Wedle ostatnich wiadomości wiedzie jej się dobrze. Żyje w kasztelu Consistellich w pobliżu Florencji. Egon Strasser zbiedniał całkowicie. Rudolf płaci dużo na utrzymanie Dagmary, bo chce, aby jej niczego nie brakowało. A co sądzi o tobie? Na pewno dobrze, bo nikt nigdy nie uczył jej nienawiści do ciebie. Wymyśliliśmy dla niej piękną bajkę, gdyż była gorąco przywiązana do ojca i matki, a także trochę do mnie. Z wielką tęsknotą oczekuje teraz dnia, kiedy będzie mogła tu wrócić, bowiem nie podejrzewa, że ma na zawsze pozostać na wygnaniu. Jeśli możesz Rudolfowi

udowodnić, że jest jego córką, wówczas, wierz mi, wkrótce zostanie wezwana do domu. Bóg da, że jeszcze tego dożyję.

Leonora ucałowała rękę starej damy.

— Gdy się zobaczycie, opowiedz jej, proszę, o wszystkim w jakiś oględny sposób. Na pewno będzie cię pytać o swoją matkę i nie można już jej karmić bajkami. Wyznaj jej wszystko, ale pomóż mi i zrób to tak, ażeby nie nauczyła się mną pogardzać. I jeśli kiedyś usłyszę od niej choć jedno jedyne słowo: pozdrowienie lub słowo wybaczenia, wówczas, ciociu Brygido, będę cię błogosławić.

Pani Brygida pocałowała Leonorę w czoło.

— Bądź spokojna! Uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby Dagmara pogodziła się z prawdą o tobie. Ale zostaw mi nieco czasu. Twoja córka być może także wobec mnie stała się trochę obca, muszę najpierw znów odnaleźć z nią kontakt, a z taką młodą istotą trzeba się obchodzić ostrożnie. Miejmy nadzieję, że markiza nie wywarła na nią zbyt wielkiego wpływu i że Dagmara zachowała swe dawne, czułe serce. Pozwól mi najpierw spokojnie to wysondować! Skoro tylko porozmawiam z nią o tobie, zaraz dam ci znać. Zostaw mi swój adres.

— Po prostu willa „Leonora”, Lugano. Zaraz po rozmowie z Rudolfem wracam do Lugano. Przyjechałam tutaj w okresie żałoby po swoim mężu, ponieważ nie mogłam się już dłużej oprzeć tęsknocie, aby zobaczyć moje dziecko. Straciłam męża w katastrofie lotniczej. Został zawezwany przez swych agentów do Paryża i chciał jak najszybciej być znowu przy mnie. Poleciał więc samolotem, który z nie wyjaśnionych powodów runął na ziemię.

— A czy znalazłaś, Leonoro, w twoim drugim małżeństwie to szczęście, którego szukałaś?

Łzy trysnęły z oczu Leonory.

— Kochaliśmy się, ciociu Brygido, póki nas śmierć nie rozłączyła. On mnie uwielbiał. Wierz mi, był nie tylko wielkim artystą, ale także wielkim człowiekiem. I wart był ofiary, którą dla niego poniosłam.

— Więc mimo wszystko jesteś godna zazdrości, Leonoro, bo twoje losy mogły się także potoczyć całkiem inaczej. Bałam się o ciebie. Z pewnością przedwczesna śmierć męża mocno cię dotknęła.

Leonora zbladła ponownie. Próbowała się opanować. Potem powiedziała cicho:

— Szczęście, jakie było naszym udziałem, bardzo rzadko trafia się na świecie. Było pewnie zbyt duże, żeby mogło trwać długo. W każdym bądź razie przez czternaście lat byłam szczęśliwą żoną, choć przy tym nieszczęśliwą matką. Gdy straciłam męża, ogarnęło mnie straszliwe uczucie osamotnienia i nic mnie już nie mogło powstrzymać: musiałam zobaczyć moje dziecko. I nie znalazłam go tutaj! Ale nie chcę tracić nadziei, że znów zobaczę Dagmarę i że ona nie odwróci się ode

mnie pełna pogardy. Kochana ciociu Brygido, jeszcze raz tysiącrotnie dzięki za to, że mi okazałaś tak wiele zrozumienia. Jutro przed południem odwiedzę Rudolfa w firmie, proszę, nie zdradź mnie, że byłam u ciebie i że zamierzam do niego pójść. Nie powinien być na to przygotowany, żeby mnie nie kazał odprawić. W jego biurze nasze spotkanie przebiegnie spokojniej, niż być może przebiegłoby w domu. Na szczęście mam ze sobą dowody, których potrzebuję. Nie powinien już dłużej czekać na pewność, że Dagmara jest jego córką. Żegnaj, dziękuję ci najserdeczniej za twoją dobroć.

— Żegnaj, Leonoro, niech cię Bóg ma w swojej opiece — powiedziała Brygida Hartmann głęboko poruszona.

26

Gdy następnego ranka Rudolf Strasser wszedł do swego gabinetu, znalazł jak zwykle na biurku poranną pocztę. I znów, jak przed wielu laty, znajdował się w niej list od Egona Strassera. Rudolf także dziś przeglądał najpierw korespondencję urzędową, ale spojrzenie kierowało się wciąż ku leżącej z boku kopercie z włoskim znaczkiem.

W końcu załatwił wszystko inne i teraz sięgnął po intrygujący go list. Otworzył go i zaczął czytać:

Drogi Rudolfie!

Tym razem otrzymujesz list poza kolejnością, i do tego taki, który nie ujmuje rzeczy powierzchownie, jak sobie tego zawsze życzyłeś. Tak dalej już się nie da, Rudolfie, muszę raz zdecydowanie postawić sprawę Dagmary. Skończyła już dwadzieścia lat i nie można jej dalej karmić bajkami, choćby nie wiem jak dobroczynny wpływ miały na nią wywierać. Właśnie poprosiła mnie niezwykle stanowczo o to, żeby jej było wreszcie wolno do Ciebie napisać, i powiedziała mi prosto w oczy, że między nią a Tobą musi istnieć jakaś tajemnica. Jest za mądra, aby takie myśli nie przychodziły jej do głowy. Mógłbyś być tak szczęśliwym ojcem, Rudolfie, Dagmara bowiem jest nie tylko piękna i mądra, lecz ma także godny miłości, wartościowy charakter. Taka córka to chluba dla każdego ojca. A ponadto, twierdzę to z całym przekonaniem, nie ma żadnej wątpliwości, że jest Twoją córką, ponieważ z dnia na dzień staje się do Ciebie coraz bardziej podobna. Weź to sobie do serca i uwierz mi: ona jest Twoją córką. Mnie nie potrzeba żadnego dowodu więcej poza tym wielkim rodzinnym podobieństwem I teraz, gdy Cię o tym z całym naciskiem zapewniam, mam nadzieję, że się wreszcie zdecydujesz i wezwiesz Dagmarę do domu. Nie myśl, że chętnie się z nią rozstanę, jest mi

droga i bliska jak własne, umiłowane dziecko, a do tego, mówiąc szczerze, pieniądze na jej wychowanie odgrywają u nas niebagatelną rolę. Ale Dagmara cierpi z tęsknoty za Tobą i nie wolno dłużej się ociągać. Nie chcę nadal wobec niej stosować rozmaitych wykrętów, bo patrzy wtedy na mnie swymi kochanymi oczyma trwożliwie i smutno. I zaczyna zastanawiać się, jaka to tajemnica istnieje między Wami. Uważam za swój obowiązek prosić Cię usilnie, abys swoje dziecko wezwał do domu.

I jeszcze jedno, Rudolfie: Czuję się bardzo kiepsko, niezwykle podupadłem na zdrowiu i muszę liczyć się z tym, że wkrótce pożegnam ten świat. Wtedy jednak Dagmara nie może pozostać w kasztelu. Moja żona i Elena mają z gruntu różne charaktery niż Dagmara i zupełnie jej nie rozumieją. Jej miejsce jest wyłącznie w rodzinnym domu, a przecież to Twój dom jest jej rodzinnym domem, uwierz mi, proszę. Pewne rysy jej twarzy jak dokument świadczą o tym, że jest Twoją córką. Pozbądź się wszelkich wątpliwości i nie rezygnuj dłużej dobrowolnie z takiej kochanej i pięknej istoty.

Gdybyś jednakże wciąż się przy tym upierał, że Dagmara ma pozostać z dala od Ciebie, to musisz się zatroszczyć dla niej o inne miejsce pobytu i wyjaśnienie powodów, dla których została wygnana. Proszę Cię w takim przypadku, żebyś zwolnił mnie z danej Ci obietnicy i pozwolił mi w sposób jak najbardziej oględny odłonić Dagmarze rodzinne tajemnice.

Powiedziałeś mi w trakcie naszego spotkania, że nie chcesz Dagmary więcej widzieć i że gdyby chciała wyjść za mąż, będziesz pertraktował z jej przyszłym małżonkiem. Tu, w kasztelu, nigdy nie zdobędzie męża, ponieważ żyjemy w całkowitym odosobnieniu i wiele zmartwienia przyczynia mi fakt, że nie mam nawet środków, żeby moją własną córkę wysłać w świat, aby mogła nawiązać odpowiednie znajomości. W przeciwieństwie do mnie, Tobie nie brakuje pieniędzy. Czy nie chcesz więc Dagmary wezwać do domu i poczynić przygotowania, żeby pod opieką jakiejś godnej starszej damy została wprowadzona do towarzystwa? Pozwól jej żyć w ojczyźnie, ponieważ ona czuje się Niemką, podczas gdy moja żona i córka są Włoszkami i dlatego tak bardzo się z nią nie zgadzają. Nie chciałbym pozostawić Dagmary w ich towarzystwie. Jeszcze raz, Rudolfie, wnuknij w siebie i podejmij ostateczną decyzję. Chciałbym, nim zamknę oczy, mieć świadomość, że sprawa jest uporządkowana i że nie zostawiam Dagmary bez opieki.

Pozdrawiam Cię zarówno z sympatii wypływającej z naszego pokrewieństwa, jak i ze szczerzej przyjaźni. Pozdrów także ode mnie Brygidę.

Twój oddany ci kuzyn Egon

Rudolf Strasser z płonącymi oczyma i nerwowo drgającą twarzą długo oglądał ten list. Nagle pochylił się nad biurkiem i ukrył twarz w dłoniach.

— Pewność! Muszę mieć pewność! — wyjęczał zrozpaczony.

Wreszcie wyprostował się i przeczytał list jeszcze raz, bardzo wolno, słowo po słowie, zastanawiając się na każdym zdaniem. I wtedy ogarnęło go uczucie, które mu groziło unicestwieniem.

Jeśli Dagmara jest moją córką, naprawdę moją córką, postąpiłem wobec niej niewybaczalnie, zadałem jej tyle cierpień, że nigdy, nigdy nie będę mógł jej tego powetować — pomyślał wstrząśnięty. I nieustannie w jego wnętrzu odzywał się natrętny głos: Chcę pewności! Kto mi da pewność?

Czyżby Dagmara tęskniła za nim, kochała go wciąż, mimo że się nigdy o nią nie troszczył, nie napisał do niej nigdy ani jednego słowa? Jeśli była faktycznie z jego ciała i krwi, to wcale na taką córkę nie zasłużył. Czy możliwe było tak wielkie szczęście, aby uznał w Dagmarze swoje dziecko, swoją córkę, i nie musiał dalej wątpić? Same niebiosa przemawiały za nią, jeśli jej rzeczywiście dały jego rysy.

Siedział głęboko pogrążony w myślach, gdy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę. Werner Falkner zapytywał, czy w pewnej handlowej sprawie mógłby z nim zaraz porozmawiać. Chwilowo Rudolf czuł się na siłach, by to uczynić.

— Drogi Wernerze, niech pan przyjdzie do mnie za godzinę, w tej chwili muszę uporządkować pewną prywatną sprawę.

Strasser musiał najpierw opanować wzburzenie. Rok za rokiem starał się usunąć Dagmarę ze swojego serca, podobnie jak usunął ją ze swego otoczenia. Nie zawsze mu się udawało stłumić wewnętrzny głos, który się za nią wstawiał, ale walczył przeciwko niemu jak przeciwko wrogowi. I tylko jedno wydawało mu się coraz bardziej jasne, że nie może dojść między nim a córką do spotkania, że on czegoś takiego nie zniesie...

To, co się z Rudolfem działo w ciągu tej godziny, to była znowu wojna między jego różnymi uczuciami, ale tym razem miłość do własnego dziecka nie pozwalała się zwyciężyć wątpliwościom. Coraz bardziej pociągało go zapewnienie Egona, że Dagmara jest do niego podobna. Bezradnie chodził tam i z powrotem i nie zauważał, jak szybko przy tym mija czas. Rozmyślał teraz o stanie zdrowia Egona i o tym, że Egon nie chciał, żeby Dagmara została u jego żony i córki. Zbudził się w nim dręczący niepokój. Co Egon chciał przez to powiedzieć? Czy markiza wywierała niekorzystny wpływ na Dagmarę? A może nie była dla niej dobra? Ogarnął go skryty lęk, czy w domu Egona jego dziecko przez wszystkie lata znajdowało się naprawdę w najlepszych rękach?

Rudolf Strasser złapał się za serce. Zbliżał się już do siedemdziesiątki i serce dawało mu się mocno we znaki.

Jego wewnętrzna walka jeszcze się nie zakończyła, gdy do gabinetu wszedł Werner Falkner.

— Czy ma pan teraz trochę czasu, żeby wysłuchać moich propozycji?

Rudolf Strasser patrzył na Wenera nieobecny wzrokiem. Zapomniał, że się z nim umówił. Opanował się jednak i spojrzał nieco przytomniej na sympatyczną twarz o szarych, szczerych i mądrych oczach.

— Jestem dziś w nie najlepszej formie, Wenerze, i nie wiem, czy potrafię skoncentrować się na ważnych handlowych sprawach. Ale proszę, niech pan siada.

Werner popatrzył na starszego pana zatroskany. Wiedział, że choroba serca przysparza mu kłopotów.

— Faktycznie, nie wygląda pan dobrze. Może chce pan przesunąć rozmowę na jutro?

— Nie, nie, będzie nawet dobrze, gdy oderwę się trochę od moich myśli. Otrzymałem emocjonującą wiadomość od kuzyna o mojej córce.

Słowa te wyszły z ust Rudolfa wbrew jego woli. Do tego spostrzegł, że Werner przestraszył się i zaczerwienił.

Werner Falkner był istotnie przestraszony, po pierwsze dlatego, że Strasser zaczął nagle mówić o swojej córce, co nie zdarzyło się ani razu przez te wszystkie lata, a po drugie, ponieważ coś targnęło jego sercem, coś jakby strach o Dagmarę.

— Chyba pańskiej córce nie przydarzyło się jakieś nieszczęście? Rudolf Strasser popatrzył na Wenera w zamyśleniu. Dlaczego ten młody człowiek jest tak przejęty? Czyżby los Dagmary nie był mu obojętny!

— Wygląda pan na zaskoczonego, Wenerze. Czyżby pan pamiętał jeszcze moją córkę? — spytał z dziwną zadumą.

Na twarz Wenera wystąpił gwałtowny rumieniec. Potem jednak oznajmił szczerze:

— Tak, proszę pana, doskonale ją pamiętam, nikt z nas jej nie zapomniał, chociaż nie ośmielaliśmy się mówić o niej z obawy, żeby nie sprawić panu jakiegoś bólu. Jestem bardzo zaskoczony tym, że pan dziś mówi o swojej córce. To nie zdarzyło się nigdy od chwili jej wyjazdu.

Rudolf Strasser patrzył badawczo na Wenera. Werner był rzeczywiście skonsternowany tym, że Rudolf Strasser zaczął nagle mówić o swojej córce. Werner wiele myśli poświęcał Dagmarze. Kiedy młode damy wdychały do znajomości z nim i zerkwały ku niemu bardziej lub mniej pięknymi oczyma, bo przecież był osobowością, która interesowała dziewczęta wtedy mimo woli porównywał zawsze te dziewczęce oczy z inną parą oczu, z oczyma Leonory Strasser, która po raz pierwszy wzburzyła jego młodzieńcze serce. A potem mówił do siebie: Zupełnie takie same oczy ma Dagmara. Czy stała się równie piękna i miła jak jej matka? I czy czasami myśli jeszcze o „panu Wenerze”?

Wciąż jednak, przywołując się do porządku, odpędzał od siebie te rozważania. Dagmara Strasser była teraz dorosłą młodą damą i myślała zapewne o innych mężczyznach, a nie o prokurencji swego ojca. Nie podejrzewał, jakie samotne życie prowadzi Dagmara w kasztelu Consistellich. Nie wiedział, że kasztel leżał w górach, całkiem na uboczu; wyobrażał sobie, podobnie jak ciotka Brygida, że często przebywają tam goście, że Egon Strasser wyjeżdża niekiedy z paniami do Rzymu albo przynajmniej do Florencji i że młode damy mają tam okazję poznać różnych młodych ludzi.

Rudolf Strasser odezwał się wreszcie:

— Tak, nie poruszałem tego tematu przez ostatnie lata, ponieważ nie byłem w stanie mówić o swojej córce. Ale niech pan się nie obawia, Wernerze, nic złego jej się nie przytrafiło. Po prostu wiadomość od kuzyna, że moja córka ma już dwadzieścia lat, wyprowadziła mnie z równowagi.

— Czy pan o tym nie pamiętał?

— Jakoś nie pomyślałem, że moja córka stała się już dorosłą panną. Pan natomiast, jak się wydaje, nie zapomniał o tym.

Uśmiech przemknął przez twarz Wenera. Ucieszył się wyraźnie, że może bez obawy mówić o Dagmarze z jej ojcem.

— Nie, proszę pana, wcale jej nie zapomniałem. Rozmawialiśmy często o pańskiej córce; mam na myśli moich rodziców i panią Brygidę. Ale nie odważaliśmy się wymówić jej imienia w pańskiej obecności, ponieważ wszyscy czuliśmy, że jest to dla pana bolesne. I dlatego jestem miło zaskoczony, że pan sam zaczął mówić o panie Dagmarze. Mam teraz nadzieję i życzę sobie tego jak najgoręcej, żeby pan już dłużej nie musiał żyć tak samotnie. Wszyscy tego panu życzymy już od dawna.

Rudolf Strasser zmarszczył brwi i Werner przestraszył się, że za wiele powiedział.

Pewność! Chcę mieć pewność! — znów odezwało się w duszy Rudolfa. Spojrzał badawczo na Wenera. Przed chwilą, gdy młody człowiek był tak przejęty ewentualnością, że Dagmarze mogło się coś złego przydarzyć, Rudolfowi przemknęła przez głowę jak błyskawica myśl: Dagmara i Werner Falkner! I ta myśl nie pozwalała się przepędzić.

— Tak? Wszyscy mi tego życzyliście? — zapytał zamyślony.

— To nie powinno pana dziwić. Prawdziwie żałowaliśmy, że pańskie życie upływa tak długo w samotności. Czy można mieć nadzieję, że panna Dagmara wróci teraz wkrótce do domu?

Pewność! Rudolf Strasser odetchnął ciężko i powiedział spieszenie:

— Jeszcze tego nie wiem! Ale chciał pan, zdaje się, przedłożyć jakieś propozycje? Co chciał mi pan powiedzieć?

Werner skoncentrował się szybko i przedstawił swemu szefowi zwięźle i rzeczowo nowe handlowe plany; wszystkie spotkały się z pełną aprobatą Rudolfa Strassera. Kiedy prezentacja zamierzeń dobiegła końca, Strasser ujął rękę Wernera i uściśnął serdecznie.

— Drogi Wernerze, jest pan teraz absolutnie siłą napędową naszej firmy. My, dwaj starcy, pański ojciec i ja, zastalibyśmy się z pewnością, gdyby pan nie troszczył się o to, żeby i u nas otworzyć drzwi dla postępu. Wiem już od dawna, że można panu spokojnie dać wolną rękę. Mimo że jest pan jeszcze młody, znajduje pan właściwe rozwiązania, jest pan kupieckim geniuszem, drogi Wernerze, i firma Strasser & Syn będzie w przyszłości w dobrych rękach.

Wernerowi zaświeciły się oczy.

— Pańskie słowa czynią mnie bardzo dumnym i szczęśliwym. W każdym bądź razie będę zawsze usilnie dążył do tego, żeby nie zawieść zaufania, które pan we mnie pokłada.

Obaj mężczyźni stali przez chwilę, ściskając sobie ręce. Rudolf Strasser ciepło spoglądał na Wernera

— Zapewniam pana że jeśli coś pomogło mi przejść przez te ponure i ciężkie lata, to była to radość z pańskiego rozwoju. Miałem w tym skromny udział i jestem dumny z pana, podobnie jak pański ojciec. A teraz nie chcę pana dłużej zatrzymywać. Zamierza pan jeszcze popłynąć do Cuxhaven, nieprawdaż?

— Tak, proszę pana, wybiera się tam „Angela”. Chcę nią popłynąć i zaraz wrócić. W ten sposób mogę już po drodze przejrzeć dowody dostawy i listy przewozowe, aby towar został od razu rozładowany. Trzeba się z tym pospieszyć, bo „Angela” musi być znów szybko zafrachtowana i wyjść w morze.

Rudolf Strasser skinął głową.

— A więc niech pan płynie, Wernerze.

Młody człowiek pożegnał się i Rudolf Strasser pozostał sam. Jeszcze raz odczytał list Egona i jeszcze raz jego sterane serce domagało się pewności, że Dagmara jest jego córką.

więcej pół godziny po odejściu Falknera drzwi do gabinetu Rudolfa Strassera otwały się znowu i weszła sekretarka. Zameldowała szefowi, że jakaś pani prosi o rozmowę w sprawie niecierpiącej zwłoki. Rudolf spojrział zdziwiony. Nie zdarzało się, żeby damy należały do grona jego interesantów.

— Pani? Czy wymieniła swoje nazwisko?

— Nie, powiedziała, że nazwisko nie ma tu nic do rzeczy.

— Wobec tego żałuję! Ta dama powinna podać nazwisko i cel wizyty, w przeciwnym razie nie mogę jej przyjąć.

— Ta dama, jak się zdaje, przewidziała, że nie zostanie tak łatwo przyjęta, i dlatego prosiła mnie, żeby w przypadku odmowy powiedzieć panu, że to sprawa najwyższej wagi właśnie dla pana, i dlatego spodziewa się, że poświęci jej pan kwadrans rozmowy. To na pewno nie żadna petentka przychodząca z jakąś prośbą, wcale też na taką nie wygląda, sprawia niezwykle wytworne wrażenie; nosi zresztą żałobę.

— A więc dobrze, proszę wprowadzić tę damę, ale niech pani będzie w pobliżu. Gdy tylko zadzwonię, proszę wejść i wyprowadzić ją; nie mam wiele czasu na sprawy prywatne.

Sekretarka zniknęła i zaraz potem do gabinetu weszła dama w żałobie. Była to Leonora Magnus.

— Czemu mam zaszczyt zawdzięczać pani wizytę? — spytał Rudolf Strasser krótko i stanowczo.

Leonora z trudem się opanowała, bowiem to spotkanie obudziło w niej na nowo poczucie winy. Była głęboko wstrząśnięta, gdy zobaczyła, że jej były mąż tak strasznie się zmienił, tak się postarzał. Głos ją zawiódł. Wreszcie drżącymi rękoma odrzuciła woalkę i popatrzyła na Rudolfa wilgotnymi od łez oczyma.

Wzdrygnął się przestraszony, gdy ujrzał jej twarz.

— Leonora!

Jej imię wyrwało się z jego piersi jak krzyk, a on sam ogarnięty dziwną słabością osunął się na fotel. Wydawało się, jakby chciała ku niemu podbiec, aby mu przyjść z pomocą, ale nie odważyła się zrobić ani jednego kroku. Rudolf opanował się z najwyższym wysiłkiem i powiedział ochryple, patrząc na nią zdumionymi oczyma:

— Tego mogła mi pani oszczędzić.

Leonora zacisnęła dłonie.

— Nie, niestety, nie mogłam ci tego oszczędzić, Rudolfie. Wybacz, że cię tak nazywam, ale nie potrafię inaczej. Proszę, wysłuchaj mnie, mam ci coś nieskończenie ważnego do powiedzenia. Byłam u Brygidy, bo... bo tak bardzo tęskniłam z swoim dzieckiem, że chciałam je przynajmniej z daleka zobaczyć. Tam usłyszałam... no cóż, Brygida opowiedziała mi wszystko. Nie mogę cię inaczej nazwać, Rudolfie, ponieważ jesteś i pozostaniesz ojcem mojego dziecka.

Stał się trupio blady i chwycił się poręczy fotela. Patrzył nieruchomo w jej oczy.

— Ojcem twojego dziecka? Czy Brygida powiedziała ci także, dlaczego odprawiłam Dagmarę z domu?

— Tak, Rudolfie, dlatego właśnie jestem tutaj. Wyznam ci całkiem szczerze, że przez moment kusilo mnie, żeby wykorzystać twoje wątpliwości i zachować Dagmarę dla siebie na zawsze. Kosztowałyby mnie to tylko jedno kłamstwo i moja córka należałaby do mnie po wszystkie czasy. Nie przypuszczasz nawet, jak bardzo cierpiałam z tęsknoty za swoim dzieckiem. Nęciło mnie, żeby je zdobyć i zatrzymać w taki sposób, żeby nikt nie mógł zaprotestować. Przewyciężyłam jednak to pragnienie, utraciłam bowiem prawo do zatrzymania przy sobie swojej córki. Ale ty, Rudolfie, także je utraciłeś przez swoje wątpliwości i swoją nieufność! Czy serce nie podpowiedziało ci, że Dagmara jest twoją córką? Sądzisz, żebym ci ją zostawiła, gdyby jej ojcem był mój drugi mąż? O nie, zostawiłam ci ją tylko dlatego, ponieważ byłam przekonana, że pod twoją opieką jest bezpieczna, i ponieważ nie chciałam cię uczynić zupełnie samotnym. Że ty sam siebie uczynisz samotnym, że swoje dziecko wygnasz z domu, bo nie będziesz w stanie uwierzyć, że ono jest twoim, tego oczywiście nie mogłam przewidzieć! Gdybyś skierował do mnie jedno pytanie, nim wypędziłeś Dagmarę, rozwiłabym każdą twoją wątpliwość i moje biedne dziecko nie zostałoby bez domu, skazane na wygnanie.

W jej słowach słyhać było tak głęboki ból, że nie mógł opanować gwałtownego wzruszenia. Bronił się jednak przeciw temu i podniecony rzucił:

— Czy mógłbym ci uwierzyć po tym wszystkim, co mi zrobiłaś? Opuściła głowę.

— Nie, nie uwierzyłbyś mi, gdybym ci nie mogła przedstawić dowodów. Ale, Bóg mi świadkiem, nigdy cię, Rudolfie, nie zdradziłam. Cały czas byłam ci wierna, póki znów nie zobaczyłam człowieka, którego kochałam. Nie mogłam znieść myśli, że zostawię go ponownie samego z jego miłością. Ale jak długo byłam twoją żoną, nie wolno mu było mnie dotknąć. Dlatego odeszłam, Rudolfie, bowiem nie chciałam wnieść hańby w progi twego domu, ponieważ nie chciałam sprawić ci wstydu i oddać się innemu, jak długo przebywałam pod twoim dachem. Odeszłam od ciebie, bo chciałam być uczciwa. Ale nawet teraz nie żądam, żebyś mi wierzył. I dlatego dziękuję Bogu, że mogę ci przedstawić dowody, potwierdzające moje zeznanie.

Patrzył płonącymi oczyma w jej wciąż jeszcze piękną, niegdyś tak gorąco kochaną twarz. Teraz drgnął.

— Dowody? Miałabyś dowody, że Dagmara jest moją córką?

— Tak, mam je, dzięki Bogu, i przybyłam tu po to, by cię twoim dzieckiem po raz drugi obdarzyć. Mam nadzieję, że odpokutuję tym za krzywdę, którą ci wyrządziłam.

Nie spuszczał z Leonory oczu i już wiedział, że jej wierzy, że nie może inaczej, że musi jej wierzyć. Jego wzrok spoczywał jak przykuty na jej twarzy, która nie rozkwitała już młodzieńczą pięknnością, ale przybrała za to pewien szlachetny wyraz.

Leonora wyjęła z torebki kilka listów. Położyła je przed Rudolfem. Potem powiedziała możliwie spokojnie:

— Po zaręczeniu się z tobą nie widywałam już Karola Magnusa. Zobaczyłam go dopiero po latach, kiedy nasze dziecko od dawna było na świecie. Dagmara urodziła się jedenaście miesięcy po naszym ślubie. Karol Magnus zaś dwa tygodnie po naszych zaręczynach został zaangażowany do orkiestry w Rydze jako pierwszy skrzypek. To był stały angaż. Zarabiał tam oczywiście niezbyt wiele, ale zajmował swoją pozycję przez całe lata i ani na jeden dzień, ani na jedną godzinę nie opuścił Rygi, gdyż każdego dnia grał w orkiestrze. W ciągu tych wszystkich lat otrzymałam od niego tylko trzy listy, te, które leżą przed tobą. Możesz je przeczytać, to nie obrazi zmarłego, sam by mi na pewno kazał ci je pokazać, gdyby jeszcze żył.

Spojrzał na nią głęboko poruszony.

— Jesteś wdową?

— Tak, i nie chcę ci nawet mówić, jak ciężko to znoszę. Ale pierwsze kroki, po złożeniu mego męża na wieczny spoczynek, skierowałam ku mojemu dziecku. Przeczytaj te listy, Rudolfie, dowiesz się z nich, jak bardzo Karol Magnus cierpiał z tego powodu, że nie zostałam jego żoną, lecz poślubiłam innego człowieka. Jeden z listów przyszedł jakiś czas po urodzeniu Dagmary. Karol przeczytał o tym w gazecie, w której zamieściliśmy wiadomość o przyjściu na świat naszej córki. W tym właśnie liście ujawnił cały swój żal, że inny mężczyzna został ojcem mego dziecka. Przeczytaj sam, jak bardzo ci tego zazdrościł. Wyjechał z Rygi, gdy Dagmara miała już cztery lata. Wtedy właśnie znalazł mecenasa, który uwierzył w jego talent i zaczął go popierać. Rok później zobaczyłam Karola znowu. I wówczas zaczęła się dla mnie bezprzykładna walka, walka między dawną namiętnością a obowiązkiem i miłością matczyną. Zrozumiałam w końcu, że jestem za słaba, żeby się móc bronić. Wiedziałam, że ulegnę jego gorącym prośbom, że muszę z nim odejść, by nie okryć hańbą twego domu. Teraz, Rudolfie, znasz całą prawdę. Przeczytaj listy i jeśli cię one nie przekonają, zasięgnij informacji w Rydze, a przekonasz się, że nie kłamię i że niczego nie ukrywam. I upewniwszy się, wezwij swoje dziecko do domu i pozwól sobie przez nie umilić przynajm-

niej swoją starość. Kiedy przeczytasz te listy i nie będą ci już potrzebne, odeślij mi je. Brygida zna mój adres. Wracam dziś jeszcze do Lugano, gdzie teraz mieszkam. Ale daj mi znać przez Brygidę, czy Dagmara wróciła do rodzinnego domu.

Rudolf Strasser zakrył twarz rękoma i siedział głęboko wstrząśnięty. Wierzył już teraz, bez listów, bez dowodów, i świadomość, że swoje dziecko, krew z krwi, zesłał na wygnanie, przytłoczyła go tak, jak nic przedtem w życiu.

Siedział tak długo. Leonora patrzyła na niego pełna współczucia. Nie ośmieliła się do niego zbliżyć, choć miała ochotę dla pocieszenia pogłaskać go po głowie. Ale nie odważyła się na żaden gest, czekała, aż Rudolf się opanuje.

W końcu podniósł głowę i popatrzył na Leonorę smutnymi oczyma.

— Zabierz swoje listy, Leonoro, nie chcę ich czytać. Wierzę ci. I teraz wiem, że nie miałem racji, uważając cię za bardziej winną, niż jestem sam. Moje wątpliwości i podejrzliwość w stosunku do Dagmary nie są naprawdę mniejszym grzechem niż to, co ty uczyniłaś. Nasze biedne dziecko musiało ciężko zapłacić za nasze winy. A to, że mi wróciłaś spokój i pewność, iż Dagmara jest moim dzieckiem, oceniam bardzo wysoko. Oboje zgrzeszyliśmy! Powinienem był pomyśleć, Leonoro, że młoda, dwudziestoletnia kobieta nie będzie szczęśliwa u boku bez mała pięćdziesięcioletniego mężczyzny. Więc proszę, wybac mi, tak jak ja ci wybaczam. A gdy Dagmara wróci, o co postaram się niezwłocznie, sam opowiem jej o tobie, i to w taki sposób, żeby cię rozgrzeszyła i przyjęła jako swoją matkę. Nie chcę być egoistą i zatrzymać córkę wyłącznie dla siebie, znajdziemy jakiś sposób, żebyśmy oboje mogli się nią cieszyć. Weź swoje listy, Leonoro, i zostaw mnie, proszę, samego. Zbyt dużo dziś na mnie spadło. Muszę spróbować jakoś się z tym uładzić.

Leonora podeszła i zabrała listy.

— Dziękuję ci, Rudolfie, że mi wierzysz i że mi wybaczasz. Ja nie mam ci nic do wybaczenia. I dziękuję ci, jak najserdeczniej dziękuję, że nie zamierzasz powiedzieć memu dziecku nic złego o jego matce i że mi pozwolisz zobaczyć znowu Dagmarę. Żegnaj, Rudolfie, i niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Nieśmiało wyciągnęła do niego rękę. Przytrzymał ją w mocnym uścisku. I tak trwali przez chwilę, spoglądając sobie głęboko w oczy i ściskając ręce, i cała ich gorycz gdzieś się rozplynęła. Leonora łagodnie cofnęła rękę i wyszła cicho z gabinetu, opuściwszy na twarz woalkę.

Rudolf Strasser siedział jeszcze długo jak sparaliżowany i pozwalał przebrzmieć temu, co ta godzina mu przyniosła. Najchętniej zaraz napisałby do Egona Strassera, ale ręce mu drżały i musiał poczekać, aż się nieco uspokoi. Potem przywołał swego starego przyjaciela Hermana Falknera i wypowiadał się przed nim ze wszystkiego, co go gnębiło, czego się obawiał i w co wątpił. I że

chciał swą córkę, ponieważ nie mógł uwierzyć, że jest jego dzieckiem, wygnać z domu i stracić z oczu na zawsze. I że Leonora była tutaj przed chwilą i rozwiała wszystkie jego wątpliwości.

Herman Falkner, głęboko poruszony, słuchał tej spowiedzi, a potem przygniecionego ciężarem swej winy mężczyznę próbował podnieść na duchu.

— Jeszcze nie jest za późno, drogi przyjacielu, żeby pan wszystko naprawił i nacieszył się swoim dzieckiem, chociaż stracił pan bezpowrotnie wiele lat. Jestem rad z całego serca, że pan znów zobaczy swoją córkę.

Rudolf Strasser podniósł rękę, jakby go zaklinając.

— Drogi przyjacielu, upoważniam pana, żeby pan powiedział swemu synowi i swojej małżonce, co mnie gnębiło, i że moja córka wróci znów do domu. Chcę teraz skończyć z wszelkimi sekretami. Werner będzie się cieszył, gdy o tym usłyszy, nie sądzi pan?

Spojrzał badawczo na Hermana.

Falkner skinął głową, uśmiechając się spokojnie.

— Myślę, że tak. Nie było dnia, żeby nie mówił o tym, iż panna Dagmara mogłaby teraz wreszcie wrócić, aby pan nie był tak samotny.

Falkner odniósł wrażenie, że Rudolf Strasser chciał jeszcze coś dodać, ale potem, jakby zmienił zdanie, oznajmił tylko:

— Teraz pojedę do domu i powiadomię mą kuzynkę Brygidę, że Dagmara wkrótce wróci i że moje wątpliwości zostały rozwiane. Ta dobra, wierna dusza dzieliła ze mną wszystkie troski i starała się trzymać na wodzy swą tęsknotę za dzieckiem. Teraz będzie się cieszyć.

Obaj panowie uścisnęli sobie ręce i rozstali się.

28

Tymczasem Dagmara, pełna gorączkowego niepokoju, oczekiwała odpowiedzi ojca na list wujka Egona. Co prawda z trudem, ale panowała nad sobą, ponieważ przekonywała siebie, że w jakiś sposób musi uzyskać jasność we wszystkich sprawach, które do tej pory przed nią zatajono.

Wujek Egon z dnia na dzień czuł się, niestety, gorzej; był teraz tak słaby, że już nie mógł opuszczać swego pokoju. Dagmara prawie zawsze była przy nim, bowiem ani jego żona, ani córka nie troszczyły się o to, by go pielęgnować. Do pielęgnowania chorego potrzeba dużo więcej cierpliwości i ofiarności, niż mogły się na to zdobyć te dwie nieczule i egoistyczne kobiety. Uważały, że wszystko jest w porządku, iż Dagmara poświęca się choremu i stale przy nim przebywa. Często nawet nie nadążała się przebrać, ponieważ kiedy tylko wujek poczuł się źle, nie spała u siebie, lecz

kładła się w ubraniu na kanapie w pokoju chorego, aby być pod ręką, gdyby jej potrzebował. Tylko tuż przed zachodem słońca musiała, na usilne życzenie wujka, robić spacer po parku.

— Nie możesz narażać zdrowia na szwank, moje dziecko, ja i tak zanadto korzystam z twojej pomocy — mówił do niej często.

Tak więc i dziś, późnym popołudniem, szła Dagmara przez park szeroką, źle utrzymaną drogą. Po chwili spotkała Elenę, która dziś odbywała spacer samotnie, bo matka, cierpiąca właśnie na migrenę, pozostała w swym pokoju.

Elena spojrzała na Dagmarę z szyderczym wyrazem twarzy.

— Coś podobnego! Miłosierna samarytanka woli spacerować zamiast pielęgnować chorego — zakpiła.

— Nie, Eleno, wcale nie wolę spacerować, ale wujek Egon nalega na to, żebym codziennie na jakiś czas wychodziła na dwór. W przeciwnym razie nie opuszczałabym go w ogóle. Jest mi niewypowiedzianie przykro, że jest tak chory.

— Ach, nonsens, papa wcale nie jest chory, po prostu ma za mało ruchu. Od tego człowiek robi się niesprawny i nieruchawy — powiedziała Elena nieczule.

— Niestety, mylisz się, Eleno, obawiam się, że twój ojciec jest o wiele bardziej chory, niż ty i twoja matka, jak się wydaje, przypuszczacie.

— Wówczas przecież zażądałby lekarza. Nie wzywa go tylko dlatego, że wie, iż lekarz nic u niego nie znajdzie.

— Nie, nie wzywa lekarza, bo wie, iż lekarz nie może mu już pomóc, i ponieważ nie chce wydawać pieniędzy na wizyty, ażeby wam niczego nie odebrać.

— Och, *Dio mio!* Jakże się stroisz w aureolę dobroci. Sądzisz, że ci w niej do twarzy?

— Nie stroję się w uczucia bądź przymioty, których nie posiadam. Ale za nic w świecie nie chciałabym tak zimno mówić o swoim ojcu, jak ty to robisz — stwierdziła Dagmara, spoglądając gniewnie na Elenę.

Elena spurpurowiała ze złości.

— Nie bądź bezczelna, moja droga!

— Nie jestem bezczelna. Ponieważ jednak jesteśmy akurat same, chciałabym ci powiedzieć, że twój biedny ojciec bardzo cierpi z tego powodu, że jesteś dla niego tak nieczuła.

Elena wybuchnęła.

— Jak śmiesz w ten sposób zwracać się do mnie?

Dagmara patrzyła ze spokojem w zagniewaną, dumną twarz Eleny.

— Robię to tylko w interesie twego ojca, ale także trochę i w twoim. Przez całe życie dręczyłyby cię przecież wyrzuty sumienia, gdyby twój ojciec zmarł, a ty nie okazałabyś mu ani raz swego współczucia.

— Nie mieszaj się do moich spraw, jesteś bezczelna.

— A ty jesteś osobą bez serca — powiedziała Dagmara spokojnie i stanowczo.

— Na co ty sobie pozwalasz? Nie zapominaj, kogo masz przed sobą. Jestem córką markizy Consistelli.

— Nie — odparła Dagmara — jesteś córką signora i signory Strasser.

Elena całkowicie straciła panowanie nad sobą. W swoim gniewie zapomniała o wszelkiej ostrożności i wykrzyczała Dagmarze prosto w twarz:

— A wiesz, kim ty jesteś? Bękartem, nędznym tworem zrodzonym w hańbie. Twój ojciec, którym się tak chełpisz, nie jest wcale twoim ojcem. Wypędził cię, ponieważ nie mógł już ścierpieć twego widoku. Kiedy twoja kochana mamusia uciekła z muzykantem, wszystko wyszło na jaw i wujek Rudolf cię wyгнаł. Ale ponieważ był zbyt szlachetny, żeby cię gołą wyrzucić na ulicę, umieścił cię tutaj. I w swej szlachetności zrobił cię jeszcze swoją sukcesorką, bo w świetle prawa uchodzisz za jego córkę. Ale tylko my jesteśmy jego prawowitymi spadkobiercami, moglibyśmy zakwestionować twoje prawa do spadku i nawet byśmy to uczynili, gdyby papa w swej ogromnej dobroci nie rozpostarł nad tobą opiekuńczych rąk. I ponieważ odbierasz nam spadek, nienawidzimy cię, mama i ja, tak, nienawidzimy cię, nienawidzimy! Teraz wiesz wreszcie, bezczelna dziewczyno, jaka jest prawda, i nie ośmielaj się już nigdy w ten sposób odzywać do córki markizy Consistelli.

Dagmara stała jak sparaliżowana i patrzyła na zniekształconą ze złości twarz Eleny. Miała wrażenie, że zerwano jej z oczu dobroczynną zasłonę i wszystko, co ją dotychczas dziwnie tajemniczo otaczało, stało się nagle okrutnie jasne. Wszystko, co ją tak długo dręczyło, czego nie mogła pojąć i zrozumieć, stało się w tym momencie boleśnie zrozumiałe.

Myśli przelatywały jej przez głowę jak szalone. Widziała ponurą twarz ojca, jego nieczułe zachowanie po zniknięciu matki. Przypomniała sobie, że nikomu nie wolno było mówić o matce w jego obecności. Wiedziała teraz, dlaczego jako dziecko została wygnana sprzed oblicza ojca i dotąd nie została wezwana do domu. Cała jej nadzieja że kiedyś zobaczy dom rodzinny, w tym momencie zgasła. Przeniknął ją przejmujący ból i ogarnęła głęboka rozpacz. Ze zgasłymi oczyma i śmiertelnie bladą twarzą patrzyła na stojącą przed nią Elenę, która syciła się swym tryumfem. W końcu Dagmara drżącą ręką przeciągnęła po czole.

— Czy to prawda? Czy to wszystko prawda, Eleno?

Elena stała się teraz trochę niepewna, bo pomyślała o ojcu. Ale odrzekła stanowczo:

— Oczywiście, że prawda. Sądziś, żebym coś takiego wymyśliła? I sama jesteś sobie winna, że ci to powiedziałam prosto w oczy, ponieważ mnie rozdrażniłaś. Papa przecież nie chciał, żebyś się o tym dowiedziała, chroni cię, gdyż wzbudzasz w nim współczucie. Ale jak prawdą jest, że stoję przed tobą, tak prawdą jest wszystko, co usłyszałaś. Już mi to dawno ciążyło na sercu, żeby ci odkryć prawdę.

Dagmara zacisnęła dłonie. Gorzki uśmiech przemknął jej przez usta.

— Tak, tak, w to mogę uwierzyć, że cię to męczyło. Ale teraz ciężar spadł ci z serca, teraz wszystko mi wyjawiałaś i chociaż ugodziłaś mnie boleśnie, jestem ci za to wdzięczna, gdyż mam wreszcie jasność co do mej sytuacji. Teraz już wiem, dlaczego zostałam skazana na wygnanie.

I Dagmara objęła rękami pień drzewa i przycisnęła twarz do chropowatej kory. Było w tym ruchu tak wiele bólu i bezradności, że każdy inny człowiek poza Eleną byłby poruszony. Ta zaś czuła się tylko trochę niespokojna, nie dlatego, żeby jej było żal Dagmary, lecz dlatego, że ojciec na pewno podniesie wielki krzyk z powodu jej gadulstwa. Ale nie chciała dać tego poznać po sobie. Zagrała więc mocnym atutem:

— Tak, teraz możesz pobiec do papy i poskarżyć się na mnie, że ci wszystko powiedziałam. Ale nie zdziw się, jeśli się tym bardzo zirytuje, musisz wziąć za to odpowiedzialność.

Dagmara odwróciła się do niej powoli i popatrzyła na nią takim wzrokiem, że Elena musiała spuścić oczy. Spojrzenie Dagmary było zgasłe i bez życia, a przecież wymowne.

— Nie martw się, nie będę denerwować twego chorego ojca powtarzaniem tego, co od ciebie usłyszałam, ale proszę cię, idź do niego i powiedz, że poczułam się źle. Dziś nie mogę już do niego pójść, zauważyłby, że mam coś do ukrycia. Pozostań przy nim i nie zostawiaj go samego, póki ja znów nie będę mogła się nim zająć. Ucieszy się, jeśli ty otoczysz go opieką, bądź dla niego naprawdę miła, proszę cię o to. Nie mogę teraz chorego doglądać... muszę... muszę być sama!

Ostatnie słowa wyrwały się z jej piersi jak krzyk. Oderwała ręce od pnia i zatoczyła się jak pijana. Nie rozglądając się i nie zwracając na nic uwagi, podbiegła do swego pokoju i gdy zamknęła za sobą drzwi, opuściły ją resztki sił i upadła na zimną posadzkę jak podcięte drzewo.

Leżała tak długo, nie straciwszy przytomności, jedynie bez sił, niezdolna, by się poruszyć. I prześladowała ją tylko jedna, natrętna myśl: „Jesteś bękartem, zrodzonym w hańbie nędznym tworem”. Wydawało się jej, że głos Eleny pełen nienawiści wciąż i wciąż wykrzykuje te słowa.

Paliły jej wewnątrz jak żrący jad. Dopiero po paru godzinach nabrała tak dalece odwagi, że się podniosła. Ale zaraz opadła na fotel, ponieważ nogi się pod nią ugięły. Biedne, spłoszone myśli wędrowały w przeszłość i badały teraz wszystko w nowym świetle, rzuconym przez Elenę. Widziała się w swym „ojcowskim” domu, jak leży w pięknym białym łóżeczku z koronkowym baldachimem i jasnoniebieską jedwabną kołderką. Widziała ojca i matkę, jak stoją przed nią serdecznie ob-

jęci i spoglądają ku niej uśmiechając się czule. Widziała piękną, elegancką matkę najpierw, jak śmiejąc bawi się z nią i wśród wielu pieszczotliwych żartów szyje sukienkę dla Lizy, a potem znów, jak płacze, wciąż płacze, kiedy ją przytula do serca. Aż pewnego dnia znikła, ojciec zaś stał się nagle surowy i posępny, już jej wcale nie pieścił i ledwie na nią spoglądał. O matce nie wolno było z nim mówić. A tego dnia, kiedy zobaczyła słońce nad jego głową, przewrócił krzesło i zawołał: „Nie zniosę już tego!” Tak, wiedziała teraz, czego nie mógł znieść... To na nią nie mógł patrzeć bez gniewu i goryczy.

I ciotka Brygida powiedziała jej, że pójdzie do szkoły, bardzo daleko. Ciotka Brygida była tak miła i dobra, mimo że już wówczas musiała wiedzieć, że ona była dzieckiem hańby. Dobra, kochana ciotka Brygida! Potem przyjechał wujek Egon i zabrał ją z domu; bardzo wyraźnie przypomniała sobie to, że ojciec się z nią nie pożegnał; pozwolił jej odejść, nawet na nią nie spojrzawszy. Przyszedł tylko pan Werner, dobry, kochany pan Werner, który na pożegnanie przyniósł jej kwiaty i pralinki. I wziął ją na ręce, i patrzył na nią pełen współczucia.

Biedne dziecko! Biedne dziecko! Tak pan Werner często mówił do niej w owym czasie, także wtedy, gdy z nią i jej lalkami bawił się w ogrodowym pawilonie. Biedne dziecko! Wciąż słyszy to jeszcze bardzo wyraźnie. Teraz wiedziała, dlaczego ją nazywał biednym dzieckiem, ale wówczas nie mogła tego pojąć. Ale że pan Werner ją kochał, tego była pewna, kochał ją i współczuł jej, ponieważ była dzieckiem hańby i nie miała ani ojca, ani matki. Biedne dziecko!

Przypomnienie tych współczująco-dobrotliwych słów: „Biedne dziecko!” przełamało wreszcie zły czar, który jak żelazna obręcz spinał uczucia Dagmary, i nagle z jej oczu trysnęły łzy i te łzy płynęły i płynęły i zabierały ze sobą wszystko, co w jej młodej duszy żyło wiarą i nadzieją. Nie zabrały tylko wdzięczności, głębokiej wdzięczności wobec pana Wenera i ciotki Brygidy, i wobec wujka Egona, którzy pozostali dla niej dobrzy także wtedy, gdy ojciec ją odepchnął.

Jakże było bolesne to, że musiała myśleć o nim jak o jakimś obcym człowieku. Tak go przecież kochała, tak kocha go jeszcze teraz, i głębokie współczucie dla niego rozgorzało w jej duszy, ponieważ potrafiła wczuć się w jego cierpienia. Kochała go nadal jako swego ojca mimo że się jej wyrzekł. Teraz wiedziała już, jaka będzie odpowiedź, którą otrzyma wujek Egon na swój ostatni list, w którym, być może, w. swej dobroci jeszcze raz wstawiał się za nią. Ta odpowiedź będzie brzmiała: Nie chcę nigdy widzieć tego dziecka, które nie jest moim i tylko dzięki oszustwu nosi moje imię.

A może była córką owego muzykanta, z którym uciekła jej matka? Och, jakże okrutny był los, uczynił ją biedną i bezbronną! Rodzice porzucili ją, a człowiek, którego tak długo uważała za swego ojca i którego nazwisko nosiła, troszczył się o nią z łaski i litości, a może tylko dlatego, że zgodnie z prawem nosiła jego nazwisko. Z tego powodu chciał ją nawet zrobić swoją sukcesorką.

Ale nie, nigdy nie przyjęłaby tego spadku. Elena i jej matka mogły spać spokojnie, mogły wszystko zabrać dla siebie, nigdy by tego nie zakwestionowała. Cóż znaczył dla niej ten spadek? Nic! Ponieważ wobec faktu, że utraciła dziś najwartościowsze dobra, jakie człowiek może posiadać, jakże małą wydała się jej strata pieniędzy i majątku.

Była zbyt niedoświadczona, żeby sobie jasno uświadomić, jak ważną rzeczą jest bogactwo, które nawet najcięższe cierpienia pozwala lżej znosić. Przecież praktycznie nigdy nie stykała się z pieniędzmi. Co zresztą miałyby z nimi począć tutaj na górze, w samotnym kasztelu? W całej nędzy istoty wyszydzonej i wygnanej wszystko inne wydawało się jej nieważne i bez znaczenia.

Godzinami siedziała pogrążona w najgłębszej rozpacz i nie ośmielała się wyjść ze swego pokoju. Ucieczki mogłaby szukać tylko u chorego wujka Egon, jedyne go człowieka, który tutaj był dla niej dobry. Ale jemu nie miała prawa w najmniejszym stopniu wyjawiać, co jej ciąży na sercu. Wiedziała, że wstrząsnęłaby nim bezwzględność i okrucieństwo Eleny. Jego stan mógłby się pogorszyć, należało go oszczędzić.

Miała nadzieję, że Elena poszła do niego i zajęła się nim. Mimo bólu była wdzięczna kuzynce, że wreszcie otworzyła jej oczy. Teraz przynajmniej jest przygotowana na odpowiedź, której oczekuje wujek Egon. Jak ma sobie teraz znaleźć miejsce w życiu po tym wszystkim, czego się dowiedziała, na to pytanie nie umiała odpowiedzieć. Zbyt była jeszcze wytrącona z równowagi.

Zapadła noc. Dagmara siedziała wciąż w fotelu przy otwartym oknie. Nad parkiem, na usianym gwiazdami niebie, w rozświetlonej, łagodnej jasności wędrował księżyc. Cyprysy jak ciemne piramidy wznosiły się ostrymi konturami ponad gęstwą kwitnących krzewów. Wysoki parkowy mur tworzył ramy dla tego surowego, uroczego obrazu. To przypomina cmentarz — przemknęło Dagmarze przez głowę — cmentarz otoczony więziennym murem.

Przebiegł ją dreszcz i wzniosła ku niebu wilgotne od łez, smutne oczy.

— Ojcie wszystkich opuszczonych, dlaczego jestem jak zerwany liść, nad którym szaleje wichur i każe mu wirować w pyłach ziemi? Cóż takiego uczyniłam, że muszę tak cierpieć? Gdzie jest moja matka? Czy była naprawdę bez serca, że mogła mnie zostawić w domu człowieka, którego zdradziła? A przecież niegdyś mnie kochała, tak... pieściła mnie czule i gorąco, nazywała mnie stale swym kochanym, słodkim dzieckiem. Moja piękna, droga matka, czy rzeczywiście utracona? Kto jest moim ojcem? Do kogo należę? Do nikogo! Jestem na świecie całkiem sama, zdana na łaskę i litość człowieka, którego moja matka zdradziła, którego dotąd nazywałam ojcem i który jest wciąż drogi memu sercu. Ojcie niebieski, jak mam teraz żyć, kiedy zerwano mi zasłonę z oczu. Samotna i smutna była dotąd moja egzystencja, teraz stanie się jeszcze nędzniejsza. Zabierz mnie do siebie, Ojcie niebieski, pozwól mi umrzeć, ponieważ nie wiem, co mam począć na ziemi.

Oparła ręce na parapecie okiennym i ukryła w nich twarz.

Tej nocy nie położyła się, siedziała cicho przy oknie i spoglądała w nieskończoność nieba. Nasłuchiwała, jak od czasu do czasu przelatywał w pobliżu jakiś nocny ptak, i drżała, gdy jej ciało muskał nocny powiew, przywodzący na myśl zimne palce nieboszczyka.

29

Po odejściu Dagmary Elena, trochę niespokojna, poszła do matki i wyspowiadała się jej z tego, co zaszło między nią a kuzynką. Naturalnie odmalowała wszystko w korzystnym dla siebie świetle i zakończyła:

— Nie uwierzysz, mamó, jak niezwykle arogancka i bezczelna była wobec mnie, nie mogłam sobie na to pozwolić, żeby znosić jej impertynencje, i wygarnęłam jej całą prawdę.

Oczy signory Cateriny rozżarzyły się.

— Nie mogę mieć ci tego za złe, Eleno, mnie także dosyć często podobne słowa cisnęły się na usta. Dagmara ma taki sposób okazywania swej dumy i cnotliwości, że zółć człowieka zalewa. Słusznie się stało, że ją pouczyłaś i dowiedziała się, kim właściwie jest. Natomiast jeśli dojdzie to do papy, z pewnością zrobi nam scenę. Śmieszne, ale ta dziewczyna dużo dla niego znaczy, gdy tymczasem nas, mnie i ciebie, ledwie jeszcze zauważa. Cały dzień przebywa tylko z nią.

Caterina nie chciała pamiętać, że ona i Elena umyślnie trzymały się od Egon z daleka, odkąd zaczął chorować i wymagał pielęgnacji, i że wyłącznie Dagmarze pozostawiły całą opiekę nad chorym. Było dla nich niewygodne i uciążliwe, że wymagał względów, których one nie zamierzały mu okazywać. Twierdziły, że wcale nie jest tak chory, jak usiłuje im wmówić. Wedle ich zdania brakowało mu jedynie energii i był zbyt ociężały.

Ponieważ nie leżał w łóżku i nie żądał ustawicznie lekarza, uważały, że kokietuje tylko swą chorobą.

Signora Caterina była niegdyś w swym mężu trochę zakochana, gdy był jeszcze przystojnym i eleganckim mężczyzną. To uczucie jednak stopniowo wygasało, odkąd nie mógł jej już zapewnić wspaniałego życia, co dla niej było warunkiem istnienia. Czuła się poniekąd przez niego oszukana i zlekceważona. Że przez swą bezmierną rozrzutność przyczyniła się w największym stopniu do ruiny majątku, tego nie dopuszczała do świadomości, całą winę przypisywała Egonowi. Jeśli prosty niemiecki mieszczanin był tak szalenie zuchwały, by sięgnąć po rękę markizy Consistelli, wówczas było jego obowiązkiem zagwarantować jej wspaniałą egzystencję do końca życia. W przeciwnym razie tracił w jej oczach wszelkie znaczenie.

Traktowała jak przestępstwo wobec siebie i Eleny, że Egon nie podjął wszystkich możliwych kroków, żeby zakwestionować spadek Dagmary, który w gruncie rzeczy jemu się należał. Markiza miała wyjątkową zdolność niedostrzegania rzeczy, które nie zgadzały się z jej pragnieniami. Tak więc konsekwentnie ignorowała fakt, że Dagmara jest podobna do jej córki, a tym samym do Rudolfa, co było najlepszym dowodem, że jest jego dzieckiem. Dla niej Dagmara była i pozostała bękartem, ponieważ to pasowało do jej pragnień.

Gdyby Egon wraz z Caterina intrygował przeciw Dagmarze i próbował pozbawić ją spadku, znów prawdopodobnie uzyskałby w oczach żony znaczenie. Ale skoro tego nie robił, wręcz przeciwnie, zawsze bronił Dagmary, stracił w przekonaniu markizy wszelkie prawo do życia. I chociaż się do tego nawet przed sobą nie chciała przyznać, to było przecież w niej już od dawna coś jakby czyhanie na jego śmierć; ponieważ wraz z tą śmiercią miałyby wolną drogę, którą mogła pójść razem z Eleną, by wyrwać Dagmarze spadek. Przy tym nie dopuszczała do siebie myśli, że jej plany mają charakter przestępczy, umiała sobie wmówić, że zabierze tylko to, co jej się słusznie należy.

Gorąca krew signory Cateriny połączyła się z zimną kalkulacją i nie nasuwającym wątpliwości okrucieństwem przeciw wszystkiemu, co jej stało na drodze.

W swej żądzy używania życia, skłonności do dobrobytu i luksusu ta kobieta nie cofnęłaby się nawet przed zabójstwem, gdyby miała pewność, że uniknie za to kary. W swych planach związanych z usunięciem Dagmary jako sukcesorki niejedną raz snuła myśli o morderstwie; obawiała się jednak, że zbrodnia wcześniej czy później zostanie wykryta; tak więc nie żadne moralne hamulce, tylko strach powstrzymywał ją przed urzeczywistnieniem swego ponurego planu. Wciąż myślała, wspólnie z Eleną i Mariettą, o planie zamiany ról Eleny i Dagmary. To nie było w jej oczach absolutnie żadnym przestępstwem, lecz tylko naprawieniem błędu popełnionego przez los.

Matka i córka nie miały ani krzty współczucia dla Dagmary. Chciały zobaczyć, jak Dagmara poradzi sobie ze świadomością, że jest dzieckiem hańby i właściwie ledwo ma prawo do istnienia. I powiedziały sobie, że jeśli rzeczywiście ma dojść do zamiany ról między kuzynkami, to Dagmara nie będzie robiła zbytnich ceregieli, bo teraz wiedziała, że jej nie przysługuje żadne prawo do spadku po Rudolfie Strasserze. Tego przekonania matka i córka uchwyciły się kurczowo, nie dopuszczając do siebie żadnej innej myśli poza tą, że Dagmara nie jest córką Rudolfa Strassera.

Elena próbowała uspokoić matkę:

— Nie martw się, Dagmara nic papie nie powie. Dałam jej do zrozumienia, że tylko zdenewrowałaby tym papę i że wtedy byłaby odpowiedzialna za pogorszenie jego stanu zdrowia. Zapewniła mnie, że będzie milczeć.

Signora Caterina odetchnęła.

— To bardzo dobrze. Lepiej, żeby się papa o niczym nie dowiedział.

Elena poszła potem do ojca i opowiedziała mu, że Dagmarę bardzo rozboleła głowa i musiała się położyć.

— Musisz się dzisiaj mną zadowolić, papo, ale to nie będzie dla ciebie przyjemne, ponieważ ja nie jestem zbyt zręczną pielęgniarką. Poza tym ani mama, ani ja nie wierzymy, że jesteś poważnie chory — powiedziała śmiejąc się.

Egon Strasser obrzucił swoją córkę dziwnym spojrzeniem.

— Ach tak, nie wierzycie w to, że jestem poważnie chory. No cóż, macie rację: nie jest rzeczą przyjemną myśleć o chorym i chorobie. Ja także chętnie zignorowałbym swoje dolegliwości. Zresztą nie sprawię ci wiele trudu, gdyż wiem, jak wielką ofiarą jest dla ciebie wytrwać przy mnie parę godzin.

Elena zmusiła się do protestu.

— Ależ nie, jestem przy tobie bardzo chętnie, ale gdy jest tutaj Dagmara, czuję się zbędna.

Słaby uśmiech przemknął mu przez usta. A potem spytał z troską w głosie:

— Ale Dagmara nie jest chyba poważnie niedysponowana?

— Nie, nie, mówiłam ci już, że dokucza jej ból głowy, nic więcej.

Egon nie był jednak o tym całkiem przekonany. Dagmara nie miała w zwyczaju jedynie z powodu bólu głowy uchylać się od wziętego na siebie dobrowolnie obowiązku. Już od dawna martwił się, że dziewczyna za bardzo się męczy jego pielęgnowaniem. A przecież nie miał siły, żeby ją od siebie odesłać, jej obecność była dla niego prawdziwym pocieszeniem serca.

W milczeniu patrzył przed siebie. Jego oczy wyrażały smutek. Jeśli list do Rudolfa spełni swój cel, wtedy Dagmara wkrótce opuści kasztel. I wówczas już nikt nie będzie go pielęgnował tak troskliwie. Zamglonymi oczyma spoglądał na swoją córkę.

Elena wzięła książkę i pogрузzyła się w lekturze. Nim nie zajmowała się wcale, uważała pewnie, że sama jej obecność w zupełności wystarcza. Jakże to wyglądało inaczej, kiedy była przy nim Dagmara. Odczytywała mu z oczu każde życzenie, była serdeczna i opiekuńcza, poprawiała poduszki, przynosiła chłodne napoje i czytała mu lub gawędziła z nim. Wszystko, co czyniła, było miłością i troską. Jakże różne były te dwie młode istoty, mimo że zewnętrznie istniało między nimi pewne podobieństwo! W czym ono tkwiło, nie dało się właściwie ustalić. Dagmara miała całkiem inne oczy niż Elena. Oczy Dagmary były pełne dobroci, serdeczne i mądre, Elena miała oczy płonienne, a przecież zimne jak u matki. Z twarzy Dagmary promieniowała szlachetność duszy, czystość i łagodność, podczas gdy twarz Eleny była wyniosła i bezduszna.

Westchnął. Elena spojrzała znad książki.

— Chcesz czegoś, papo?

— Nie, dziękuję ci, nie przeszkadzaj sobie w lekturze — powiedział z odrobiną goryczy.

W tym tkwiła cała różnica: Elena robiła to, czego od niej zażądał, Dagmara zaś odgadywała jego życzenia i spełniała je bez słowa.

Po pewnym czasie u Egon zjawiała się także signora Caterina Przez chwilę przemawiała do męża w charakterystyczny dla siebie żywy, niespokojny sposób, biegała po pokoju tam i z powrotem, pootwierała wszystkie okna, tak że nagle zrobił się przeciąg. Poza tym zawsze teraz używała bardzo mocnych perfum, które przykro działały na Egon; przyprawiały go o mdłości, ponieważ chorzy są bardzo wrażliwi na silne zapachy.

Nie odezwał się jednak ani słowem, gdyż wiedział, że Caterina formalnie czyha na jakąkolwiek krytyczną uwagę z jego strony. Obrażona, natychmiast by go ofuknęła, gdyby ośmielił się powiedzieć, że jej perfumy są zbyt intensywne, albo że nie znosi przeciągów. A on tak bardzo pragnął spokoju.

Egon Strasser nigdy nie był człowiekiem o mocnych uczuciach i znakomitych cechach charakteru. Rozumne wychowanie z pewnością zrobiłoby z niego całkiem pożytecznego człowieka. Skoro jednak rodzice bardzo go rozpieścili, a on sam o wiele za wcześnie wszedł w posiadanie ogromnego majątku, lekkomyślnie ten majątek roztrwonił. Tylko dobroć serca pozostała u Egon zawsze niezmienna Jak długo był bogaty, było to odpowiednio wykorzystywane. Nie odmawiał nikomu, kto się do niego zwracał z prośbą o pomoc, dopóki cokolwiek posiadał.

Potem bez słowa skargi pogodził się z losem, na który zasłużył, i był zadowolony, że nie wiedzie mu się jeszcze gorzej. Zawsze ślizgał się po powierzchni życia, może dlatego, że nie miał nikogo, kto by go nauczył traktować życie poważniej.

Od chwili kiedy Dagmara znalazła schronienie w jego domu, bardzo się zmienił. Nie był już dawnym Egonem, który tak jak w młodości szedł ślepy przez świat. Od dawna już spoglądał na świat i ludzi otwartymi oczyma

I niebagatelny wpływ na to miało jego obcowanie z Dagmarą. To ona życzliwą ręką wprowadziła go na drogę, na której odkrył kwiaty, które wcześniej dla niego nie kwitły. Swym mocno ukształtowanym charakterem młoda dziewczyna oddziaływała na niego, nie wiedząc o tym i nie pragnąc tego. I wówczas obudziła się w nim nagle bolesna świadomość, jak bezużytecznie przebiegło jego życie i jak głupio roztrwonił je na błahostki.

Żałując tego zrozumiał, że teraz, kiedy dobiega kresu swego życia, nic już w nim nie może zmienić.

W cichej pokorze wobec zasłużonego losu było przecież coś z wielkości. I ta wielkość oddalała go coraz bardziej od żony i córki. Ich małostkowość, powierzchowność i wyniosła duma docierały coraz wyraźniej do jego świadomości. Czuł, że jeśli Caterina i Elena nie odważają się nawet tego wypowiedzieć, zazdroszczą Dagmarze spadku i chętnie by go jej zabrały. Było mu ciężko na

sercu, że nie zatroszczył się dostatecznie o wychowanie swojej córki i że z lenistwa pozostawił swej żonie zbyt wielki wpływ na rozwój Eleny.

Teraz jednak czuł się zbyt wyczerpany i bezsilny, aby jeszcze coś zmienić. Nawet tego nie próbował, ponieważ z góry wiedział, że to wszystko jest bezużyteczne. I w ten sposób, zrezygnowany, pozwolił, żeby sprawy biegły własnym tokiem. Gdyby oczywiście przypuszczał, jakie przestępcze plany krążą po głowie jego żony i córki, wówczas może ocknąłby się jeszcze raz ze swego letargu. Ale o tym nie wiedział nic.

Podczas gdy Egon pogrążył się w swych ponurych myślach, matka i córka oddały się żywej rozmowie na temat kroju modnych sukien, nie zwracając na chorego żadnej uwagi. A on tęsknił za swoją troskliwą pielęgniarzką Dagmarą i zmartwiony zadawał sobie pytanie, czy nie przeciążyła się jego doglądaniem. Drżał na myśl o tym, że może wkrótce będzie ją musiał pożegnać, a przecież robił sobie wyrzuty, że już dużo wcześniej nie napisał do Rudolfa Strassera takiego listu jak ostatnio. Wstydził się tego i wyrzucał sobie, że powstrzymywał się tylko z powodu dodatkowych pieniędzy, jakie przynosił pobyt Dagmary.

Że z pieniędzy, jakie ojciec płacił na jej utrzymanie, Dagmara w ciągu lat miała coraz mniejszą korzyść, Egon wiedział zbyt dobrze. Prawie wszystko zabierały jego żona i córka na eleganckie drobiazgi, gdy tymczasem Dagmara musiała się zadowolić prostymi sukienkami, które nosiła dwu- lub trzykrotnie dłużej niż Caterina i Elena swoje kreacje. A mimo to Dagmara wyglądała zawsze miło i szykownie. Jakże szczęśliwym, godnym zazdrości ojcem stałby się Rudolf Strasser, gdyby wezwał swoje dziecko do domu. Egon zaś pragnął już tylko gorąco, by Dagmara stała się bezpieczna, nim on zamknie oczy na zawsze.

30

Następnego ranka Dagmara, bardzo blada, ale opiekuńcza i serdeczna jak zawsze, podjęła swe obowiązki przy chorym. Wujek Egon powiedział, że wprawdzie bardzo odczuwa jej brak, ale ona wygląda tak blado i mizernie, że musi ją zaraz wysłać na spacer, by zaczerpnęła świeżego powietrza.

Lekki uśmiech przebiegł po twarzy dziewczyny.

— Ale ja nie pozwolę się odesłać, wujku Egonie, robiłam już sobie wyrzuty, że z powodu drobnej niedyspozycji zostawiłam cię tak długo samego.

Spojrzał na nią pełen troski.

— Nie, nie, moje dziecko, ty, jak się zdaje, wcale nie jesteś jeszcze w dobrej formie — odparł z melancholijnym uśmiechem.

— Ależ, wujku Egonie, nic mi już nie jest.

— Zamezczasz się pielęgnowaniem mnie.

Popatrzyła na niego i pogłaskała go po przerzedzonych włosach.

— Kochany wujku, gdybym mogła więcej dla ciebie zrobić — powiedziała stłumionym głosem.

Ujął jej rękę.

— Może wszystko ułoży się dla ciebie pomyślnie, moje dziecko, mam dziwne uczucie, że mój list odniesie zamierzony skutek. I... wtedy mnie opuścisz.

Dagmara poczuła, że w jej wnętrzu podnosi się coś jakby kurczowy szloch. Z trudem go zdusiła. Ach, przecież już wiedziała, że nigdy nie będzie mogła wrócić do domu. Dom? Czy kiedykolwiek miała jakiś dom?

Nie odpowiedziała jednak nic, nie chciała się zdradzić, że wie wszystko i że stąd odejdzie tylko po to, by samotnie błądzić gdzieś po świecie. Ponieważ po tym, co od wczoraj przecierpiała, jedno było dla niej pewne, że nie może i nie chce pozostać w kasztelu, jeśli wujek Egon nie będzie jej już potrzebował. A bała się, że jego śmierć jest bliższa, niż sądził. Zbyt ostatnio się zmienił, zbyt wiele utracił sił.

Powstrzymując łzy przytuliła policzek do jego twarzy.

— Nie opuszczę cię tak długo, jak długo będziesz mnie potrzebował, wujku Egonie — powiedziała cicho.

Obserwował ją zaniepokojony. Wydała mu się dziś bardzo zmieniona. Czy tak strasznie dręczy ją to, że Rudolf jeszcze nie odpisał?

— Nie bądź tak niecierpliwa, moje dziecko, odpowiedź na mój list do twego ojca nie mogła jeszcze nadejść, musisz uwzględnić odległość. Ponadto nie wiadomo, czy twój ojciec znalazł czas, żeby od razu odpisać.

Zamknęła trwożliwie oczy, gdy wspomniał o ojcu. Z trudem jedynie zachowała spokój, a jej głos był całkiem zmieniony, gdy odparła:

— Nie jestem niecierpliwa, wujku Egonie. W każdym bądź razie możesz być spokojny, nie opuszczę cię, jak długo będziesz chory. A teraz chciałabym ci trochę poczytać.

Usiadła naprzeciw niego i zaczęła czytać. I czytała, póki nie nadszedł Giuseppe z pocztą, po którą wciąż jeździł do Sorino.

Egon Strasser spostrzegł natychmiast, że na gazetach, które przyniósł Giuseppe, leży list od Rudolfa Strassera; chwycił cały plik w taki sposób, żeby Dagmara nie mogła listu zauważyć.

Chciał go przeczytać najpierw, gdy zostanie sam. W przypadku, gdyby odpowiedź nie zawierała dobrych wiadomości, chciał na to Dagmarę delikatnie przygotować. Ukrył więc list pod gazetami, a potem, gdy Dagmara znów utkwiała oczy w książce, niepostrzeżenie wetknął do kieszeni. Po krótkiej chwili odezwał się:

— Wystarczy na dziś! Idź teraz na jakąś godzinkę na dwór, abyś w pełni przysła do sił.

— Mówiłam ci przecież, wujku Egonie, że jestem całkiem zdrowa, pozwól mi zostać przy tobie.

— Nie, przed obiadem powinnaś zaczerpnąć powietrza, żebyś miała dobry apetyt. Ja chciałbym się teraz trochę zdrzemnąć.

Podniosła się natychmiast.

— Dobrze. Wobec tego zostawiam cię.

Poprawiła mu jeszcze raz poduszki, dała mu pić i pogłaskała lekko po głowie.

Dziś Egon czuł się jeszcze gorzej niż zazwyczaj. Nie spał całą noc, gdyż był sam. Ponadto bardzo się zdenerwował „pielęgowaniem”, które mu zaaplikowały żona i córka Elena, nim odeszła wczoraj wieczorem, spytała:

— Nie jest chyba konieczne, żeby ktoś został przy tobie na noc? Egon wówczas pospiesznie zapewnił, że to faktycznie nie jest konieczne. Odetchnął, gdy został sam.

Dagmara skinęła wujkowi serdecznie głową. Ucieszyła się, że wyjdzie z zasięgu jego badawczych oczu, ponieważ jeszcze nie wróciła do sił, zwłaszcza że w nocy nie zmrużyła oka. Szybko pobiegła do drzwi wyjściowych, żeby przypadkiem nie spotkać ciotki Cateriny i Eleny. Ale jej pragnienie nie spełniło się. Akurat gdy miała wyjść na dwór, matka i córka przekroczyły próg, wracając ze spaceru. Z nie skrywaną ciekawością popatrzyły na bladą twarz Dagmary, która pod ich wzrokiem okryła się gwałtownie rumieńcem. Dziewczyna skuliła się pod ich zimnymi spojrzeniami i pełna trwogi odstaąpiła na bok. Z uniesionymi głowami obie damy przeszły obok niej, nie podejmując dziś nawet próby, żeby ją pozdrowić. Dagmara odczuła to milczące, dumne przejście jak policzek. Zauważyła, jak damy zebrały suknie, aby jej nimi przypadkiem nie dotknąć.

— Jakbym była trędowata — powiedziała do siebie gorzko.

I uciekła do parku. Byle dalej od nich, byle tylko nie patrzeć więcej w te zimne, dumne oczy i nie znosić więcej tej wyniosłej pogardy, rysującej się na ich nieczułych twarzach. Teraz dopiero zrozumiała sens tej pogardy i nienawiści. Bała się obiadu, podczas którego będzie musiała siedzieć przy stole naprzeciwko tych kobiet. Wciągała głęboko aromatyczne powietrze, które ją nieco odświeżyło.

Tymczasem Egon Strasser, zostawszy sam, otworzył osłabionymi rękoma list od kuzyna i zaczął czytać:

Drogi Egonie!

Ucieszyłem się z przesłanej przez Ciebie wiadomości, że Dagmara jest do mnie podobna. Daleś mi tym po raz pierwszy nadzieję, że jeszcze kiedyś uzyskam pewność, iż Dagmara jest moją córką. I właśnie zdarzył się cud: w godzinę później okazało się, że Dagmara jest rzeczywiście moim dzieckiem. Teraz mogę Ci wyznać, że cierpiałem niewymownie i z powodu swych wątpliwości, i z powodu rozłąki z moją córką. Wiem, jak bardzo wobec niej zawiniłem. Cała ta sprawa tak mnie wyczerpała, że nie mogę dziś opisać Ci wszystkiego szczegółowo, i proszę Cię tylko: przyślij mi moją córkę do domu, jak najszybciej. Wiem, że Ty nie jesteś zdrowy, a ja przy swej chorobie serca też nie czuję się na siłach, by wybrać się w taką podróż. Jeśli zatem chcę dożyć spotkania z moją córką, muszę zwrócić się z usilną prośbą do Twojej małżonki, żeby towarzyszyła Dagmarze w podróży. Chcę Caterinie jej dobroć wynagrodzić, a ośmielam się przedstawić swą prośbę tylko dlatego, iż mam nadzieję, że ta wyprawa będzie dla Twojej małżonki małym urozmaiceniem. Jeśli Twoja córka pozostanie Ci do towarzystwa, zgodzisz się, mam nadzieję, na to krótkie rozstanie z małżonką. Jeśli to nie byłoby możliwe, zatelegrafuj, abym mógł szybko znaleźć kogoś innego, kto przywiózłby Dagmarę. W każdym bądź razie, drogi Egonie, daj mi znać niezwłocznie, nie zapominaj, że jestem starym człowiekiem i w tym życiu liczę dni, a może już godziny. Moje serce jest wzburzone bardziej niż kiedykolwiek, odkąd wiem, że wkrótce powitam moją... córkę! Szczegóły później, gdy trochę się uspokoję, bo przecież to wszystko tak gwałtownie na mnie się zważyło. Nie mów mojej córce nic więcej tylko to, że ją z utęsknieniem wzywam do domu. O wszystkim innym powinna usłyszeć ode mnie osobiście. A dla Ciebie dzisiaj jedynie najserdeczniejsze podziękowanie, że stworzyłeś memu dziecku dom rodzinny. Jestem tak głęboko wzruszony tym, co się stało. Niech Bóg sprawi, żebym doczekał jeszcze powrotu mego dziecka.

Serdecznie Cię pozdrawiam.

Twój oddany Ci kuzyn Rudolf

Egon Strasser jedynie z wielkim trudem mógł utrzymać w słabnących rękach list Rudolfa. Wielka radość, że Dagmara została uznana przez ojca, że może wrócić do domu, uderzyła mu gorącą falą do głowy, ale jednocześnie jego pierś ścisnął gwałtowny ból. Doznane wzruszenie było zbyt wielkie dla słabych sił; chciał złożyć list, ale wypuścił go z rąk. Przed oczyma zrobiło mu się ciemno. Zaczął macać rękami wokół siebie, gdy nagle zabrakło mu tchu. Próbował się podnieść, jakby chcąc uciec przed śmiercią, ale nie mógł. Chwytając na oślep pustkę, wciągnął ostatni głęboki oddech, który wyzionął jak westchnienie; głowa opadła do tyłu, zgasłe oczy patrzyły nieruchomo w nicość... Egon Strasser zakończył życie.

Śmierć przyszła do niego szybko i bezboleśnie. Ostatnie silne emocje zniszczyły nadwątlony organizm. Egon spoczywał teraz spokojnie w swym fotelu, jego pragnienia spełniły się: Dagmara była bezpieczna, a on nie musiał rozstawać się z nią.

List Rudolfa Strassera pozostał na podłodze.

Prawie pół godziny Egon leżał w swym fotelu martwy i nikt się o niego nie zatroszczył. Wprawdzie żona i córka widziały, że jego pielęgniarzka Dagmara wyszła, wiedziały więc, że został sam. Ale miały ważniejsze rzeczy do zrobienia. Potem signorze Caterinie przypomniało się, że nie otrzymała od męża należnej kwoty na osobiste wydatki, więc postanowiła mu o tym powiedzieć.

Była zadowolona, że Dagmara jest jeszcze w parku, ponieważ nie chciała rozmawiać z mężem w jej obecności.

Nie mając o niczym pojęcia signora Caterina weszła do pokoju Egona i ujrzała go siedzącego w fotelu. Sądziła najpierw, że śpi, ale gdy podeszła bliżej, zobaczyła półotwarte, zgasłe oczy. Przerazona tym widokiem chwyciła go za rękę i puściła ją przestraszona: ręka była zimna, zdrętwiała, bez życia. Zbladłszy, zamknęła zgasłe oczy męża, których widoku nie była w stanie znieść.

Stała wytrącona z równowagi. Nie chciała uwierzyć, że ma przed sobą zmarłego, a czuła to z całą pewnością. Zakryła twarz rękoma i padła na kolana.

— Egonie! Och, *Dio mio*, Egonie! Nie wiedziałam, że byłeś tak chory — wykrztusiła ochryłym głosem.

I to, co jeszcze w niej pozostało dobrego, utorowało sobie teraz drogę w gwałtownych łzach. Kiedyś kochała tego człowieka, na swój sposób oczywiście, i teraz chwila rozstania ożywiła znów na moment wygasłe uczucie.

Tak więc płacząc klęczała jakiś czas przy zmarłym. A kiedy chciała się podnieść i zawołać córkę, dostrzegła na podłodze list. Co to był za list? Musiał się wyśliznąć z rąk zmarłego, nadszedł chyba z poranną pocztą. Czyżby ten list tak zdenerwował jej małżonka, że nieszczęsny Egon wyzionął ducha przy tej lekturze?

Och, *Dio mio*, co może zawierać ten list — myślała i była przekonana, że przynosi jakąś złą wiadomość. Ocierając łzy zaczęła czytać i w trakcie tego zaszła w niej dziwna przemiana. W oczach błysnął gniew. Jej ból po stracie męża nie był tak wielki, żeby jeszcze nadal dominować. To, co przynosił list, znaczyło bardzo dużo... znaczyło wszystko!

Dagmara wezwana do domu? Dagmara uznana przez ojca? Nie, to było nie do przyjęcia, należało temu za wszelką cenę zapobiec. Teraz Egon nie zdoła już stanąć jako przeszkoda między nią i jej planami, teraz droga dla Eleny była wolna, a wraz z Eleną i dla niej! Drżącymi rękoma wsunęła list za dekolt sukni. Trwożnym spojrzeniem obrzuciła zmarłego, a potem odwróciła się. Najpierw trzeba zyskać czas do namysłu, wszystko dojrzałe rozważyć! Dotąd zajmowała się planem

zamiany ról, teraz przyszedł czas, aby go urzeczywistnić. Gra szła o wszystko. Jej małżonek, jak się wydaje, napisał do Rudolfa Strassera, że Dagmara jest do niego podobna. No cóż, Elena była również do niego podobna. Wszystko się składało tak, jak tego chciała, i nikt nie mógł jej teraz przeszkodzić w uzyskaniu spadku.

Dagmara nie mogła zobaczyć tego listu, nie mogła się dowiedzieć, że ojciec wezwał ją do domu, że w jego oczach nie jest już bękartem. Starzy mężczyźni robią się dziwaczeni i pozwalają się oszukiwać. Dagmara musi być utrzymana w przekonaniu, że jest dzieckiem hańby, że nie ma żadnych praw i pozostanie na wygnaniu. Wtedy nie będzie z nią kłopotów. Tylko najpierw trzeba zyskać na czasie...

Znowu rzuciła spłoszone spojrzenie na zmarłego. Czy nie patrzył na nią groźnie przez zamknięte powieki? Jak ścigana wypadła z pokoju, zostawiając za sobą otwarte drzwi; biadała głośno i lamentowała. Elena wybiegła jej naprzeciw.

— Co się stało, mamó?

— O moje dziecko, moja Eleno, twój ojciec, twój biedny ojciec nie żyje!

Krzyki obu kobiet ściągnęły Mariettę. Rzuciła się do otwartych drzwi i zajrzała do pokoju, gdzie w fotelu siedział martwy Egon Strasser. Ona także podniosła wielki krzyk, który przywołał resztę służby. Stella i kucharka zaczęły żywo zawodzić, jak to czynią kobiety z Południa, a Giuseppe popędził zaprząć konie do karety, aby przywieźć ze wsi doktora.

Gdy Dagmara chwilę później, nie podejrzewając niczego, wróciła z parku, zastała lamentujące kobiety przed otwartymi drzwiami pokoju chorego. Przestraszona zatrzymała się i zobaczyła martwego wujka Egona i ciotkę Caterinę klęczącą u jego stóp.

Wstrząśnięta wpatrywała się w bladą twarz zmarłego i nie ośmieliła się podejść bliżej, ponieważ ciotka Caterina zmierzyła ją wrogim spojrzeniem.

— Co się stało? — wyjąkała Dagmara.

Stella poinformowała ją, że właśnie przed chwilą znaleziono signora martwego.

Dagmara przycisnęła ręce do serca i wielkie łzy niemego, lecz szczerego bólu popłynęły jej po policzkach.

— Idź do swego pokoju, jesteś bez sumienia. Biegałaś sobie gdzieś, a ten biedny człowiek musiał umrzeć samotnie. Idź sobie, nie chcę cię tutaj widzieć, jesteś tu niepotrzebna — zbesztła ją signora Caterina.

Mimo że ten zarzut wobec Dagmary był niesłuszny, dziewczyna nie odezwała się ani słowem, rzuciła tylko długie, smutne spojrzenie na zmarłego. Biedny wujek Egon, był zupełnie sam, kiedy zaskoczyła go śmierć. Ach, że też pozwoliła mu się odprawić! Teraz znalazł spokój, na zawsze. Po co go opłakiwać? Wreszcie mógł spokojnie wypocząć od wszelkich udręk i bied. Zazdro-

ściła mu prawie tego spokoju. I jedno wiedziała na pewno: Straciła jedyne prawdziwego przyjaciela, jakiego posiadała w tym domu.

31

Przybyły lekarz stwierdził, że Egon Strasser nie żyje. Wystawił świadectwo zgonu. Powiedział wdowie, że śmierć była szybka i bezbolesna, że jej tak prędko nie oczekiwał, z pewnością jakieś silne przeżycie jest przyczyną tak nagłej śmierci.

Signora Caterina przyjęła lekarza jak zwykle sama i oznajmiła, że jej córka i kuzynka są z bólu zupełnie nieprzytomne i nie chcą z nikim rozmawiać.

Egon Strasser został pochowany w grobowcu Consistellich. W ostatniej drodze towarzyszyła mu tylko żona, córka i kuzynka, służba i dzierżawca. Signora Caterina szła za trumną między Dagmarą i Eleną. Dagmara dziwiła się w duchu, że ciotka Caterina opiera się ciężko na jej ramieniu, gdy tymczasem Elena idzie swobodnie obok niej. Zaraz po pogrzebie markiza odesłała Dagmarę do jej pokoju. Potem zamieniła kilka słów z księdzem, który jej złożył kondolencje, a signora, nie zapominając o swych planach, powiedziała do niego, wskazując oddalającą się Dagmarę:

— Moja biedna córka Elena jest całkowicie wytracona z równowagi z powodu śmierci ojca, boję się, żeby się nie rozchorowała

Potem zaś zwróciła się do Eleny, która stała obok niej:

— Chodź, kochana Dagmaro, pocałuj przewielebnego w rękę.

Signora Caterina wiedziała, że na szczęście dla jej zamierzeń poprzedni ksiądz, który znał Dagmarę i Elenę, bo przygotowywał je do bierzmowania, został niedawno przeniesiony do Rzymu. Jego młody następca widywał co prawda dziewczęta, ale ich nie rozróżniał i dlatego nie był zdziwiony, gdy markiza przedstawiła mu Elenę jako Dagmarę.

Gdy ksiądz odjechał, signora ujęła Elenę pod rękę i podeszła z nią do dzierżawcy, który także zamierzał się już oddalić, i z niecodzienną u niej łaskawością odezwała się do starego człowieka.

— W przyszłości będzie pan musiał załatwiać wszystkie sprawy ze mną, teraz jednak udaję się w podróż i chyba dłuższy czas mnie nie będzie. Ale mam nadzieję, że po powrocie zastanę wszystko w porządku.

Dzierżawca wykonał niezgrabny ukłon i zapewnił ją o swym oddaniu i wierności.

— Karetę i konie, na czas mej nieobecności, pozostawię w pańskim obejściu, ponieważ jestem zmuszona zwolnić służbę. Odwiozę swoją kuzynkę do Niemiec, do jej ojca — powiedziała

wskazując na Elenę. — W kasztelu pozostanie tylko Marietta z moją córką, której stan zdrowia napawa mnie wielkim zmartwieniem. Śmierć ojca nadwerżyła jej nerwy i najlepiej wypocznie w nie zakłóconej niczym ciszy kasztelu. Podczas mojej nieobecności Marietta zaopatrzy ją we wszystko, czego jej będzie trzeba. Przed swoim wyjazdem zajrzę jeszcze do pana i wszystko z panem omówię.

Dzierżawca skłonił się ponownie i zdziwił się tylko w duchu, że signora tak miło z nim rozmawia; zawsze uważał ją za niezwykle dumną, bowiem dotąd nie odezwała się do niego nigdy ani jednym słowem. Ale wcale się oczywiście nie zdziwił, że Elena została przedstawiona jako kuzynka signory. Znał wprawdzie z widzenia obie młode damy, ale nie wiedział, która jest córką, a która kuzynką signory. Markiza była bardzo zadowolona, ponieważ i wobec księdza, i wobec dzierżawcy „uwierzytelniła” Elenę jako swoją kuzynkę. Początek był zrobiony.

Uprzejmie pożegnała dzierżawcę i wróciła do kasztelu. Tutaj kazała natychmiast zwołać służbę i powiadomiła ją o zwolnieniu.

— Opuszczamy kasztel i już was nie potrzebujemy. Tylko Marietta zostanie tutaj z moją córką, podczas gdy ja będę towarzyszyła mojej kuzynce w podróży do Niemiec. Każdemu dam rekomendację do hrabiego Ulfino we Florencji, gdzie zawsze potrzeba uczciwej służby. Tam wszyscy możecie się nieźle dorobić. Żebyście zaś mogli poszukać sobie spokojnie nowej posady, otrzymacie odprawę za trzy miesiące naprzód. Dzierżawca odwiezie was do stacji. Ale musicie odjechać najpóźniej jutro rano.

Zwolnieni ludzie byli całkiem zadowoleni, że na tak korzystnych warunkach zamienią ponury kasztel na pogodną Florencję. Spiesznie zabrali się do pakowania swych rzeczy.

Następnego ranka dzierżawca odwiózł wszystkich na stację. Dostał od signory polecenie, żeby pozostawił karete w swoim obejściu, a określonego dnia przyjechał po markizę i jej „kuzynkę”.

W ten sposób oszukańczy plan przebiegał bez zakłóceń, po myśli matki i córki, które jeszcze raz omówiły wszystko z Mariettą. Dagmarze polecono, aby stale przebywała u siebie. Marietta przynosiła jej jedzenie i pozornie wcale się o nią nie troszczyła. W rzeczywistości jednak Dagmara była pilnie strzeżona i nie mogła ani na krok ruszyć się ze swego pokoju. Zabrano ją tylko na pogrzeb wujka z określonych zresztą powodów.

Signora Caterina promieniowała zadowoleniem. Żałoba po mężu nie przeszkodziła jej przemyśleć gruntownie swych planów. Toteż wszystko było teraz przygotowane do najmniejszego szczegółu.

Jeszcze w dniu śmierci Egona markiza napisała do Rudolfa Strassera:

Drogi kuzynie Rudolfie!

Radość z Twojego listu była ostatnią radością mego biednego, kochanego męża. Zaraz po tym, jak otrzymał Twą prośbę, dotyczącą powrotu Dagmary do domu, zabrała go szybka i bezbolesna śmierć. Możesz sobie wyobrazić, jak bardzo jesteśmy przygnębieni. Także nasza kochana Dagmara jest niezwykle smutna, przywiązała się bowiem całym sercem do naszego drogiego zmarłego.

Jestem gotowa towarzyszyć Dagmarze do Hamburga, gdyż ona nie może się jeszcze przyzwyczaić do myśli, że musi się ze mną rozstać, chociaż, oczywiście, bardzo się cieszy, że wreszcie będzie mogła wrócić do domu. Chętnie zabrałabym także moją córkę Elenę, aby trochę oderwać ją od żalonych myśli, ale tak niezmiernie wzięła sobie do serca śmierć ojca, że tęskni tylko do samotności! Biedne dziecko stało się tak melancholijne, że nie mogłabym go opuścić, gdyby nasza wierna stara służąca Marietta nie zaopiekowała się nim równie troskliwie jak ja. Skoro tylko nasz drogi zmarły zostanie pochowany w grobowcu moich przodków, podejmiemy przygotowania do podróży, żebyś nie musiał długo czekać. Gdy będziemy wyjeżdżać, przekażę Ci jeszcze telegraficznie wiadomość, kiedy możesz nas oczekiwać.

Z serdecznymi pozdrowieniami.

Twoja kuzynka Caterina

Matka i córka trochę się jednak niepokoiły, choć nie dawały tego po sobie poznać. Przede wszystkim bały się oczu Rudolfa Strassera. Mimo że Elena, podobnie jak Dagmara, była blondynką i miała brązowe oczy i mimo że Dagmara od czternastu lat przebywała z dala od domu, podjęta zamiana pociągała za sobą pewne ryzyko. Dobrze się stało, że Egon napisał do swego kuzyna o podobieństwie rodzinnym Dagmary, ono u Eleny także było wyraźne i ta okoliczność dodawała markizie i jej córce odwagi.

Ta ich odwaga jeszcze się znacząco umocniła. Na dzień przed ich odjazdem nadszedł z Hamburga telegram, powiadamiający o śmierci Rudolfa Strassera. Brzmiał on:

Rudolf Strasser zmarł dziś rano. Powrót Dagmary Strasser usilnie pożądanym. Prosimy telegrafować, kiedy nastąpi przyjazd.

Prokurent Herman Falkner

Depesza była adresowana na Egona Strassera, a więc Rudolf nie otrzymał przed śmiercią listu Cateriny, w którym powiadamiała go o zgonie swego męża. Dziwny przypadek zrządził, że Rudolf zmarł w dniu pogrzebu swego kuzyna.

Matka i córka spojrzały na siebie rozpromienione, gdy przeczytały ten telegram.

— Niebiosa są dla nas łaskawe, teraz nie istnieje już żadne niebezpieczeństwo. Możesz obejmować swój spadek, Eleno! — powiedziała signora radośnie podniecona. Elena poderwała się uradowana.

— Ach, jak dobrze wszystko się składa, teraz faktycznie nie ma już żadnego niebezpieczeństwa, teraz mogę znakomicie odegrać swoją rolę wujka Rudolfa trochę się jednak bałam.

— To bardzo korzystny zbieg okoliczności, Eleno. Od tego zaś, jak odegrasz swoją rolę, zależy wszystko. Teraz wreszcie będziemy mogły prowadzić życie, jakie nam się należy. Przeszkody są usunięte. I nie musimy wcale zatrzymywać się dłużej w tych nudnych Niemczech. Drobnostką będzie uzyskanie dużej sumy, aby móc znowu prowadzić życie w wielkim stylu. Oświadczysz po prostu twojemu prokurentowi, że się tak przyzwyczaiłaś do życia we Włoszech, że życzysz sobie tam wrócić. Potrzebne pieniądze mają ci być zawsze przekazywane do Włoch; Rudolf był ogromnie bogaty, nie będziemy musiały oszczędzać. Postąpiłybyśmy naprawdę głupio, gdybyśmy zmarnowały taką okazję powrotu do życia na wysokiej stopie. Od dziś jesteś Dagmarą Strasser, na szczęście musisz zmienić tylko imię. Paszporty wystawi nam bez żadnych ceregieli naczelnik gminy, zna mnie i to wystarczy. Przedstawię cię jako moją kuzynkę Dagmarę i wszystko pójdzie gładko.

Przywołały Mariettę i powiadomiły ją, że Rudolf Strasser nie żyje. Za zamkniętymi drzwiami rozpoczęła się nowa narada trzech kobiet. Marietta miała trzymać Dagmarę w kasztelu jak więźnia. Od jutra nikt nie może wejść do budynku. Dzierżawca ma dostarczać żywność tylko do bramy i wtedy Dagmara musi przebywać w swoim pokoju. Wejście do bocznego skrzydła kasztelu i brama parkowa mają być zawsze zamknięte. Dagmara może jednak codziennie spędzać kilka godzin w parku, oczywiście tylko w towarzystwie Marietty, która ją powinna powstrzymać od jakiegokolwiek próby ucieczki. Zresztą przez wysoki mur otaczający park i tak z trudem mogłaby uciec. Marietta była krępa, mocną kobietą, która w razie potrzeby, w przypadku gdyby Dagmara okazała się nieposłuszna, mogła użyć wobec niej siły. Jeśli dziewczyna będzie uległa, wtedy powinno jej być tutaj tak dobrze, jak to tylko możliwe.

Gdy dzierżawca przyjechał po służbę, signora Caterina omówiła z nim dokładnie, jakie produkty żywnościowe ma dostarczyć każdego tygodnia w określonym dniu i o określonej godzinie. W ten sposób wszystko zostało jak najlepiej ułożone. Matka i córka złożyły naturalnie Mariettcie różnorakie obietnice, ale te starej służącej nie były potrzebne. Była szczęśliwa, że jej *bella marchesa* przystała na jej plan i teraz znowu będzie mogła żyć w splendorze i luksusie. Zamierzała już sama zatroszczyć się o to, żeby „Niemka”, inaczej Dagmary nie nazywała, była posłuszna Jej *bella marchesa* i kochany aniołek Elena powinny być zupełnie spokojne i bez trosk cieszyć się życiem.

Signora obiecała swej wiernej słudze, że ilekroć zajrzy do kasztelu, wtedy zawsze przywiezie jej wiele pięknych rzeczy, które ją na pewno ucieszą. Marietcie niczego nie powinno brakować, a żeby nie miała zbyt dużo roboty, wszystkie pomieszczenia, które nie muszą być użytkowane, zostaną zamknięte.

32

Po pogrzebie wujka Egona Dagmara nie widywała nikogo poza Mariettą. Nie zauważyła odjazdu służby, gdyż okna jej pokoju wychodziły na tyły budynku.

W końcu Marietta któregoś dnia powiedziała jej, że służba została zwolniona, ponieważ markiza ze swą córką opuszczają kasztel, aby udać się w podróż. Dagmara spojrzała zdziwiona na starą sługę.

— A co będzie ze mną? — spytała zatrwożona.

— Tego dowie się pani od markizy w odpowiednim czasie — odparła Marietta i wyszła.

Dagmara w tych dniach samotności nieustannie myślała o tym, co się z nią teraz stanie. I podjęła decyzję, żeby napisać do Rudolfa Strassera. Chciała go powiadomić, że niedawno dowiedziała się, iż nie jest jego córką, i dlatego też nie chce być jego sukcesorką, bo nie czuje się do tego uprawniona. Gdyby tylko zechciał być tak dobry i pomógł jej jeszcze opuścić kasztel i uzyskać jakąś posadę! Dzięki jego dobroci otrzymała przecież znakomite wykształcenie i nauczyła się dostatecznie dużo, aby w jakiś sposób zarabiać na chleb.

Dagmara napisała ten list i gdy Marietta znów zjawiła się u niej, przekazała go jej z prośbą o doręczenie signorze Caterinie, ażeby go poleciła wysłać wraz z inną pocztą.

Marietta wzięła list i zaniósła swojej pani. Ta po prostu podarła go na kawałki i kazała powiedzieć Dagmarze, że list zostanie wysłany i że markiza będzie jeszcze z nią o tym mówić.

Marietta wróciła do Dagmary i wypełniła polecenie. Dagmara podziękowała. Od kilku dni służąca ku zdumieniu dziewczyny powstrzymywała się od wszelkich wrogich kroków wobec niej, czego Dagmara nie umiała sobie wyjaśnić, choć ją to bardzo przyjemnie zaskoczyło, bowiem sądziła, że po śmierci wujka Egona Marietta stanie się jeszcze bardziej wroga i nienawistna.

W końcu nadszedł dzień, w którym signora i Elena zamierzały odjechać. Wczesnym raniem Marietta weszła do pokoju Dagmary i poleciła jej natychmiast wstać, gdyż markiza chce z nią mówić. Dagmara podniosła się spieszenie i ubrała. Ledwie się z tym uporała, gdy zjawiła się signora Caterina. Była już ubrana do podróży.

— Przyszłam cię powiadomić, że za chwilę wyjeżdżamy. Niepotrzebnie pisałaś do pana Strassera. Dał mi już wskazówki co do twoich dalszych losów.

Lekki rumieniec pojawił się na bladej twarzy Dagmary.

— Czy mogę spytać, co pan Strasser zdecydował w mojej sprawie?

— Oczywiście. Jestem tutaj, żeby ci to powiedzieć. Masz pozostać w kasztelu. Marietta zają się o wszystko, czego będziesz potrzebowała, także o jedzenie i picie. Dom, poza kilkoma pokojami, zostanie zamknięty, żeby Marietta nie miała zbyt wiele pracy ze sprzątaniem. Pozostała służba została zwolniona. Biblioteka stoi dla ciebie otworem, masz także fortepian, na którym możesz sobie pograć. Na niczym nie powinno ci zbywać, możesz się tutaj całkiem wygodnie urządzić, musisz jednak słuchać Marietty. Czy masz jeszcze jakieś życzenia?

Dagmara słuchała z bijącym sercem. Pełna obaw oczekiwała na jakieś nowe wrogie posunięcia, ale, jak się wydawało, signora była usposobiona łaskawie. Dziewczyna zebrała się więc na odwagę i oznajmiła:

— Chciałabym jednak raczej opuścić kasztel i spróbować stanąć na własnych nogach. Po wszystkim, co mi Elena powiedziała o moim pochodzeniu, nie chcę dłużej być dla pana Strassera ciężarem.

Wyrażna niechęć pojawiła się na twarzy signory.

— Żyłaś dotąd z jego łaski, to możesz robić to nadal. Bądź zadowolona i wdzięczna, że znajdziesz tutaj bezpieczny azyl do końca swoich dni.

Dagmara zerwała się.

— Do końca moich dni? Nie, signoro, tego nie mogłabym znieść. Co miałabym począć w przygnębiającej ciszy tego domu? Nie mam żadnych obowiązków, nie mam tu nic do roboty, a przede wszystkim jestem zbyt dumna, żeby żyć z jałmużny. Jak długo nie wiedziałam, że jedynie łaska pana Strassera zapewnia mi tę siedzibę, mogłam to znieść. Teraz tęsknię za tym, żeby zrzucić kajdany, które mnie wiążą z kasztelelem.

Zimnym, okrutnym spojrzeniem zmierzyła signora poblada dziewczynę.

— Niesłychane! Jak jeszcze możesz mówić z taką dumą? Ciesz się, że hańba twego urodzenia może zostać tutaj ukryta. W świecie pokazywano by cię palcami, a pan Strasser nie życzy sobie, żeby hańba twego urodzenia była znana, ponieważ nosisz jego nazwisko.

Dagmara zrobiła się śmiertelnie blada.

— Co ja mogę poradzić na to, że jestem urodzona z nieprawego łoża?

— Ale jednak jesteś i powinnaś być wdzięczna, że ci się zapewnia beztróski, spokojny azyl. Jak więc już powiedziałam, możesz się tutaj urządzić całkiem wygodnie. Czego chcesz szukać w świecie? Może męża? Żaden uczciwy mężczyzna nie poślubi bękarta.

Dagmara drżącą ręką przeciągnęła po czole.

— Zdaję sobie z tego sprawę. I dlatego też wcale nie myślę o tym, żeby wychodzić za męż. Chcę tylko być wolna od brzemienia wdzięczności, które wbrew mojej woli włożono mi na ramiona.

— Nie przesadzaj! Nie masz prawa zachowywać się tak dumnie i powinnaś się cieszyć, że ktoś chce się tak wspaniałomyślnie o ciebie troszczyć. Zostaniesz tutaj, tak jak postanowiono.

Dagmara zacisnęła kurczowo rękę.

— Sama? Tutaj w kasztelu? Z Mariettą, która mnie nienawidzi?

— Przestała cię nienawidzić, my także pozbyliśmy się nienawiści, bowiem Rudolf Strasser wydziedziczył cię. Jego sukcesorką będzie Elena i tym samym nasza nienawiść stała się bezpodstawna. Ja też życzę ci dobrze. Tutaj możesz żyć w spokoju. Pogódź się z nieuchronnym losem i znoś go ze spokojem i godnością. A teraz nie zatrzymuj mnie dłużej. Czasem zajrzę tutaj z Eleną i jeśli będziesz miała jakieś życzenia, które będą się mieścić w ramach tego, co dla ciebie przeznaczono, jestem gotowa je spełnić.

Z tymi słowami signora chciała się oddalić. Dagmara jednak zastąpiła jej drogę i zwróciła się do niej zdecydowanie:

— Proszę, niech pani skłoni pana Strassera, aby powziął co do mnie inną decyzję, jak go o to prosiłam w moim liście... Ja... ja nie chcę tutaj zostać!

Ostatnie słowa zawołała jakby dręczona nieokreśloną trwogą,

Z roziskrzonymi ze złości oczyma signora odepchnęła ją na bok.

— Zostaniesz tutaj i będziesz posłuszna, w przeciwnym razie zastosujemy inne środki!

Z tymi słowami opuściła pokój, trzasnąwszy drzwiami.

Zaskoczona i zdumiona Dagmara zatoczyła się na ścianę. Ochłonąwszy nieco, zadała sobie pytanie: Co powinna uczynić? Jedno było dla niej jasne, że w żadnym wypadku nie chce tutaj żyć na koszt Rudolfa Strassera. Raczej woli wykonywać najcięższą i najpodlejszą pracę. Musi przecież istnieć jakaś możliwość zarabiania na chleb. Niezdecydowana opadła na fotel i zastanawiała się, co robić dalej.

Chwilowo nie pozostawało jej zresztą nic innego jak wytrwać w kasztelu. Może Rudolf Strasser zmieni zdanie, gdy przeczyta jej list...

Siedziała tak długo w zamyśleniu i nie wiedziała, co ma począć. Czowała się nieskończenie osamotniona i porzucona.

Powoli podniosła się i podeszła do okna. Spoglądała zamglonym wzrokiem w dal ponad parkiem na ostry wierzchołek góry, który wznosił się nad kasztelem jak kamienny strażnik. Dziś

wydał się jej nadzwyczaj groźny i niesamowity. Także wysoki mur wokół parku przejmował ją grozą.

W tym momencie dobiegł do jej uszu turkot kół. To chyba odjeżdżała karetą z obiema damami. Dagmara nie mogła tego widzieć, jedynie to słyszała, nagle jednak wydało się jej, że nie może pozwolić signorze odjechać, nim nie spróbuje jeszcze raz poprosić ją, by zwróciła jej wolność.

Podbiegła do drzwi. Gdy jednak chciała je otworzyć, stwierdziła, że są zamknięte. Zdarzyło się to nie po raz pierwszy w tych dniach, ale ona nigdy tego nie zauważyła. Przestraszona patrzyła na drzwi. Co to miało znaczyć? Dlaczego ją zamknęto?

Szarpała klamką ze wszystkich sił, ale drzwi nie ustępowały. Wtedy pobiegła do okna i zaczęła przywoływać Mariettę tak głośno, jak tylko potrafiła. Ale ta pobiegła do parkowej bramy, aby ją zamknąć za odjeżdżającym powozem.

Przy bramie pożegnała się w potokach łez ze swą *bella marchesa* i „signoriną Dagmarą”, jak teraz miała nazywać Elenę. Marietta wciąż głośno wymieniała to imię, aby dzierżawca mógł je usłyszeć. Ten podśmiewał się trochę z egzaltowanego zachowania Marietty. Wielkie łzy spływały starej służce po policzkach. Marietta mogła być nawet „diabłem”, jak ją często nazywał Egon Strasser, ale za swoją *bella marchesa* skoczyłaby w ogień i pożegnanie z nią sprawiało jej prawdziwy ból. Długo kiwała ręką za kareta, a potem płacząc i szlochając cofnęła się za bramę, którą z wielkim trudem zamknęła, bowiem skrzydła bramy były bardzo ciężkie. Starannie przekręciła dwa razy wielki klucz i wyciągnęła go z zamka. Potem ruszyła ku kasztelowi, wciąż pochlipując. Kiedy się do niego zbliżyła, usłyszała wołanie Dagmary. Szybko osuszyła łzy.

— Poczekaj trochę, mój gołąbeczku, gdzie ci się tak spieszy — mruknęła pod nosem.

To ona sama zamknęła po cichu drzwi do pokoju Dagmary, gdy przybył dzierżawca kareta, aby zabrać damy. Teraz najpierw schowała klucz od bramy do skrzynki, którą przechowywała w swym pokoju. Tam też leżał już klucz od pomieszczenia, w którym trzymano jedyną drabinę, jaka znajdowała się w kasztelu. Ta drabina nie mogła być w żadnym wypadku dostępna dla Dagmary. W skrzynce leżały ponadto klucze do zamkniętych pomieszczeń domu. Marietta ukryła starannie tę skrzynkę w szafie pod swoją bielizną. Dopiero teraz poszła na górę do Dagmary, która wciąż głośno ją wzywała. Dziewczyna była tak wzburzona tym, że ją zamknęto, że najchętniej wyskoczyłaby przez okno. Ale jej pokój znajdował się na drugim piętrze, a pod nim na dole były twarde, kamienne płyty. Wyskoczyć z okna znaczyło znaleźć niechybną śmierć.

— Co się dzieje? Czemu woła mnie pani tak głośno? Jestem już przecież — zawołała Marietta z wymuszonym uśmiechem.

Dagmara natarła na nią.

— Dlaczego mnie zamknięto? — spytała, ochrypła ze zdenerwowania. Marietta roześmiała się głośno.

— Zamknięto? Ależ mój gołąbeczku, moja słodka signorino Eleno, pani się pomyliła. Drzwi cały czas były otwarte.

— Nie, były zamknięte, nie mogłam ich otworzyć.

— Och, *Dio mio!* One czasami zacinają się trochę. Dagmara patrzyła zdziwiona na otwarte teraz drzwi.

— Były jednak zamknięte! — upierała się.

— Coś się pani pomyliło, signorino Eleno. Dagmara spojrzała zdumiona na starą służącą.

— Dlaczego nazywa mnie pani Eleną?

— Och, *Dio mio*, przecież pani jest signoriną Eleną, córką *mia bella marchesa*.

Dagmara potrząsnęła głową i niespokojnie, badawczo wpatrywała się w Mariettę, jakby zwątpiła w jej zdrowy rozum.

— Panie wie doskonale, Marietto, że nie jestem Eleną, lecz Dagmarą Strasser.

Marietta zaśmiała się znowu i potrząsnęła głową jakby rozbawiona.

— Ależ nie, mój gołąbeczku, pani stroi sobie żarty ze starej Marietty. A może dziecinka za bardzo się zdenerwowała, że mama, *mia bella marchesa*, odjechała bez niej? To pewnie o to chodzi, signorino Eleno. Pani jest chora i trochę się pani mąci w głowie, musi pani zostać tutaj, w zaciśniętym kasztelu, żeby biedne nerwy odpoczęły i żeby dziecinka zrozumiała, że nie jest tą wstrętną Niemką, która odjechała z markizą, lecz signoriną Eleną. Uspokój się, mój gołąbeczku, zaraz przyniosę na górę śniadanie. Albo nie, podam je w bibliotece, aby mój gołąbeczek nie wpadł znów na chorobliwy pomysł, że jest zamknięty w pokoju. *Adio*, signorina Elena, za dziesięć minut w bibliotece będzie podane śniadanie.

I skinąwszy Dagmarze głową, z obrzydliwie słodkim uśmiechem na twarzy, wyszła z pokoju, zostawiając drzwi otwarte na oścież.

Dagmara stała jak sparaliżowana i patrzyła za Mariettą. Chwyciła się rękoma za głowę i próbowała przekonać samą siebie, że nie śni. Co to wszystko miało znaczyć? Dlaczego stara, wbrew swym dotychczasowym zwyczajom, była tak służalcza i przyjazna i dlaczego nazywała ją Eleną? Czy miał to być głupi żart?

Dagmara podbiegła do drzwi, zamknęła je i otworzyła kilka razy. Nic nie wskazywało na to, żeby mogły się zacinać. Nie, przedtem były z całą pewnością zamknięte. Ale dlaczego teraz stoją otworem? Przeciągnęła ręką po włosach i nagle rozśmieszyło ją to, że przed chwilą poczuła taki strach, gdy stwierdziła, że nie może wydostać się z pokoju. Zeszła schodami na dół, zbliżyła się do

drzwi wyjściowych i nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte. To zdarzało się wprawdzie dość często, ale wtedy klucz tkwił w zamku. Teraz go nie było.

Znowu Dagmara zawołała Mariettę. Ta wyszła z kuchni, niosąc tacę ze śniadaniem.

— Dlaczego drzwi wyjściowe są zamknięte, Marietto? — spytała tak spokojnie, jak tylko potrafiła

— O mój gołąbeczku, my słabe kobiety jesteśmy same w domu, to dla nas bezpieczniej, jeśli będziemy się zawsze zamykać.

— Chciałabym jednak wyjść do parku!

— Przecież nie przed śniadaniem, signorino Eleno, przecież nie przed śniadaniem!

— Zabraniam pani, Marietto, nazywać mnie Eleną. Wie pani bardzo dobrze, że mam inne imię!

— Och, och, *mia povera* signorina Elena, jakże mi przykro, że pani mówi tak bałamutnie. Śmierć pani ojca i wyjazd mamy zmąciły nieco pani umysł, ale to z pewnością ulegnie zmianie.

Oczy Dagmary zaiskrzyły się teraz gniewnie. Zauważyła wreszcie, że Marietta zmierza do całkiem określonego celu, nazywając ją ciągle fałszywym imieniem. Marietta tymczasem weszła do biblioteki i postawiła tacę na niewielkim okrągłym stole pod oknem.

— Signorina Elena, tu na tym stole będę pani podawać wszystkie posiłki. Jest wystarczająco duży dla jednej osoby, prawda, signorino Eleno?

Dagmara podeszła do niej i popatrzyła jej prosto w oczy.

— Jaki właściwie ma pani w tym cel, Marietto, żeby mnie wciąż nazywać Eleną?

We wzroku starej służącej dało się dostrzec złośliwość.

— Nie mam żadnego celu. Chcę panią po prostu przekonać, że jest pani Eleną Strasser. I nic więcej — odparła cierpko.

Teraz Dagmara zapłonęła gniewem.

— Ja jednak nie jestem Eleną. Co za diabelskie sztuczki kryją się za tym?

— Och, *mia povera* signorina, co ma się za tym kryć? Nic, mój gołąbeczku, poza tym, żeby pani zechciała wreszcie zrozumieć, że jest pani signoriną Eleną. Musi to pani zrozumieć. Ponieważ jeśli pani tego nie pojmie, zostanie pani umieszczona w szpitalu, gdzie zamyka się ludzi, którzy mówią od rzeczy. A tego by pani nie chciała, signorino Eleno, prawda?

Dagmara całkiem osłupiała. Stara służąca grozi jej szpitalem wariatów? Co to ma znaczyć?

Przemogła się, aby się bronić przeciwko rodzącemu się w niej uczuciu strachu.

— Wydaje mi się, Marietto, że pani sama nadaje się do szpitala wariatów, jeśli pani twierdzi, że jestem Eleną. Jestem Dagmarą Strasser, nikim innym.

— Och, *Dio mio*, niech się pani cieszy, że nie jest pani tą niemiecką przybłądą, która nie ma ojca i matki i jest żebraczką. Niech się pani cieszy, że może pani być signoriną Eleną, i niech pani nie plecie więcej podobnych bzdur, bo się rozgniewam, rozumie pani, bardzo się rozgniewam!

I popatrzyła na Dagmarę tak groźnie, że ta nie ośmieliła się już nic odpowiedzieć. Ale jedno stało się dla niej jasne: Marietta tak samo nie straciła rozumu jak ona. Musiano więc uknuć wobec niej jakąś diabelską intrygę. Ale jaki był tego cel? Dlaczego nagle miała być Eleną? Dlaczego Marietta stwarzała pozory, że wierzy, iż ona jest Eleną? Całkiem znękana od zżerającego ją niepokoju, rzuciła się na krzesło przed okrągłym stołem, wypila trochę herbaty i zjadła kawałek chleba. Miała uczucie, że nie wolno jej tracić sił...

Marietta pozostała w pokoju i przyglądała się, jak Dagmara je śniadanie. Dziewczyna sprawiała wrażenie, że w ogóle nie zwraca na starą służącą uwagi, i dopiero gdy skończyła jeść, powiedziała odsuwając od siebie naczynia:

— Powinnyśmy raz porozmawiać ze sobą rozsądnie, Marietto. Czy nie zechciałaby pani powiedzieć mi otwarcie, dlaczego mam być Eleną? Co się ze mną zamierza zrobić? Dlaczego grozi mi pani szpitalem wariatów, jeśli się nie zgodzę być Eleną?

— Ja grożę? Och, *mio Dio*, mój gołąbeczku, stara Marietta, która panią nosiła na rękach, gdy pani jeszcze była małym *bambino*, nie może przecież grozić. Tylko ostrzegać. Chcę panią ostrzec, żeby pani nie zagubiła się w chorych myślach i żeby pani nie zapomniała, że jest pani Eleną. Wtedy wszystko będzie dobrze, wtedy będzie się pani tutaj dobrze działo i wtedy będziemy mogli żyć wspólnie całkiem miło. Ale jeśli będzie pani miała chorobliwe myśli i nie zechce absolutnie zrozumieć, że jest pani Eleną, wtedy, mój gołąbeczku, zostanie pani właśnie zamknięta.

Dagmara zbladła. Poznała z przerażeniem, że ta groźba była poważna. Dyplomatycznie spytała:

— Jeśli ja jestem Eleną, to gdzie wobec tego jest Dagmara?

— Och, signorina Dagmara udała się w podróż razem z markizą i pewnego dnia znowu wróci. Tym nie musi sobie pani zaprzętać głowy.

Dagmara zastanawiała się, co powinna zrobić. Że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo, stało się dla niej jasne. I że ona przed tym niebezpieczeństwem zdoła się obronić chyba tylko wówczas, jeśli będzie udawała, że jest Eleną, to także zrozumiała, chociaż nadal niczego nie mogła pojąć. I postanowiła, że najpierw musi zyskać na czasie, aby Mariettę pewnego dnia przechytryć i dowiedzieć się od niej prawdy.

Rozważywszy to, Dagmara po raz pierwszy w życiu zaczęła postępować dyplomatycznie i chytrze. Opanowała się całkowicie i odetchnąwszy głęboko powiedziała:

— Dobrze, Marietto, jeśli to panią bawi, to niech pani nazywa mnie nadal Eleną; od tej chwili będę reagowała na to imię dopóty, dopóki będzie się pani podobało tak mnie nazywać. Właściwie jest mi to obojętne, jak mnie pani nazywa, jesteśmy przecież w kasztelu same.

Teraz oczy Marietty rozpromieniły się prawdziwym zadowoleniem. Sądziła, że tę partię miała już wygraną, a wcale nie myślała, że pójdzie jej to tak łatwo. O jak dobrze, że wymyśliła ten plan, który jej ukochaną panią uczyni bogatą i szczęśliwą!

— Wydaje mi się, że przejaśniło się już pani w główce, signorina Elena. To wspaniale, wkrótce staniemy się dobrymi przyjaciółkami i powinna pani czuć się tutaj dobrze.

— To mnie zadowala, Marietto, nie będę już więcej łamać sobie głowy. A teraz chciałabym przejść się trochę po parku.

— Naturalnie, signorina Elena, zaniosę tylko naczynia do kuchni i będę mogła pani towarzyszyć.

— Nie jest mi potrzebne pani towarzystwo, Marietto, z pewnością ma pani coś innego do roboty. Zresztą wolałabym iść sama.

— Och nie, nie, to niemożliwe! Ja musieć towarzyszyć signorina od dziś na wszystkie spacer, ponieważ signorina nie może już iść z mamą.

Ostatnie zdanie Marietta powiedziała po niemiecku. Dagmara zaprotestowała.

— Niech pani da spokój z tym łamanym niemieckim, Marietto. Mówmy dalej po włosku, ja posługuję się nim swobodnie.

Wydaje mi się, że jestem faktycznie uwięziona — pomyślała Dagmara, ale zamiast upaść na duchu od tej myśli, podjęła mocne postanowienie, że któregoś dnia ucieknie z tego więzienia. Ale mimo to serce podeszło jej do gardła. Miała wrażenie, jakby jej życie znowu okryła nieprzenikniona ciemność. Zaledwie wyjaśniła się jedna tajemnica, otoczyła ją już nowa...

Dagmara poszła z Mariettą do parku, nie mówiąc już ani słowa. Ale gorączkowe myśli krążyły jej po głowie bez ustanku. Wiedziała teraz, że musi być jakiś powód, dla którego ją uwięziono i dla którego zażądano od niej, by sobie wmówiła, iż jest Elena. To wszystko nie ulegało wątpliwości. Kto jednak był sprawcą tej intrygi przeciwko niej? Signora Caterina czy Rudolf Strasser? Gdy o nim myślała, bolało ją serce. Czy mógł z jakiegoś powodu wydać polecenie, żeby ją trzymano uwięzioną w tym kasztelu?

Nie mogła tego zgłębić, choć bardzo się starała. Jej prawy umysł nie był w stanie wnikać w przestępcze postępowanie otaczających ją kobiet. Głowa rozbolała ją od tych wszystkich rozważań. I ogarnął ją gwałtowny strach, że może istotnie postradać zmysły, jeśli zbyt się będzie oddawała takim myślom.

Nie, jej prześladowcom to się nie uda! Postanowiła zachować spokój i pozwolić biec wypadkom własnym tokiem. Może sprawa przybierze inny obrót, kiedy Rudolf Strasser przeczyta jej list.

A... jeśli nie?

Wtedy całą energię musi skierować na to, żeby pewnego dnia uciec z tego więzienia. Ale czy to jest możliwe? Cały park był otoczony wysokim murem, na którego zwieńczeniu osadzono jeszcze w cemencie niezliczone odłamki szkła, aby przedostanie się przez ogrodzenie uczynić niemożliwym. A ciężka brama była z pewnością przez Mariettę dobrze zamknięta.

Dagmara pomyślała o tym, że nawet gdyby jej się udało zmylić czujność Marietty i wydostać się z parku na zewnątrz, nie wiedziałyby, co dalej robić. Nie posiadała żadnych pieniędzy, żadnych dokumentów i była przecież tak niedoświadczona i bezradna. Czy miała zbiec na dół i poprosić o pomoc dzierżawcę? A jeśli on także był w spisku przeciwko niej lub też nie chciałby jej pomóc wbrew woli swojej pani?

Gdzie więc i do kogo miałyby się udać tam, na zewnątrz, w tym obcym świecie? Nawet u starego proboszcza w Sorino nie mogłaby szukać schronienia, ponieważ na pogrzebie wujka Egona usłyszała, że w parafii jest nowy proboszcz.

Czy ten nowy, młody proboszcz uwierzyłby jej, gdyby mu powiedziała, że została uwięziona w kasztelu?

Zadrżała ze zgrozy, a serce jak kamień zaciążyło jej w piersi. Najchętniej rzuciłaby się na ziemię i płakała nad swym opuszczeniem i bezradnością.

— Dokąd chciałaby pójść signorina Elena?

— Chcę się pomodlić przy trumnie mego wujka.

— Och, *Dio mio*, myśli pani o trumnie swego ojca, signorina Elena! Dagmara stała już przy wejściu do grobowca.

— Czy pani rzeczywiście się odważa, Marietto, nawet tutaj powtarzać to kłamstwo? Nie boi się pani, że gniew boży może panią dosięgnąć w tym świętym miejscu?

Marietta, zabobonna jak wszystkie Włoszki, mimo woli cofnęła się, lecz szybko się opanowała i oznajmiła z przyjazną nieustępliwością:

— Mnie jest za zimno tam wewnątrz, poczekam tutaj, signorino Eleno.

Dagmara zeszła po stopniach do grobowca. Na schodach i na posadzce leżały jeszcze zwiędłe kwiaty i gałązki cyprysów. Grobowiec Consistellich był dobrze utrzymany: pod ruinami środkowej budowli kasztelu wysklepiało się imponujące mauzoleum. Całą bez mała posadzkę pokrywały wielkie nagrobne płyty, na których w minionych latach ręce rzeźbiarzy wykuły kamienne płaskorzeźby i ornamenty, do tego nazwiska leżących pod płytami zmarłych. Kilka kamiennych płyt było jeszcze gładkich, nie wyrzeźbionych. Pod jedną z nich, tuż przy wejściu, został złożony na wieczny spoczynek Egon Strasser. Tylko wieniec z cyprysów, który Dagmara położyła w czasie pogrzebu, oznaczał miejsce jego spoczynku. Dagmara uklękła przed kamienną płytą i modliła się żarliwie o uwolnienie od wszelkiej udręki.

Gdy ukończyła modlitwę, podniosła się i rozejrzała ciekawie po grobowcu. Tutaj więc spoczywali wszyscy Consistelli. Twarde, kamienne płyty skrywały pewnie niejedno gorące serce i być może także niejedno zimne, nieczułe, jak serce żyjącej jeszcze ostatniej przedstawicielki rodu. Na wszystkich płytach, pod którymi spoczywali zmarli, umieszczono o nich informacje. Tylko na płycie, pod którą leżał Egon, nie wryto żadnego nazwiska. Czyżby nie chciano, żeby obok dumnego nazwiska Consistellich widniało skromne, niemieckie, mieszczańskie nazwisko? Czy wujek Egon miał tutaj spoczywać jako bezimienny?

Dagmara wyprostowała się zdecydowana. Jej oczy straciły wyraz rezygnacji. Postanowiła wypisać na tym kamieniu imię i nazwisko oraz datę urodzenia i śmierci wujka Egona, a ponadto jakąś pobożną maksymę. Przypomniało się jej, że w bibliotece stoi duża flaszka trwałego, czarnego tuszu, który kiedyś nabyto dla jakichś celów. Powinien się także znaleźć jakiś pędzel. Jeszcze dziś chciała zacząć przygotowywać projekt, który potem zamierzała przenieść na gładki kamień, a następnie pociągnąć tuszem. Ten miłosierny uczynek powinien jej pomóc przetrwać pierwsze straszliwe dni tej niewoli. Przy tym odzyskałaby może swój spokój.

Patrzyła smutno przed siebie i nagle oczyma duszy ujrzała młodzieńca, który na nią przyjaźnie i serdecznie spoglądał. Krew napłynęła jej do twarzy. Mimo woli wyciągnęła ręce do tego obrazu, jakby prosząc o pomoc.

— Pan Werner, dobry, kochany pan Werner! — powiedziała cicho.

Widziała go znów przed sobą tak wyraźnie jak wtedy, gdy z poważną miną badał puls jej lalki Lizy i gdy potem przyszedł, żeby się pożegnać. Łzy napłynęły jej do oczu. Gdyby pan Werner wiedział, w jakich ona znajduje się opałach, czy nie odezwałby się do niej znowu tak współczująco: „Biedne dziecko”. Gdyby wiedział, że ona jest tutaj uwięziona, och, z pewnością by jej pomógł, z całą pewnością.

I w jej wyobraźni osoba pana Wenera kojarzyła się z rycerską postacią świętego Jerzego. Ach, gdyby mogła wezwać go na pomoc.

Myśl o panu Wenerze już jej nie opuszczała. Zawsze dużo o nim myślała, należał przecież do nielicznych przyjaciół, których miała w życiu. Dziś zaś jej myśli biegły do niego jak do jedyne- go człowieka, który być może mógłby jej pomóc, gdyby znał jej fatalne położenie. Próbowała so- bie wyobrazić, co też zrobiłby, gdyby dowiedział się o jej ciężkiej sytuacji.

Otrząsnąwszy się ze swych myśli, opuściła wreszcie grobowiec. Zobaczyła, że Marietta sie- dzi w słońcu na ławce. Trochę się chyba zdrzemnęła, była, jak się zdaje, bardzo zmęczona. Zerwa- ła się jednak przestraszona natychmiast, gdy Dagmara do niej podeszła. Coś na kształt współczucia dla starej służącej ogarnęło Dagmarę. Cóż była temu winna, że zrobiono z niej strażniczkę? I nie- nawiść, którą Marietta zawsze wobec Dagmary żywiła, wynikała przecież tylko z wierności dla jej pani.

— Zdaje się, że jest pani zmęczona, Marietto, wróćmy więc do domu. Jeśli o mnie chodzi, może mnie pani zamknąć w moim pokoju, póki pani trochę nie wypocznie.

Marietta patrzyła na nią niepewnie. Prawdziwa dobroć serca wyjątkowo rzadko nie robi na ludziach wrażenia. Marietta wprawdzie nie mogła pojąć, jak Dagmara może z nią tak miło rozma- wiać, ale zachowanie dziewczyny nie pozostało bez wpływu na nią.

— Nie będę pani zamykać w pokoju, signorino Eleno, zamknę tylko drzwi wejściowe, gdy będziemy wewnątrz. Może pani przebywać w bibliotece. Ja zresztą nie zamierzać spać, przygotowuję nam posiłek.

Dagmara udała się do biblioteki, gdzie zaraz chciała się zająć rysunkiem do późniejszego skopiowania na płytę grobowca wujka Egon. Pośrodku biblioteki stał fortepian, który był jeszcze w bardzo dobrym stanie. Przy ścianach na wysokich regałach znajdowały się niezliczone książki, głównie włoskie. Ale w ostatnich latach doszły także dzieła niemieckie i francuskie. Ustawiano je na półkach całkiem przypadkowo i wujek Egon wspomniał Dagmarze o tym, że trzeba je kiedyś uporządkować i skatalogować. Dagmara postanowiła zabrać się i do tego, żeby mieć przynajmniej jakieś zajęcie, które odciągnęłoby ją od ponurych myśli. Gdy wyszukała i zgromadziła wszystko do planowanego rysunku, poczuła się bardzo zmęczona. Chciała więc najpierw trochę odpocząć i

wzięła książkę, żeby sobie przez chwilę poczytać. Ale wkrótce odłożyła książkę na bok, odchyliła głowę na oparcie fotela i zamknęła oczy. I pomyślała znowu o panu Wernerze, jakby w duchu przywoływała go na pomoc.

Niebawem zasnęła. We śnie ukazał jej się ojciec, prowadzący za rękę Wenera Falknera. Pochylił się nad nią i pocałował ją w czoło. Jakże poczuła się szczęśliwa i spokojna. Potem trzymali się za ręce z Wernerem, który spoglądał na nią swymi dobrymi oczyma tak miło i serdecznie, że odczuła głęboką radość. Och, jakże te oczy na nią patrzyły! Ale wkrótce to cudowne senne marzenie zaczęło blednąć, obie postacie rozplynęły się w nicość i tylko jeszcze głos ojca zabrzmiał cicho w jej uszach: „Cierpliwości, moje kochane dziecko, ratunek się zbliża!”.

Dagmara zerwała się przestraszona. Zimny powiew przeciągał po jej twarzy od otwartego okna. To okno, jak wszystkie inne na parterze, było zabezpieczone żelazną kutą kratą, która tkwiła tutaj chyba już od stuleci. Dagmara otworzyła oczy i rozejrzała się błędnie dookoła. Jej sen był tak jasny i wyraźny, że nie mogła wcale uwierzyć, iż tylko śniła.

Przebiegł ją dreszcz. Przywołała ten sen na pamięć, stał jej przed oczyma i nie zacierał się, jak to zwykle dzieje się ze snami, kiedy człowiek się budzi i chce się nad nimi zastanowić. Uniosła dłonie i ukryła w nich twarz. Och, mogłoby to wszystko być przecież prawdą! Jej młode serce zadrdzało silnym, nieznanym uczuciem, gdy znów ujrzała w duchu Wenera, tak jak go widziała we śnie. Była daleka od tego, żeby przywiązywać do snów jakieś znaczenie. Wydawało się jej absolutnie zrozumiałe, że śniła akurat o Wernerze i swoim ojcu, jak nazywała nadal Rudolfa Strassera, ponieważ jej myśli były nimi przed snem bardzo zajęte. Wyciągnęła mały notatnik, który zawsze przy sobie nosiła, gdyż wujek Egon czasem prosił, żeby coś dla niego zanotowała. Z przyzwyczajenia więc miała notes przy sobie. Teraz zapisała w nim dokładnie wszystko, co ojciec wypowiedział do niej we śnie. Gdyby wiedziała, że Rudolf Strasser nie żyje, wówczas, być może, jego słowa miałyby dla niej jeszcze większe znaczenie.

Chociaż był to tylko sen, który ją uszczęśliwił, to usłyszała wreszcie znowu coś dobrego. A że sny pochodzą od Boga, jak ją uczono, może dobry Bóg zesłał go jej dla uspokojenia i pocieszenia.

Oderwała swe myśli od tego snu dopiero wtedy, gdy weszła Marietta i przyniosła na tacy obiad. Był przygotowany starannie i smacznie jak zawsze, bowiem Marietta sama bardzo lubiła dobrze zjeść i nie myślała sobie niczego odmawiać. To wyszło na korzyść również Dagmarze.

Nieco mniej zrozpaczona niż przy śniadaniu, Dagmara z apetytem zjadła obiad.

Signora Caterina i Elena pojechały najpierw kareta do Sorino i zatrzymały się przed domem naczelnika gminy. Ten przybycie byłej markizy Consistelli potraktował jako wielki zaszczyt. Wyjaśniła mu, że potrzebuje natychmiast paszportów dla siebie i swej kuzynki, co nie wywołało u naczelnika najmniejszego zdziwienia, gdyż widywał niekiedy signorę przejeżdżającą z dwiema młodymi pannami, choć nigdy oczywiście nie wiedział, która z nich jest córką, a która kuzynką markizy.

Signora Caterina wyjaśniła mu łaskawie, że chce zawieźć swą kuzynkę do Niemiec, ponieważ tej młodej osobie zmarł ojciec.

Wszystko rozwijało się bez przeszkód. W krótkim czasie paszporty zostały wystawione i obie damy mogły najbliższym pociągiem pojechać do Florencji. Z ostrożności signora Caterina nazywała już teraz zawsze swoją córkę Dagmarą, Elena zaś zwracała się do matki jako do ciotki Cateriny.

We Florencji najpierw zaopatrzyły się w nowe, niezbędne ich zdaniem stroje żałobne, a potem nadały telegram, że następnego ranka wyjeżdżają do Hamburga. Telegram zaadresowały na prokurenta Hermana Falknera. Że w domu Rudolfa Strassera żyła jeszcze jego i Egona kuzynka, o tym signora już nie pomyślała...

Podczas całej podróży matka i córka rozmawiały tylko o swoim planie i o tym, jak zamierzały w Hamburgu zainscenizować swoje oszustwo. Pomyślały przy tym także, że w otoczeniu Rudolfa Strassera ten i ów mógł znać Dagmarę jako dziecko, ale o to je głowa nie bolała. Dziecko nie ma jeszcze ukształtowanych rysów, a Dagmara w ciągu lat tak się zmieniła, że nikt jej chyba nie będzie w stanie rozpoznać. Elena w każdym razie była według paszportu Dagmarą Strasser i to wystarczyło, żeby się mogła przedstawić jako sukcesorka Rudolfa Strassera.

— A więc musisz tylko zachowywać się z dużą pewnością siebie, słyszysz, Dagmaro? I od początku bronić swego punktu widzenia. Musisz oznajmić od razu, że w przyszłości chcesz, tak jak dotychczas, mieszkać we Włoszech. Ponieważ twój ojciec i tak nie żyje, nic nie zatrzymuje cię w Niemczech. Nie będziemy przecież tak głupie, żeby się osiedlać w tym nudnym kraju. Skoro tylko wszystkie formalności zostaną załatwione, zaopatrzymy się w odpowiednią sumę pieniędzy i wracamy. Nie masz się czego obawiać.

— Toteż niczego się nie obawiam, kochana ciociu Caterino! Nic się nie martw, wystąpię tam jak prawdziwa sukcesorka i zadbam o to, żeby wszystko odbyło się zgodnie z moją wolą. Zagram swoją rolę tak dobrze, że będziesz ze mnie zadowolona. Mogę ci powiedzieć, teraz, gdy Ru-

dolf Strasser nie żyje, że cała rzecz sprawia mi po prostu przyjemność. Wreszcie coś przeżywam, wreszcie wyostałam się z wiecznej ciszy naszego ustronnego kasztelu, już na samą myśl o czekającej mnie przygodzie drzę z niecierpliwości.

Matka z dumą popatrzyła na córkę.

— Jesteś odważna jak prawdziwa Consistelli. A z tym żywym, uroczym usposobieniem, które teraz ujawniasz, jest ci niezwykle do twarzy.

Elena chętnie słuchała takich słów.

— Zapomnij, proszę, ciociu Caterino, że pochodzę z rodu Consistellich. Tę jedyną zaletę muszę odrzucić dla wielkiego spadku.

— Tylko na zewnątrz, tylko na zewnątrz, w sercu pozostaniesz zawsze potomkinią Consistellich. Miejmy nadzieję, że Marietta nie ma zbyt wielu zmartwień i korowodów z biedną Elena; chyba będzie miała trudności, żeby jej wmówić, że jest Elena.

— W gruncie rzeczy, czy coś od tego zależy? Ta Elena nie zobaczy przecież żadnego obcego człowieka. Zresztą niech się cieszy, że może prowadzić tak spokojne, beztroskie życie pod opieką Marietty.

I tak bez najłżejszych wyrzutów sumienia obie Włoszki zdążyły ku miejscu urzeczywistnienia swego awanturniczego planu i stawały się coraz pewniejsze i coraz bardziej beztroskie. Wciąż sobie wmawiały, że one przecież tylko egzekwują swoje prawa. To, co im w tym przekonaniu mogło przeszkadzać, odsuwały na bok jako nieważne. Były także całkowicie pewne, że ich plan nie może się nie powieść. I były tak mocno przekonane o tym, że jest dziecinnie łatwo wywieść głupich Niemców w pole, iż przeprowadzenie swego planu wydawało im się dużo prostsze, niż to było w istocie.

Tuż przed przybyciem do Hamburga signora Caterina przypomniała sobie, że jej mąż wspomniał kiedyś mimochodem o kuzynce Brygidzie, i zwróciła uwagę Eleny na to, że ta kuzynka musi być przez nią traktowana jako kochana ciocia Brygida.

— Jest już z pewnością starszą panią i sędzę, że we wszystko uwierzy. Elena roześmiała się.

— Jakoś już sobie poradzimy z tą starszą panią, jej się nie obawiam — odparła.

W jak najlepszych nastrojach dotarły do Hamburga.

Owego dnia, kiedy to złożyła mu wizytę jego była żona, Rudolf Strasser wrócił do domu w nie dającym się opisać nastroju. Ciotka Brygida oczekiwała go bardzo niespokojna, bo wiedziała przecież o zamierzonej wizycie Leonory. Rudolf natychmiast opowiedział Brygidzie o wszystkim, co go spotkało dzisiejszego ranka. Był niezwykle wstrząśnięty i wzburzony. Brygida prosiła go usilnie, żeby się uspokoił. Odpowiedział jej ochrypłym głosem:

— Ach, Brygido, nie zaznam teraz ani jednej godziny spokoju, póki nie wezmę w ramiona mego dziecka i nie wyblagam przebaczenia. Nie wiesz przecież, jak straszliwie, mimo swych wątpliwości, cierpiałem z powodu rozstania z Dagmarą.

— Ależ, Rudolfie, wiem o tym bardzo dobrze, znam cię przecież. I było mi tak ogromnie przykro. Bogu dzięki, że Leonora przekonała cię wreszcie, i szkoda, że nie stało się to wcześniej.

— Tak, mógłbym sobie oszczędzić niejednej gorzkiej godziny. I memu biednemu dziecku, być może, również. Co prawda Dagmara znalazła serdeczne przyjęcie u Egona, ale wydaje mi się, że jego żona nie jest do niej szczególnie dobrze nastawiona. W swym ostatnim liście Egon prosi mnie usilnie o to, żeby Dagmarze zmienić miejsce pobytu. Obawia się, że w przypadku jego śmierci Dagmara nie będzie miała najłatwiejszego życia w kasztelu. Mam teraz poważne zmartwienie i czynię sobie gwałtowne wyrzuty, że się wcale nie troszczyłem o Dagmarę. Dopiero wtedy stanę się spokojny, kiedy moje dziecko będę miał znów przy sobie. Mam nadzieję, że wybaczy mi moją nieugiętość.

— Tym się nie zamartwiaj, Rudolfie. Jeśli Dagmara się dowie, co wycierpiałeś, na pewno ci wybaczy. Jest przecież teraz wystarczająco dorosła, żeby wiele zrozumieć.

— Sam powiem jej o wszystkim. I ani jednego złego słowa nie usłyszy ode mnie o swojej matce. Wiem teraz, że Leonora nie jest tak winna, jak sądziłem. Także ja nie czuję się wobec niej bez winy, byłem starszy i bardziej doświadczony i nie powinienem był, biorąc pod uwagę swój zaawansowany wiek, wiązać się z taką młodą istotą. Leonora znowu wywarła na mnie głębokie wrażenie, jej widok oczywiście obudził we mnie wszystko, co przecierpiałem z jej powodu.

Brygida z załzawionymi oczyma ścisnęła mu rękę.

— Jak bardzo się cieszę, Rudolfie, że wszystko między wami zakończyło się pojednaniem i że jeszcze tego dożyłam.

— Niestety, przyszło to tak późno. Tyle cennych lat sam sobie zrabowałem. Kto wie, czy został mi jeszcze czas, żeby wynagrodzić memu dziecku krzywdę, jaką mu wyrządziłem jego wygnaniem. Czuję się dziś tak kiepsko jak jeszcze nigdy. Chciałem po tym wszystkim zaraz napisać

do Egon, żeby natychmiast odesłał Dagmarę do domu, ale musiałem to niestety na chwilę odłożyć. Egon powiadomił mnie zresztą, że nie będzie mógł towarzyszyć Dagmarze, gdyż jest bardzo cierpiący. Ja także przy moim stanie zdrowia nie odważę się na tak daleką podróż, a ty przecież również nie możesz pojechać. Wobec tego poproszę Caterinę, żeby towarzyszyła Dagmarze w podróży. A ty, Brygido, musisz zatroszczyć się o to, żeby dumna markiza znalazła w moim domu godne przyjęcie. Udowodnimy, że niemieccy mieszczaństwo także umieją się znaleźć i potrafią uczynić jej pobyt tak przyjemnym, jak to tylko możliwe.

— O to się już nie martw, nie powinna się na nic uskarżać. Pokażemy jej, że mimo iż przez wiele lat nie prowadziliśmy życia towarzyskiego, to wcale nie zapomnieliśmy o tym, jak godnie przyjmuje się gości i jak należy okazać gościnność w wielkim stylu.

— Dziękuję ci, Brygido. Dziękuję ci także za twoją wielkoduszność i zrozumienie w ciężkich dla mnie czasach.

Po tej rozmowie Rudolf napisał list do Egon, który ten otrzymał tuż przed swoją śmiercią.

Gdy tylko Rudolf Strasser odłożył pióro, zaraz udał się na spoczynek, bez wielkiej jednakże nadziei, że uda mu się przywołać sen. Tysiąc myśli poruszało jego duszę i płonącymi oczyma patrzył w otaczającą go ciemność.

Także w następnych dniach Rudolf nie znalazł ani spokoju, ani odpoczynku. Nieustannie myślał o swojej córce. Siłą tłumiona przez lata tęsknota za spotkaniem z Dagmarą brała go coraz mocniej w swoje posiadanie. Bez odpoczynku wечно go gdzieś pędziła, tak że załatwiał w biurze tylko najpilniejsze sprawy, a cały czas, wbrew swemu dotychczasowemu, oschłemu sposobowi bycia, ciągle i ciągle mówił o Dagmarze, czy był z ciotką Brygidą, czy z Hermanem, czy też z Wernerem Falknerem, zupełnie jakby się nie mógł o niej nagadać.

Najchętniej podtrzymywał takie rozmowy Werner Falkner. Z błyszczącym wzrokiem mówił, jak wzruszająca była Dagmara w roli lalczyniej mamy i jak mu wówczas ofiarowała różę. Wspominał teraz także bez obawy o tym, jak spotkał panią Leonorę w dniu jej ucieczki. Pani Strasser miała zaczerwienione od płaczu oczy. Robiła mu wymówki, że zaniedbuje jej córkę, i usilnie kładła mu na sercu to, żeby zechciał być rycerzem Dagmary.

Rudolf Strasser przysłuchiwał się temu z dziwnym uczuciem i głęboko poruszony spoglądał w rozmarzone oczy Wenera.

Rycerz Dagmary! Powinien służyć jej pomocą i oparciem, gdy zabraknie ojca. A może i czymś więcej, gdyby życzenie Rudolfa się spełniło...

Rudolf tylko ojcu Wenera zdradził to, co mu najgłębiej poruszało serce:

— Drogi Hermanie, oprócz wielkiego pragnienia, żeby znów zobaczyć swoją córkę, mam jeszcze jedno, i to pragnienie chcę panu zawierzyć. Ale nie może pan zdradzić tego nikomu, proszę mi to obiecać — powiedział następnego przedpołudnia po rozmowie o interesach.

Herman Falkner popatrzył na niego, nie mając najmniejszego pojęcia, o co jego pryncypałowi chodzi. Oświadczył jednak bez wahania:

— Obiecuję to panu.

— Zainteresowani nie mogą podejrzewać, iż żywię takie pragnienie. Gdybym je wyjawiał, popełniłbym wielkie głupstwo, które być może nigdy nie dałoby się naprawić. A więc życzę sobie, aby pański Werner i moja córka w przyszłości stanowili parę! Byłaby to dla mnie największa radość i satysfakcja. Pokochałem Wenera jak syna i w jego ręce mogę spokojnie złożyć los zarówno mojej córki, jak i firmy.

Herman Falkner popatrzył na swego szefa z uśmiechem.

— My obaj nie możemy tu wiele zdziałać, gdyż pańska córka i mój syn powinni samodzielnie wybrać swych towarzyszy życia. Ma pan całkowitą rację, o tym nie wolno wspominać ani słowem, lecz wszystko trzeba pozostawić swemu biegowi. Ale odpowiadałoby mi to bardzo... byłoby to wspaniałe, drogi przyjacielu. W każdym razie dziękuję, że mego syna uważa pan za godnego ręki swej córki. Ale to musi wyjść od nich samych.

Podali sobie ręce i uścisnęli mocno, patrząc na siebie poważnie. Ale potem Rudolf Strasser zmęczony opuścił się na fotel. Z pobladłą twarzą spojrzął na Falknera.

— Ostatnio nie czuję się dobrze. Lękam się, drogi przyjacielu, że nie dożyję powrotu mojej córki — odezwał się cichym głosem.

Falkner spojrzął na niego zatroskany.

— Drogi, stary przyjacielu, o tym nie wolno panu nawet myśleć.

— A jednak muszę o tym myśleć. I sędzę, że będę spokojniejszy, jeśli wszystko, co mam do powiedzenia swej córce, przeleję szczerze na papier. W moim wieku i przy mojej chorobie nie należy niczego odkładać. Napiszę do córki i wtedy zyskam pewność, że ode mnie dowie się wszystkiego, co wiedzieć powinna. Manuskrypt złożę w pańskie ręce, drogi przyjacielu, i gdyby mi się zdarzyło to najgorsze, nim moja córka wróci do domu, odda jej pan ten list. Ale proszę to zrobić dopiero wtedy, kiedy wszystkie formalności zostaną załatwione i Dagmara obejmie już spadek, żeby mogła w spokoju przeczytać i przyjąć moje słowa.

— Nie chcę pana odwozić od napisania tego listu, jeśli ma on pana uspokoić, ale mam nadzieję, że nie będę miał potrzeby go doręczać.

— Najważniejsze to być gotowym, jak mówi Szekspir. Niech mnie pan teraz zostawi samego, drogi Hermanie, i zatroszczy się o to, żeby mi w najbliższych godzinach nie przeszkadzano.

Rudolf Strasser napisał rzeczywiście szczegółowy list do swojej córki i poczuł wielką ulgę. Dał list na przechowanie Hermanowi i zajął się teraz wraz z obu Falknerami i ciotką Brygidą przygotowaniami do powitania córki. Chciał, aby jej powrót do domu wypadł nadzwyczaj uroczyście. Wszyscy powinni uczestniczyć w tym szczęściu. Ale oczekiwanie tego szczęścia wzburzyło go bardziej, niż było to dopuszczalne przy stanie jego zdrowia. Nagle poczuł się bardzo źle i ogarnął go lęk przed samotnością, więc przez wewnętrzny telefon wezwał do siebie prokurenta. A gdy w chwilę później Herman Falkner wszedł do gabinetu, znalazł swego szefa i przyjaciela siedzącego przy biurku... już martwego. Udar serca zakończył jego życie.

Rudolf zmarł nie dowiedziawszy się, jakie pełne cierpień lata przeżyła jego córka w kasztelu Consistellich i że teraz jest zagrożona jeszcze większym niebezpieczeństwem. Być może jednak tuż przed śmiercią jego myśli były tak intensywnie zajęte córką, że pojawił się jej we śnie. Być może też w ostatniej chwili swej ziemskiej egzystencji, uwolniony od wszelkich doczesnych ciężarów, zobaczył więcej, niż dane jest zwykle widzieć człowiekowi. Może jego pragnienie, wola i wielka tęsknota, żeby przynajmniej jeszcze raz zobaczyć swoje dziecko, były tak silne, że przewyciężyły wszystkie przeszkody i zawiadły do córki, która go zobaczyła we śnie.

Herman Falkner był głęboko wstrząśnięty śmiercią swego szefa i przyjaciela. Przywołał syna i kazał wezwać lekarza, który stwierdził zgon na skutek udaru serca.

Herman Falkner zwierzył się synowi, że Rudolf Strasser chyba przewidywał, że nie doczeka powrotu córki, bowiem powierzył mu list do Dagmary, w którym napisał wszystko, co miał jej do powiedzenia. Ten list miał przekazać Dagmarze, skoro tylko z zachowaniem wszelkich formalności obejmie swe dziedzictwo.

Myśli Wenera znów pobiegły ku Dagmarze. Może było to wzajemne oddziaływanie, bo i ona w swych myślach mocno się Wernerem zajmowała.

Ojciec i syn zatroszczyli się przede wszystkim o przewiezienie zwłok Strassera do jego wili. Tam został ułożony na marach, a Brygida Hartmann opłakiwała go tym bardziej, że wiedziała, jak bardzo tęsknił za tym, żeby jeszcze przed śmiercią zobaczyć swoją córkę.

— Zmarły nie zazna spokoju, póki Dagmara nie przekroczy progu rodzinnego domu — powiedziała do Wenera, który przekazał starszej pani, jak umiał najdelikatniej, wiadomość o śmierci Rudolfa.

— W każdym bądź razie jest to bardzo smutne, że nie doczekał powrotu panny Dagmary, a ona sama będzie zrozpaczona, gdy nie zastanie już ojca przy życiu. Jeśli jest jeszcze jak dawniej istotą o czułym i gorącym sercu, wtedy to wszystko bardzo ją poruszy — dodał Werner Falkner.

Pani Brygida westchnęła, a Werner dorzucił jeszcze:

— Jeśli panna Dagmara wróci do domu, droga pani Brygido, spełni się wówczas to, co niegdyś zamierzyła: Sprowadzi znowu słońce, chociaż, niestety, już nie dla swego biednego ojca.

Starsza pani otarła oczy.

— Czy ona będzie o tym jeszcze pamiętać? Ach, cóż to była za czuła mała istotka i tak dzielna i gotowa do poświęceń. Oby niebo zechciało sprawić, żeby wróciła tak godna miłości, jak przed swym wyjazdem.

Oczy Wenera zaświeciły się.

— O tym jestem absolutnie przekonany, jakże mogłoby być inaczej.

— Nie wolno panu zapominać, że Dagmara przez czternaście lat pozostawała pod wpływem żony mego kuzyna Egona; jest to podobno kobieta bardzo dumna i o zimnym sercu.

— Złym trzeba się urodzić. Gorące serce nie da się tak łatwo zdławić. Nie mogę uwierzyć, żeby panna Dagmara wróciła inna, niż wyjechała, jeśli nawet w tym czasie nauczyła się, że nie zawsze należy być zbyt otwartym w okazywaniu swych uczuć.

— Oby pan miał rację, drogi panie Wenerze. Ale teraz, proszę, niech mi pan pomoże wszystko uporządkować, bo to stało się teraz naszym smutnym obowiązkiem. A poza tym powinniśmy chyba zaraz zatelegrafować do Dagmary.

— To już zrobił mój ojciec, łaskawa pani. A ja chciałem zapytać, czy panią Leonorę Magnus należy powiadomić o zgonie mego czcigodnego szefa.

Pani Brygida zastanowiła się i powiedziała:

— Proszę to już zostawić mnie. Sama się o to zatroszczę. I nadała telefonicznie następujący telegram do Leonory:

Dziś przed południem na udar serca zmarł Rudolf całkiem pogodzony z Tobą. Dagmara powiadomiona. Skoro tylko przyjedzie i rozmówię się z nią, powiadomię Cię.

Brygida

Tymczasem nadszedł list od signory Cateriny z wiadomością o śmierci Egona i jej zamierzonym przyjeździe z Dagmarą. Otworzył list Herman Falkner. Przekazał go potem pani Brygidzie i powiedział jej, że nie musi odpowiadać, gdyż telegram z wiadomością o śmierci Rudolfa Strassera jest już w drodze do Włoch, a więc należy oczekiwać panny Dagmary jak najrychlej.

Brygida Hartmann westchnęła głęboko.

— Obaj kuzyni zmarli tak szybko jeden po drugim. Jak dziwnie niekiedy składa się w życiu! Dobrze, że Dagmara wróci teraz do domu, ponieważ mój kuzyn Rudolf poinformował mnie, że nie

pozostawała ona w najlepszych stosunkach z Caterina Strasser. Egon nie chciał, żeby Dagmara po jego śmierci mieszkała nadal w kasztelu.

— No cóż, jej miejsce jest teraz w domu i znajdzie w pani tak kochaną opiekunkę, że nie będzie potrzebowała żadnej innej — stwierdził Herman Falkner.

Trzy dni później zwłoki Rudolfa Strassera, zgodnie z jego życzeniem, zostały spalone. Brygida Hartmann, obaj Falknerowie oraz wielu żałobników oddali mu ostatnią posługę. Tylko córka Dagmara nie mogła towarzyszyć ojcu w drodze na wieczny spoczynek.

36

Telegram signory Cateriny, który zapowiadał jej przyjazd z Dagmarą, nadszedł w momencie, gdy wrócono z pogrzebu Rudolfa Strassera. Herman i Werner Falkner stali naprzeciwko siebie w sali konferencyjnej, gdzie przed chwilą zakończyło się posiedzenie kierowniczego zespołu firmy. Herman Falkner poinformował wszystkich, że otwarcie testamentu Rudolfa Strassera nastąpi dopiero po oczekiwanym w najbliższych dniach powrocie jego córki z zagranicy.

— Jedź zaraz do willi Strasserów, Wernerze, i powiadom panią Hartmann o terminie przybycia markizy i Dagmary. I bądź do jej dyspozycji w przypadku, gdyby potrzebowała jakiejś męskiej pomocy. Pani Hartmann jest bardzo zmęczona, a poza tym na skutek reumatyzmu nie ma swobody ruchów.

Werner skinął głową.

— Już o tym myślałem, ojcze. Chociaż żałoba zabrania wielkiego, szumnego przyjęcia, to przecież musi ono być urządzone odpowiednio uroczyście.

— Masz rację. Myślę, że zabierzemy obie damy z dworca. Z pewnością będą w żałobie i bez trudu powinniśmy je rozpoznać. Może też panna Dagmara zachowała jeszcze o nas dalekie wspomnienie. Ja w każdym bądź razie nie zmieniłem się aż tak bardzo, żeby rozpoznanie mojej osoby stało się niemożliwe. A ty — lekki uśmiech przebiegł po twarzy Hermana Falknera — ty wprawdzie znacząco zmężniałeś od czasu, gdy bawiłeś się z panną Dagmarą jej lalkami, ale podobieństwo do tamtego Wenera zachowałeś. Oczywiście dziecko zapomina szybko, jeśli zostanie przeniesione w inne otoczenie. Jest rzeczą wykluczoną, żebyśmy poznali pannę Dagmarę, ponieważ w tym czasie wyrosła z dziecka na młodą damę i na pewno bardzo się zmieniła.

Werner uśmiechnął się.

— Ja zawsze ją rozpoznam, ojcze, po oczach. Odziedziczyła oczy swej matki, a te rozpoznam wśród tysięcy.

Herman Falkner popatrzył uważnie na syna.

— Tak? Czy te oczy są takie szczególne? Werner skinął głową.

— Nieporównywalne z żadnymi innymi, ojciec! — oświadczył entuzjastycznie.

Herman Falkner popatrzył na syna z zadumą i pomyślał o tym, co wyraził Rudolf Strasser w swym ostatnim życzeniu. Ale ponownie odsunął tę myśl od siebie i powiedział tylko:

— Jak to dobrze, że Rudolf Strasser napisał swej córce o wszystkim, co mu leżało na sercu, dręczony przecuciem, że jej tego osobiście nie zdąży wyznać. W przeciwnym razie pożegnałby się ze światem, nie wytłumaczywszy córce, co go popchnęło do tego, żeby ją tak długo trzymać z dala od siebie. Ale na razie, Wernerze, nie wspominaj o liście, Dagmara powinna go otrzymać dopiero wówczas, kiedy w spokoju będzie się mogła zapoznać z jego treścią.

— W porządku, nie powiem na ten temat ani słowa.

Panowie rozstali się. Herman Falkner spoglądał dłuższą chwilę za synem. Oczy błyszczały mu dumą, gdy śledził jego sprężystą, muskularną sylwetkę.

Niechaj Opatrzność zrządzi tak, żeby było dobrze i sprawiedliwie — pomyślał i wrócił do swych codziennych obowiązków. Oczywiście praca nie szła mu dzisiaj tak łatwo jak zazwyczaj. Herman Falkner stracił w osobie Rudolfa Strassera nie tylko dobrego szefa, stracił też pełnego zrozumienia, prawdziwego przyjaciela.

Wszystko we właściwym czasie było gotowe na przyjęcie signory Strasser i Dagmary i podczas gdy pani Brygida z bijącym sercem dokonywała jeszcze raz przeglądu wszystkich pomieszczeń willi, obaj Falknerowie pojechali autem Strasserów na dworzec. Mimo zamętu, jaki powstaje zazwyczaj po przyjeździe pociągu, odnaleźli szybko dwie damy w żałobnych strojach. Choć obie nosiły gęste woalki, Herman Falkner podszedł bez wahania do postawniejszej damy i zapytał z pełnym szacunkiem uchylając kapelusza:

— Signora Strasser?

Signora Caterina odwróciła się szybko w kierunku starszego pana i lekko skinęła głową.

— Z kim mam przyjemność? — spytała poprawną niemczyzną.

Herman Falkner przedstawił siebie i syna, a potem panowie wręczyli damom kwiaty na powitanie. Werner na próżno próbował przeniknąć wzrokiem gęstą woalkę młodej damy. Przywitał panie głębokim ukłonem i wymienił z nimi kilka konwencjonalnych zwrotów. Werner daremnie czekał na to, że Dagmara przywita go jakimś miłym słowem, które zdradziłoby, że go jeszcze pamięta.

Herman Falkner poprosił panie o kwit bagażowy i przekazał go służącemu z willi Strasserów, który przybył na dworzec, żeby się zająć bagażem. Panowie zaś poprowadzili panie do wyjścia, gdzie czekało auto. Pomogli im wsiąść i sami zajęli miejsca. W czasie drogi wymieniono jedynie

kilka słów. Signora Caterina powiedziała, ściskając po kryjomu dłoń Eleny, jakby chciała dodać jej odwagi:

— Panowie muszą wybaczyć, że moja kuzynka jest tak milcząca. Ale wiadomość o śmierci ojca bardzo ją dotknęła. Ogromnie się cieszyła, że znów go zobaczy, i teraz jest nadzwyczaj przygnębiona, że nie znajduje go już przy życiu, nie mówiąc już o tym, że jednocześnie w osobie mego męża straciła swego najlepszego przyjaciela.

— To jest zrozumiałe, łaskawa pani. Nikt nie może wczuć się w rolę bardziej niż my, którzy byliśmy z panem Strasserem tak serdecznie zaprzyjaźnieni — odparł Herman Falkner.

Signora Caterina pokpiwała sobie trochę w duchu z prokurenta, który według niej uzurpował sobie prawo do serdecznej przyjaźni ze swym szefem. Ale uważała za wskazane, żeby chwilowo być jeszcze bardzo uprzejmą. Póki obie z Eleną nie załatwią swoich spraw, muszą się starać, by nie stracić przychylności prokurentów.

Przejazd do willi Strasserów nie trwał długo. Gdy pojazd zatrzymał się przy głównym wejściu, Werner wyskoczył z auta, za nim wysiadł szybko jego ojciec. Pomogli damom wysiąść. W tym momencie, oparta na lasce, ukazała się w drzwiach domu pani Brygida Hartmann. Wyglądała bardzo godnie w prostej, czarnej, jedwabnej sukni, z którą mocno kontrastowały siwiuteńkie, niemal białe włosy. Z głębokim wzruszeniem spoglądała ku nadchodzącym. Matka i córka rzuciły okiem na starą damę i signora Caterina od razu domyśliła się, że jest to kuzynka zmarłego pana domu.

— Ciotka Brygida — szepnęła cicho do swej córki.

Na te słowa Elena wbiegła szybko po schodach, pocałowała starą damę w rękę i powiedziała najmilej, jak umiała:

— Ciocia Brygida? Tak, ty jesteś ciocią Brygidą! Cieszę się, że zjawiałaś się na mój przyjazd.

Ciotka Brygida miała łzy w oczach i nie zwróciła uwagi na te niezbyt mądre słowa młodej damy. Powiedziała tylko głęboko poruszona:

— Prowadzę jeszcze wciąż gospodarstwo twego zmarłego ojca, kochana Dagmaro. Ale teraz chodź, niech Bóg pobłogosławi twój powrót, niechże cię zobaczę, moje kochane dziecko!

Z tymi słowami pociągnęła Elenę do westybulu i odrzuciła jej z twarzy woalę. Elena trochę się zaczerwieniła, dowiedziawszy się, że pani Brygida wciąż jeszcze prowadzi tutaj gospodarstwo. Zorientowała się, że palnęła głupstwo, zakładając, że ciotka Brygida nie mieszka w willi Strasserów i przybyła specjalnie na powitanie gości. Ale opanowała się szybko, takie drobiazgi nie miały żadnego znaczenia. Zrozumiała jednak, że musi być ostrożniejsza, niż jej się wydawało.

Zamglonymi oczyma patrzyła ciotka Brygida w zarumienioną, lecz miło uśmiechniętą twarz Eleny i szukała znajomych, swojskich rysów. Ale nie mogła ich odkryć w ładnej, nieco zakłopotanej dziewczęcej twarzy.

— Mój Boże, jak bardzo się zmieniłaś, moja kochana Dagmaro. Ale jesteś teraz bardzo podobna do Strasserów, temu nie da się zaprzeczyć.

— Tak, ciociu Brygido, wujek Egon zawsze mi to mówił i uważał, że to moje szczęście — odparła Elena, grzecznie całując rękę starszej damy. Ale ta wzięła ją serdecznie w ramiona, chociaż było w dziewczynie coś, co pani Hartmann przeszkadzało, a czego nie umiała określić.

— Drogie dziecko, stałyśmy się sobie tak obce, tak straszliwie obce, ale to powinno się wkrótce zmienić.

I ciotka Brygida ucałowała serdecznie Elenę. Nie chciała, żeby zmiana wyglądu Dagmary wpłynęła na mniej serdeczne jej przyjęcie.

Potem ciotką Brygida zwróciła się do signory i przywitała się z nią także serdecznie, ale z pewną powściągliwością. Dumna, wyniosła twarz „markizy”, jak nazywała w duchu wdowę po swym kuzynie, powstrzymała ją od wylewności. Coś w napiętym, wyczekującym spojrzeniu signory Cateriny padło ciężarem na duszę pani Brygidy, czuła, że nigdy nie mogłaby pozostawać z tą kobietą w większej zażyłości.

Falknerowie także się teraz zbliżyli i wreszcie Werner mógł rzucić okiem na odsłoniętą twarz młodej damy. I wtedy z przykrością poczuł, że tym spojrzeniem musi pogrzebać kochane, piękne wspomnienie. Ta młoda dama nie miała nic wspólnego z ową czarującą kobietą, do której należały marzenia jego młodzieńczego serca. Przede wszystkim rozczarowały go jej oczy. Dawniej zawsze był mocno przekonany o tym, że Dagmara Strasser odziedziczyła włosy i oczy po swojej matce. Włosów pod kapeluszem nie mógł zobaczyć, ale oczy, nie, to z całą pewnością nie były oczy pani Leonory, w których tak łatwo zapalały się złote iskierki. Wprawdzie te oczy były także brązowe, ale wydawały mu się o wiele ciemniejsze niż u małej Dagmary. Jakie to dziwne, że czyjeś oczy mogły się z latami tak bardzo zmienić; było to równie niezrozumiałe co zagadkowe.

Signora Caterina zauważyła, że Werner Falkner przygląda się jej córce dziwnie badawczym spojrzeniem, i zrećnie podjęła z nim rozmowę. Wenera należało odciągnąć od ewentualnych krytycznych obserwacji.

Werner zaś spojrział teraz na signorę Caterinę i nagle przeniknęło go dziwne uczucie. Oczy signory były takie same, jak spoglądające na niego przed chwilą oczy młodej dziewczyny.

Także wszystko inne w twarzy i zachowaniu się jego młodej pryncypałki wydawało mu się obce. Wciąż zerkał ku niej ukradkiem. On również zauważył podobieństwo rysów młodej damy do Rudolfa Strassera. Gdyby nie istniało to rodzinne podobieństwo, wtedy zdziwienie Wenera byłoby

może jeszcze silniejsze. Próbował więc sobie wmówić, że Dagmara Strasser musiała się tak bardzo zmienić i że nigdy nie miała oczu swojej matki.

Damy zapytały teraz, jakie pokoje są dla nich przygotowane.

— Musimy się odświeżyć po tak długiej podróży — oznajmiła signora Caterina.

— Dla ciebie, kochana Dagmaro, kazałam uporządkować pokój twojej matki, pamiętasz chyba jeszcze, który to jest — wyraziła nadzieję ciotka Brygida.

Elena odparła z miłych uśmiechem:

— Och, kochana ciociu Brygido, o czym ty mówisz? Zapomniałam, niestety, wszystko ze swego dzieciństwa. Wiesz przecież, że przez czternaście lat byłam z dala od rodzinnego domu. A to jest dużo, zwłaszcza jeśli przypada na okres rozwoju człowieka. Każ nas, proszę, zaprowadzić do naszych pokoi. Chciałabym mieszkać tuż obok cioci Cateriny. Bardzo się do niej przywiązałam i nie chciałabym się z nią rozstawać nawet na minutę.

Ciotkę Brygidę ogarnęło dziwne uczucie. Te słowa Dagmary wydały się jej tak nieprawdziwie, zakłamane, że bardzo się zasmuciła. Czyżby Dagmara nauczyła się kłamać? Przecież Egon napisał do Rudolfa, że Dagmara wcale się nie zgadza ze swoją ciotką i dlatego powinna być od nich zabrana. A teraz takie słowa? Jak można to pogodzić?

Dobra ciotka Brygida była w ogóle straszliwie rozczarowana. To powierzchowne, konwencjonalnie uprzejme zachowanie młodej damy, która nie odezwała się jeszcze ani słowem na temat śmierci swego ojca, prawie tamowało jej oddech. Wyobrażała sobie, że Dagmara wyplacze się na jej piersi i będzie u niej szukać pociechy po stracie niegdyś tak kochanego ojca. A tymczasem młoda dama nie wspomniała go ani razu. I zasmucona tymi wrażeniami pani Brygida powiedziała cicho:

— Jesteś chyba bardzo przygnębiona, Dagmaro, że nie mogłaś przybyć na czas, by uczestniczyć przynajmniej w pogrzebie swego ojca?

Elena zmusiła się do przybrania zbolalej miny.

— Ach tak, biedny papa! — oznajmiła z fałszywą tkliwością.

Pani Brygidzie przebiegł po ciele zimny dreszcz. Te słowa zabrzmiały tak obojętnie, tak bezosobowo! Dagmara dawniej nigdy nie nazywała swego ojca papą, zawsze mówiła o nim z ogromną czułością tatuś. To obce „papa” zabrzmiało dla Brygidy jak dysonans. No cóż, Rudolf Strasser wygnał córkę z domu przed wielu laty, sam był winien temu, że jego córka mówi o nim w tak obcy, obojętny sposób.

Opanowawszy się, pani Brygida przywołała pokojówkę i poleciła jej zaprowadzić panie do ich pokoi.

— Twój pokój, Dagmaro, leży bezpośrednio obok pokoju cioci Cateriny, wszystko jest więc przygotowane zgodnie z twoim życzeniem. Kiedy się przebierzecie, prosimy do jadalni na kolację; jeśli sobie życzysz, panowie pozostaną z nami przy stole. Mamy do omówienia różnorakie sprawy.

— Oczywiście, oczywiście, ciociu Brygido, to nam bardzo odpowiada, przebierzemy się jak najszybciej.

Obie damy ruszyły po schodach na górę. Po ich zniknięciu pani Hartmann i obaj panowie stali bez słowa i spoglądali na siebie zdumieni. Wreszcie pani Brygida odezwała się wzdychając:

— Jak straszliwie obcy może stać się człowiek, którego się tak gorąco kochało! Zupełnie tego nie rozumiem, ale wcale nie mam wrażenia, że ta dziewczyna jest moją małą Dagmarą.

Werner Falkner ocknął się jakby z odrętwienia.

— Odniosła pani takie samo wrażenie jak ja, łaskawa pani, jestem jeszcze całkowicie skonsternowany tym, jak bardzo panna Dagmara się zmieniła; to jest nie do pojęcia. Nic, ale to absolutnie nic nie przypomina mi w niej niegdysiejszej małej, kochanej Dagmary. I także jej oczy zmieniły się w kształcie, kolorze i wyrazie.

Stara dama spojrzała na niego zaskoczona.

— Co pan mówi, to przecież niemożliwe. Nie zwróciłam jeszcze na to uwagi. Dagmara miała takie same oczy jak matka, a takich oczu nie zapomina się łatwo.

— Słusznie, takich oczu nie zapomina się nigdy. Ale jest rzeczywiście tak, jak mówię, niech pani przy okazji zwróci na to uwagę. Oczywiście pozostały brązowe, lecz wydaje mi się, że są ciemniejsze i całkiem inne w kształcie. I przy uśmiechu nie pojawiają się w nich złote iskierki, które oczom pani Leonory Strasser nadawały tyle swoistego uroku; te iskierki zgasły, a szkoda. Proszę się ze mnie teraz nie śmiać, ale oczy panny Dagmary są dokładnie takie same w kształcie, kolorze i wyrazie jak oczy signory. A przecież panna Dagmara nie jest spokrewniona z signorą Strasser!

— Nie, absolutnie nie! Ale może to wina oświelenia, że oczy Dagmary wydały się panu tak obce. Zobaczymy je później przy lepszym świetle i miejmy nadzieję, że wtedy odkryjemy znajome cechy. W każdym bądź razie jest mi bardzo ciężko na sercu i naprawdę nie wiem, dlaczego. Inaczej sobie wyobrażałam spotkanie z moim ukochanym dzieckiem. Jestem głupią, starą kobietą, ale spodziewałam się dawnej serdecznej czułości, która moje samotne serce tak często rozgrzewała. Zamiast tego przy wszystkich konwencjonalnych uprzejmościach owiewa mnie lodowate zimno. Ale nie chcę już snuć żadnych niemądrych myśli. Proszę, wejdźcie dalej, panowie, przez to moje zaskoczenie kazałam wam stać w westybulu.

W towarzystwie obu panów pani Brygida udała się do pokoju położnego obok jadalni.

Mimo zdziwienia z powodu tak wielkich zmian u Dagmary Strasser, nikomu z nich nie przyszło do głowy podejrzenie, że mają przed sobą kogoś zupełnie innego.

Jadalnia była jasno oświetlona. Stół nakryto kosztownym obrusem z adamaszku. Bogata kryształowa i srebrna zastawa i drogocenna porcelana znakomicie harmonizowały z bukietem składającym się z krótko przyciętych kwiatów, ułożonych w szerokiej kryształowej czarze; ciotka Brygida bowiem nie zapomniała, że Rudolf Strasser życzył sobie, by pokazać „markizie” całą wspaniałość swego domu. Solidne dębowe meble i ciężkie brokatowe zasłony, do tego kilka wartościowych płócien starych mistrzów dopełniało wystroju sali. Brygida Hartmann i obaj Falknerowie oczekiwali na damy w sąsiednim pokoju, a gdy te wreszcie weszły, gospodarzom z wrażenia prawie zabrakło tchu. Obie były oczywiście ubrane na czarno, ale z tak niezmierną elegancją i wyrafinowaniem, że hamburczyków wprowadziło to w osłupienie. Wyraźnie zaakcentowały swym strojem, że są wielkimi damami. Miały suknie bez rękawów dość mocno wydekoltowane. W domu żałoby był to rażący dysonans, przynajmniej dla tych trzech osób, które dopiero co pożegnały Rudolfa Strassera.

Herman Falkner skłonił się przed signorą Cateriną i podał jej ramię, Werner zaś poprowadził do stołu ciotkę Brygidę i Elenę. Ta obdarzyła Wenera powłóczyстым spojrzeniem. Młody Niemiec, emanujący męskością, bardzo jej się podobał i miała ochotę trochę się nim pobawić i wypróbować na nim swoją siłę. Ale jej spojrzenia działały na Wenera raczej odpychająco.

Umiał się jednak dostatecznie opanować, aby podjąć z nią ożywioną konwersację. Werner w czasie swoich podróży przebywał w różnych krajach świata i obracał się we wszystkich kręgach towarzyskich i zgodnie ze swym charakterem był człowiekiem niezwykle rycerskim. Dawał temu wyraz w każdej towarzyskiej sytuacji, a wobec dam wydawało mu się to szczególnie oczywiste. Elena tymczasem myślała sobie: Patrzcie, patrzcie, ten młody prokurent firmy Strasser & Syn jest prawdziwym gentlemanem, kawalerem, któremu nic nie można zarzucić. Jak to jest możliwe? Niemiecki kupiec powinien być przecież wzorem nudy i trzeźwości. To się jednak nie zgadza. A więc postaram się być miłą dla niego, może będziemy go potrzebować.

Elena była urodzoną kokietką, chociaż dotąd miała niewiele okazji, żeby uprawiać tę sztukę. Sztuki tej nauczyła ją matka, ponieważ zawsze liczyła się z tym, że Elena pewnego dnia musi zdobyć bogatego męża. Teraz oczywiście nie było to konieczne, skoro została bogatą spadkobierczynią, ale kokietowanie sprawiało jej przyjemność. Postanowiła więc Wenerowi Falknerowi zawrócić w głowie. To jednak nie okazało się łatwe, młody człowiek był całkowicie odporny na te zakusy. I z całą pewnością nie dało mu się zawrócić w głowie takimi sposobami, jakich używała Elena.

Signora Caterina próbowała jednocześnie protekcyjną uprzejmością ująć Hermana Falknera. Także ona powiedziała sobie, że nie można przewidzieć, jak dalece będzie potrzebna usłużność tych prokurentów.

Ciotka Brygida została trochę zdana na siebie. Ale to bynajmniej nie było dla niej przykre, gdyż mogła bez przeszkód obserwować Dagmarę. I musiała przyznać Wernerowi rację: oczy, które tak zaborczo spoglądały z twarzy młodej damy, nie były oczyma Leonory. Mój Boże — pomyślała zafrasowana — jak też człowiek może się zmienić. Porównała potem oczy Eleny i Cateriny. Rzeczywiście były do siebie nadzwyczaj podobne. I przy okazji odkryła jeszcze, że sposób trzymania głowy i niektóre ruchy były u obu dam tak podobne, że sprawiało to prawie śmieszne wrażenie.

Ciotka Brygida nie mogła się z tego powodu uspokoić i kiedy czasem napotykała wzrok Wenera, czytała w jego oczach, że on także walczy z gorzkim rozczarowaniem. Tak, Werner Falkner był straszliwie rozczarowany Dagmarą, do której dotąd w skrytości ducha żywił uczucie, trudne do nazwania, ale pozwalające mu mijać bez wrażenia wszystkie inne kobiety. Jego spojrzenie stawało się teraz coraz zimniejsze, coraz bardziej krytyczne i w miarę jak upływał wieczór, coraz mniej podobała mu się młoda dama i coraz bardziej stawała się dla niego obca.

Z panią Brygidą działo się to samo. Najpierw Elena w trakcie rozmowy spytała mimochodem, jaka była przyczyna nagłego zgonu „jej papy”. Potem skonstatowała rzeczowo, że jego śmierć wykazuje pewne podobieństwo ze śmiercią „wujka Egona”, który także całkiem nagle zasnął w swoim fotelu. Wypowiedziała naturalnie kilka słów, które miały wyrażać jej smutek i ubolewanie, ale nie dało się w nich usłyszeć nawet śladu prawdziwie serdecznego tonu.

Zimna, poprawna, kokieteryjna i powierzchowna! Tak ocenili młodą sukcesorkę zarówno ciotka Brygida, jak i Werner Falkner.

A Herman Falkner, któremu wprowadzie signora Caterina nie zostawiła wiele czasu na obserwacje, widział dostatecznie dużo, aby sobie wyrobić dość podobne zdanie o młodej spadkobierczyni firmy Strasser & Syn. Prócz tego tych troje ludzi było niemile zdziwionych tym, że signora Strasser, która dopiero przed kilkoma dniami straciła męża, nie wydawała się wcale przygnębiona. Mówiła w sposób tak ożywiony o niezliczonych błahostkach i sprawiała wrażenie osoby mającej tak niewiele powodów do smutku, że było to aż nieprzyjemne.

Ciotka Brygida przyjrzała się także dokładniej włosom młodej damy i zdziwiła się, że zrobiły się takie wypłowiałe, a była przekonana, że świetliście jasne włosy Dagmary nabiorą z latami tego samego koloru, co włosy jej matki, które posiadały ciepły złoty odcień.

Teraz Brygida Hartmann zwróciła się grzecznie do signory i zapytała o jej córkę. Signora westchnęła w sposób nader afektowany.

— Och, *Dio mio*, moja biedna Elena! Całkiem się załamala. Śmierć ojca, do którego była tak gorąco przywiązana, straszliwie nią wstrząsnęła, zupełnie nie może się z tym pogodzić, i obawiam się, że może się u niej rozwinąć choroba umysłowa. Wbiła sobie do głowy, że nigdy nie opuści kasztelu, aby się nie rozstawać z grobem swego ojca. Bardzo chciałam zabrać ją w tę podróż, lecz broniła się przeciwko temu z taką gwałtownością, że musiałam pogodzić się z jej decyzją. Byłam niepokieszona, że zostawiam ją samą.

Zachowanie markizy wcale jednak nie wskazywało na to, żeby zbyt się przejęła rozstaniem z córką. Takie było przynajmniej odczucie gospodarzy.

— Biedna panna Elena cierpi chyba bardzo z powodu samotności — odezwał się Herman Falkner — i dlatego tym bardziej jesteśmy wdzięczni, że mimo to zechciała pani towarzyszyć Dagmarze do Hamburga.

— Och, to bardzo dobrze mi zrobiło, że oderwałam się na chwilę od codzienności i musiałam zająć się innymi sprawami. A Elena została pod najczulszą opieką mojej starej, wiernej garderobianej, mogę być więc o córkę całkiem spokojna. Poza tym Dagmara i ja wracamy bardzo szybko do Włoch.

Trzy pary oczu ze zdziwieniem spojrzwały w stronę Eleny.

— Ale Dagmara przecież nie wyjedzie! Zostanie chyba w swym rodzinnym domu? — spytała pani Brygida.

Elena wypila łyk wina, spojrzala roześmiana na panią Brygidę i powiedziała żartobliwie, udając, że drży:

— O nie, nie pozostanę za nic w tych zimnych, nudnych Niemczech. W ciągu tych wszystkich lat tak bardzo przyzwyczaiłam się do pięknych, słonecznych Włoch, że tutaj już się nigdy nie zaaklimatyzuję. Pojadę z ciocią Caterina do Rzymu, bo tam właśnie chcemy się osiedlić. Mam nadzieję, że nic temu nie stoi na przeszkodzie, prawda, panie prokurencie?

Rzuciła w stronę Hermana Falknera kokieteryjne spojrzenie, które miało go oczarować. To spojrzenie wzbudziło jedynie u starszego pana pewność, że ostatnie życzenie Rudolfa Strassera nie zostanie spełnione, bowiem znał dostatecznie dobrze swego syna, aby wiedzieć, że ta kokieteryjna istota o zimnym sercu nigdy nie wyda mu się pożądaną towarzyszką życia.

— Proszę o wybaczenie, panno Dagmaro — odpowiedział spokojnie — przyjmowaliśmy jako rzecz oczywistą, podobnie zresztą jak pani ojciec, że pozostanie pani na zawsze w rodzinnym domu, dlatego jesteśmy wszyscy trochę zaskoczeni.

— O nie, wobec tego myliliście się wszyscy. Spodziewam się jednak, że mojemu zamiarowi nie stoją na przeszkodzie żadne przepisy.

— Oczywiście, że nie. Ma pani na pewno prawo żyć, gdzie i jak pani chce, o ile naturalnie pani ojciec nie zawarł w testamencie żadnych szczególnych warunków, czego jednak nie zakładam. Wiem tylko, że pani ojciec przyjmował jako rzecz oczywistą, że pani na stałe wróci do ojczyzny.

Elena przybrała wyniosły wyraz twarzy i oświadczyła bardzo chłodno i stanowczo:

— Papa sam jest winien temu, że przywykłam do obcego kraju i czuję się w nim jak we własnym. Czy uważa pan za możliwe, panie prokurencie, że w odniesieniu do wyboru miejsca mego pobytu mogą mi być nałożone w testamencie jakieś ograniczenia?

Chłód, jaki przy całej uprzejmości płynął ze słów Eleny, legł ciężarem na sercach trojga ludzi, którzy Rudolfa Strassera wielce kochali i szanowali. I ciotka Brygida nie mogła się powstrzymać, by nie powiedzieć:

— Nawet nie podejrzewasz, Dagmaro, jak straszliwie cierpiał twój biedny ojciec z powodu rozstania z tobą.

Elena uznała teraz za właściwe okazać swe uczucie. Dotknęła lekko oczu chusteczką i powiedziała cicho, udając głębokie wzruszenie:

— Chyba nie bardziej niż ja, ciociu Brygido. Ale mojemu biednemu papie nie jest to już potrzebne, żebym tu pozostała. Dlaczego więc mam osiedlać się w kraju, który stał się dla mnie obcy? A więc jeszcze raz, panie prokurencie, uważa pan za możliwe, żeby papa wprowadził jakieś testamentowe ograniczenia dotyczące tej kwestii?

— Nie sądzę! — odparł Herman Falkner bardzo oficjalnie.

— Kiedy będzie się można tego dowiedzieć? Mam oczywiście na myśli to, kiedy zostanie otwarty testament.

— Ma to nastąpić jutro przed południem, panno Dagmaro, i zgodnie z życzeniem naszego drogiego zmarłego odbędzie się to w wielkiej sali konferencyjnej firmy, w obecności kierowniczego zespołu przedsiębiorstwa.

— Jestem zadowolona, że to stanie się już jutro.

— Ja zaś zostałem mianowany wykonawcą testamentu, a także pani prawnym opiekunem, panno Dagmaro. I do ukończenia przez panią dwudziestego pierwszego roku życia będę miał ten zaszczyt.

Elena popatrzyła na niego z zalotnym uśmiechem.

— Mam nadzieję, że niezbyt srogim opiekunem. Falkner skłonił się.

— Będę się stosował tylko do obowiązujących przepisów, panno Dagmaro.

Zapadła cisza. Elena i Caterina ukradkiem wymieniły spojrzenia, co nie uszło jednak uwagi Wenera i dało mu wiele do myślenia. Pani Brygida nie chciała jeszcze dać za wygraną i próbowała

doszukać się w charakterze młodej sukcesorki czegoś wartościowego, co przez błędne wychowanie zostało może tylko przytłumione, i dlatego zapytała po chwili uśmiechając się:

— Co się właściwie stało z twoją lalką Lizą, Dagmaro?

Popatrzyła badawczo na młodą damę. Uczynił to także Werner, jakby też chciał zobaczyć coś z dawnej Dagmary. Dwie pary oczu w napięciu zawisły na twarzy sukcesorki. Elena zaś zapomniała na moment o swojej roli, tylko na jeden jedyny moment, który miał się jednak okazać dla niej niebezpieczny w swych konsekwencjach.

— Och, to straszliwe monstrum kazała mama zaraz spalić — zawołała drwiąco.

Signora Caterina przestraszyła się i wykonała nieznaczny ruch, który miał Elenie zwrócić uwagę, że się zdradziła. Sama markiza opanowała się natychmiast i powiedziała z uśmiechem:

— Dagmara lubi nazywać mnie mamą, tak jak moja córka, z którą była serdecznie zaprzyjaźniona

Elena jednak ze strachu spowodowanego swą głupotą zrobiła się cała czerwona i z trudem się opanowała. Ale po chwili roześmiała się nienaturalnie i wyjaśniła spiesźnie:

— No cóż, skoro ja sama nie miałam mamy, zazdrościłam trochę Elenie i nazywałam moją kochaną ciocię również mamą, jak to czyniła Elena.

Ale nie mogła już naprawić tego, co zepsuła. Ciotka Brygida drgnęła tylko niedostrzegalnie i nie uniosła wzroku znad talerza. Nie chciała się zdradzić, że w tym momencie niczym błyskawica zrodziło się w niej podejrzenie. Już samo to, że młoda dama uznała umiłowaną niegdyś lalkę za straszliwe monstrum, nie pasowało wcale do małej Dagmary sprzed lat. Do tego to odruchowe nazywanie markizy mamą. I teraz szybko przyszło wszystko inne: Oczy młodej damy, które nie były oczami Dagmary i Leonory, lecz oczami markizy, włosy o tak dziwnym odcieniu, no i ten przestach obu dam i spieszne gorliwe tłumaczenie się... dość! Ciotka Brygida powzięła podejrzenie i zadała sobie pytanie, czy ta młoda istota po drugiej stronie stołu jest w ogóle Dagmarą? Może Dagmara umarła i zatajono jej śmierć, by nie stracić dodatkowego dochodu? I teraz markiza zamiast z Dagmarą przyjechała ze swoją córką, żeby objąć bogaty spadek? Albo może Dagmara pod jakimkolwiek pretekstem pozostała w kasztelu?

Pani Brygida przestraszyła się tymi myślami nie na żarty, ale nie mogła się od nich uwolnić. Wciąż rozważała wszystko od nowa i zaczęła nabierać przekonania, że markiza była zdolna zainscenizować podobne oszustwo, aby znowu osiągnąć splendor i bogactwo.

— Jest przecież zrozumiałe, Dagmaro, że w ciotce Caterinie widzisz swoją drugą matkę — zgodziła się ciotka Brygida

Elena przytaknęła i zmieniono temat. Dopiero po chwili pani Brygida odważyła się spojrzeć na Wenera i spotkała jego wzrok, który miał dziwny wyraz. Zdradził on natychmiast, że także Wenera coś zauważył.

Po kolacji w przyległym pokoju podano kawę. W pokoju tym wisiał portret Rudolfa Strassera. Został namalowany w okresie małżeństwa i Rudolf spoglądał z obrazu bardzo zadowolony i szczęśliwy. Signora Caterina rozpoznała kuzyna natychmiast. Wzięła Elenę pod rękę i poprowadziła do obrazu.

— Popatrz, Dagmaro, to jest nadzwyczaj dobry portret twego ojca. Musiał być namalowany mniej więcej w tym samym czasie, gdy poznałam Rudolfa z okazji swego ślubu. Naprawdę znakomity, ten obraz formalnie żyje!

Elena przyglądała się portretowi.

— O mój kochany papo! Takiego mam cię zawsze w pamięci, tylko nieco starszego.

Przy tej scenie spotkały się spojrzenia Wenera Falknera i pani Brygidy. Zatonęły w sobie na moment, jakby w niemych pytaniu. Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk Eleny. Dziewczyna spoglądała na obraz i w pewnym momencie odniosła wrażenie, jakby obraz faktycznie ożył i poruszył się. I wtedy właśnie nastąpił krach: portret Rudolfa Strassera spadł ze ściany i kantem ciężkiej ramy omal nie musnął ramienia Eleny.

Wszyscy stali przez chwilę jak sparaliżowani. Elena zbladła śmiertelnie i ukryła twarz na ramieniu matki, jakby już więcej nie chciała patrzeć na portret. Także signora Caterina, zabobonna jak wszystkie jej rodaczki, zbladła straszliwie i stała nieruchomo z pobielającymi wargami. Pozostała trójka spoglądała na portret zdumionymi oczyma i znowu porozumiewawczo spotkały się spojrzenia Wenera i pani Brygidy.

Signora Caterina opanowała się pierwsza. Jeszcze trochę blada, ale będąca już panią sytuacji, powiedziała, głaszcząc Elenę po głowie:

— Przestraszyłaś się, moje dziecko, nic dziwnego, zupełnie jakby twój ojciec chciał cię powitać, omal cię nie musnął swoim portretem. Chodź, zobaczymy, czy obraz pozostał cały.

Także pozostali podeszli bliżej, żeby się przekonać, czy portret nie doznał szwanku. Wener Falkner nie patrzył jednak na obraz, lecz na Elenę. I zauważył, że ona trwożnie unika ponownego spojrzenia na portret. Nie odezwał się jednak ani słowem, podniósł obraz z podłogi i oparł go o ścianę.

— Dzięki Bogu jest nieuszkodzony. Hak, na którym wisiał, obłuzował się. Trzeba go na nowo zagipsować — powiedział spokojnie.

— Mam nadzieję, że pani niezbyt mocno się przestraszyła, panno Dagmaro — powiedział Herman Falkner zupełnie bez uprzedzeń, bowiem nie przyszło mu do głowy podejrzenie, że młoda dama mogłaby być fałszywą spadkobierczynią.

Elena opanowała się z trudem. Matka ścisnęła mocno jej rękę, jakby chciała jej przywrócić pewność siebie. Rozumiała, że Elena musiała się znowu przestraszyć, tak jak przedtem, gdy się zdradziła przy pytaniu o lalkę. Markiza najchętniej udzieliłaby jej nagany. Takie rzeczy nie mogą się już absolutnie powtórzyć. Elena musi się nauczyć być pewną siebie. I Elena, jakby odczytując myśli swojej matki, wyprostowała się zdecydowanie i powiedziała z uśmiechem:

— Jestem oczywiście trochę przestraszona, to przecież nic dziwnego, gdy się widzi, że obraz spada ze ściany. Omal nie uderzył mnie w ramię. Na szczęście pozostał nieuszkodzony, w przeciwnym razie byłaby to dla mnie niepowetowana strata..

Gdy wszedł służący, który podał kawę, pani Brygida wydała polecenia, żeby następnego dnia umocowano hak i zawieszono portret.

Potem pani Brygida udała się na kilka minut do swego pokoju, który teraz znajdował się na parterze, ponieważ starszej pani ciężko było wychodzić po schodach. Napisała pospiesznie kilka słów na wyrwanej z notesu karteczce i wróciła do gości. Dla niej nie był to żaden przypadek, że obraz spadł ze ściany w tym samym momencie, kiedy młoda dama zbliżyła się do niego; dla niej był to znak Opatrzności.

Gdy znowu znalazła się razem z innymi, upatrzyła odpowiednią chwilę i wsunęła Wernerowi karteczkę do ręki. Wziął ją, nawet nie mrugnawszy okiem. Nieco później rozwinął ją niespostrzeżenie i przeczytał:

Muszę z panem jeszcze dziś pomówić na osobności. Proszę przyjść do mego pokoju, kiedy damy wycofają się już do siebie. Ale niech pan stworzy pozory, że się pan pożegnał. Potem pan wróci i powie, że pan zapomniał omówić ze mną coś ważnego.

Niezauważalnie dla innych Werner skinął potakująco głową, gdy popatrzył na panią Brygidę. Karteczkę wetknął do kieszonki kamizelki. Ani signora Caterina, ani Elena nie zauważyły tego. Obie były bardzo zajęte sobą, a także tym, aby *faux-pas*, które popełniły, zatuszować podwójną uprzejmością.

Wkrótce potem wycofały się do swych pokojów, gdzie signora Caterina dała się swej córce dobrze we znaki, żeby już więcej nie robiła takich głupstw jak dzisiaj; próbowały też wzajemnie się przekonać, że spadnięcie obrazu było tylko przypadkiem. Ale w głębi serca obie widziały w tym zły omen i musiały poważnie wziąć się w garść, żeby nie ulec wpływowi tego przeświadczenia.

Jednocześnie z damami obaj panowie pożegnali się z Brygidą Hartmann, ale gdy w garderobie mieli już nałożyć płaszcze, Werner, przekonany, że obie damy znikły w swoich pokojach na górze, powiedział do ojca:

— Drogi ojcze, przypomniało mi się, że mam jeszcze coś do omówienia z panią Hartmann.

— O tej porze? Pani Hartmann udała się już chyba do swego pokoju. I muszę przyznać, że ja jestem nieco zmęczony, także mama będzie na mnie czekać.

— Wracaj, ojcze, spokojnie do domu, a ja każę się jeszcze raz zapowiedzieć pani Brygidzie. Skoro tylko omówię z nią sprawę, udam się za tobą.

— Czy to jest takie ważne?

— Tak, ojcze, być może nie będziesz jeszcze spał, kiedy wrócę, wówczas powiem ci, co miałem do omówienia z panią Hartmann.

— No dobrze. A więc do zobaczenia, Wernerze!

— Do zobaczenia, ojcze!

Pani Brygida była już w swym pokoju i siedziała jak sparaliżowana w staroświeckim fotelu, gdy służący zameldował, że pan Werner Falkner prosi jeszcze o krótką rozmowę; zapomniał o czymś powiadomić. Skinęła głową i dała znak, żeby go wprowadzić. Werner przekroczył próg. Patrzyli na siebie w milczeniu. W końcu stara dama powiedziała cicho:

— Panie Wernerze, panu to także przyszło do głowy, prawda? Szybko podszedł bliżej, jego oczy błyszczały podnieceniem.

— Portret Rudolfa Strassera nieprzypadkowo spadł ze ściany, łaskawa pani, to był protest drogiego nam wszystkim zmarłego przeciwko oszustwu — oświadczył mocno i stanowczo.

Kurczowym uściskiem chwycili się oboje za ręce.

— Kiedy zrodziło się u pana podejrzenie?

— Kiedy ona tak bez serca mówiła o swej lalce Lizie i gdy się potem zdradziła i signorę nazywała mamą, i kiedy obie damy stały się tak bardzo zakłopotane. Ale podejrzenie było już chyba nieświadomie przygotowane: nie mogłem sobie dać rady z tym, że oczy młodej damy były całkiem inne, niż tego oczekiwałem. Wydawało mi się, że uległo zniszczeniu drogie mi wspomnienie, i rozmyślałem wciąż, czy to możliwe, żeby człowiek mógł się tak zmienić.

Pani Brygida przytaknęła

— Ze mną było zupełnie tak samo — powiedziała wzburzona. — Mogę panu powiedzieć, drogi Wernerze, że drżałam na całym ciele z przerażenia. Nie wolno nam przecież do tego dopuścić. Jeśli młoda dziewczyna nie jest Dagmarą, to jest chyba córką markizy. Ale wobec tego gdzie jest Dagmara?

Werner zacisnął zęby. W chwili gdy po raz pierwszy zobaczył twarz Eleny, poczuł, że umarło drogie dla niego wspomnienie. Teraz popatrzył na starą damę.

— No właśnie, gdzie jest panna Dagmara? Pani Brygida zaciskała drżące ręce.

— Czy ona jeszcze żyje?

Coś drgnęło w twarzy Wenera. Wydawało mu się nieprawdopodobne, że Dagmara może nie żyć. Dlatego po krótkim zastanowieniu się zauważył:

— O tym nawet nie powinniśmy myśleć. Sądzi pani, że zatajono śmierć Dagmary Strasser, by nie stracić pieniędzy przeznaczonych na jej wychowanie?

Przytaknęła.

— Tak, tak, nasza mnie taka myśl.

Werner potrząsnął głową.

— Wtedy pan Egon Strasser musiałby należeć do spisku, a przecież on napisał do pana Rudolfa, że panna Dagmara nie pozostaje w najlepszych stosunkach z jego żoną i że dlatego musi wyjechać z kasztelu, gdy jego nie będzie już na świecie. Wydaje mi się więc, że Egon Strasser wierzył jakieś niebezpieczeństwo. Nie można zatem przyjąć, że panna Dagmara nie żyje.

— Ale co teraz zrobimy, aby wyświecić całą tę sprawę?

— Trzeba się nad tym dobrze zastanowić. Jeśli obie damy przybyły tutaj z określonymi zamiarami, wówczas z pewnością wszystko dobrze rozważyły. Panna Elena, możemy ją chwilowo tak nazywać, podróżuje na pewno z paszportem, który jest wystawiony na imię panny Dagmary. I tym paszportem może się legitymować jako prawdziwa sukcesorka Rudolfa Strassera. Kto wie, jaką drogą uzyskała ten paszport. Nim będzie można cokolwiek przeciwko niej podjąć, trzeba uzyskać pewność, gdzie pozostała panna Dagmara i jakimi sposobami ją zatrzymano.

Pani Brygida popatrzyła na niego zaniepokojona

— Markiza mówiła przecież o swojej córce, która pozostała w kasztelu i która tak wzięła sobie do serca śmierć ojca, że prawie postradała zmysły. Dla mnie byłoby zrozumiałe, że to Dagmara mogła sobie tak wziąć do serca śmierć ojca I jeśli Elena odgrywa tutaj Dagmarę, to czy nie mogłaby wówczas Dagmara pozostawać w kasztelu jako Elena?

Oczy Wenera rozbłysły.

— To wydaje mi się całkiem możliwe!

— Czy przypadkiem nie popełniono wobec Dagmary jakiegoś przestępstwa, aby móc bez przeszkód wejść w posiadanie spadku?

Werner podniósł się.

— Dlatego musimy jak najszybciej uzyskać pewność. Może trzyma się pannę Dagmarę w tym starym kasztelu niczym w więzieniu. Trzeba spróbować to wykryć.

— Ale jak?

— Niech mi pani pozwoli się nad tym zastanowić, łaskawa pani. W każdym bądź razie jesteśmy zobowiązani wobec Rudolfa Strassera zrobić wszystko, aby jego córkę uchronić przed krzywdą. Musimy obie damy utrzymywać w przekonaniu, że wszystko jest w porządku, oraz nie dać poznać po sobie, że mamy jakiegokolwiek podejrzenia. I mieć na wszystko oczy szeroko otwarte. Jeśli już raz się zdradziły, to zdradzą się z największą pewnością ponownie. Żebyśmy tylko mieli jakiś dowód, aby móc stwierdzić, że ta młoda dama w żadnym wypadku nie jest Dagmarą Strasser.

Pani Brygida zastanowiła się i przypomniała sobie teraz ów dzień, kiedy na stopie Dagmary zobaczyła znamię w kształcie gruszki. Drgnęła.

— Panie Wernerze!

— Słucham, łaskawa pani.

— Wiem o czymś, co jest niezbitym dowodem. Gdybym mogła zobaczyć obnażoną prawą stopę tej dziewczyny, wtedy wiedziałabym na pewno, czy jest Dagmarą.

Spojrzał na nią pytająco.

— Prawą stopę?

— Tak, tak! Na prawej stopie na podbiciu Dagmara ma znamię. Jest to mały znak w kształcie gruszki, w tym miejscu, gdzie duży palec styka się z następnym. O mój Boże, tylko ta jest prawdziwą Dagmarą, która posiada to znamię!

Werner odetchnął.

— To bardzo dobrze, to musi nam pomóc w zdemaskowaniu fałszywej Dagmary, jeśli nic innego nie będziemy mogli zrobić. Teraz już nie mam wątpliwości, że młoda dama, którą dziś przyjmowaliśmy, nie jest prawdziwą Dagmarą.

— Także i ja już nie wątpię, że to nie nasza kochana Dagmara wróciła do domu. Od początku nie miałam serca do tej obcej osoby i byłabym bardzo nieszczęśliwa, gdyby Dagmara wróciła tak okropnie zmieniona. Oby tylko nie znajdowała się w niebezpieczeństwie. Panie Wernerze, co teraz zrobimy? Tak strasznie się boję.

— Proszę, niech się pani uspokoi, bezpośrednie niebezpieczeństwo chyba pannie Dagmarze nie grozi, oczywiście jeśli ona jeszcze żyje, w co niepodobna wątpić. Biorąc pod uwagę przewidywany rozwój wypadków, może okazać się konieczne zbadanie we Włoszech miejsca pobytu Dagmary Strasser. Trzeba się udać do kasztelu Consistellich i tam zacząć dochodzenie.

Pani Brygida żywo przytaknęła.

— Tak, to trzeba zrobić. I to pan, panie Wernerze, musi to zrobić. Ach, niech pan ratuje Dagmarę, czuję coraz wyraźniej, że to dziecko jest w niebezpieczeństwie.

— Może pani być pewna, że natychmiast podejmę wszelkie niezbędne kroki, żeby wyświecić tę sprawę. Jeszcze dziś wieczorem porozmawiam z ojcem i wszystko mu wyjaśnię. Jutro nastąpi otwarcie testamentu, czego nie możemy przesunąć. Muszę być przy tym, bo moja nieobecność rzuciłaby się w oczy. Ale gdy tylko skończy się ta ceremonia, przełożę zamierzoną podróż w interesach i pojadę do Włoch. W jakiś sposób uzyskam dostęp do kasztelu i zobaczę, co da się zrobić. Pani tymczasem niech dobrze uważa na obie damy. Może nadarzy się okazja i uda się pani obejrzeć prawą stopę tej panny, może mój ojciec znajdzie jeszcze jakąś radę, w każdym razie jako opiekun ma pełnomocnictwo, żeby objęcie spadku nieco przeciągnąć. I jeśli go przekonam, że nasze podejrzenie jest uzasadnione, wówczas będzie damom bardzo trudno przywłaszczyć sobie nawet szpilkę ze spadku Rudolfa Strassera. Muszę przyznać, że bardzo mądrze pani postąpiła, nie dając nic po sobie poznać i nie zdradzając swoich podejrzeń.

— Moim zadaniem powinno być teraz utrzymanie obu dam w całkowitej pewności co do bezpieczeństwa ich poczyńań. Okazuje się, że nie należy lekceważyć pewnych wewnętrznych odczuć. Zawsze, kiedy słyszałam o markizie, miałam uczucie, że to niebezpieczna kobieta. Gdy Rudolf Strasser ongiś postanowił, że Dagmara zostanie umieszczona w rodzinie naszego kuzyna, wydawało mi się, że nie powinnam do tego dopuścić, i stałam się spokojniejsza dopiero wówczas, gdy poznałam, że Egon jest bardzo dobrym człowiekiem. Odniosłam jednak wrażenie, że w swym małżeństwie nie ma życia usłanego różami. Ale teraz, drogi panie Wernerze, zwalnię pana, aby pan zdążył jeszcze porozmawiać z ojcem. Wydaje mi się nadzwyczaj ważne, żeby go we wszystko wtajemniczyć. Zaprosiłabym go od razu do udziału w tej rozmowie, ale nie byłam do końca przekonana, czy pan żywi takie same podejrzenia, co ja. To potworne, że takie damy można podejrzewać o oszustwo. Werner pożegnał się.

Herman Falkner nie położył się jeszcze, gdy jego syn wrócił do domu. W małym ładnym domu, który należał do jego rodziców, Werner zajmował facjatkę, gdzie czuł się bardzo swobodnie. Matka udała się już na spoczynek i Werner tylko przez zamknięte drzwi przekazał jej życzenia dobrej nocy, na które ona w taki sam sposób odpowiedziała. Ojca natomiast poprosił, żeby mu poświęcił pół godziny rozmowy.

— No więc słucham, Wernerze. Co się dzieje?

— Będę mówił bez ogródek, ojcze. Pani Brygida i ja powzięliśmy podejrzenie, że ta panna Dagmara Strasser wcale nie jest Dagmarą, lecz córką markizy.

Herman Falkner otworzył szeroko trochę już zmęczone oczy i nagle stał się bardzo trzeźwy.

— Drogi chłopcze, to, co mówisz, jest niesłychane!

— Ale nasze podejrzenie, ojcze, przekształciło się już w pewność — stwierdził Werner stanowczo i podniecony przedstawił wszystkie niejasne momenty zaobserwowane w czasie wieczornego spotkania. Herman Falkner otarł ręką czoło, jakby mu się zrobiło za gorąco.

— Na miłość boską, Wernerze, bardzo mnie to wzburzyło! To jest po prostu nie do pomyślenia! Co powinienem teraz zrobić? Mogę tylko poprosić o paszport młodej damy pod pretekstem, że należy to do niezbędnych formalności. Jeśli paszport się zgadza, wówczas nie mam prawa stwarzać przeszkód przy objęciu spadku. Oczywiście mogę z tym podejrzeniem pobiec prosto na policję i kazać zbadać sprawę. Ale to oznacza, że nazwisko Strasserów... nie, muszę go bronić, jestem to winien memu staremu przyjacielowi Rudolfowi.

— Ale także jesteś mu winien to, żeby bronić spadku jego córki przed jakąś oszustką. O policji, naturalnie, nie może być mowy, musimy inną drogą zdobyć dowody. Zgłosiłem pani Hartmann gotowość, by pojechać do Włoch zaraz po otwarciu testamentu, oficjalnie podając powód, że udaję się w podróż w interesach. Odszukam kasztel i zbiorę konieczne informacje.

Herman Falkner podrapał się po głowie.

— Rzeczywiście to wszystko wygląda bardzo podejrzanie. Czyżby te damy poszły na tak awanturniczą historię? Przyznam się, że ja niczego nie zauważyłem, chociaż mnie również ta panna Dagmara nie bardzo się podobała, nawet przestałem żałować, że jej ojciec nie dożył tego spotkania.

— Ty, ojcze, nigdy nie miałeś tak wiele do czynienia z małą Dagmarą, jak pani Hartmann i ja, ty ją widywałeś tylko przelotnie. Ale ja przebywałem z nią bardzo dużo, w niejedną niedzielę

całymi godzinami. Czy możesz sobie wyobrazić, że ta młoda dama, naprzeciwko której dziś siedzieliśmy, miała kiedykolwiek dobre serce?

— Na tym nie można jednak budować tak straszliwego podejrzenia.

— Nie, na pewno nie, ale jedno dodaje się do drugiego. Może jest to nawet bardziej sprawa uczucia, ale oboje jesteśmy przekonani, pani Hartmann i ja, że ta młoda dama nie jest Dagmarą Strasser. Przecież mnie znasz, ojcze: nie jestem fantastą. Zapewniam cię, że ta signora Strasser chce podsunąć własną córkę jako spadkobierczynię Rudolfa Strassera, i będę się starał, aby temu wszelkimi środkami przeszkodzić. Jestem to winien swemu dawnemu szefowi. Może prawdziwą Dagmarę gdzieś zamknięto i tym samym przeszkodzone jej objąć spadek. I nie można wykluczyć, że grozi jej jeszcze poważniejsze niebezpieczeństwo, bowiem gdy obie damy zagarną spadek, nie oddadzą go już tak łatwo. Jakoś musisz temu przeszkodzić, ojcze, żeby fałszywa sukcesorka nie przywłaszczyła sobie niczego z majątku Dagmary, nim ja wrócę z Włoch.

— Więc obstajesz przy tym, żeby tam jechać?

— Tak, ojcze, i to tak szybko, jak tylko można. Żle odplaciłbym Rudolfowi Strasserowi za jego dobroć, którą mi tak szczerze okazał, gdybym przy takim podejrzeniu założył beczynną rękę i pozwolił sprawom biec swoim torem.

Starszy pan przyznał synowi rację.

— Tak, myślę, że musimy zbadać ten przypadek. Jeśli twoje podejrzenie nie jest bezpodstawne, wówczas prawdziwa Dagmara z pewnością jeszcze żyje. Gdyby nie żyła, obie damy nie musiałyby podejmować takiego ryzyka, gdyż wtedy i tak byłyby sukcesorkami Rudolfa Strassera

Werner odetchnął z ulgą.

— Słusznie! Tym stwierdzeniem, ojcze, zdjąłeś mi kamień z serca. Muszę to jutro powiedzieć pani Hartmann, żeby ją też uspokoić.

— No dobrze, zarazileś mnie swoim podejrzeniem. Musimy teraz zrobić wszystko, żeby wyświetlić tę sprawę. Gdybyśmy tylko mogli przedstawić jakiś niezbity dowód, że ta młoda dama nie jest Dagmarą Strasser.

— Istnieje taki dowód.

I Werner opowiedział ojcu o charakterystycznym znamieniu na podbiciu prawej stopy Dagmary.

— Bardzo dobrze. W najgorszym wypadku ten znak da nam pewność i ustrzeże nas przed przekazaniem spadku oszustce.

— Ja też tak sędzę. Czy wolno mi teraz powiedzieć, ojcze, jak ja na twoim miejscu postąpiłbym w tej sprawie?

Herman Falkner uśmiechnął się lekko.

— Mów, bez ceregieli.

— Jutro jest otwarcie testamentu i tego bez poważnego powodu nie możemy odłożyć, a takiego powodu chwilowo jeszcze nie mamy, bo nie mamy żadnego dowodu. Wydaje mi się, że zaraz po otwarciu testamentu obie damy będą chciały możliwie najszybciej odjechać do Włoch, oczywiście ze znaczącą częścią zdobyczy. Do tego nie wolno ci w żadnym wypadku dopuścić. Przeciwnie, musisz użyć wielu wybiegów, powołuj się na twoje obowiązki jako opiekuna i zasłaniaj się wszelkiego rodzaju formalnościami, których najpierw trzeba jeszcze dopełnić przed wypłaceniem choćby jednego feniga. Nie zapominaj, że Rudolf Strasser wyposażył cię we wszelkie pełnomocnictwa. W ten sposób zyskamy na czasie. Skoro tylko we Włoszech dowiem się czegoś, natychmiast dam ci znać. Ewentualnie wrócę niebawem. Jeśli podejrzenie moje i pani Hartmann potwierdzi się, musisz utrzymywać, że do wprowadzenia sukcesorki w jej prawa należy jeszcze drobna formalność, jakby ceremonia, a mianowicie: sukcesorka wobec trzech świadków musi obnażyć prawą stopę. Mam jednak nadzieję, że wrócę z kasztelu Consistellich z należyтыми dowodami. Co na to powiesz, ojcze?

Starszy pan zerwał się.

— Że twoja propozycja jest dobra Jutro przed południem zatroszczę się o to, żebyś dostał wizę do Włoch. Natychmiast po uroczystości otwarcia testamentu możesz wyjechać. A teraz czas do łóżka, obawiam się zresztą, że nie będę mógł spać. Niech nam Bóg dopomoże, żebyśmy wszystko doprowadzili do pozytywnego końca. Dziwne było w każdym razie to, że portret Rudolfa Strassera spadł ze ściany akurat w tym momencie, kiedy ta młoda dama przed nim stanęła. W żadnym wypadku nie przekażę jej listu, który mi Rudolf Strasser zostawił dla swej córki. Wpadło mi zresztą do głowy, czy nie powinniśmy poprosić pani Leonory Magnus, żeby tutaj przyjechała i popatrzyła na tę młodą damę? Matki mają przecież pod tym względem najlepszy instynkt.

Werner potrząsnął głową.

— To mogłoby tę sprawę jeszcze bardziej zagmatwać. Przecież ona jako dowód mogłaby również wskazać tylko znamię na nodze. I obie damy zostałyby zbyt wcześnie ostrzeżone i mogłyby nawarzyć jeszcze większego piwa. One muszą czuć się całkiem bezpieczne, aby przez ewentualny telegram do zaufanych osób nie mogły mi utrudnić mojego zadania we Włoszech. Nie mogą także w żadnym przypadku wiedzieć, dokąd pojechałem. Wyłączmy więc na razie z gry Leonorę Magnus.

Panowie rozstali się.

Następnego przedpołudnia miało miejsce otwarcie testamentu i Herman Falkner poprzestał na publicznym odczytaniu dokumentu. Ustanawiał on Dagmarę Strasser uniwersalną spadkobierczynią. Pani Brygidzie Hartmann przyznawał prawo zamieszkiwania w willi Strasserów do końca

życia. Herman Falkner i jego syn Werner zostali jeszcze raz testamentem, tak jak wcześniej podpisanymi układami, zatwierdzeni dożywotnio jako prokurenci ze wszelkimi pełnomocnictwami. Na szczęście otrzymali także pełnomocnictwo pozwalające im odmówić sukcesorce podejmowania z przedsiębiorstwa tak wielkich sum, że zagrażałoby to pomyślności fomy.

Przy odczytywaniu tego fragmentu Werner przyglądał się nadzwyczaj uważnie obu damom, które w eleganckich żałobnych strojach siedziały przy stole nakrytym zielonym sukmem. I spostrzegł, że ten passus wywołał na ich twarzach wyraz zaskoczenia. Popatrzyły dziwnie na siebie. Werner, który już był przekonany o tym, że ma przed sobą signorę i jej córkę, poznał po ich minach, że całkiem sobie inaczej to wszystko wyobrażały i były bardzo rozczarowane, że nie będą mogły czerpać ze spadku pełną garścią.

Nie mają prawa dostać ani feniga — pomyślał. Rano odbył jeszcze rozmowę z panią Brygidą i powiadomił ją o wszystkim, co z ojcem postanowili. Pani Brygida ucieszyła się z tych wiadomości.

Ze swej strony zaś poinformowała Wenera, że dziś rano, przy śniadaniu, próbowała na różne sposoby porozmawiać z Eleną o dawnych czasach. Jednakże ta nieodmiennie odpowiadała, że z okresu dzieciństwa niczego już nie pamięta. Pani Brygida poprosiła więc obie damy, żeby opowiedziały jej o kasztelu Consistellich, i w ten sposób dowiedziała się, że leży on na uboczu, z dala od wszelkiego ruchu, i że mieszkały tam przez wszystkie te lata w całkowitym odosobnieniu, nigdy w tym czasie nie opuszczając zamku i nie przyjmując także żadnych gości u siebie.

— Sądząc po tym, wydaje mi się, że finanse mego kuzyna Egona znajdowały się w opłakanym stanie. Nie miał pieniędzy, żeby swe panie chociaż na kilka tygodni zawieźć do Rzymu bądź tylko do Florencji. Najbliższa wieś nazywa się Sorino i leży dwie godziny drogi od kasztelu; robiły tam czasami przejażdżki dość wysłużoną kareta. Skierowałam potem rozmowę jeszcze raz na córkę markizy i zapytałam, czy nie czuje się w kasztelu bardzo osamotniona. Markiza odparła, że Elena bardzo lubi samotność, że jest niezwykle przewrażliwiona i stroni od ludzi; zawsze już taka była i signora robi, co może, żeby córka z tego wyrosła. W każdym razie chwilowo jest dla niej najlepiej, że przebywa spokojnie w kasztelu. Jest tam zresztą w dobrych rękach, pod opieką starej służącej, która ją bardzo kocha.

Werner przysłuchiwał się uważnie i powiedział zastanawiając się:

— Wydaje mi się coraz bardziej prawdopodobne, że młodą damą pozostawioną w kasztelu jest Dagmara Strasser.

Pani Brygida położyła rękę na jego ramieniu.

— Ja także się tego obawiam, panie Wernerze, i bardzo się martwię jej stanem zdrowia. A może markiza chce tylko stworzyć pozory, że pozostawiona w kasztelu osoba jest chora, żeby nikt

się nie dziwił, że nie mogła przyjechać? A może chce ją na zawsze zatrzymać w kasztelu, aby jej przeszkodzić w objęciu spadku? Gdyby Rudolf Strasser wiedział, jak bardzo skrzywdzono jego córkę, jakże mocno dręczyłyby go wyrzuty sumienia, że wygnał niegdyś z domu swoje dziecko!

Werner powiedział jeszcze pani Hartmann, że ojciec brał także pod uwagę wezwanie pani Leonory Magnus, aby ją skonfrontować z fałszywą spadkobierczynią. Pani Brygida zaprotestowała

— Nie, nie, Leonora musi pozostać poza tą rozgrywką. Napiszę do niej, że nie znalazłam jeszcze okazji, aby porozmawiać otwarcie z jej córką, musi jeszcze wykazać trochę cierpliwości. Najpierw my musimy mieć jasność w całej sprawie.

Po uroczystym otwarciu testamentu signora Caterina i jej córka wracały do domu w towarzystwie pani Brygidy. Nie ukrywały swego oburzenia, że obaj prokurenci otrzymali tak nieograniczone pełnomocnictwa. Ale Brygida Hartmann stwierdziła spokojnie:

— Och, Rudolf wiedział, co robi. To są dwaj niezawodni, wypróbowani ludzie, a ich wierność firmie nie ulega żadnej wątpliwości. Dagmara może dziękować Bogu, że znalazła tak bezinteresownych zarządców swego majątku.

— Ale mnie nie przyznano żadnego prawa do dysponowania moim spadkiem. O każdego feniga muszę się zwracać jak natrętna petentka do tego pana Falknera lub jego syna — wyrzuciła z siebie gniewnie Elena.

Ciotka Brygida zachowała spokój.

— O każdego feniga to chyba za wiele powiedziane. Ale chcąc podjąć większą sumę, musisz oczywiście uzyskać zezwolenie obu panów, i to jest całkiem słuszne.

— Coś podobnego! A czemuż to ma być słuszne? — zapytała zjadliwie markiza

— Ponieważ w solidnym przedsiębiorstwie zawsze muszą istnieć duże rezerwy, które trzeba brać pod uwagę. Gdyby Dagmara pozostała w Hamburgu, wtedy nie potrzebowałaby wielkich sum na utrzymanie. Gdy jednak zamierza ustawicznie spędzać czas za granicą i w podróży, zmienia to postać rzeczy.

— No cóż, myślę, że majątek, który pozostawił Rudolf Strasser, jest wystarczająco duży, aby pozwolić jedynej córce żyć na wysokiej stopie — odparła markiza, rzucając złe spojrzenie w kierunku pani Brygidy.

Ta odwzajemniła się jej poważnym spojrzeniem i powiedziała zdecydowanie:

— Że tym sposobem można roztrwonić nawet największe majątki, droga kuzynko Caterino, to zna pani przecież z własnego doświadczenia, i dlatego musi się pani starać o to, żeby Dagmara rozsądniej gospodarzyła.

Signora Caterina rozzłościła się nie na żarty i z wściekłością spojrzała na starszą panią.

— Nie przypominam sobie, droga kuzynko Brygido, żebym dała pani prawo do zajmowania się moimi sprawami — rzuciła jadownicie.

Pani Brygida przytaknęła z całkowitym spokojem.

— Słusznie, toteż moją uwagę uczyniłam tylko dla dobra Dagmary. Chciałam jej wyjaśnić, że nie powinno się trwonić pieniędzy, nawet jeśli się jest bogatym. Bogactwo zobowiązuje!

— Dawanie mi takich lekcji jest całkowicie zbyteczne, ciociu Brygido. Niezbędnych rad udzieli mi już ciocia Caterina — zauważyła Elena dość rozdrażniona.

— Drogie panie, proszę więc wybaczyć, że wmieszałam się w nie swoje sprawy, to się więcej nie powtórzy — powiedziała Brygida Hartmann, uśmiechając się nieznacznie.

39

Dagmara żyła cicho i samotnie w swym więzieniu. Ozdobiła płytę grobową wujka Egona gustowną inskrypcją w języku niemieckim. I każdego dnia przynosiła na grób świeże kwiaty. To było właściwie wszystko, co miała do zrobienia. Dużo grała na fortepianie i gorliwie korzystała z biblioteki, aby nie oszaleć. Zamierzała też zabrać się do sporządzenia katalogu biblioteki.

Między nią a Mariettą doszło do swego rodzaju zawieszenia broni. Dagmara pozwalała się bez sprzeciwu nazywać Elena, reagowała na to imię, jeśli była nim przyzywana, i okazywała całkowite posłuszeństwo i uległość. Słowa ojca ze snu rozbrzmiewały wciąż w jej sercu: „Cierpliwości, ratunek się zbliża, moje kochane dziecko!” To było dla niej jak przyrzeczenie i uczyniło ją spokojniejszą, niż była dotychczas.

Nieustannie jednak myślała o tym, w jaki sposób mogłaby uciec z tego więzienia, ponieważ nie zamierzała siedzieć z założonymi rękoma. Ale powiedziała sobie, że najpierw musi całkowicie uspić czujność Marietty. Rozejrzała się w swoich rzeczach, szukając tego, co jest wartościowe i co można by w czasie ucieczki zamienić na pieniądze. Ale znalazła niewiele. Nie posiadała biżuterii, z wyjątkiem złotej bransoletki i złotego naszyjnika z wisiorkiem, w środku którego znajdowała się malutka perełka. Oba te klejnoty otrzymała w prezencie od wujka Egona, kupione oczywiście za jej własne pieniądze. Ale nagle przypomniało jej się co innego. Wujek Egon przekazał jej przecież pewnego dnia złotą, wysadzaną drogimi kamieniami papierośnicę, żeby ją ukryła za pustymi pudełkami w szafce na cygara. Wiedziała od wujka, że papierośnica jest kosztowną rzeczą i że on ją chowa na wypadek jakiejś nieodzownej potrzeby. Pamiętała też, że wujkowi było bardzo trudno z ta papierośnicą się rozstać. A więc z całą pewnością znajdowała się jeszcze w kryjówce, tylko że pokój wujka, jak i pozostałe pomieszczenia, był zamknięty. Dagmara postanowiła któregoś dnia

pod jakimś pretekstem poprosić Mariettę, aby jej ten pokój otworzyła. Chciała wtedy spróbować przenieść papierośnicę do siebie i tam ukryć. Dobry Bóg nie poczyna jej tego za grzech, a wujek Egon sam dałby jej taką radę, aby drogę do wolności uczynić lżejszą.

Tak więc udawała całkowite zadowolenie ze swego losu, a kiedy czuła się zupełnie osamotniona, nuciła sobie cicho niemieckie pieśni, których ją nauczyła panna Berend i którymi często umilała czas wujkowi Egonowi. Najchętniej słuchał, gdy śpiewała:

Młodych lat falą — młodych lat falą

Przyplywa echo pieśni...

To także nuciła teraz bardzo często, przecież z jej serca płynęła tęsknota za pięknymi, dalekimi latami dzieciństwa.

Zauważyła już zresztą, że kiedy śpiewała, Marietta była w wyjątkowo dobrym humorze i pozwalała jej na niewielkie swobody.

Pewnego razu Dagmara powiedziała dyplomatycznie:

— Pogodziłam się już z myślą, żeby pozostać w kasztelu do końca moich dni. W gruncie rzeczy jest tutaj bardzo pięknie i nie mam żadnych kłopotów. Dlaczego miałabym tęsknić za tym, co jest na zewnątrz? Tylko pani powinna być trochę miłsza dla mnie, Marietto, jesteśmy teraz zdane wyłącznie na siebie, a ja przecież nigdy nie wyrządziłam pani krzywdy. Teraz, gdy Elena, jak pani mówi, została spadkobierczynią wielkiego majątku, którego mi niegdyś zazdrościła, nie ma pani naprawdę już żadnego powodu, aby żywić do mnie jakąś urazę.

Marietta wysłuchiwała tego i stała się bardziej przystępna, ponieważ Dagmara rzeczywiście nie sprawiała najmniejszych kłopotów, wręcz przeciwnie, chętnie pomagała jej w pracy i zawsze troszczyła się o to, żeby ona mogła spokojnie uciąć sobie drzemkę. Dagmara wyświadczyła starej Włoszce niejedną przysługę i Marietta czasami nawet wstydziła się trochę za siebie, zwłaszcza że faktycznie nie musiała już Dagmary nienawidzić. I dała jej więcej swobody, niż początkowo miała zamiar, tym bardziej że była przekonana, iż Dagmara czuje się całkiem dobrze w kasztelu i nie myśli o ucieczce. W końcu pozwoliła Dagmarze wychodzić samej do parku i tylko kazała się opowiadać co do miejsca, żeby nie musiała jej szukać. Głównie po obiedzie, kiedy Marietta odbywała sjęstę, wolno było Dagmarze samej wyjść na dwór. Marietta zamykała się wtedy w swym pokoju, strzegąc skrzyneczki z kluczami. Brama była zamknięta, drabina dobrze schowana, a więc nie istniała żadna możliwość, żeby uwieczona dziewczyna uciekła nawet jeśli będzie sama w parku.

Dagmara cieszyła się, że w ciągu niewielu dni udało jej się przekonać Mariettę do siebie. Z radością korzystała z krótkich chwil swobody i szła zazwyczaj na niewielkie wzgórze, skąd ponad murem można było patrzeć daleko przed siebie.

Tak więc pewnego dnia siedziała w porze sjeisty na ławce ustawionej na tym wzniesieniu. Jej spojrzenie biegło tęsknie w dal, a z ust wydobyła się pieśń, do której zawsze tak chętnie wracała:

Młodych lat falą — młodych lat falą

Przepływa echo pieśni.

Jakąż dziś dalą — jakąż dziś dalą

To, co mym było wcześniej.

Słodko i melancholijnie rozbrzmiewała pieśń. Ale nim Dagmara zdążyła zacząć następną zwrotkę, drgnęła przestraszona, gdyż z zewnątrz, poza murem, zabrzmiał nagle, jakby w odpowiedzi, piękny, ciepły baryton:

Niechaj raz jeszcze — niechaj raz jeszcze,

Kraino ma ojczysta,

Twą świętą przestrzeń — twą świętą przestrzeń

Spotkam we śnie jak przystań!

Dagmara zerwała się gwałtownie z ławki, przycisnęła obie ręce do serca i z najwyższym wzruszeniem wysłuchiwała tej strofy. A gdy pieśń już przebrzmiała, otrząsnęła się ze swego zasluchania i zawołała głośno:

— Halo! Halo! Kim pan jest? Czy pan jest Niemcem?

— Tak, jestem Niemcem. Czy pani jest tam sama? — spytał męski głos. Dagmara z wrażenia drżała na całym ciele. Poza murem był jej rodak.

Czy powinna mu pozwolić odejść, nie błagając go o ratunek? Zebrała całą odwagę, przyłożyła ręce do ust jak tubę i podniecona zawołała:

— Tak, tak, jestem sama. Ach, proszę, niech mi pan pomoże, jestem Niemką i znajduję się w wielkim niebezpieczeństwie.

— Proszę poczekać chwilę, zaraz będę po drugiej stronie! — Głos za murem był nie mniej podniecony.

Dagmara popatrzyła trwożliwie na drogę, która prowadziła do kasztelu, ale Marietty nie było widać, spała przecież o tej porze.

— Proszę uważać! — rozległo się zza muru.

I zaraz potem przeleciał przez mur męski kapelusz, do którego umocowana była linka.

— Proszę, niech pani ciągnie linę, aż powiem stop — polecił męski głos.

Dagmara na drżących nogach zbiegła ze wzgórką do miejsca, gdzie upadł kapelusz z linką. Odwiązała kapelusz i powoli zaczęła ciągnąć linę, aż zobaczyła, że wciągnęła na wierzchołek muru jakiś duży przedmiot. I w tym momencie usłyszała energiczny głos:

— Stop!

Przestała ciągnąć i przyjrzawszy się uważniej stwierdziła, że na szczycie muru, na odłamkach szkła osadzonych w cemencie leży męski płaszcz. I znowu dobiegło do niej:

— Halo! Proszę teraz dobrze uważać! Niech pani okręci koniec linki tak mocno, jak pani potrafi, wokół jakiegoś drzewa, linka musi być dobrze naciągnięta. A potem proszę solidnie zawiązać, żeby się nie poluzowała, jak będę się po niej wspinał, jasne?

— Tak, tak... — odparła Dagmara

Już sam ten głos wyzwolił w niej uczucie spokoju. Drżącymi rękami, natężając wszystkie siły, okręciła mocno kilka razy koniec liny wokół najbliższego pnia i starannie zawiązała.

— Gotowe, lina jest umocowana — krzyknęła.

Wkrótce potem usłyszała szuranie butów po zewnętrznej stronie muru. Wielkimi, zatrwożonymi oczyma spoglądała na leżący na murze płaszcz. I wkrótce ukazała się tam para napiętych od wysiłku męskich rąk, które oparły się na płaszczu, aby uchronić się przed zranieniem o szkło. Dagmara nagle bardzo się przestraszyła. Komu ona pomaga przejść przez mur? A jeśli to jest przestępca, włamywacz? Ale nim uświadomiła sobie, co powinna uczynić, śmiałym skokiem wylądował tuż obok niej wysoki młody człowiek. Wyprostował się, szczupły i zgrabny, i zwrócił ku niej opaloną, jakby znajomą twarz. Dagmara stała przez chwilę jak sparaliżowana i patrzyła na niego zdumionymi oczyma. Potem zatoczyła się bezsilna ze wzruszenia, wyciągnęła ku niemu ramiona jakby w błagalnym geście i zawołała na pół zdławionym głosem:

— Pan Werner! Mój Boże, pan Werner!

Wziął ją w ramiona i trzymał mocno, i tak stali i patrzyli na siebie zdumionymi oczyma. Werner spostrzegł, jak w brązowych oczach dziewczyny zapalają się złote iskierki, i oczarowany, jakby onieśmielony pięknym snem, powiedział ochryłym ze zdenerwowania głosem:

— Dagmara Strasser! Dagmara Strasser, tak, to są oczy Dagmary Strasser!

Nie wypuszczając dziewczyny z objęć, podniósł jej rękę i żarliwie przycisnął do ust. Potem odezwał się głęboko poruszony:

— Stoi przed panią, Dagmaro, jej najwierniejszy sługa i wasal i biada temu, kto by się odważył tknąć panią choćby jednym palcem.

Nie mogła oderwać od niego oczu, wydawało się jej, że śni znowu, jak w owym dniu, kiedy ukazał się jej ojciec, prowadząc za rękę Wernera. Rozpoznała go od razu, nie tylko dlatego, że zachował podobieństwo do przyjaciela lat dziecińczych, lecz przede wszystkim dlatego, że był po prostu taki, jakim ujrzała go w swym śnie. I pod pełnym nabożnego podziwu spojrzeniem Wernera na jej twarz wypłynął ciemny rumieniec.

— Pan Werner! Ach, panie Wernerze, czy to naprawdę pan? Chyba niebo mi pana zesłało! A więc istnieje dla mnie możliwość ratunku i wydostania się z tego więzienia!

Jej ręka spoczywała w jego dłoni i od tej ciepłej, mocnej, męskiej dłoni płynął ku niej jakby strumień nowego życia.

— Proszę mi powiedzieć, jakie niebezpieczeństwo pani grozi, panno Dagmaro? Ale najpierw, pozwoli pani, zaprowadzę panią do ławki na tym pagórku, pani cała drży ze zdenerwowania i z trudem trzyma się na nogach.

Poprowadził ją troskliwie na wzniesienie, gdzie osunęła się na ławkę.

— Jestem uwięziona w tym kasztelu, panie Wernerze, mieszkam tu całkiem sama ze starą służącą, która mojej ciotce Caterinie jest niezwykle oddana. Właśnie na polecenie ciotki strzeże mnie jak więźnia i zupełnie nie wiem, z jakiego powodu. Moja ciotka i moja kuzynka Elena nie nawidzą mnie, odkąd sięgam pamięcią. A Marietta, tak nazywa się służąca, chce mi wmówić, że jestem Elena, nazywa mnie tym imieniem i grozi, że jeśli się będę sprzeciwiać, pójdę do szpitala wariatów.

— Biedne dziecko! — powiedział głęboko wzruszony z miłym, dobrym wyrazem twarzy, który znała z dawniejszych czasów. Z oczu trysnęły jej łzy. Werner ujął jej rękę i patrzył na nią z czułym podziwem. Nie myślał robić tajemnicy z tego, że jego serce na widok Dagmary rozpała się wielką radością. Czy była to miłość od pierwszego wejrzenia, czy zbudzenie się mocnego uczucia, które już od dawna w nim drzemało i jak czarodziejskie zaklęcie chroniło go przed innymi, pięknymi kobiecymi oczyma? Nie wiedział tego, wiedział tylko, że kocha Dagmarę Strasser i że jest szczęśliwy widząc, jak w jej oczach znów pojawiają się złote iskierki, i że te oczy tak serdecznie na niego spoglądają.

— Nie wiem, dlaczego ciotka Caterina kazała mnie tu uwięzić — powtórzyła Dagmara.

— Ale ja wiem, panno Dagmaro, i błogosławię chwilę, w której powziąłem podejrzenie. Ale nim będziemy mówić dalej, chciałem zapytać, gdzie jest pani cerber?

— W kasztelu. To jest jedyna godzina, w której mi pozwala przebywać w parku samej; odbywa teraz sjęstę. Zamyka się wtedy w swym pokoju, ponieważ ma tam schowany klucz od bramy i od pomieszczenia, gdzie znajduje się drabina. Wie przecież, że nie mogę uciec, a że pomoc nadejdzie z zewnątrz, nie przyszło jej nawet do głowy.

— I ten cały wielki park jest otoczony takim wysokim murem?

— Tak, aż do bramy wjazdowej. Uśmiechnął się prawie swawolnie.

— A ta jest nie do sforsowania, bo zrobiono ją z gładkich dębowych bali, wczoraj już dokonałem przeglądu. Wczoraj — opowiadał — zlustrowałem ten park z zewnątrz i nie mogłem nic uczynić, by przedostać się przez mur, który tak miło garniowany jest odłamkami szkła. Na dole, w domu dzierżawcy, wypilem szklankę mleka i usłyszałem od gospodarza, z którym z wielką trudnością porozumiewałem się po włosku, że w kasztelu mieszka tylko młoda signorina Elena i stara

służąca Marietta Na temat tej Eleny miałem własne zdanie i byłem bardzo ciekaw ujrzeć ją twarzą w twarz. Ale dzierżawca dał mi do zrozumienia, że w kasztelu nie przyjmuje się nikogo. Dowiedziałem się jeszcze tylko, że brama zostanie otwarta dopiero w sobotę, gdy on dostarczy do kasztelu produkty żywnościowe. Skoro dziś jest dopiero wtorek, nie miałem ochoty, by moją pilną wizytę przesunąć do końca tygodnia. Wróciłem więc do Sorino i tam nabyłem mocny sznur do bieliźny, a dzisiaj rano wyruszyłem znowu w drogę do kasztelu. Miałem nadzieję, że znajdę takie miejsce przy parkowym murze, gdzie mógłbym moją linkę zarzucić jak łąso na najbliższe drzewo, żeby się potem wspiąć. Ale, niestety, nie znalazłem odpowiedniego miejsca; żadne drzewo nie stało dostatecznie blisko przy murze. I akurat gdy się przyglądałem temu drzewu, tam, w dole, które także wydawało mi się zbyt oddalone, usłyszałem, jak pani śpiewa! Byłem prawie pewien, do kogo należy ten głos. Resztę pani już wie, mój płaszcz posłużył za poduszkę ochronną przeciwko szklanej zaporze i jestem tutaj.

Opisywał to wszystko nieco humorystycznie, aby przywrócić Dagmarze równowagę ducha. Przyglądała mu się rozświetlonymi radością oczyma. I on znów spojrzał głęboko w cudowne dziewczęce oczy, te same oczy, które przyprawiały go o gwałtowne bicie serca, gdy był jeszcze młodzieńcem, i uśmiechały się do niego z pięknej twarzy pani Leonory. Ujął rękę Dagmary i pochylił się ku niej. Jej oczy napotkały znów jego wzrok i zapomniała o bożym świecie. Trwali tak długi czas jak zaczarowani. Na twarz Dagmary wpłynął znowu zdradziecki rumieniec, jej serce tłuło się jak oszalałe, a ona nie wiedziała, co czyni ją tak szczęśliwą.

Ale nagle okropny strach wyrwał ją ze stanu błogiej szczęśliwości. Zbladła straszliwie, cała krew odpłynęła jej z twarzy. Spytała Wenera cicho i ze smutkiem:

— Panie Wenerze, pan przecież wie, że ja jestem dzieckiem hańby. Prawda?

Brzmiało to tak wzruszająco, tak trwożliwie, tak śmiertelnie smutno, że to nim wstrząsnęło. Popatrzył na nią przestraszony.

— Kto to pani powiedział?

— Elena, tuż przed śmiercią kochanego wujka Egona On był dla mnie tak dobry i nie chciał, żebym o tym wiedziała. Ale wszyscy inni mnie nienawidzili, o jakże bardzo mnie nienawidzili! Ponieważ stanęłam między nimi a wielkim spadkiem. To też Elena mi powiedziała owego dnia. Wiem, że nie jestem dzieckiem Rudolfa Strassera, a on mnie mimo to chciał zrobić swoją sukcesorką, chociaż wypędził mnie z domu, gdyż moja matka... Ach, pan chyba od dawna wie już o wszystkim, i to było tak miłe ze strony pana i cici Brygidy, że byliście zawsze dla mnie dobrzy i mówiliście do mnie: „Biedne dziecko!” Dlatego też miałam nadzieję, że mi pan pomoże, jeśli tylko zdołam pana powiadomić, że jestem w wielkiej potrzebie.

Przy tych słowach gorące łzy popłynęły po jej bladych policzkach. To było więcej, niż Werner mógł znieść. Usiadł obok niej, objął ją i przycisnął jej główkę mocno do siebie.

— Moja biedna, mała Dagmaro, jakąż krzywdę ci wyrządzono, jak bardzo ludzie zawinili wobec ciebie! Wszyscy, nawet twój ojciec, który zresztą był szlachetnym, dobrym człowiekiem. Ale mogę cię pocieszyć, on zrozumiał, jak bardzo był niesprawiedliwy i okrutny, tym bardziej że uzyskał dowody, iż jego podejrzenie było fałszywe i że ty naprawdę jesteś jego córką.

Drgnęła w jego ramionach, w których czuła się zresztą bardzo dobrze. Całkiem spokojna spoczywała na jego piersi, jakby tak właśnie miało być.

— Czy to prawda? — spytała załamującym się głosem.

Skinął tylko głową i spoglądał na nią pełen serdecznego współczucia. Dagmara drżała na całym ciele.

— O mój kochany ojczy, jakże trudno było mi uwierzyć, że nie jestem twoją córką. Ale musiałam się z tym pogodzić. Elena oznajmiła mi to w okrutny sposób, używając obrzydliwych słów, a ja nie mogłam nawet szukać pociechy u wujka Egona. Czy teraz wreszcie wrócę do domu?

W jej słowach słychać było taką bezradność i tak wielką trwogę, a jednocześnie tak palącą tęsknotę, że musiał ją znowu przytulić do siebie. Potem pogłaskał ją po głowie.

— Moja biedna, mała Dagmaro, teraz, niestety, muszę ci przekazać bolesną wiadomość.

Złapała jego rękę.

— Powiedz spokojnie wszystko. Przyjmę najgorszą wiadomość, jeśli tylko będziesz mnie mocno trzymał — wyznała ze wzruszającym zaufaniem.

— Twój ojciec nie żyje — oznajmił cicho.

Dagmara drgnęła i stała się śmiertelnie blada. Jej oczy patrzyły na Wenera pełne trwogi.

— Nie żyje? O mój Boże! I nigdy go już nie zobaczę?

— Nie, moja kochana. Czy nie wiedziałaś o tym, nie powiedziano ci wcale, że twój ojciec umarł? Tak ogromnie tęsknił za tym, żeby cię znowu zobaczyć, napisał przecież do twego wujka Egona, że powinnaś wrócić do domu, ponieważ teraz wie na pewno, że jesteś jego dzieckiem. I list dotarł jeszcze do twego wujka. Kiedy znaleziono go martwego, koperta była otwarta i list rozłożony. Twoja ciotka Caterina mówiła mi, że leżał u stóp zmarłego, jakby mu się wyśliznął z ręki.

— Och, i była tak okrutna, że to wszystko zataiła przede mną?

— Miała ku temu swoje powody. I również nie powiadomiła cię, że twój ojciec zmarł nagle na udar serca?

Ukryła twarz na jego piersi i zaszlochała.

— Jakże to okrutne, jakie okrutne! I naprawdę mój biedny ojciec zmarł tak szybko?

— Tak, mała Dagmaro. Nie zdołał znieść tak wielkiej radości po długim, długim cierpieniu, radości, że może cię kochać, że jesteś jego dzieckiem. Tęsknił za tobą przez wszystkie te lata, a przecież nie chciał ustąpić. Ale o tym usłyszysz szczegółowo później. Najpierw chcę ci wyjaśnić, dlaczego cię tu zamknęto. Twoja ciotka Caterina jest w Hamburgu, a wraz z nią... Dagmara Strasser.

Dziewczyna wyprostowała się i spojrzała na niego przez łyżę.

— Przecież ja jestem tutaj.

— Tak, prawdziwa Dagmara Strasser jest tutaj, ale powinna koniecznie stać się Elena, ponieważ Elena chce być Dagmarą, czyli sukcesorką Rudolfa Strassera.

Rumieniec oburzenia wypłynął jej na twarz i przewyciężył łyżę.

— Mój Boże, to jest przecież oszustwo! O to więc... o to więc chodziło! Jakże mogły popełnić takie przestępstwo?!

— Tak, przestępstwo, za które będą musiały odpokutować. W fałszywej Dagmarze nie mogłem znaleźć, tej prawdziwej, na której powrót tak bardzo się cieszyłem. I ciotka Brygida także jej nie mogła znaleźć. I w ten sposób powzięliśmy podejrzenie, bowiem twoje oczy, Dagmaro, pamiętałem doskonale. Spójrz na mnie.

Ostatnie słowa, które wydobyły się z jego piersi, wyrażały gorącą tęsknotę. Popatrzyła na niego zdumiona, ufna i niewinna, ale pod gorącym, błagalnym spojrzeniem jego oczu zadrżała. Ogarnęło ją uczucie niewymownego szczęścia, a jednocześnie niewymownej trwogi. Instynktownie w swym dziewczęcym wstydzie chciała się uwolnić z jego ramion, ale on widział złote iskiereki w jej oczach i trzymał ją mocno. I przytłumionym głosem oświadczył z ogromną serdecznością:

— Kocham cię, kocham cię, Dagmaro, i nie chcę cię już nigdy wypuścić z moich ramion. Pozwolisz na to, kochanie?

Osunęła się bezwolnie na jego pierś, przytuliła się do niego mocno i nie broniła się, kiedy jego usta przycisnęły się do jej warg. Pierwszy, gorący, miłosny pocałunek palił jej wargi, a cały świat gdzieś zniknął, nie widziała i nie czuła nic poza tym, że jest szczęśliwa, ponad wszelką miarę szczęśliwa...

Wreszcie Werner przypomniał sobie, że ma tu jeszcze pewne obowiązki. Ujął głowę Dagmary w obie ręce i popatrzył na nią poważnymi oczyma.

— Kochana moja, słodka, czy wiesz, że mi teraz oddałaś na zawsze ciało i duszę? Byłem zbyt niecierpliwy, nie zostawiłem ci wcale czasu do namysłu. To było z mej strony niesłuszne, ty bowiem nie wiesz nic o życiu, nie znasz go wcale, nie znasz w ogóle mężczyzn oprócz mnie. Nie powinienem posuwać się tak daleko, muszę ci zostawić czas na upewnienie się, czy mnie rzeczywiście kochasz, czy też tylko samotność twego serca przywiązała cię do mnie.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

— Ach, obejmij mnie mocno, nie opuszczaj już nigdy, tak dobrze się spoczywa na twoim sercu — powiedziała cicho i z głęboką serdecznością.

Znowu przycisnęła swe wargi do jej ust.

— Nigdy cię już nie opuszczę, będę cię trzymał w ramionach przez całą wieczność. Ale pamiętaj, że ty także nie możesz nigdy ode mnie odejść, ponieważ moje serce zawsze czekało tylko na ciebie. Czy więc zdajesz sobie sprawę, moja słodka Dagmaro, że należysz do mnie po wszystkie czasy? Kochasz mnie, powiedz, kochasz?

Przytuliła policzek do jego policzka.

— Chyba cię zawsze kochałam, Wernerze, teraz to wiem. Mam małą fotografię, na której trzymasz mnie na ręce. Pamiętasz, moja matka zrobiła nam zdjęcie przed pawilonem w ogrodzie. Ciocia Brygida zapakowała tę fotografię razem z moimi rzeczami, a ja ukryłam ją przed wszystkimi, żeby mi jej nie odebrano. I codziennie patrzyłam na nią i rozmawiałam z tobą. Czy nie czułeś tego, z jaką tęsknotą zawsze o tobie myślałam?

Ucałował jej ręce.

— Pewnie to czułem, ponieważ wciąż musiałem myśleć o tobie.

— Wyobraź sobie, że we śnie ukazał mi się mój ojciec, pewnie to było już po jego śmierci, i przyprowadził ciebie za rękę. Ach, Wernerze, jakie to dziwne zrobiło na mnie wrażenie. A potem ojciec połączył nasze ręce i powiedział: „Takie jest moje życzenie, bądźcie szczęśliwi”. Poczekaj, zaraz po obudzeniu się zanotowałam wszystko, co do mnie we śnie powiedział, ażeby tego nie zapomnieć.

Wyciągnęła mały notesik i pokazała mu, co wówczas zapisała. Był głęboko wzruszony.

— Dagmaro, czuję, że twój ojciec jest przy nas ze swoim błogosławieństwem. On mnie także kochał i uczynił mnie swoim następcą. I wciąż mi powtarzał: „Gdybym miał takiego syna jak pan, Wernerze!” Może, może on to właśnie miał na myśli.

I całował Dagmarę nieustannie, całował z wielką żarliwością. I wydawało mu się, że w ten sposób składa przyrzeczenie, iż uczyni ją szczęśliwą.

Otoczona jego ramieniem opowiedziała mu niejedno z tego, co musiała przecierpieć w kasztelu, a jego oczy ciskały błyskawice.

— Nie chcę już wcale o tym myśleć, chcę tylko Bogu dziękować za to, że uczynił mnie szczęśliwą, że ty się tutaj znalazłeś. Wierzę, że ściągnęły cię moje gorące pragnienia

— Przygnał mnie tu z pewnością jakiś wewnętrzny głos. Powiedziałem sobie, że owa Elena nie może być Dagmarą. Mówiła tak wstrętnie i nieczule o twojej lalce Lizie, że wiedziałem już, iż ona nie może być ową dobrą i serdeczną lalczyną mamą, która mnie oczarowała, jeszcze gdy była

dzieckiem. Lalka Liza zdemaskowała Elenę. Widzisz, w ten sposób lalka zemściła się za swą okrutną śmierć, na którą ją skazano.

Dagmara westchnęła

— Jak one muszą się czuć, jakie muszą mieć niespokojne sumienia, chyba się przecież obawiają, że mogą zostać odkryte.

— Och, one są przekonane, że wszystko bardzo mądrze ukartowały.

— Ale mimo wszystko muszą je przecież dręczyć straszliwe wyrzuty sumienia. Wyobraź sobie, Wernerze, że ja także zamierzałam zrobić coś bardzo złego; muszę ci to wyznać.

Zachwycony spojrzał w jej zakłopotaną twarz i ucałował rękę.

— Co złego chciałaś uczynić, mała Dagmaro? Popatrzyła na niego niepewnie.

— To było rzeczywiście coś bardzo złego, Wernerze. Ale nie przerażaj się, chciałam to zrobić tylko dlatego, że inaczej nie mogłabym stąd uciec. Wyobraź sobie, chciałam ukraść złotą papierośnicę wysadzaną drogimi kamieniami.

I opowiedziała, jak to było z tą papierośnicą i co zamierzała zrobić, żeby dotrzeć do niego, do Niemiec.

Przyciągnął ją mocno do siebie i ucałował jej piękne, zaniepokojone oczy.

— Chciałaś się zwrócić o pomoc do mnie? Przytaknęła gorliwie.

— Tak, pomyślałam sobie, że ciotka Brygida jest już może za stara, żeby mi pomóc, a poza wami nie mam na całym świecie człowieka, który byłby dla mnie dobry i któremu mogłabym zaufać.

Pocałował ją gorąco i czule.

— O moja słodka, mała zbrodniarko, jeśli twojej duszy nic więcej nie obciąża, możesz być zupełnie spokojna, tym bardziej że rodzina twego wuja zawdzięcza ci dużo więcej, niż jest warta ta papierośnica. Był to zresztą stan najwyższej konieczności, który zmuszał cię do takiego działania, żebyś mogła się uwolnić od przemocy. I jeśli twój wujek miał dla ciebie tyle miłości i dobroci, wówczas z pewnością sam dałby ci tę papierośnicę, żebyś mogła uciec.

— Ale moje serce biło mocno i głośno, nawet wtedy, gdy tylko o tym myślałam, że chcę ją zabrać. Jakże musi się teraz czuć Elena i jej matka, gdy zdecydowały się popełnić tak wielkie przestępstwo.

— Wydaje się, że obie są bardzo zahartowane. Mój Boże, jakże jestem szczęśliwy, kochanie, że nie jesteś Eleną. Czy możesz sobie wyobrazić, jak się czułem, gdy zobaczyłem zimne oczy Eleny, a musiałem przecież przyjąć, że to jest Dagmara? Nie znalazłem w niej niczego z mojej słodkiej lalczynnej mamy, która swemu ojcu chciała sprowadzić słońce i tak dzielnie poszła na wygnanie.

Szloch wydobył się z piersi Dagmary.

— Opowiedz mi, proszę, jak zmarł mój ojciec.

Werner opowiedział jej o szybkiej i lekkiej śmierci Rudolfa Strassera i jego ostatnich dniach. Nie powiedział tylko o jego spotkaniu z panią Leonorą. O tym wszystkim powinna się dowiedzieć później z listu swego ojca, kiedy będzie już w domu, spokojna i bezpieczna. Spadło na nią i bez tego zbyt dużo. I wspomniał jej tylko, jak bardzo ojciec cieszył się na spotkanie z córką i jak bardzo dręczyła go obawa, że już tego nie doczeka.

— Ale przed śmiercią napisał jeszcze do ciebie, kochanie, długi list, w którym ci sam opowiada o swojej przemianie.

Drgnęła i wyprostowała się.

— List? Do mnie?

— Tak, Dagmaro. Ukryła twarz w dłoniach.

— Nigdy, nigdy nie otrzymałam od niego ani jednego słowa! I teraz mam dostać długi list? Gdzie jest ten list, Wernerze? Kiedy będę go mogła przeczytać?

— Mój ojciec, który do twej pełnoletności jest twoim opiekunem, wziął go na przechowanie. Poproszę go, żeby ci natychmiast go doręczył, gdy wrócimy do domu.

Przycisnęła ręce do serca i zbladła ze wzruszenia.

— Kiedy to nastąpi? Ach, Wernerze, jakże cudownie to brzmi: Wrócimy do domu! Jakże wdzięczna jestem losowi, że jednak będzie mi wolno powrócić i że mój kochany ojciec przynajmniej w liście do mnie przemówi, skoro już inaczej nie może być.

Werner uznał, że Dagmara jest tak wzruszająca i zachwycająca, że najchętniej wcale by jej nie wypuszczał ze swoich ramion.

— Czy wiesz, kto mnie mianował twoim obrońcą? Twoja matka!

— Moja matka? Zaraz mi się robi ciężko na sercu, gdy o niej myślę. Bardzo długo widziałam w niej swój ideał i tylko nie mogłam zrozumieć, dlaczego opuściła ojca i mnie, aby udać się do dalekiego kraju. A kiedy o nią pytałam, strofowano mnie i kazano milczeć. Nigdy nie umiałam sobie wytłumaczyć, jaki to wszystko ma ze sobą związek. Ale... kochałam moją daleką matkę... I wtedy Elena okrutnymi słowami zerwała mi z oczu przepaskę i ukazała mi ją w innym świetle. Chciałam głośno krzyknąć z bólu, że Elena ma prawo mówić tak o mojej matce. I teraz boję się coś więcej o niej usłyszeć.

Wziął znowu Dagmarę w ramiona, jakby chciał ją obronić przed nowym cierpieniem.

— Już wkrótce będziesz lepiej myśleć o swojej matce, Dagmaro, łagodniej osądzać jej winę. Twój ojciec także w końcu zmienił zdanie i z jego listu powinnaś się wszystkiego dowiedzieć. Nie chcę niczego uprzedzać, ponieważ było jego życzeniem, żeby on sam mógł ci wszystko wyjaśnić.

Ja chcę ci tylko zrelacjonować, jak doszło do tego, że twoja matka, którą bardzo szanuję, wyzna-
czyła mnie na twego opiekuna.

I opowiedział jej o swoim spotkaniu z panią Leonorą w owym dniu, kiedy opuściła dom Ru-
dolfa Strassera.

— Powiedz mi tylko jedno, Wernerze, czy moja matka jeszcze żyje?

— Tak, Dagmaro, i w swoim drugim małżeństwie znalazła wielkie szczęście. O ile wiem,
Karol Magnus, sławny skrzypek, nosił ją na rękach. A była tego warta

Dagmara gwałtownym ruchem chwyciła Wenera za rękę.

— Jak się nazywał ten człowiek?

— Karol Magnus, twoja matka nazywa się teraz Leonora Magnus.

Dagmara zamknęła oczy i trwała tak przez chwilę. Pamiętała jeszcze bardzo dobrze ilustro-
wane czasopismo, w którym zobaczyła Karola Magnusa i jego małżonkę. Wiedziała również, że
jest jeszcze przechowywane w bibliotece wraz z innymi pismami. Całkiem niedawno miała je
znowu w ręku, oglądała ilustracje i cieszyła się szczęściem tych ludzi. Teraz sama była tak szczęśli-
wa, jeszcze bardziej szczęśliwa, bowiem ona była bez winy. Werner popatrzył na nią zatroskany.

— Co ci się stało, Dagmaro?

Przestraszyła się i otworzyła oczy.

— Widziałam fotografię mojej matki i nie wiedziałam, że to ona — powiedziała głucho.

A potem nabrała odwagi i opowiedziała mu, jak to się stało i co jej przekazała panna Ber-
nard. I znowu łzy popłynęły po policzkach dziewczyny.

Scałował te łzy i powiedział, jak umiał najczulej:

— Możesz jeszcze płakać, kochanie, wyłącznie z powodu przeszłości. Natomiast żeby twoja
przyszłość była jasna i pełna szczęścia, będzie moją najgorętszą troską.

Dagmara rozejrzała się trwożliwie.

— Ach, Wernerze, ale przecież nie jesteśmy wolni. Z radości całkiem zapomniałam, że je-
steś teraz uwięziony wraz ze mną.

Roześmiał się swawolnie.

— Nie bój się, kochanie, z twoim cerberem zamierzam się szybko rozprawić. A w najgor-
szym wypadku przejdziemy oboje przez mur, no cóż, na większej dozie romantyzmu może nam nie
zależać. Ale nie martw się, wymuszę dla ciebie wygodniejsze wyjście. Kiedy ta stara służąca się
obudzi?

— Może tu nadejść w każdej chwili, nastawia zawsze budzik, żebyśmy za długo nie była sa-
ma.

— Dobrze, wobec tego muszę szybko zatrzeć ślady mojego napadu.

Pocałował ją jeszcze raz i prędko zbiegł po zboczu, ściągnął płaszcz z muru i zwinął linę. Z linką, kapeluszem i płaszczem ukazał się znów na wzniesieniu. Śmiejąc się rozpostarł przed Dagmarą płaszcz pełen rozdarć.

— Popatrz, Dagmaro, co dla mnie wycierpiał! Gdyby on tych cięć nie przyjął na siebie, nie uszedłbym cało. Jak to dobrze, że go ze sobą zabrałem.

Chwyliła szybko jego dłonie i przycisnęła do twarzy.

— Kochane ręce! — powiedziała czule.

— Cieszę się, że ich nie pokaleczyłem, bo tym lepiej będą cię bronić. Ale teraz muszę najpierw wyszukać sobie kryjówkę, z której poobserwuję, jak twój cerber będzie cię brał w swoje szpony. Chcę go zaskoczyć. Linę i płaszcz ukryję w krzakach, za którymi potem sam zniknę, gdy tymczasem ty będziesz spokojnie siedzieć na ławce.

Spoglądała na niego błyszczącymi oczyma. Kiedy już starannie ukrył rzeczy, spytał:

— Z której strony ona właściwie przyjdzie?

Wskazała kierunek, w którym leżał kasztel, ukryty za drzewami.

— Stamtąd!

— No to jeszcze jeden całus, kochanie, i znikam.

Pocałował jeszcze raz gorąco czerwone usta Dagmary i zniknął w zaroślach.

40

Marietta tymczasem ucięła sobie solidną drzemkę i zbudziła się z nowymi siłami do pełnienia swych obowiązków. Podniosła się, upewniła, czy dobrze ukryte klucze są na swoim miejscu, i opuściła pokój, aby rozniecić w kuchni ogień.

Potem wyszła z kasztelu i udała się do parku, aby sprowadzić Dagmarę, która zgodnie z umową powinna się znajdować na wzgórzu. Już z daleka zobaczyła, że Dagmara siedzi na ławce. Wszystko było jak zawsze. Tak więc Marietta nie miała najmniejszego pojęcia o tym, co się tutaj tymczasem wydarzyło. Dagmara zrobiła wszystko, żeby nie dać nic po sobie poznać. Nie wiedziała, co Werner chciał teraz uczynić, czuła tylko, że pod jego opieką jest całkowicie bezpieczna.

— No co, Marietto, wyspała się pani?

— Tak, signorina Elena, byłam bardzo zmęczona, a do tego jestem już stara.

Dagmara uświadomiła sobie, że ukryty za krzewami Werner nie rozumie ich rozmowy, dlatego zwróciła się do służącej:

— Porozmawiajmy trochę po niemiecku, ażebym całkiem nie zapomniała tego języka.

Marietta zgodziła się i odpowiedziała swoją koślawą niemczyzną:

— Po co pani potrzebować ten język, signorina Elena? Pani zostać zawsze w kasztelu.

I usiadła obok dziewczyny na ławce. Na ustach Dagmary pojawił się lekki, szelmowski uśmiech.

— Obarczono panią zbyt ciężkim brzemieniem, Marietto, pani chlebodawczyni powinna była do tego zaangażować młodszą siłę.

— Och, nie znalazła nikt, kto by służył tak wiernie jak stara Marietta, a ja mieć jeszcze dużo sił, być tylko zmęczona

— W to mogę uwierzyć, że signora Caterina nie znalazłaby nikogo, kto byłby jej tak wiernie oddany. Nie jestem bynajmniej na panią zła, Marietto, za to, że mnie pani tu więzi, ponieważ wiem, że pani dla dobra swej markizy jest zdolna wyrządzić wszelką krzywdę. Jest pani jej tak niezmiernie oddana

— Och, ja kochać *mia bella marchesa* jak moje własne dziecko, ja być jej oddana i czynić dla niej wszystko. Ale o jaka krzywda pani mówi? Ja pani przecież nie wyrządzać żadna krzywda, signorina Elena, naprawdę żadna krzywda.

— A jednak wyrządza mi pani krzywdę, bo mnie tu pani więzi i usiłuje wmówić, że jestem Eleną, chociaż wie pani bardzo dobrze, że Elena wyjechała razem ze swą matką.

Oczy starej służącej błysnęły od razu gniewem i nienawiścią.

— Znowu mnie pani gniewać. Pani być signorina Elena, zrozumiano? I jeśli pani nieposłuszna, wtedy będzie pani prosto w szpital wariatów. Pani wiedzieć, że zostanie zamknięta w ciemna cela i nie wolno spacerować w taki piękny park jak tutaj.

Marietta zerwała się. Z rozgniewanymi oczyma stała przed Dagmarą i patrzyła na nią groźnie.

— Pani milczeć lub muszę ją zamknąć, aż pani nabrać rozumu. W tym momencie jakaś ręka spoczęła ciężko na ramieniu Marietty.

— Niech już pani da spokój! — powiedział mocny męski głos.

Marietta podskoczyła, jakby piorun uderzył z jasnego nieba. Obróciła się do Wenera, który pojawił się za nią, i wpatrywała się przestraszona w jego energiczną twarz. Stał przed nią spokojny i opanowany. Wreszcie odzyskała mowę.

— Kto pan jest? Czego pan tutaj szukać? Och, *Dio mio*, jak pan wszedł do park? Czego pan chce? — natarła na niego.

— Drobiazgu, czcigodny cerberze, mianowicie klucza do bramy — odparł spokojnie.

— Klucz do bramy? Klucz do bramy, och nie! Pan być jakaś włamywacza, złodzieja, niemiecka włamywacza. Wszyscy Niemcy być hołota! Jak pan wejść do park?

Śmiejąc się pokazał na mur.

— Tędy!

— Precz, precz stąd! Ja zawołać zaraz parobki i psy! Szybko wynosić się, skąd pan przyjsć!

— O nie, nie mam ochoty przechodzić znów przez mur, niech pani przyniesie klucz do bramy. Nie ma tu żadnych parobków ani żadnego psa, nie ma tu nikogo poza panią i tą młodą damą, panną Dagmarą Strasser. A ona odchodzi ze mną.

Marietta z wściekłością rzuciła się w kierunku Dagmary i zatrzymała przed nią.

— To być signorina Elena! Dagmara Strasser pojechać daleko z markizą, w Niemcy. To być moja biedna signorina Elena, chora signorina, ona musi mieć spokój, ona być chora i bredzić. Chyba coś panu nabając głupia dziewczyna?

— Proszę się tak nie irytować, najczcigodniejsza. I niech pani nie mydli mi oczu, to nic nie pomoże. Niech mnie pani uważnie posłucha i wreszcie dobrze zrozumie. Chcę zabrać tę młodą damę, żeby ją zawieźć do Niemiec, ponieważ pani markiza wraz ze swą córką są już w areszcie; obie zostały zdemaskowane jako oszustki i nie obejmą bogatego spadku po Rudolfie Strasserze. Pani również pójdzie do więzienia, ponieważ pani także uczestniczyła w tym oszustwie. To właśnie pani odebrała wolność tej młodej damie i chciała jej wmówić, że ona jest Elena. Elena zamierzała przywłaszczyć sobie spadek tej młodej damy i dlatego grała rolę Dagmary. Ale grała ją źle i została zdemaskowana. W Niemczech ludzie nie są tacy głupi, jak to sobie wyobrażają Włosi. Zrozumiała mnie pani, Marietto? A teraz szybko, klucz do bramy!

Marietta całkowicie załamana opadła na ławkę.

— Och, *Dio mio, signore*, ja być stara służąca, a *mia carissima marchesa* być moja uwielbiana pani! Och, nie robić krzywdy mojej pani, nie wtrącać do więzienia moja *bella marchesa*! Raczej stara Marietta wtrącić do więzienia, Marietta wszystko winna, Marietta zrobili plan, żeby pani stać się znów bogata i szczęśliwa.

Dagmara spoglądała współczująco na starą kobietę. Jej wierność była wzruszająca.

— Wystarczy, Wernerze, ona robiła to wszystko tylko dla swej pani. Chcesz karać ją za wierność?

I zwrócona ku Mariettcie ciągnęła dalej:

— Niech się pani uspokoi, Marietto, i przyniesie klucz do bramy, nic już nie da się zrobić dla uratowania markizy. Niech pani nie pogarsza jej sytuacji przez swój opór.

Ale Marietta nie dała się ułagodzić tymi dobrymi słowami. Z roziskrzonymi oczyma natarła na Dagmarę.

— To pani, pani być wszystko winna, tylko pani, gdyby pani nie być, moja *marchesa* być bogata i szczęśliwa! Nienawidzę pani, nienawidzę! *Mia povera marchesa, mia povera signorina* Elena, och, jak ja panią nienawidzić, panią i wszystkich Niemcy.

— Może to pani robić na swój prywatny użytek, ile tylko pani zechce, jeśli to pani sprawia przyjemność — odezwał się znów Werner. — Teraz jednak proszę dać klucz, w przeciwnym razie wezwę policjantów, którzy czekają na zewnątrz, i polecę im, żeby panią zabrali. Chodź, Dagmaro, spakuj tymczasem najniezbędniejsze rzeczy i przygotuj się do podróży. Oczekuję cię przed kasztelalem w towarzystwie tej pełnej temperamentu signoriny, której nie spuszczę z oczu, póki znowu nie będziesz przy mnie.

Dagmara pobiegła w dół zbocza. Marietta, żadna zemsty, chciała się rzucić za nią, ale Werner przytrzymał ją mocno.

— Powoli, najczcigodniejsza! I w moim towarzystwie. Myślę, że pani mogłaby zabić każdego, kto stanąłby markizie na drodze.

— Och, zabiłaby ją na pewno! — wystękała Marietta.

— Niech się pani cieszy, że pani tego nie zrobiła.

Szedł za Dagmarą, trzymając Mariettę za ramię. Na przemian to pokrzykiwała na niego gniewnie, to zasypywała prośbami, żeby jej markizie nie robił krzywdy, że ,ona sama. Marietta, jest wszystkiemu winna. Nie odpowiadał ani słowem i nie puszczał jej ramienia.

Dagmara szybko spakowała najpotrzebniejsze rzeczy do małej walizki, w której niegdyś jej lalki odbyły podróż do Włoch, a która od tego czasu stała w jej szafie z ubraniami. Z biurka wyjęła drobiazgi, do których była bardzo przywiązana, i także zapakowała do walizki, potem dorzuciła trochę bielizny i neseser. Włożyła na siebie podróżną sukienkę, narzuciła lekki płaszcz i wcisnęła na głowę kapelusz. W końcu zbiegła szybko do biblioteki, gdzie odszukała ilustrowane czasopismo, w którym znajdowała się fotografia Karola Magnusa i jego małżonki; nie chciała z niej rezygnować, ponieważ teraz wiedziała, że Leonora Magnus była jej matką. Wreszcie Dagmara wybiegła na zewnątrz, z westchnieniem ulgi stanęła przed Wernerem i popatrzyła na niego promiennymi oczyma.

Werner puścił Mariettę.

— Teraz niech mnie pani posłucha Przyniesie pani klucz do bramy, a ja daruję pani winę i nie wsadzę pani do więzienia

Marietta rzuciła mu się do nóg.

— Pan wtrącić Marietta do więzienia, tylko *mia carissima marchesa* nie. Ona tego nie znieść, ona umrzeć. Och, pan mieć litość dla moja pani.

Werner popatrzył na Dagmarę.

— To rzeczywiście wzruszające, jak ta stara sługa jest przywiązana do swej pani i jak chce dla niej ponieść każdą ofiarę.

— Proszę, oszczędź ją, Wernerze, nie napędzaj jej więcej strachu, niż to jest konieczne — poprosiła Dagmara.

Werner podniósł Mariettę.

— Biorąc pod uwagę pani wierność, spróbuję uchronić markizę przed więzieniem. Powinna wówczas dosyć szybko być znowu z panią. W Niemczech nie mamy zapotrzebowania na takie damy. A teraz klucz, szybko, inaczej pożałuję swojej obietnicy!

Marietta pobiegła szybko do swego pokoju i wkrótce wróciła z wielkim kluczem.

— Idziemy. Odprowadzi nas pani do bramy i otworzy ją. Zaraz po naszym wyjściu będzie ją pani mogła z powrotem zamknąć.

Wciąż jeszcze głośno lamentując, ale już posłusznie poszła Marietta przodem. Za nią ręka w rękę postępowali Werner i Dagmara. Werner wziął od Dagmary walizkę; linę i zniszczony płaszcz zostawił na wzgórzu.

Dagmara przesłała jeszcze ręką ostatnie pozdrowienie w stronę grobowca Consistellich.

— Tam został złożony na wieczny spoczynek wujek Egon. Przez wzgląd na jego pamięć musimy zrobić wszystko, aby jego żonę i córkę uchronić przed najgorszym — odezwała się cicho.

— I aby nie skalać dobrego imienia Rudolfa Strassera — odpowiedział i ścisnął mocno i serdecznie jej rękę.

Marietta z trudem otworzyła ciężką bramę. Werner i Dagmara wyszli na zewnątrz. Werner pociągnął ciężkie skrzydło i brama z głuchym łoskotem zatrzęsnęła się za nimi. Młodzi ludzie popatrzyli na siebie i odetchnęli głęboko.

— Wolna! Jestem wolna! — zawołała Dagmara i strumień gorących łez trysnął jej z oczu.

— Jaki piękny jest świat, jak wspaniała jest wolność! — wołała Dagmara upojona swym szczęściem.

— I jak piękna i wspaniała jest miłość, nasza miłość, moja ukochana Dagmaro — dorzucił Werner.

Serdecznie objęci stali i patrzyli zachwyconymi oczyma w dół, na dolinę. Leżała przed nimi płaska i żyzna, daleko i szeroko ciągnęły się winnice. Także na górze, od południowej strony, pięły się wzwyż winne krzewy. Towarzyszyły im nie kończące się gaje oliwne o szarzielonym listowiu.

W oddali widać było wieś Sorino, a za nią wieże kościołów jakiegoś miasta.

Werner uśmiechając się popatrzył na Dagmarę.

— Czy moja mała, słodka narzeczona powędruje za mną aż do Sorino? Będziesz musiała dzielnie maszerować całe dwie godziny.

Dagmara przeciągnęła się, czując w sobie niezmożoną młodzieńczą siłę.

— Z tobą mogłabym pójść na koniec świata. Roześmiał się, pełen szczęśliwej swawoli.

— Tak daleko nie trzeba będzie iść. Ale czy na dole u dzierżawcy nie można by dostać powozu? Chciałbym ci oszczędzić tej dalekiej drogi w gorących promieniach słońca. W Sorino czeka na mnie auto, które na wszelki wypadek wynająłem we Florencji. Ale do Sorino musimy się jakoś dostać.

Oczy Dagmary rozbłysły.

— W obejściu dzierżawcy stoi przecież kareta! I zaprowadzono tam również oba cugowe konie. A wujek Egon powiedział mi, że kareta w gruncie rzeczy należy do mnie, bowiem została odnowiona za pieniądze mojego ojca, za nie też nabyto konie. Tak więc mogę z niej korzystać bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

— Czy dzierżawca nie jest przypadkiem w zмовie z signoriną Caterina?

— Nie sądzę, był bardzo oddany wujkowi Egonowi i wujek uważał go za porządnego człowieka.

— Dobrze, zobaczmy zatem, czy dostaniemy karete. Ale stop, kochanie, zapomnieliśmy o czymś bardzo ważnym: Jak wywiozę cię z Włoch? Nie masz żadnych dokumentów, a na twój paszport wyjechała Elena.

Dagmara przeraziła się i zbladła.

— To straszne, co teraz zrobimy?

Przycisnął jej ramię do siebie.

— Tylko się nie zamartwiaj. Pozwól mi się zastanowić. Signora Caterina i jej córka miały paszporty z Sorino. A więc wystawił je miejscowy naczelnik. Czy on cię zna?

— Widział nas niekiedy przejeżdżające kareta i na pewno nie wie, czy jestem Dagmarą, czy jakąś inną osobą towarzyszącą signorze Caterinie.

— A więc markiza z pewnością oszukała naczelnika i przedstawiła Elenę jako swą kuzynkę Dagmarę. Naczelnik był przekonany, że wystawia paszport dla signoriny Dagmary Strasser. Jeśli zażadasz teraz ponownie paszportu na to imię, wtedy zdziwi się i nastąpią komplikacje. Dlatego uważam za najrozsądniejsze, żebyś, nim przekroczymy granicę włosko-niemiecką, podróżowała pod imieniem Eleny. Każesz więc naczelnikowi wystawić sobie paszport jako Elena Strasser. Dopiero gdy będziemy w domu, zatroszczymy się o wystawienie ci właściwych dokumentów.

Popatrzyła na niego niespokojnie.

— Czy to nie jest oszustwo? Zaśmiał się i pocałował ją.

— To jest po prostu samopomoc. Nie możemy teraz dopuścić do tego, żeby mieć kłopoty z władzami. Oszustwo markizy nie pozostawia nam wyboru, my również musimy zrobić mały szwindel.

Ale patrzył przy tym na nią z takim rozbawieniem, że porzuciła swoje wątpliwości.

— Masz rację, Wernerze, nie mamy żadnego wyboru.

— No widzisz! A więc nie rób już takiej zatroskanej miny, kochanie. Idziemy do dzierżawcy. Czy on dobrze cię zna?

Potrząsnęła głową.

— Nigdy nie miałyśmy z nim bezpośredniego kontaktu, także on widywał nas tylko z daleka i nie wie, czy jestem Eleną, czy Dagmarą.

— Teraz staje się dla mnie jasne, jak udało się markizie żeglować wraz z córką pod fałszywą flagą. A więc ty wobec dzierżawcy także musisz uchodzić za Elenę, bo Elena z pewnością wystąpiła wobec niego jako Dagmara. Zobaczymy, jak się zachowa dzierżawca, gdy przedstawiś się jako Elena. W każdym bądź razie nie denerwuj się, jesteś teraz pod moją opieką i wszystko będzie dobrze.

Ręka w rękę, mocno do siebie przytuleni, schodzili z góry. Była to szczęśliwa wędrówka we dwoje. Mieli sobie nawzajem jeszcze tyle do powiedzenia, tyle pytań i spraw do rozważenia, że droga wydała im się bardzo krótka.

Znaleźli się w obejściu dzierżawcy, który szybko wyszedł im naprzeciw. Skoro swego czasu signora przedstawiła mu Elenę jako swą kuzynkę, przyjął teraz bez zbędnych rozważań, że Dagmara jest córką markizy.

— Och, signorina Elena! Czy signorina chciałaby wypić szklanek mleka albo szklanek wina?

Dagmara zdobyła się na odwagę. Ponieważ Werner nie umiał dobrze mówić po włosku, ona musiała prowadzić rozmowę.

— Nie, dziękuję, panie dzierżawco, chciałabym tylko prosić, żeby pan zaraz zaprzął konie do karety i zawiózł nas do Sorino. Muszę natychmiast pojechać do matki, która przysłała tego pana, żeby mnie stąd zabrał.

Dzierżawca rozpoznał w Wernerze młodego człowieka, który zaszedł do niego poprzedniego dnia i pytał o kasztel. Nie mogli się jednak porozumieć.

— Och, signor, wczoraj chyba źle pana zrozumiałem, myślałem, że pan po prostu chce kasztel zwiedzić. Gdybym wiedział, że pan pragnie zobaczyć się z signoriną, wtedy pomógłbym panu dostać się jakoś do kasztelu.

Dagmara przetłumaczyła to Wernerowi, który odpowiedział:

— Powiedz mu, że Marietta usłyszała moje wołanie i wpuściła mnie.

Dagmara oblała się rumieńcem, ale bez namysłu dzielnie skłamała, ponieważ nie było innego wyjścia, mimo to serce podeszło jej do gardła.

— Musiałam szybko spakować najniezbędniejsze rzeczy. W Sorino czeka auto, które nas zawiezie do Florencji, ale najpierw musimy dojechać do wsi do *casa comunale*, by tam kazać sobie wystawić paszport — oznajmiła.

Dzierżawca żywo przytaknął.

— Wiem, wiem, signorina, pani matka przed wyjazdem też kazała tam sobie i swej kuzynce wystawić paszporty. Natychmiast zaprzęgam.

I pobiegł spiesźnie, podczas gdy Dagmara przetłumaczyła Wernerowi jego słowa. Ucieszył się.

— To wspaniale, teraz mamy dokładną informację. Naczelnik gminy zna cię z widzenia, a skoro dzierżawca uprzednio tam jeździł, poniekąd mamy dla ciebie jeszcze jednego gwaranta. Teraz odwagi, wszystko pójdzie dobrze!

W ciągu niewielu minut kareta była gotowa do odjazdu. Dzierżawca usadowił się na koźle, krzyknąwszy coś jeszcze do swej żony, która, jak się zdaje, robiła wielkie pranie. Dagmara i Werner wsiedli i konie żwawym klusem ruszyły ku Sorino, gdzie pojazd zatrzymał się przed siedzibą gminy. Naczelnik zobaczył powóz i wyszedł z budynku. Przywitał Dagmarę bardzo grzecznie i z całym szacunkiem, a ona powiedziała spokojnie:

— Panie naczelniku, muszę pana prosić, żeby pan mnie także wystawił paszport, podobnie jak mojej matce i kuzynce. Ten pan ma mnie zabrać do Niemiec, gdzie czeka moja matka. Musimy natychmiast jechać do Florencji, żeby zdążyć na wieczorny pociąg.

Naczelnik skłonił się i pospieszył z zapewnieniem, że postara się spełnić tę prośbę jak najszybciej.

— To jest pewnie ten niemiecki *signore*, który zostawił auto w zajeździe? — spytał.

— Nie inaczej, przyjechał z Florencji autem i powinniśmy byli już wczoraj wyjechać, ale zatrzymały nas pewne sprawy w kasztelu — odparła Dagmara.

Formalności zostały szybko załatwione. Dagmara miała jednak uczucie, że popełnia ciężkie wykroczenie. Gdy potem siedziała już w aucie przy boku Wenera, będąc szczęśliwą posiadaczką paszportu, który otwierał jej granice, odetchnęła z ulgą. Werner żartami przepędził wszystkie jej dalsze wątpliwości i szczęście wolności i miłości zapanowało nad wszystkim innym.

Ale wtedy na nowo ogarnęła ją trwoga.

— Jak mam w Niemczech udowodnić, że jestem prawdziwą Dagmarą, jeśli ciotka Caterina twierdzi, że Elena jest Dagmarą?

— Po pierwsze proszę cię, kochanie, nie nazywaj już tej kobiety ciotką. Dla nas niech będzie tylko markizą, to zresztą najbardziej jej odpowiada. A dowód na swoją prawdziwość nosisz na swoim ciele.

Spojrzała na niego pytająco.

— Jaki dowód?

Powiedział jej o małym znamieniu na prawej nodze. Zaczerwieniła się trochę.

— Tak, mam takie znamie, Wenerze. Ale... skąd ty to wszystko wiesz?

— Zwierzyła mi ten sekret pani Brygida; po tym chcemy rozpoznać prawdziwą Dagmarę.

— Och, jak to dobrze, Wenerze, że mam to znamie. Zawsze mnie to zresztą bardzo złościło.

— I bez tego rozpoznalibyśmy cię jako prawdziwą Dagmarę, ale na wszelki wypadek lepiej, że znamie istnieje.

Z Florencji Wener zadeszował do ojca:

Prawdziwa wraca ze mną do domu. Przyjazd środa wieczór godzina siódma.

Wener

Wener wiedział, że to wystarczy. Jego ojciec weźmie już teraz markizę i jej córkę pod ostrą kontrolę i zatroszczy się o to, żeby wszystko było przygotowane na powrót Dagmary.

W dniach, które nastąpiły po otwarciu testamentu, signora Caterina i jej córka miały wiele zmartwień z powodu prokurenta. Herman Falkner czynił damom rozmaite trudności, nic nie szło tak gładko, jak sobie wyobrażały. Chciały koniecznie podjąć natychmiast dużą sumę, aby móc się urządzić w Rzymie. Twierdziły, że muszą jak najrychlej wyjechać, ponieważ nadchodzi jesień i w Rzymie zaczyna się sezon. Ciotka Brygida zauważyła ze spokojem, że damy mają przecież żalobę i trudno by im było uczestniczyć w różnorodnych towarzyskich przyjęciach, a więc nie ma takiego pośpiechu z odjazdem. Te trafne uwagi pani Brygidy wyprowadzały obie damy całkowicie z równowagi. A Herman Falkner przeciwstawiał wszelkim ich naleganiom spokój i bezbłędną uprzejmość. Oświadczył grzecznie, lecz zdecydowanie, że chwilowo niemożliwe jest podjęcie z firmy żądanej sumy, poza tym są jeszcze różne formalności do spełnienia, nim panna Dagmara Strasser zostanie ustanowiona sukcesorką z wszystkimi przysługującymi jej prawami.

Elena zapytała prokurenta zjadliwie i wyniośle, co to są za formalności. Nienawidziła tego poprawnego, układnego człowieka, który na wszystkie jej kokieteryjne żarciki reagował chłodno i z niezwykłym opanowaniem. Odpowiedział jej, że wkrótce się dowie i żeby zechciała jeszcze jakiś czas wytrzymać.

Elena, zachęcona przez matkę, dała upust swej złości wobec pani Brygidy, ale ta nie pozwoliła nic powiedzieć na Hermana Falknera i zauważyła, że damy mogłyby przecież chwilowy pobyt w Hamburgu spędzić bardzo przyjemnie. Właśnie jesienią Hamburg jest bardzo piękny i ona w ogóle nie może pojąć, dlaczego Dagmara, która jest przecież Niemką, tak bardzo marzy o Rzymie.

— Ta ciotka Brygida to straszliwie impertynencka osoba, z dnia na dzień coraz bardziej działa mi na nerwy — stwierdziła signora Caterina

— Masz rację — przytaknęła Elena — ale co można zrobić. Ma prawo do końca życia pozostać w tym domu.

— To już wystarczający powód, żeby go jak najszybciej opuścić — rzuciła wściekle signora. — Wydaje mi się, że ona i prokurent są w zмовie i z pewnością należycie się obłowią.

Elena westchnęła. Jak dotąd, niewiele miała radości ze swego dziedzictwa, a na dodatek, ku jej ubolewaniu, zajmujący młody prokurent wyjechał w interesach, a zmierzała dla zabicia czasu trochę z nim poplirtować. W Hamburgu, w okresie żaloby, nie było co myśleć o życiu towarzyskim; tak więc obie damy siedziały na dobrą sprawę bez grosza i nudziły się.

Pani Brygida nie pozwalała się wyprowadzić z równowagi przez ich nieuprzejmości. Absolutnie przekonana, że ma przed sobą nie Dagmarę, lecz Elenę, nie zadawała sobie żadnego trudu,

aby fałszywej sukcesorce uczynić willę Strasserów miłą i swojską. Ale obserwowała Elenę niezwykle bystro i robiła wszystko, żeby dziewczyna jeszcze bardziej się zdradziła. Nieustannie mówiła o przeszłości i wciąż pytała:

— Przypominasz to sobie, Dagmaro?

Elena najczęściej twierdziła że nie może sobie niczego przypomnieć. Lecz jeśli starsza pani naciskała: Ależ musisz to jeszcze pamiętać, to przecież nie mogło ci wypaść z głowy, Elena zgadzała się z tym i owym i próbowała się możliwie sprytnie wykręcić.

Jednak mądra pani Brygida zastawiała na nią pułapki, jedną po drugiej,; i opowiadała szczegółowo o rzeczach z przeszłości, które naprawdę nigdy nie istniały. I akurat wtedy Elena często przytakiwała żywo i twierdziła że całkiem dobrze to sobie przypomina.

— Pamiętasz może jeszcze tego olbrzymiego nowofunlanda, który był twoim stałym towarzyszem? Nazywał się Nero — zagadywała ciotka Brygida.

— Ach, prawda, dobry, stary Nero, bardzo go lubiłam — przytakiwała Elena, zadowolona, że jest coś, na co może się zgodzić, jak sądziła, bez obawy.

Pani Brygida uśmiechnęła się prawie niedostrzegalnie. W willi Strasserów nie było nigdy żadnego nowofunlanda, w ogóle żadnego psa, który nazywał się Nero. W ten sposób Elena, nie mając o tym pojęcia, wpadała wciąż w pułapki, a pani Brygida bywała niekiedy przerażona kłamliwością tej młodej istoty.

Z trudem już tylko mogła opanować oburzenie, gdy matka i córka zachowywały się jak właścicielki willi Strasserów, a ją traktowały z góry, protekcyjnie, jak ubogą krewną. Ustawicznie zdawała relację Hermanowi Falknerowi ze swych obserwacji, bo chciała go umocnić w postanowieniu, by fałszywej sukcesorce nie pozwolić uszczknąć czegokolwiek ze spadku. Herman Falkner nie miał już zresztą wątpliwości i opierał się wytrwale wszelkim zakusom obu Włoszek.

Markiza wykpiła pewnego dnia oszczędne prowadzenie domu i poleciła Elenie, żeby się temu przeciwstawiła. Elena oznajmiła więc pani Hartmann:

— Ciociu Brygido, brakuje mi wytwornego stylu tego domu, stylu, który mnie po przyjeździe tak przyjemnie zaskoczył. Żyjemy teraz tak skromnie, że podważa to godność rodziny Strasserów. Dlaczego podaje się na stół tak niewiele i do tego tak prostych dań? Życzę sobie, aby to wyglądało inaczej, przynajmniej tak długo, jak ja przebywam tutaj z moją ciocią. Kiedy wyjedziemy, a ty zostaniesz sama, będzie czas na oszczędność, ale nie teraz, kiedy moja ciocia jest naszym gościem. Co pomyśli o niemieckiej gościnności?

Pani Brygida pomyślała sobie, że jest jej całkiem obojętne, co sobie pomyśli markiza Ale odpowiedziała spokojnie i stanowczo:

— Gościa uczuliśmy tak, jak w tym domu zazwyczaj się czyni. Teraz jednak twoja ciotka nie jest już gościem, lecz domownikiem, skoro chce zawsze przebywać razem z tobą. Tak więc należało przywrócić zwykłą codzienność, jak to było za życia twego zmarłego ojca. Nigdy nie prowadzono tutaj rozrzutnego gospodarstwa. I jak długo ja pełnię obowiązki gospodyni, nie zamierzam wydawać innych rozporządzeń.

— A jak długo zamierzasz pełnić obowiązki gospodyni? — zapytała bezczelnie Elena.

— Aż spadkobierczyni Rudolfa Strassera otrzyma wszystkie prawa. A co się tyczy twojej ciotki, to bez wątpienia powinna czuć się tutaj uhonorowana, ponieważ w kasztelu Consistellich z pewnością musiała gospodarować o wiele oszczędniej.

Elena zaczerwieniła się ze złości i dumnie odrzuciła głowę do tyłu.

— W kasztelu jedliśmy zdecydowanie lepiej niż tutaj.

— No cóż, wobec tego jest mi przykro, że musicie się zadowolić moimi skromnymi posiłkami. Ale jak powiedziałam, gdy tylko formalnie obejmiesz sukcesję, możesz wydać inne rozporządzenia.

— Nie pojmuję, dlaczego to trwa tak długo. Co to są za formalności, których jeszcze trzeba dopełnić? Nigdy nie mogę otrzymać konkretnej odpowiedzi od pana prokurenta.

— To są na pewno drobiazgi, ale my, Niemcy, jesteśmy zawsze bardzo skrupulatni, wszystko musi się odbyć zgodnie z literą prawa.

— Nie sądzisz, ciociu Brygido, że prokurent Falkner jest bardzo zarozumiały?

— Nie, nie sądzę.

— Ach, widzę, że cię całkowicie zawojował. Chciałabym, żeby jego syn był znowu tutaj, on bardziej mi się podobał i z nim na pewno o wiele łatwiej bym się porozumiała.

Ciotka Brygida roześmiała się dziwnie.

— Tak uważasz?

— Oczywiście. Jest prawdziwym gentlemanem, mimo że jest tylko kupcem.

— Tylko kupcem, powiadasz? Twój ojciec był również tylko kupcem.

— Ale był przynajmniej sam dla siebie panem, ci dwaj panowie zaś są jedynie urzędnikami. Ale jak powiedziałam, młody Falkner jest prawdziwym gentlemanem, który wie, co jest winien damie, a poza tym bardzo mi się podoba. Gdyby był tutaj, nie nudziłabym się tak bardzo. On nie jest chyba żonaty?

— Nie.

— Ale ma pewnie narzeczoną?

— Także nie, jest całkiem wolny.

— Wobec tego niemieckie dziewczęta nie mają gustu.

— Może on jednak nie znalazł jeszcze takiej, która by mu się spodobała?

— O to nie powinno się pytać żadnego mężczyzny. Jeśli mi się mężczyzna podoba, to i ja muszę mu się podobać.

— Powtarzasz to chyba za swoją ciotką, ponieważ ty, jak mi kiedyś wspomniałaś, nie spotykałaś w kasztelu żadnych mężczyzn.

— Och, ciocia ma wiele doświadczenia i nauczyła mnie, jak ujarzmić mężczyznę. W młodości owijała sobie mężczyzn dookoła małego palca i święciła wielkie tryumfy. Nawet gdy już od dawna była mężatką, miała licznych wielbicieli.

Elena powiedziała to z niekłamanym podziwem. Panią Brygidę przejął dreszcz, gdy usłyszała, co mówi ta młoda dama, i ponownie dziękowała Bogu, że to nie jest Dagmara.

— Wobec tego można twemu przyszłemu mężowi pogratulować — powiedziała sucho.

— Z pewnością, mężczyzna musi być przecież dumny ze swojej żony, a jest to możliwe tylko wtedy, kiedy inni mężczyźni jej pożądamy.

Ciotce Brygidzie wypłynął na twarz rumieniec oburzenia.

— Z tym się absolutnie nie mogę zgodzić, w żadnym wypadku!

— Ach, ciociu Brygido, jesteś naprawdę komiczna z tym swoim świętym oburzeniem.

Stara dama popatrzyła poważnie na młodą dziewczynę.

— W gruncie rzeczy jesteś godna pożałowania — oświadczyła otwarcie.

— Dlaczego? — spytała Elena, nawijając na palec karbowane żelazkiem pukle jasnych włosów.

— Dlatego, że zostałam wychowana w takich zasadach.

— Och, czuję się z nimi całkiem dobrze.

W tym momencie weszła signora Caterina i Elena powiedziała drwiąco:

— Kochana ciociu Caterino, próbowałam nakłonić ciocię Brygidę, żeby nasze obiady były bardziej urozmaicone i w większym wyborze, ale ona zastrajkowała. A więc aż do chwili, kiedy uzyskam wszelkie prawa jako sukcesorka, musisz się zadowolić tymi mieszczańskimi posiłkami.

Signora Caterina spojrzała wyniośle na panią Brygidę.

— Mój kuzyn Rudolf inaczej zapewne pojmowałby gościnność. Doceniłby zaszczyt, że może gościć pod swoim dachem markizę Consistelli.

Pani Brygida nie wytrzymała, roześmiała się Włoszce prosto w twarz.

— Strasserów cechowała zawsze patrycjuszowska duma i nie wierzę, żeby Rudolf stawiał wyżej ród Consistellich niż swój. Jako signora Strasser znaczyła pani dla niego więcej niż jako markiza Consistelli. Możliwe, że ugościłby panią inaczej, niż ja to czynię, ale muszę, niestety,

ograniczyć się tylko do tych pieniędzy, które wyznaczył mi pan Falkner na gospodarstwo, a tylko nicpoń wydaje więcej, niż ma — powiedziała rozbawiona

Tym wywodem pani Brygida wyszła zwycięsko z tego słownego pojedynku, podobnie jak z wielu innych. Sama zresztą prosiła Hermana Falknera o to, by jej nie wyznaczał żadnych dodatkowych środków na prowadzenie gospodarstwa, gdyż nie miała najmniejszej ochoty szczególnie dogadzać obu damom. Gniew na Włoszki walczył w niej ze skrytą trwogą o Dagmarę i ledwie się jeszcze mogła zmusić do zwykłych uprzejmości.

Wreszcie we wtorek wieczorem przyszedł do niej Herman Falkner. Popatrzyła na niego niepokojnie.

— Ma pan może jakąś wiadomość od syna?

Bez słowa, uśmiechając się, położył przed nią depezę z Florencji od Wenera. Ręka starej damy drżała, twarz czerwieniła się i bladła.

— Dzięki Ci, Boże! Ona żyje! Pański syn ją odnalazł! — powiedziała głęboko wzruszona.

— Tak, znalazł tę prawdziwą! A teraz, droga, czcigodna pani, musimy zadbać o to, żeby obie damy niczego się nie domyśliły. Poza tym uważam za konieczne, żeby nie dotarł do nich żaden list czy telegram, który mógłby je ostrzec. Czy da się to zrobić?

— Oczywiście. Codziennie cała poczta jest doręczana mnie i ja ją rozdzielam. Dotychczas do naszych gości nic jeszcze nie nadeszło, a w przyszłości nie zdarzy się to tak długo, jak pan to uzna za niezbędne.

— To dobrze, nie wiadomo, jakich pomocników i współników mogły te damy wynająć. A więc jutro wieczorem przywiozę z dworca Wenera i „prawdziwą”. Pociąg przychodzi o siódmej. A potem musi mi pani pomóc, żeby niepostrzeżenie wprowadzić „prawdziwą” do domu.

— Niech pan będzie całkiem spokojny, już ja to jakoś załatwię, jutro dam panu jeszcze telefonicznie znać, w jaki sposób to zrobimy.

— Dobrze, łaskawa pani. I niech nam niebiosa nadal służą pomocą.

Werner i Dagmara wracali bez jakichkolwiek przeszkód. Dla obojga młodych, którzy z godziny na godzinę rozumieli się coraz lepiej, była to cudowna podróż. Wszystko, co tak długo, rozłączając ich, leżało między nimi, zostało w krótkim czasie usunięte. Werner przekonywał się coraz bardziej, jaki klejnot przeznaczył mu los na towarzyszkę życia. Dagmara w swej niewinności i nieoświadczeniu ujawniała swe wnętrze szczerze i bez zahamowań, pozwalała Wernerowi bez przeszkód zajrzeć w głąb swej istoty. Coraz bardziej szczęśliwy zdumiewał się nieustannie z powodu wspaniałych cech charakteru tej młodej dziewczyny. Wydało mu się to cudem, niesłychanym cudem, że ktoś taki po prostu istnieje. A to, że Dagmara należała do niego, czyniło go łagodnym i wdzięcznym wobec losu.

Ona zaś widziała w Wernerze urzeczywistnienie ideału, który sobie wymarzyła w dziewczęcych snach. Nie mogła przecież tak jak Werner robić żadnych porównań, gdyż poza nim nie знаła innego młodego człowieka, ale wiedziała, że jej serce należy do Wenera na wieczność i że mogła kochać tylko jego, właśnie tylko jego.

Mieli sobie wiele do powiedzenia w czasie tej podróży. Werner dowiedział się teraz wszystkiego, co Dagmara przeżyła i wycierpiała w kasztelu, i ogarniał go straszliwy gniew na markizę i jej córkę. Jego miłość stawała się coraz głębsza i gorętsza, w miarę jak się dowiadywał, ile Dagmara wycierpiała.

Ponieważ w czasie podróży nie chcieli się rozstawać, Werner zrezygnował z zakupienia miejsc sypialnych i wziął cały przedział pierwszej klasy; w ten sposób nikt im nie przeszkadzał. O spaniu Dagmara w ogóle nie chciała myśleć, przecież wszystko było dla niej tak nowe i tak urocze. Ale Werner postanowił nieodwołalnie: Dagmara musi się przespać przynajmniej kilka godzin. Przygotował jej posłanie na miękkiej kanapce i przykrył dziewczynę troskliwie swoim podróżnym kocem. Potem sam przymknął oczy i myślał o tym, jak wspaniale los wszystko zrządził.

Gdy po kilku godzinach Dagmara się obudziła, zerwała się przestraszona i trwożnie poszukiwała wzrokiem Wenera.

— Ach, jesteś, Bogu dzięki! — stwierdziła z ulgą.

Pochylił się nad nią z uśmiechem.

— Dobrze spałaś, kochanie?

— Całkiem mocno i bez snów. Ale gdy się przebudziłam, przestraszyłam się, że to wszystko tylko mi się śni i obudzę się znów w swoim pokoju w kasztelu. Ale wtedy zobaczyłam ciebie. Jakże dziękuję niebiosom, Wernerze, że cię do mnie przywiodły.

Pomógł jej usiąść i sam usiadł obok niej. Złożyła głowę na jego ramieniu i patrzyła na niego rozpromienionymi szczęściem oczyma.

— Jesteś przy mnie! Jakie to piękne... jakie piękne. Przytulił ją mocno do siebie.

— Dużo rozmyślałem o tym, co mi opowiedziałaś. I mój gniew na markizę staje się coraz większy. Nie możemy pozwolić, by odjechała bez przykładowej kary.

Ujęła jego rękę i popatrzyła prosząco.

— Ona jest przecież żoną wujka Egona, a Elena jest jego córką i ze względu na niego musimy być wyrozumiali. Proszę, obiecaj mi, Wernerze, że spróbujesz przeszkodzić temu, by poszły do więzienia. Czy nie da się czegoś zrobić, żeby o ich postępowaniu nie dowiedziała się opinia publiczna? To byłoby również dla mnie przykre, gdyby nazwisko Strasserów ponownie... och, wiesz już, co chcę powiedzieć.

Pogłaskał ją po głowie.

— Wiem wszystko, co chcesz powiedzieć, kochanie, i wiem także, że twoje dobre serce pragnie uchronić przed karą tę zbrodniczą markizę wraz z jej córką. Ja na pewno nie okazałbym łagodności, gdybym sobie nie powtarzał, że jest to także w twoim interesie, aby możliwie niewiele z tej afery przedostało się do opinii publicznej.

— Będzie dla nich wystarczającą karą, jeśli odjadą pozbawione spadku i będą musiały wrócić do samotności kasztelu.

— To jest zbyt łagodna kara za to, co zamierzały ci wyrządzić i co już ci wyrządziły. Ale dla ciebie chcę zrezygnować ze wszystkich planów zemsty. Mam nadzieję, że uda nam się całą tę sprawę załatwić bardzo dyskretnie. Przy otwarciu testamentu było tylko kilku naszych starych urzędników i oni będą milczeć; pani Brygida również. Obie awanturnice odjadą skompromitowane, co nie ulega wątpliwości.

Dagmara przytuliła się do niego.

— Jakże to będzie dla nich straszne, gdy staną przed nami w charakterze zdemaskowanych oszustek. Dla tych dumnych i wyniosłych kobiet będzie to już wystarczająca kara.

— Unikną jednak prawdziwej kary.

— Ale sumienie je ukarze.

— Sądzę, że się mylisz. One w ogóle nie mają sumienia, będą tylko wściekłe, że ich plan się nie powiódł, i będą cię jeszcze bardziej nienawidzić, a twoja wielkoduszność wcale ich nie zawstydzi. Zostawmy już ten nieprzyjemny temat, kochanie, wkrótce będziemy w Hamburgu i tam muszę się już dzielić tobą z innymi. Chcę jeszcze wykorzystać czas, kiedy należysz tylko do mnie. Powiedz, kochasz mnie?

— Tak. Wernerze, mówiłam ci to już wiele razy.

Rozmawiali teraz już tylko o miłych rzeczach i czas mijał im bardzo szybko.

O siódmej pociąg wjechał na dworzec w Hamburgu. Werner wyjrzał z okna i zobaczył na peronie ojca. Dał mu znak i Herman Falkner podszedł do nich. Przenikliwie i badawczo spojrzął na Dagmarę, która patrzyła na niego wielkimi oczyma. Głębokie wzruszenie ogarnęło starszego pana. Przytrzymał jej ręce w ciepłym uścisku.

— Tak, to jest prawdziwa Dagmara Strasser, Bogu dzięki, że pani przyjechała. Serdecznie witamy w ojczyźnie. Przychodzę z tym powitaniem zamiast pani ojca, który, niestety, nie może już tego uczynić. Jakże jestem szczęśliwy, że mój syn sprowadził panią do domu.

Łzy napłynęły Dagmarze do oczu.

— I ja jestem bardzo szczęśliwa, że mogłam wreszcie wrócić, i jednocześnie bardzo smutna, że już nie zobaczę mego kochanego ojca. A to, że jestem znów w ojczyźnie, zawdzięczam tylko pańskiemu synowi. Wybawił mnie ze strasznej opresji.

Starszemu panu zrobiło się ciepło koło serca.

— Wszystko musi nam pani szczegółowo opowiedzieć, gdy będzie pani już bezpieczna i dobrze ukryta w swym rodzinnym gnieździe. Pani Hartmann czeka pełna tęsknoty. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności możemy panią zawieźć do willi niepostrzeżenie, gdyż markiza i jej córka są jeszcze na przejażdżce i wrócą dopiero o ósmej. Niestety nie możemy uczcić pani uroczystym przyjęciem, które odebrała pani fałszywa sukcesorka. Ale z radością wszystko nadrobimy. Czy mój syn opowiedział, co tu się wydarzyło?

— Tak, wiem wszystko. Ale ja nie pragnę wcale uroczystego przyjęcia, jeśli tylko będę przyjęta serdecznie.

Starszy pan z przyjemnością patrzył na jej miłą twarz. Serce mu rosło i teraz znowu było mu żal, że jego stary przyjaciel Rudolf Strasser już nie żyje, aby móc się cieszyć taką córką.

— Myślę, że prawdziwej serdeczności nie powinno pani zabraknąć. Ale teraz muszę panią zawieźć do domu taksówką, gdyż markiza i jej córka korzystają z pani auta, przed czym nie mogliśmy się wzbraniać, aby nie wzbudzić najmniejszego podejrzenia.

Cała trójka ruszyła po peronie ku wyjściu z dworca. Na zewnątrz czekała na nich zamówiona taksówka. Wsiedli i po krótkiej jeździe zatrzymali się przed portalem willi Strasserów.

Ciotka Brygida czekała całkiem sama w westybulu; oddaliła służbę, aby nikt nie mógł zdradzić przybycia młodej spadkobierczyni. Gdy Dagmara weszła do holu i zobaczyła ciotkę Brygidę, pobiegła ku niej jak na skrzydłach i rzuciła się szlochając w jej ramiona.

— Ciocia Brygida! Kochana, dobra ciociu Brygido, że też cię znowu widzę, ach, jakże ty posiwałaś. Moja kochana, moja dobra!

Stara dama objęła serdecznie młodą dziewczynę i próbowała zapanować nad swym wzruszeniem.

— To jest prawdziwie serdeczne powitanie! Bogu dzięki, moje kochane dziecko, że znów jesteś w domu. Tak, to jest Dagmara! To są jej oczy i jej kochana twarz. Niech Bóg pobłogosławi twój powrót, moje kochane dziecko.

Obie kobiety ścisnęły się serdecznie, przytulały i całowały w niewypowiedzianej radości spotkania.

Panowie stali z boku poruszeni tą sceną. W końcu Herman Falkner powiedział:

— Myślę, że nie powinniśmy tu dłużej pozostawać, bo możemy zostać zaskoczeni.

Ciotka Brygida pociągnęła Dagmarę za sobą.

— Tak, Dagmaro, chodź do mego pokoju. Musisz się dzisiaj nim zadowolić, wiesz przecież, że musimy cię jeszcze ukrywać, póki jutro nie osądzimy markizy i jej córki. Jest nam przykro, że nie możemy głośno wyrazić swej radości z twojego powrotu.

Dagmara otarła łzy.

— Jeśli tylko mogę być w domu i przy tobie, wszystko jest już dobrze, ciociu Brygido.

Stara dama skinęła na panów, żeby poszli za nią, i cała czwórka udała się do pokoju pani Brygidy, do którego nikt więcej nie miał wstępu oprócz służby. I tutaj pani Brygida ujęła rękę Wenera.

— Najpierw niech pan pozwoli podziękować sobie z całego serca za to, że przywiózł mi pan dziecko do domu. A teraz proszę opowiedzieć, jak je pan znalazł.

Werner zdał krótką relację, a gdy skończył, przyciągnął Dagmarę do siebie i powiedział zdenerwowany:

— Kochana, czcigodna pani, kochany ojcze, muszę coś wyznać. Przy okazji całej tej afery odnalazły się nasze serca. Sami nie wiemy, jak do tego doszło. Ujrzeliśmy się i wiedzieliśmy od razu, że jesteśmy dla siebie przeznaczeni. Nie mogło być inaczej. Może kochaliśmy się już, nim doszło do tego spotkania, i zawsze ciągnęło nas nieodparcie ku sobie. Mamy nadzieję, że otrzymamy od was zgodę na nasze zaręczyny.

Pełnym prostoty i serdeczności ruchem objął Dagmarę i przytulił jej głowę do siebie. Radość rozpromieniła oczy pani Hartmann, a Herman Falkner odetchnął głęboko i powiedział:

— Muszę przyznać, że jestem wytrącony z równowagi, lecz tylko z powodu niecodziennej radości i głębokiego wzruszenia. Pewnie nie mógłbym tak szybko i z tak lekkim sercem dać zgody na ten związek, gdybym nie wiedział, że w ten sposób spełnia się ostatnie gorące życzenie mego niezapomnianego szefa i przyjaciela, które zwierzył mi na kilka dni przed śmiercią. Ale postanowiliśmy obaj nic w tej sprawie nie czynić; powiedzieliśmy sobie, że jeśli to życzenie ma się spełnić,

to powinno się spełnić bez naszego udziału. Jeśli tak wam pisano, to odnajdziecie się bez naszej ingerencji. Tak się też stało i mogę wam, moje kochane dzieci, wraz ze swoim błogosławieństwem udzielić zarazem błogosławieństwa ojca Dagmary. Niech dla naszej kochanej Dagmary, po wszystkich cierpieniach, których doświadczyła, nadejdą same szczęśliwe dni. A tym, mój synu, uczynić ze swej strony wszystko, żeby tak się stało.

Dagmara rzuciła się starszemu panu na szyję.

— Ojciec mego kochanego Wenera, przyjmij także i mnie do swego ojcowskiego serca i pozwól mi podziękować za to, że mi przekazałeś błogosławieństwo mego ojca.

Starszy pan ucałował dziewczynę ze wzruszeniem.

— Jaka szkoda, że twój ojciec tego nie dożył, moje kochane dziecko. Ale jeszcze dziś wszystko ci powie. Przyniosłem list, który pozostawił dla ciebie. Nie chcę go już dłużej zatrzymywać, ponieważ ojcowskie powitanie w rodzinnym domu będzie dla ciebie najcenniejsze i zrekomensuje ci brak wszelkich uroczystości.

Z tymi słowami wręczył Dagmarze list, który ona z rozpromienionymi oczyma przycisnęła do serca.

Potem ciotka Brygida przytuliła mocno Dagmarę.

— Wracasz do swego domu, kochanie, jako narzeczona, jako szczęśliwa narzeczona. Przynosisz ze sobą słońce, którego w tych ścianach długo brakowało. Błogosławię was oboje, moje kochane dzieci! Wiem, że mój kuzyn Rudolf pobłogosławiłby ten związek z całego serca ponieważ kochał Wenera jak własnego syna. Pójdź także w moje ramiona, kochany Wenerze, wiem, że moja droga Dagmara będzie w dobrych rękach.

Wszyscy z ożywieniem zaczęli mówić i pytać jeden przez drugiego. A szczęśliwa Dagmara wędrowała z jednych ramion w drugie i jednocześnie śmiejąc się i płacząc mówiła:

— Żeby mi tylko serce nie pękło z tej niezmiernej radości, nie przywykłam do szczęścia powiedziałam to już Wenerowi.

Wszystkie oczy z uśmiechem patrzyły na Dagmarę, która tak powabna i miła, opromieniona szczęściem, stała pośrodku i przyciskała ręce do serca. W końcu jednak Herman Falkner powiedział:

— Niestety, nadszedł już czas, żebyśmy się pożegnali. I twoja matka, drogi Wenerze, też tęskni za tym, żeby cię znów zobaczyć. Dopiero się zdziwi, kiedy się o wszystkim dowie. A jutro przed południem przyjdziemy znów z Wenerem, aby zdemaskować fałszywą sukcesorkę, a ciebie, droga Dagmaro, uczynić pełnoprawną spadkobierczynią.

Narzeczeni musieli się więc rozstać i ta pierwsza rozłąka była dla nich przykra. Dagmara objęła Wenera za szyję.

— Powiedz twej kochanej matce, Wernerze, że jak najszybciej do niej przyjadę, aby uzyskać jej błogosławieństwo. Niestety, nie mogę pójść z tobą od razu.

— Dzisiejszy wieczór należy do twojego ojca, Dagmaro, będziesz mogła bez przeszkód zagłębić się w lekturze jego listu. Ja opowiem wszystko swojej matce i z pewnością będzie na ciebie niecierpliwie czekała. Do zobaczenia jutro rano. Śpij dobrze w tę pierwszą noc w swoim rodzinnym domu.

Jeszcze jeden gorący pocałunek i narzeczeni musieli się rozłączyć.

Kiedy Falknerowie przechodzili przez westybul, nadjechało właśnie auto z obiema damami. Panom nie pozostało nic innego, jak poczekać na nie i przywitać się. Elena obdarzyła Wenera promiennym, kokieteryjnym spojrzeniem.

— Ach, wrócił pan nareszcie z podróży? Bardzo się cieszę. Werner skłonił się.

— Właśnie złożyłem wizytę pani Hartmann. Ojciec przyjechał po mnie na dworzec.

— A może zostanie pan na kolacji, cieszyłabym się, gdybym mogła trochę z panem porozmawiać.

Werner skłonił się ponownie, udając, że nie zauważa kokieteryjnych ciepłych błysków jej zazwyczaj zimnych oczu.

— Pani wybaczy, oczekuję nas moja matka.

— Wobec tego mam nadzieję, że zobaczymy pana u nas jutro wieczorem — powiedziała Elena tak miło, że markiza spojrzała na nią zdumiona.

— Będzie to dla mnie zaszczyt i przyjemność spędzić w tym domu jutrzejszy wieczór — odparł Werner, który bardzo dobrze wiedział, że do następnego wieczoru wiele się tutaj zmieni.

Teraz odezwał się Herman Falkner, który przywitał damy tylko ukłonem.

— Zechcą panie przyjąć do wiadomości, że jutro przed południem złożymy paniom wizytę. Powinniśmy dopełnić ostatnich formalności, aby sukcesorce Rudolfa Strassera przyznać należne jej prawa do spadku.

Oczy dam rozbłysły.

— Ach, więc nareszcie, to dla mnie bardzo przyjemna wiadomość. Możemy więc jutro wieczorem fetować moje wstąpienie na tron — zażartowała Elena, będąca w wyśmienitym humorze.

Panowie skłonili się w milczeniu. Elena z czarującym uśmiechem popatrzyła Wernerowi w twarz i spoglądała jeszcze za nim, gdy się oddalał. Matka chwyciła ją za ramię.

— Co to ma znaczyć? Dlaczego tak bardzo wyróżniasz tego młodego człowieka.

Elena zaśmiała się cicho.

— Nie martw się, chcę tylko na nim wypróbować moją uwodzicielską moc.

— Miejmy nadzieję, że niebawem będziesz miała do dyspozycji godniej szych młodych ludzi.

Elena westchnęła lekko.

— Ale chyba nie bardziej interesujących. Nie martw się jednak, ten młody kupiec musiałby być markizem, żeby stał się dla mnie niebezpieczny.

W tym momencie pani Brygida wyszła ze swego pokoju, który cicho za nią zamknięto na klucz. Powiedziała Dagmarze, że teraz, niestety, nie może dłużej dotrzymać jej towarzystwa, bo musi po raz ostatni odegrać komedię, którą dotąd codziennie odgrywała. Dagmara niech się rozgości i poczęstuje przekąskami, które są już dla niej przygotowane na stoliku. I na pewno nie będzie się nudzić, skoro ma list od ojca. Stara dama nakazała jeszcze Dagmarze surowo, żeby za nią cicho zamknęła drzwi na klucz i otworzyła dopiero wtedy, gdy ona zapuka w określony sposób.

Ciotka Brygida przypuszczała, że obie damy spotkają się jeszcze z Falknerami. I Elena potwierdziła to natychmiast.

— Ciociu Brygido, na jutrzejszy wieczór proszę przygotować uroczyste przyjęcie. Jutro przed południem uzyskam wszystkie prawa jako sukcesorka i na kolację zaprosiłam pana Falknera juniora. Skończy się wreszcie sknerstwo. Postaraj się przede wszystkim o homary i kawior, chciałabym znowu zjeść przyzwoity posiłek — powiedziała wyniośle.

Ciotka Brygida mogłaby się poczuć tą wypowiedzią urażona, gdyby się przed chwilą nie dowiedziała, jak obie Włoszki traktowały Dagmarę. Popatrzyła więc tylko na Elenę uważnie i powiedziała z godnością:

— Jutro pani tego domu będzie rozkazywać, co należy podać na stół.

— Słusznie, dlatego przekazuję ci już dzisiaj moje życzenia. Teraz jednak chciałobyśmy się szybko przebrać, bo chyba już czekasz na nas z kolacją.

— Chcę właśnie wydać dyspozycję, żeby ją przygotowano, ja także się trochę spóźniłam.

Matka i córka przeszły dumnie obok Brygidy Hartmann.

Kiedy Dagmara została sama, wyciągnęła list od ojca z koperty, przycisnęła gorąco do ust i zaczęła czytać:

Moje Najukochańsze Dziecko!

Dopiero teraz wiem na pewno, że jesteś moim dzieckiem, i dziękuję niebiosom za tę radosną pewność. Przez długie lata dręczyłem siebie i Ciebie. Nie mogłem pozbyć się podejrzenia, że nie jestem Twoim ojcem. Wyrządziłem Twjej matce ogromną krzywdę. Jesteś teraz dorosła i dostatecznie rozumna, aby móc o wszystkim mówić z Tobą otwarcie. Poproś ciotkę Brygidę, żeby Ci opowiedziała o moim stanie ducha przez te długie lata, kiedy Cię tutaj nie było. Ona zna całą prawdę i powie Ci o wszystkim, jeśli mnie samemu nie będzie dane tego uczynić.

Zawezwałem Cię wreszcie do domu, teraz mogłem Cię zawezwać jako moje ukochane dziecko całym, wolnym już od podejrzeń sercem. Coraz częściej jednak chwyta mnie strach, że moje schorowane ciało nie pozwoli mi doczekać Twego powrotu. Mam nadzieję, że Bóg nie osądzi mnie zbyt surowo i nie powoła do siebie, nim Cię jeszcze choć raz zobaczę, chociaż moim podejrzeniem zawiniłem ciężko wobec Ciebie, a także wobec Twojej matki. W każdym bądź razie nie chciałbym umrzeć, póki Cię z całego serca jak najczulej nie powitam. Gdybyś mnie jednak nie zastała przy życiu, a tylko wtedy otrzymasz ten list, wówczas proszę Cię, moje ukochane dziecko, o wybaczenie, że Cię tak bezlitośnie wygnałem z domu. Było mi bardzo ciężko, niewymownie ciężko z tego powodu; a wygnałem Cię tylko dlatego, że obawiałem się, bym na skutek swego podejrzenia nie zatrul także Twego młodego życia. Próbowałem o Tobie zapomnieć. Kiedyś w swym zaślepieniu powiedziałem, że póki żyję, moje oczy nie chcą Cię więcej oglądać. Teraz czasami wydaje mi się, jakby Bóg za karę złapał mnie za słowo. Moje dziecko, moje ukochane dziecko, wybacź swemu nieszczęśliwemu ojcu przez wzgląd na jego ciężkie cierpienia. Mam nadzieję, że przeżyłaś u wujka Egona szczęśliwe, pogodne dzieciństwo i młodość, szczęśliwsze i pogodniejsze niż w Twym ojcowskim, pozbawionym słońca domu. Liczę też na to, że Ty z powodu naszego rozstania nie cierpiałaś tak bardzo jak ja; i to jest moja jedyna pociecha. Ostatni list Twego wujka zaniepokoił mnie wprawdzie trochę, wynika z niego, że nie pozostajesz w najlepszych stosunkach z ciotką Caterina i że bardzo tęsknisz za domem. Teraz masz wrócić i chyba jesteś już w drodze. Niechże moje błogosławieństwo towarzyszy Ci na progu ojcowskiego domu. I jeśli kiedyś Twoje serce zabije miłością do jakiegoś mężczyzny, niechże to błogosławieństwo towarzyszy wówczas i jemu. Mam jeszcze jedno, ostatnie, wielkie i gorące pragnienie: Żeby Twoje serce połączyło się z miłością z mężczyzną,

któremu z pełnym zaufaniem i spokojem powierzyłbym Twój los. Ale nie chcę tego życzenia ubierać w słowa, powinnaś bez moich sugestii, całkowicie swobodnie, podążyć za swoim sercem, ponieważ wiem, jakie nieszczęście może zrodzić się wtedy, gdy sercu zadaje się gwałt; przekonałem się o tym na przykładzie Twojej matki.

Byłem okrutny także wobec niej; w rozpaczy z powodu utraty Twojej matki przez wiele lat obarczałem wyłącznie ją całą winą. Teraz wiem, że ja również zawiniłem, ponieważ jako człowiek doświadczony nie powinienem wiązać jej z sobą. Powinienem był przecież wiedzieć, że młodość i starość nigdy nie pogodzą się ze sobą i że nic dobrego nie może z tego wyniknąć. Przed kilkoma dniami zawarłem pokój z Twoją matką. Przyszła do mnie i przedstawiła mi niezbite dowody, że jesteś moim i jej dzieckiem. Przez wszystkie te lata pozostawała w głębokim przekonaniu, że żyjesz bezpiecznie w ojcowskim domu. Zostawiła Cię z ciężkim sercem tylko dlatego, żeby mnie nie uczynić zupełnie samotnym. Gdyby nie to, zatrzymałaby Cię wyłącznie dla siebie; sądziła, że będziesz bezpieczniejsza i pod lepszą opieką w moim domu. Rozstaniem z ukochanym dzieckiem chciała odpokutować swą winę. Ciężko zносиła rozłąkę z Tobą. Chciałem być wielkoduszny podobnie jak ona i obiecałem poprosić Cię, żebyś jej wybaczyła i spędziła z nią przynajmniej parę tygodni każdego roku. Nie odbieraj jej swojej miłości; możesz mi wierzyć, że wstawiam się za Twoją matką dlatego, iż zasługuje na Twoją miłość. Młodzi ludzie, którzy nie znają życia, wydają często surowe wyroki, ale Tobie nie wolno osądzać. Twoja matka wiele wycierpiała, bardzo Cię kocha i cierpi nadal z powodu rozstania z Tobą. Nie pozwól jej, moje dziecko, cierpieć niedostatku miłości, i jeśli chcesz coś dla mojej pamięci uczynić, to nie daj swej matce pozostać samotną; ona jest wdową i jest teraz całkiem sama. Wierz mi, jest mimo wszystko warta Twego uczucia.

Tak więc zrzuciłem z serca wszystko, co chciałem i musiałem Ci powiedzieć, i teraz jest mi lżej. Jesteś moją spadkobierczynią i jako taka stoisz na czele dużego przedsiębiorstwa. Dodałem Ci dwu pomocników, którym pod każdym względem możesz zaufać. Herman i Werner Falknerowie są naszymi wypróbowanymi, wiernymi przyjaciółmi. Wenera kocham jak syna, pomógł mi przejść przez najgorsze lata mego życia. Jestem mu za to wdzięczny. Pozostanie do końca życia szefem firmy Strasser & Syn, jeśli jego ojciec nie będzie już stał u steru. A jeśli moje życzenie miałoby się spełnić... ale nie, nie chcę wywierać najmniejszego wpływu na Twoją decyzję.

Zostań z Bogiem, moje dziecko. Niech wszelkie szczęście wróci wraz z Tobą do ojcowskiego domu, który tak długo był opustoszały. Zaufaj ciotce Brygidzie, najwierniejszej wśród wiernych. Wszystko, co wyda Ci się jeszcze niejasne i nie rozwiązane, każ jej sobie opowiedzieć. Ona pomoże Ci zadomowić się ponownie i nauczy Cię obowiązków pani domu. Żegnaj, moje ukochane dziecko i nie zapomnij całkiem Twego, czule Cię mimo wszystko kochającego ojca.

Gorące łzy Dagmary popłynęły na ten list, który wciąż i wciąż przyciskała do ust. Czytała go stale od nowa, jakby chciała wryć w pamięć każde słowo. I wiedziała, że ostatnie wielkie pragnienie ojca już zostało spełnione, ponieważ wyłącznie Wenera mógł ojciec widzieć jako jej małżonka. Jakże cieszyła się teraz, że z radosnym sercem mogła spełnić ostatnie życzenie ojca. I jednocześnie zbudziła się w niej głęboka tęsknota za matką. Gdzie ona przebywa, jak można ją odnaleźć? Na te pytania mogła jej odpowiedzieć tylko ciotka Brygida

Ciotka Brygida, wróciwszy do pokoju, zastała Dagmarę jeszcze mocno zajęętą tymi myślami i rozplywającą się we łzach. Dagmara szlochając rzuciła się jej w ramiona.

— Ciociu Brygido, jakże nieszczęśliwi byli moi rodzice! Czy wiesz może, co się dzieje z moją matką?

Ciotka Brygida wycofała się zaraz po kolacji nie tylko dlatego, że jak najszybciej chciała być znów z Dagmarą, lecz również dlatego, że markiza i jej córka w oczekiwaniu na jutrzejsze formalne przekazanie praw do spadku były jeszcze bardziej dumne i wymagające. I ciotka Brygida, która już wiedziała, jak bardzo obie zawiniły wobec Dagmary, ledwie mogła zachować spokój.

Teraz kazała Dagmarze usiąść obok siebie i przekazała wszystko, co wiedziała o jej matce. Zakończyła stwierdzeniem:

— Twoja matka czeka w pałacej tęsknocie, aż dam jej znać, czy i kiedy może cię zobaczyć. Dagmara podniosła się niespokojnie.

— Czy mogłabym zaraz do niej pojechać, ciociu Brygido, jakże chętnie bym to uczyniła.

I teraz ona opowiedziała starej damie, co usłyszała od panny Berend o Karolu Magnusie i jego pięknej małżonce. Nie wiedziała wówczas, że to jest jej matka.

Pani Brygida powiedziała Dagmarze, żeby od razu zadepeszowała do matki, że wkrótce do niej przyjedzie.

Dagmara spojrzała na ciotkę pytająco.

— A czy moja mama nie mogłaby przyjechać do Hamburga? A może ona nie ma już sił, żeby się wybrać w taką drogę?

Pani Brygida uśmiechnęła się.

— Ach, moje dziecko, twoja matka nie jest jeszcze staruszką jak ja, ma dopiero czterdzieści lat i jeszcze dziś jest czarująco piękną kobietą. Myślę, że jeśli jej pozwolisz spotkać się z tobą, nie będzie się długo zastanawiać. Mogłaby przecież być obecna na twoim przyjęciu zaręczynowym, które z całą pewnością ci wyprawimy, gdy tylko wszystko zostanie uregulowane.

Dagmara przycisnęła ręce do serca.

— Tak, tak, pozwól mi zadepeszować do matki.

Pani Brygida skinęła głową.

— Zrób to zaraz. Tu jest telefon, który wieczorem przenoszę zawsze do swego pokoju. Poczekaj, połączę cię, a ty powiesz do telefonu to, co chcesz przekazać swej matce.

Dagmara stała jak we śnie. Telefon był dla niej także nowym zjawiskiem, ponieważ w kasztelu go nie było. Nieco trwożliwie ujęła słuchawkę i wydawało jej się, jakby przywoływała z oddali swą matkę słowami:

— Kochana mamo, przyjedź do mnie najszybciej jak możesz. Czekam na ciebie pełna tęsknoty. Dagmara.

Z ulgą odłożyła słuchawkę. I siadając u stóp ciotki Brygidy poprosiła:

— Opowiedz mi o rodzicach wszystko, czego jeszcze nie dowiedziałam się z listu ojca.

I ciotka Brygida zaczęła opowiadać. Dagmara siedziała u jej stóp, położywszy głowę na jej kolanach. Z zapartym tchem słuchała tego, co mówiła ciotka. Stara dama wyjęła także ze szkatułki list, który niegdyś napisała do niej Leonora Magnus, i dała go Dagmarze. Przy okazji zobaczyła, że Dagmara nie tknęła jeszcze przygotowanego dla niej posiłku. Zbeształa ją czule:

— Co to ma znaczyć? Chcesz jutro pokazać się swemu narzeczonemu z pobladłymi policzkami? Zabieraj się zaraz do jedzenia! Opowiem ci wszystko, co tylko chcesz wiedzieć, ale musisz przyzwycie zjeść i wypić szklaneczkę wina. A potem ty opowiesz mi o tym, co przeżyłaś w kasztelu. Werner zrelacjonował to wszystko bardzo pobieżnie.

Dagmara nadzwyczaj posłuszenie jadła i piła, nie roniąc nic ze słów ciotki Brygidy. Wciąż jednak tryskały jej z oczu gorące łzy i ciotka Brygida była szczęśliwa, że jej mała Dagmara pozostała czułą istotą o wrażliwym sercu.

Było już bardzo późno, gdy udały się na spoczynek. Dla Dagmary przygotowano posłanie obok łóżka ciotki Brygidy. I nawet gdy obie już się położyły, nadal rozmawiały. Wciąż jeszcze padały pytania, które domagały się natychmiastowych odpowiedzi. Ale w końcu obie kobiety zasnęły mocno i spały bez snów aż do rana.

Następnego dnia w willi Strasserów pierwszy zjawił się Werner i kazał się zameldować pani Hartmann; chodziło mu naturalnie o zobaczenie się z Dagmarą. Kiedy znalazł się w pokoju ciotki Brygidy, dziewczyna pobiegła na jego spotkanie. Objęli się i ucałowali gorąco, a Werner szczęśliwy powiedział swawolnie:

— Nie wyobrażasz sobie, kochanie, jak długa, jak nieskończenie długa była dla mnie nasza rozłąka.

Spojrzała na niego filuternie.

— Myślę, że chyba tak długa, jak dla mnie. Mimo tak wielu nowych wrażeń, których wciąż doznaję, miałam jeszcze czas, by myśleć o tobie. Ale najpierw powiedz mi, co na to wszystko powiedziała twoja kochana matka?

Roześmiał się wzruszony.

— Jest zupełnie nieprzytomna z radości i zdenerwowana i nie może doczekać się chwili, kiedy zobaczy narzeczoną swego Wenera.

— Och, jakżebym chciała zaraz do niej pójść!

— Skoro tylko dobiegnie końca ostatni akt dramatu, natychmiast pojedziemy do niej. Czas mimo wszystko nie powinien jej się dłużyć, ponieważ najchętniej postawiłaby cały dom na głowie, żeby go na twoje przyjęcie przyozdobić.

Śmiali się oboje beztrąsko, a potem znów zaczęli wspominać przeżyte ostatnio chwile. Werner opowiedział obu damom, jak jego ojciec zaplanował czekającą ich scenę. Dagmara zasmucona zacisnęła dłonie.

— Och, jakie to będzie ciężkie dla cioci Cateriny i Eleny.

— Bez zbędnego współczucia, Dagmaro, skończy się to dla nich i tak za dobrze, zasłużyły na coś gorszego.

Ciotka Brygida, wspierając się na lasce, pokuśtykała do salonu, aby tam oczekiwać na Hermana Falknera, i w ten sposób narzeczeni zostali na krótko sam na sam. Umieili to dobrze wykorzystać, całując i zapewniając nawzajem o swej miłości. Pod tym względem nie różnili się od innych narzeczeńskich par. Potem usłyszeli, że przyszedł Herman Falkner. Wprowadzono go do salonu, gdzie go przywitała ciotka Brygida, dziś pogodna i z rozpromienionymi oczyma Falkner przyniósł ciężką teczkę z aktami i zwrócił się do starej damy, żeby kazała poprosić markizę i jej córkę.

Polecenie zostało wykonane i signora Caterina z Eleną zjawiły się wkrótce w salonie i przywitały obecnych protekcyjnie. Widać było po nich że były bardzo pewne swojej sprawy. Herman Falkner przywitał obie damy ukłonem i oświadczył:

— Przybyłem, szanowne panie, aby, jak już wczoraj powiedziałem, wypełnić ostatnie formalności i przekazać spadkobierczyni pełne prawa do spadku.

W tym momencie wszedł także Werner, który wcześniej wprowadził Dagmarę do sąsiadującego z salonem pokoju, bowiem już miał pewność, że obie damy znajdują się w towarzystwie jego ojca i ciotki Brygidy. Zostawił Dagmarę samą, udzielając jej niezbędnych wskazówek.

Przy słowach Hermana Falknera markiza i jej córka odetchnęły z ulgą i przywitały Wenera bardzo uprzejmie. Ale markiza nie mogła się powstrzymać, żeby nie powiedzieć:

— Jest już najwyższy czas, żeby moja kuzynka weszła w posiadanie należnych jej praw.

Elena natomiast spytała niecierpliwie:

— Czy po załatwieniu tych formalności będę mogła bez przeszkód wrócić do Włoch?

Herman Falkner skłonił się.

— Nic i nikt w tym pani nie przeszkodzi.

— A na czym polegają te formalności? — zainteresowała się Elena.

Herman Falkner otworzył teczkę i przejrzał uważnie plik akt. Potem powiedział z rozwagą:

— Przede wszystkim musimy odbyć małą, błahą ceremonię. Przewiduje ona, że sukcesorka w obecności trzech świadków obnaży prawą stopę. Świadczyć będą: pani Hartmann, mój syn i ja. Czy życzy sobie pani, żeby służąca pomogła pani zdjąć but i pończochę?

Obie damy zaniemówiły na chwilę, potem jednak markiza odzyskała głos.

— To jakaś dziwna ceremonia. Co ona ma na celu?

— Wyjaśnię to po jej zakończeniu. A więc życzy sobie pani, żeby przywołać służącą?

Elena wzruszyła ramionami, ale ponieważ była przekonana, że nie musi się wstydzić swojej ładnej stopy, uznała to nawet za przyjemne pokazać ją Wernerowi. Signora Caterina podniosła się jednak i zdecydowała.

— Obejdzie się. Cała ta ceremonia jest, powiedzmy to sobie otwarcie, nieco dziwna, chciałabym więc oszczędzić mojej kuzynce jeszcze jednego świadka więcej, niż jest to konieczne. Sama obnażę stopę Dagmary.

Herman Falkner skłonił się, a Werner położył usłużnie poduszkę przed fotelem Eleny, która uśmiechnęła się do niego zalotnie, jakby chciała powiedzieć: „Teraz zobaczysz coś bardzo ładnego”. Dumna markiza zaś przyklękła i zdjęła Elenie z prawej nogi najpierw mały bucik, a potem jedwabną pończochę.

— Proszę, panie prokurencie, i co teraz?

Obaj panowie i ciotka Brygida podeszli blisko do Eleny i uważnie obejrżeli jej stopę. Elena uśmiechając się spoglądała na Wenera.

Przez chwilę w pokoju było całkiem cicho. Potem Herman Falkner wyprostował się i powiedział wyraźnie i stanowczo:

— Stwierdzam, że ta młoda dama nie jest sukcesorką Rudolfa Strassera.

Obie damy pobladyły, a Elena opadła na fotel. Jej matka jednak szybko się opanowała i fuknęła gniewnie na starszego pana.

— Na co sobie pan pozwala, jak może pan twierdzić coś tak absurdalnego?

Falkner pozostał zupełnie spokojny, tylko mu oczy dziwnie błysnęły.

— Niech się pani niepotrzebnie nie irytuje, signora — powiedział zimno. — Będzie pani jeszcze potrzebowała swych sił. Chcę panią powiadomić, że córka Rudolfa Strassera posiada na podbiciu prawej stopy małe znamię w kształcie gruszki, a tego znamienia ta młoda dama nie ma.

Markiza wiedziała, o co chodzi, ale nie chciała jeszcze dać za wygraną, gdy tymczasem Elena, na pół omdlała, spoczywała w swoim fotelu i patrzyła błagalnie na Wenera.

Signora Caterina, roześmiewszy się ochryple, powiedziała z niewiarygodną przytomnością umysłu:

— Wyświadczyłam ci złą przysługę, kochana Dagmaro, gdy w dzieciństwie kazałam mojej bardzo doświadczonej w kunszcie kosmetycznym garderobianej usunąć to znamię, ponieważ raziło moje poczucie piękna.

Ojciec i syn popatrzyli na siebie, a potem na panią Brygidę. Mimo wszystko zadziwiła ich przytomność umysłu markizy. Ale po chwili starszy pan oświadczył stanowczo:

— Jest rzeczą niemożliwą zrobić to bez pozostawienia śladu. A takiego śladu na nodze młodej damy nie ma. W każdym bądź razie spadek Rudolfa Strassera może objąć tylko ta osoba, na której stopie znajduje się to charakterystyczne znamię. Chciałbym panią zresztą przestrzec, signora, przed dalszym opowiadaniem bajek. Prawdziwa spadkobierczyni ze znamieniem na prawej stopie jest bowiem na miejscu. Wprowadź ją, proszę, Wenerze.

Werner wyszedł do przyległego pokoju, odprowadzany zmieszanyi spojrzeniami matki i córki, i przyprowadził Dagmarę, która była nie mniej zdenerwowana niż fałszywa sukcesorka.

Matka i córka krzyknęły głośno, gdy zobaczyły nagle przed sobą Dagmarę. Markiza miała ochotę się na nią rzucić. Ale podjęła jeszcze jedną próbę. Z wyciągniętymi rękoma zwróciła się do dziewczyny i powiedziała chrapliwym głosem:

— Eleno, moje biedne dziecko, jak się tutaj znalazłaś? Jesteś przecież chora, Eleno, co ty wyprawiasz w swym szaleństwie?

Werner stanął między nią a swoją narzeczoną.

— Proszę się nie zbliżać, signora, już wiemy, że należy bronić się przed panią.

Zmierzyła go od stóp do głów wyniosłym spojrzeniem, ale już z wykrzywioną z wściekłości twarzą.

— Niech pan się nie miesza do spraw rodzinnych, to jest moja nieszczęśliwa córka Elena, która od śmierci mego męża cierpi na swoistą *idée fixe*: wydaje jej się, że jest swą kuzynką Dagmarą.

Werner spojrział na markizę roziskrzonymi gniewem oczyma, ale zachował spokój.

— Niech pani skończy tę walkę, signora, to już pani nic nie pomoże, nawet jeśli wymyśli pani jeszcze bardziej fantastyczne baśnie, żeby nie powiedzieć... kłamstwa. Plan, który uknuła pani garderobiana, Marietta, i który pani chciała wprowadzić w życie, został ujawniony. Garderobiana złożyła już szczere zeznanie. I żeby pani wreszcie zrozumiała, iż pani kłamstwa do niczego nie prowadzą, panna Dagmara Strasser pokaże pani znamię na prawej stopie, które dowodzi, że jest ona prawdziwą spadkobierczynią.

Dagmara zsunęła tylko bucik, bo pończochę zdjęła już wcześniej, kiedy czekała w sąsiednim pokoju. I stawiając prawą stopę na poduszce, popatrzyła na markizę dużymi, poważnymi oczyma

— Przestań, ciociu Caterino, wikłać się w te kłamstwa, to tylko pogorszy twoje położenie. Dzięki Bogu twój straszliwy zamach na mnie nie powiódł się i zostałam uwolniona z więzienia, które mi przygotowałeś. Elenę rozpoznano tutaj bardzo szybko jako fałszywą sukcesorkę, nie potrzeba było nawet tego małego znamienia; miałam w ojczyźnie przyjaciół, którzy mnie znali lepiej, niż sądziłyście. Werner Falkner pojechał do Włoch, aby mnie ratować, a jednocześnie zdemaskować was. Nie powinnyście robić Mariecie żadnych wyrzutów, była czujna i wierna, ale Werner przedostał się przez mur i tak na nią natarł, że wszystko wyznała. Ale postanowiła wziąć całą winę na siebie, chciała sama iść do więzienia, byleby wam nie stała się krzywda. A więc nie besztajcie jej, jest wam fanatycznie wierna i oddana i byłaby gotowa mnie zamordować, gdyby wam przez to mogła pomóc.

Matka i córka przekonały się wreszcie, że ich przedsięwzięcie zakończyło się fiaskiem. Elena pospiesznie wciągnęła pończochę, włożyła but i zbliżyła się do matki, jakby szukając u niej schronienia. Markiza z pałającymi nienawiścią oczyma wpatrywała się w Dagmarę. Matka i córka nie umiały wydobyć z siebie ani jednego słowa

Odezwał się natomiast Herman Falkner, zwracając się do obu dam:

— Przekonały się panie, że gra jest skończona Panna Strasser prosiła mnie o to, żeby was nie stawiać przed sądem przez wzgląd na pamięć jej zmarłego wujka. Czy zechcą panie skorzystać z tej wielkodusznej propozycji? W takim przypadku musiałbym panie prosić o natychmiastowe

spakowanie swoich rzeczy i opuszczenie tego domu jeszcze dzisiaj. W przeciwnym razie muszę was kazać aresztować jako oszustki.

Obie damy wzdrygnęły się i popatrzyły na siebie przerażone. Ale wtedy дума markizy jeszcze raz wzięła górę.

— Nikt się nie odważy wtrącać do więzienia markizy Consistelli — wyrzuciła z siebie.

— W naszym kraju nie ma najmniejszego znaczenia, czy przestępca jest markizem czy włóczęgą. Poza tym nie jest pani markizą, lecz signorą Strasser. I tylko to nazwisko chroni teraz panią przed karą, na którą pani zasłużyła. A teraz z pewnością życzy sobie pani pójść do swego pokoju i spakować walizki. Nie będziemy w tym przeszkadzać.

Markiza rzuciła jeszcze na Dagmarę pełne nienawiści spojrzenie, potem chwyciła Elenę za rękę i pociągnęła za sobą.

Dagmara rozplakała się i padła w objęcia Wenera.

— Och, jakież to było okropne! Za żadne skarby świata nie chciałabym stanąć przed jakimś człowiekiem, tak jak one musiały stanąć przed nami.

Werner pocałował ją i pogłaskał uspokajająco po głowie.

— Kochanie, one naprawdę zasłużyły na coś gorszego. Dagmara spojrzała teraz błagalnie na Hermana Falknera

— Drogi ojciec, daj im trochę pieniędzy, wiem, że one są w ciężkim położeniu i ledwie im starczy na podróż do domu. Czy nie mam prawa zdecydować, żeby im doręczono jakąś sumę?

Starszy pan uśmiechnął się i potarł policzek.

— Oczywiście, że masz prawo, musisz tylko określić, jaka to ma być kwota. Ale może pozostawisz już mnie decyzję co do wysokości tej kwoty, obawiam się, że ty byłabyś zbyt hojna. I markizie nie wolno podsunąć myśli, że mogłaby wykorzystywać twoją dobroć, inaczej będzie nas nagabywać bez końca. Zakupimy obu damom bilety do Florencji i wypłacimy im pięć tysięcy marek. Tym samym koszty ich nieudanego przedsięwzięcia zostaną w pełni pokryte. Z czystym sumieniem odradzam ci dać im cokolwiek więcej. To i tak jest z twojej strony ogromna wielkoduszność, że jeszcze wstawiasz się za nimi.

Dagmara przycisnęła rękę do serca.

— Przekonałeś mnie, drogi ojciec. Zgadzam się z tobą.

— Pozwól, Dagmaro, że ja to załatwię. Wyślę posłańca z biletami i pieniędzmi. I od razu określę czas, kiedy zostanie podstawiona taksówka, aby zawieźć damy na dworzec. A ciebie, moja kochana Dagmaro, proszę, żebyś się przygotowała i zechciała mi towarzyszyć do siedziby firmy Strasser & Syn. Chciałbym cię przedstawić wszystkim urzędnikom jako prawdziwą spadkobierczynię. A potem Werner zaprowadzi cię do swej matki, która cię z utęsknieniem oczekuje.

Dagmara uśmiechając się oznajmiła:

— Ale mam tylko tę jedną sukienkę, bo opuszczając w pośpiechu kasztel, nie mogłam zabrać ze sobą wszystkiego. A zresztą niewiele tam zostało rzeczy, które w mojej nowej sytuacji mogłabym nosić. Nie wiem, czy wyglądam dość reprezentacyjnie.

Obaj panowie popatrzyli na Dagmarę krytycznie i uznali, że nawet w swej skromnej sukience prezentuje się dobrze i pięknie. Ciotka Brygida, przyjrzawszy się Dagmarze, objęła ją z uśmiechem i powiedziała spokojnie, ale stanowczo:

— Musicie panowie wytrzymać jeszcze godzinę. Pan, drogi panie Hermanie, może tymczasem wrócić spokojnie do firmy, a Werner potem zawiezie Dagmarę. Myślę, że chętnie dotrzymam towarzystwa. Zatelefonuję zaraz do magazynu mód i każę to, co potrzebne, jak najszybciej tutaj przysłać. Sukienka Dagmary jest trochę niemodna i nie nadaje się na taką uroczystość. W magazynie z pewnością będzie coś odpowiedniego z gotowych rzeczy. Pozostałą wyprawę Dagmary skompletujemy stopniowo w najbliższych dniach.

Wszyscy się z tym zgodzili.

W ciągu godziny Dagmara została zaopatrzona we wszystko co niezbędne, i wyglądała teraz nie tylko wytwornie i miło, lecz także elegancko i modnie.

Śmiejąc się podeszła do Wernera, który czekał, póki się nie przebierze, i zapytała go, czy mu się teraz podoba. Zachwycony wziął ją w ramiona.

— Podobasz mi się teraz tak samo jak przedtem, ale ciocia Brygida z pewnością wie lepiej ode mnie, jak masz być ubrana odpowiednio do sytuacji. Szybko jeszcze jeden pocałunek, kochanie. Ciocia Brygida nic nie widzi. Teraz całą wieczność musimy być bardzo oficjalni i to jest dla mnie nadzwyczaj męczące.

Markiza i jej córka wyjechały, tak jak ustalono. Dagmara nie zobaczyła ich już przed odjazdem. Prawowita sukcesorka Rudolfa Strassera objęła spadek wraz z wszystkimi przysługującymi jej prawami; została przedstawiona w firmie, a potem serdecznie przyjęta przez matkę narzeczonego.

Drugiego dnia po odjeździe markizy przybyła do Hamburga Leonora Magnus i w willi Strasserów doszło do wzruszającego spotkania między matką i córką. Miały sobie nawzajem tyle do przekazania, że potrzebowały kilku godzin, żeby powiedzieć wszystko, co im na sercu leżało.

Leonorę szczerze ucieszyła wiadomość, że Dagmara zaręczyła się z Wernerem. I gdy potem przyszedł Werner, Leonora z wilgotnymi ze wzruszenia oczyma wyciągnęła do niego rękę. Na jej twarzy pojawił się dawny, czarujący uśmiech.

— Pasowałam cię niegdyś na rycerza i obrońcę małej Dagmary, a dzisiaj z gorącą radością daję ci błogosławieństwo dla twego związku z moją córką. Uczyni ją szczęśliwą, kochany Wernersze, żeby jej wynagrodzić złe lata dzieciństwa i pierwszej młodości.

— Będę do tego dążył jak najgoręcej, kochana mammo — odpowiedział Werner serdecznie i patrzył z podziwem na wciąż jeszcze piękną twarz kobiety, do której niegdyś należały marzenia jego młodzieńczego serca.

Patrząc teraz na matkę i córkę, utwierdził się w przekonaniu, że Dagmara odziedziczyła po matce włosy, cudowne oczy i czarujący uśmiech. Wprawdzie cierpienie pozostawiło ślad na twarzy Leonory, ale przeżyte szczęście i głęboka miłość użyczyły jej swoistego uroku.

Leonora Magnus postanowiła sprzedać swoją willę w Lugano. I tak nie mogła czuć się w niej dobrze, ponieważ opadały ją tam nieustannie bolesne wspomnienia. Cierpiała jeszcze bardzo z powodu straty męża, którego tak gorąco kochała i który ją uwielbiał. Ale miłość dziecka wynagradzała jej teraz wszystko i nie chciała znów przebywać daleko od Dagmary. Kupiła uroczy dworek w pobliżu Hamburga, do którego mogła dotrzeć swym autem w ciągu pół godziny. Na zamieszkanie w willi Strasserów nie mogła się zdecydować.

— Straciłam do tego prawo na zawsze, moje drogie dziecko, nie nalegaj, proszę — oznajmiła Dagmarze. — Kiedy będę w Hamburgu, zatrzymam się w hotelu, to mi nie przeszkadza, ponieważ jestem do tego przyzwyczajona.

I nie pozwoliła się namówić na inne rozwiązanie. Dagmara pogodziła się z tym i była szczęśliwa, że matka mieszka przynajmniej w pobliżu. Dla Dagmary zaczął się cudowny, szczęśliwy czas, który kazał jej zapomnieć o wszystkich cierpieniach. Nieoczekiwanie została otoczona wie-

loma kochanymi ludźmi, którzy prześcigali się w okazywaniu jej dobra i czynieniu jej życia pięknym. Czasem nawet chwyciła Wenera zazdrość, że Dagmara okazuje innym zbyt wiele uczucia. Ale wówczas narzeczona obejmowała go czule i mówiła z uroczym uśmiechem, w którym odbijała się cała jej dusza:

— Jestem gotowa przyjąć ogrom miłości, kochany Wenerze, i mogę też ogrom miłości rozdzielić. Pomyśl tylko, jak długo musiałam gromadzić w sobie całe to bogactwo uczuć; gdybym teraz przelała je na jednego jedyne go człowieka, nie byłby w stanie tego udźwignąć. To byłoby na pewno i dla ciebie za dużo.

Ucałował ją mocno i serdecznie.

— Nie mogę sobie wyobrazić, że kiedykolwiek mógłbym mieć dość; pod tym względem jestem nienasycony — przekomarzał się.

Patrzyli na siebie śmiejącymi się oczyma i szczęście ogarniało ich gorącą falą.

Zaraz po Bożym Narodzeniu miał się odbyć ich ślub. Ale najpierw dane było Dagmarze przeżyć prawdziwie niemieckie święta. Została przez wszystkich tak obficie obdarowana, że była prawie wytracona z równowagi. Co tylko miłość jej matki zdołała wyczarować, co tylko Wenera i inni potrafili wymyślić, tym ją obsypano. A przede wszystkim ona także mogła sprawiać upominki, mogła dla wszystkich swych najbliższych przygotować bogate podarunki. Herman Falkner oddał do jej dyspozycji tyle pieniędzy, ile potrzebowała. I było to dla niej wspaniałe uczucie. Zakupy w wielkich hamburskich magazynach dawały jej wiele przyjemności, podobnie jak ożywiony ruch wielkiego miasta. Na początku czuła się wprawdzie niekiedy trochę zagubiona, ale teraz podobało się jej to niezwykle. W wyprawach towarzyszyła jej matka lub Wenera i obydwójce byli zachwyceni świeżością i żywością reakcji Dagmary, promieniującą z niej radością życia

A potem w domu było znów słodko i szczęśliwie w ramionach ukochanego Wenera lub ukochanej matki, którzy prześcigali się w zabieganiu o jej względy i żartobliwie wyrzucali sobie nawzajem, że zbyt rozpieszczają Dagmarę. Dagmara śmiejąc się obejmowała jednym ramieniem szyję Wenera, drugim szyję matki i całowała ich na zmianę, póki nie zapanował pokój.

Święta Bożego Narodzenia upłynęły tak harmonijnie i wesoło, jak już dawno nie zdarzyło się to w willi Strasserów. Dagmara kazała umieścić obok choinki portret ojca, ten sam, który spadł ze ściany w dniu przybycia Eleny.

— Ojciec ma także w tym uczestniczyć — powiedziała.

Między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem odbył się ślub młodej pary.

Nowożeńcy zamieszkali w willi Strasserów. Ciotka Brygida przeniosła się do leżącej pośród lasów posiadłości pani Leonory. Pani Leonora usilnie o to zabiegała.

— Droga Brygido — prosiła — chciałabym ci twój podeszły wiek uczynić lżejszym i piękniejszym. Pozwól mi otoczyć się troskliwą opieką, wtedy i moje życie będzie miało jakiś cel.

Brygida przystała chętnie na tę propozycję, chciała bowiem młodą parę pozostawić samą.

Werner i Dagmara nie zapominali o obu samotnych kobietach i często jeździli na niedzielę swym autem do wiejskiej siedziby pani Leonory, gdzie byli zawsze witani z niekłamaną radością. To były odświętne dni dla Leonory, kiedy jej dzieci przybywały z wizytą. Od czasu do czasu obie damy jechały do Hamburga, aby pójść do teatru lub na koncert, wtedy były tak samo radośnie witane w willi Strasserów, w której świeciło słońce prawdziwego szczęścia.

Kilka miesięcy po ślubie Dagmara otrzymała list od signory Cateriny, która miała czelność zwrócić się do niej z prośbą o pomoc. Prosiła ją o przyznanie jakiegoś subsydium, gdyż ze skromnej renty ledwie mogła wyżyć, a Elenę należało koniecznie wprowadzić do towarzystwa, aby miała okazję zrobić jakąś partię.

Dagmara była zbyt szczęśliwa i dobra, żeby prośbę markizy pozostawić nie spełnioną. Najchętniej pomogłaby markizie nadzwyczaj szczerze, ale Herman Falkner stanowczo jej to odradził i ograniczył pomoc, której Dagmara poleciła obu damom udzielić, do rozsądnych rozmiarów. Natomiast żeby Dagmara sama odpowiedziała na list ciotki, nie było nawet mowy: nie zgodził się na to ani Werner, ani jej matka. Tak więc Herman Falkner powiadomił signorę Caterinę, że pani Dagmara Strasser-Falkner poleciła przyznać wspólnie signorze i signorinie Strasser kwotę pięciu tysięcy marek rocznie przez trzy lata, aby obie damy mogły trzy zimy spędzić w Rzymie. Poza tym wsparciem pani Falkner nie będzie już skłonna świadczyć jakiegokolwiek dalszej pomocy.

Jaką wersję wydarzeń przedstawiła markiza Marietcie, gdy wróciła z Eleną do kasztelu, Dagmara nigdy się nie dowiedziała. Nie była też tego ciekawa, bowiem gdy tylko przypominała sobie tamte dwie kobiety, dreszcz przebiegał jej po plecach. Czuła wtedy znowu atmosferę nienawiści, która ją otaczała w kasztelu Consistellich.

Małżeństwo młodej pary było podobne do długiego szczęśliwego dnia, a kiedy po upływie roku Dagmara obdarzyła małżonka synem, cała rodzina przyjęła potomka z ogromnym zachwytem. Ochrzczono go pod portretem Rudolfa Strassera, żeby i on mógł się cieszyć, że firma Strasser & Syn ma już spadkobiercę.

W dzień chrztu syna Dagmara otrzymała od Eleny zawiadomienie o ślubie. Wyszła ona za mąż za bogatego właściciela winnicy, który wprawdzie nie był żadnym markizem i miał już pięćdziesiąt lat, ale posiadał wielki majątek, co dla Eleny było rzeczą najważniejszą.

Ale ku swemu ubolewaniu i wściekłości signora Caterina nie mogła korzystać z tego bogactwa. Małżonek Eleny kategorycznie oświadczył po ślubie, że nie życzy sobie mieszkać razem z teściową. Ona może przecież zupełnie dobrze wyżyć ze swej renty i urządzić się wygodnie tam,

gdzie ma ochotę. W ten sposób markizie nie pozostało nic innego, jak spędzać większą część roku w kasztelu i tylko kilka miesięcy rocznie przebywać w Rzymie, oczywiście w bardzo skromnych warunkach. Z tego względu nie mogła już odgrywać znaczącej roli w towarzystwie. Także Elena została pod tym względem zmuszona przez swego rozważnego małżonka do rozsądnej powściągliwości.

Dagmara trzymając w ręku zawiadomienie o ślubie Eleny patrzyła na nie długo, głęboko zamyślona. Potem wręczyła je mężowi i wzięła swego synka na rękę. Pocałowała go serdecznie i z błyszczącymi od łez oczyma powiedziała do Wenera:

— Zamierzały wyrządzić mi tyle złego, ale Bóg do tego nie dopuścił. Jakże jestem Mu wdzięczna, mój kochany Wenerze.

Objął żonę i dziecko.

— Jesteś szczęśliwa, kochanie?

Przytuliła się do niego i podniosła ku niemu piękne oczy, w których zapaliły się złote iskielki.

— Niech Bóg zachowa moje szczęście, jestem mu za nie gorąco wdzięczna. Mam ciebie, Wenerze, i nasze dziecko, jakże jestem bogata w miłość i szczęście.

W tym momencie do pokoju weszła Leonora, która wraz z ciotką Brygidą przybyła na chrzciny. Z wyciągniętymi rękoma podeszła do szczęśliwych rodziców, a Dagmara, uśmiechając się, podała jej swego malutkiego synka.

Leonora przycisnęła go do siebie z serdeczną tkliwością. Wener uśmiechnął się na ten widok.

— Jesteś najbardziej idealną babcją, jak tylko można sobie wyobrazić, prawda, Dagmaro?
— powiedział.

Po twarzy pani Leonory przebiegł cień.

— Ale byłam złą matką — wyszeptała.

Dagmara objęła ją i ucałowała.

— Nie wolno ci tak mówić, to mnie bardzo smuci.

Leonora spojrzała czule na córkę.

— Nie chcę cię zasmucać, moje kochane dziecko. Przeciwnie, pragnę ci gorąco podziękować, że jesteś dla mnie tak dobra. Jesteś istotą o wielkim, kochającym sercu.

Wener wziął Dagmarę w ramiona i popatrzył na nią z głęboką tkliwością.

— Tak, jesteś istotą o wielkim kochającym sercu, a ponadto moim... moim największym szczęściem.

Wzruszona babcia wyszła z dzieckiem z pokoju, a Werner i Dagmara stali przytuleni do siebie w czułym zapamiętaniu.

Dagmara nie była już wygnaną córką. Była uwielbianą, szczęśliwą żoną i równie szczęśliwą, dumną matką.



TLR